

AUTORKA BESTSELLEROWEJ *INFORMACJONISTKI*

TAYLOR STEVENS

LALKA



REBIS

Tytuł oryginału: *The Doll*
Copyright © 2013 by Taylor Stevens
All rights reserved

*Z miłością i wdzięcznością
temu drugiemu Bradfordowi.
Z całego serca.*

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Rozdział 1

Dallas, Teksas

Z dłońmi przyciśniętymi do szyby Miles Bradford obserwował parking przed budynkiem. Widział jej upadek. Klatka po klatce, powolny przechył i lądowanie, które sprawiły, że przez długą chwilę nie wiedział, czy ma się zacząć śmiać czy martwić. Wstrzymał oddech, w duchu wołając, żeby wstawała. Wiedziała, że on tu jest. Liczył, że zaraz obróci się w jego stronę i pomacha. Potem mogli się z tego śmiać.

Ale ona nie drgnęła. Nie próbowała wydostać się spod motocykla, pod którym utkwiała jej noga. Nawet nie podniosła głowy.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc. Cofnął się od okna powoli, jakby brodził po wodzie. Potem gwałtownie się odwrócił i wypadł z biura. Pędem pokonał korytarz i przemknął obok recepcji. Ominął windy, kierując się na schody. Zbiegł pięć pięter na dół, do holu, i pchnął wielkie, przeszklone drzwi. Dojazd do budynku od strony północnej blokował ambulans, do którego właśnie wsuwano nosze z Munroe.

Krzyknął i zaczął machać rękami, aby zwrócić uwagę ratowników. Chciał, żeby chwilę zaczekali, dali mu czas na pokonanie parkingu, mógłby zabrać się z nią. Żaden się nie odwrócił ani nie zerknął w jego stronę. Nosze zniknęły w środku i zatrzaśnięto drzwi. Bradford już biegł, błyskawicznie pokonując dystans. Spóźnił się dosłownie o sekundy.

Ambulans na sygnale wyjechał na drogę dojazdową.

Ducati leżało na boku, nieco odepchnięte z miejsca, gdzie uwięziło ją pod sobą. Silnik zgasł, a kluczyki tkwiły w stacyjce. Postawił motocykl do pionu, wsiadł na niego i stopą wrzucił luz. Kciukiem wcisnął zapłon i sięgnął do sprzęgła, ale uderzenie o chodnik urwało dźwignię.

Zaklął i sfrustrowany spojrzał w kierunku, w którym odjechał ambulans. Przez chwilę siedział bez ruchu, łapiąc oddech i intensywnie myśląc. Wycie syreny oddalało się i powoli ruch na ulicy wracał do

normy. Gdyby od razu pobiegł do wozu, zamiast do karetki, miałby szansę ją dogonić, ale teraz było na to za późno. Obejrzał się na budynek. Niewielka grupka gapiów już się rozchodziła.

Miał na koncie dwadzieścia lat doświadczeń na froncie, nigdy nie zapominał o asekuracji i wszędzie wypatrywał niebezpieczeństw, ale tutaj, w kraju, ciągle myślał jak cywil. Jakie było prawdopodobieństwo, że ktoś na parterze widział wypadek i zadzwonił po pogotowie, a karetka znajdowała się akurat w pobliżu? Oczywiście nie mógł tego wykluczyć, ale raczej nie wierzył w taki zbieg okoliczności.

Zsiadł z ducati i odprowadził je do garażu – do kąta, w którym Munroe zwykle je trzymała – a potem pobiegł z powrotem do budynku, po drodze odtwarzając zarejestrowany na taśmie pamięci upadek. Widział, jak drgnęła i zerknęła w dół, tak jakby coś ją zaskoczyło. Lewą ręką w dziwny sposób przesunęła po udzie. Dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem nagle przygarbiła się i poleciała na bok. Zastanawiał go ten nagły przechył i upadek – nie zachowywała się jak ktoś, kto po prostu zasłabł.

Przy windach wdusił przycisk ze strzałką do góry, jednocześnie sporządzając w myślach listę potencjalnych przyczyn – alergie, problemy ze zdrowiem, powikłania po niedawnej chorobie. Po kolei wszystkie wykluczał.

Zanim wjechał na swoje piętro, przeanalizował zapamiętane obrazy kilkanaście razy. Przy każdej kolejnej próbie czuł coraz większą frustrację. Pchnął szerokie drzwi, które odgradzały Capstone Security Consulting od holu, minął luksusową strefę recepcji z eleganckimi meblami i ogromnym logo firmy – korporacyjnymi symbolami, które zupełnie nie kojarzyły się z krwawym i brutalnym biznesem, jaki prowadził za ścianą wyłożoną drewnianymi panelami – i zatrzymał się dopiero przy biurku, za którym siedziała Samantha Walker.

Utkwiła w nim wielkie, brązowe oczy. Miała minę, jakby chciała powiedzieć „zdawaj raport”, tak jak zawsze, gdy poziom jego stresu szybował pod niebo.

– Co się, do cholery, stało? – spytała. – Wyglądasz, jakbyś miał schadzkę ze śmiercią. Gadaj, co się dzieje.

Bradford zbył ją półuśmiechem i wziął z biurka plik karteczek samoprzylepnych. Co miał jej powiedzieć? Że instynkt i dziesięciosekundowa pętla obrazów w pamięci, ani na chwilę niedająca mu spokoju, utwierdzały go w przekonaniu, że kobieta, którą kocha, właśnie została czymś odurzona i wepchnięta do ambulansu?

Zanotował cyfry, które zdążył zobaczyć, zanim karetka wyjechała na drogę.

– Które szpitale mają dziś dyżur? – spytał, nie odrywając wzroku od karteczki.

– Medical City i Parkland.

– Możesz do nich zadzwonić i sprawdzić, czy Michael tam nie trafiła?

Ponownie spojrzała na niego w ten sam znaczący sposób, a potem dotknęła myszy komputera i monitor ożył.

– Mam pytać o Munroe czy o inne nazwisko?

– O Munroe – odparł.

Kiedy Michael nie pracowała, miała przy sobie dokumenty na taką właśnie tożsamość, ale słowa Samantha sprawiły, że jego myśli pomknęły w dwóch kierunkach. Patrząc, jak Walker wyszukuje numery telefonów, siłą woli posklejał fragmenty skojarzeń i obrazów w logiczne pytanie: Widział, jak Vanessę Michael Munroe ładują na noszach do ambulansu, ale czy dla tych, którzy ją tam wsadzili, była to Michael, czy może inne z jej wielu wcieleń?

Na próżno próbował dostrzec w tym wszystkim jakiś sens. Kto miał odpowiednie środki i powód, żeby to zrobić, i – co najważniejsze – jak ją

namierzono? Munroe na pewno narobiła sobie wielu wrogów, handlując tajemnicami i kupując dusze, ale zawsze używała fałszywych danych i zmieniała wygląd. Tak wiele lat spędziła za granicą, że mało kto wiedział, kim naprawdę jest i jak ją znaleźć.

Walker odchrząknęła, podniosła słuchawkę i obrzuciła Bradforda stanowczym spojrzeniem, które mówiło, że wykona te telefony, jeśli on nie będzie nad nią sterczał i próbował wszystko kontrolować.

Wolał jej nie przeszkadzać. Przeciągnął kartę-klucz przez czytnik.

Rozległo się ciche kliknięcie i fragment ściany na prawo od biurka uchylił się odrobinę. Bradford pchnął go i wszedł do środka. Za drewnianymi panelami wszystkie korytarze i ściany były przeszklone, a żaluzje podciągnięte. Dzięki temu całe piętro wydawało się jasne i przestronne. Minął pokoje biurowe i skierował się do pomieszczenia, które w innych firmach byłoby salą konferencyjną. W Capstone pełniło ono rolę centrum dowodzenia – mózgu, z którego dendryty biznesu wyrastały na tysiące mil, docierając tam, gdzie potrzebne było zaplecze przy realizacji prywatnych zleceń ochrony, do jakich wynajmowano firmę.

Drzwi nie było – została jedynie framuga – a przy jednym z biurek ustawionych przed ścianą monitorów siedział Paul Jahan. Gdy usłyszał, że ktoś się zbliża, oderwał się od klawiatury.

Bradford kiwnął głową na powitanie.

– Hej, Irek – powiedział i podał mu karteczkę. – Tablice Dallas Fire-Rescue. Możesz to sprawdzić?

Jahan wziął fioletowy prostokąt z trzema zanotowanymi cyframi, zerknął na nie, a potem przykleił karteczkę do najbliższego monitora.

– Daj mi chwilę. Zobaczę, co mogę zrobić.

Po jego słowach zapadła cisza. Bradford skierował się do pokrytych diagramami białych tablic po prawej stronie, które zajmowały niemal całą ścianę, tak jak monitory po lewej. Prześledził zmiany w uwagach i

nowe wiadomości od dwuosobowego zespołu w Peszawarze, ale nie mógł się na nich skupić. Jego myśli zaprzętało co innego – wciąż podążał w dwóch kierunkach, w które pchnęło go niewinne pytanie Samantha Walker o tożsamość Munroe.

Pierwszej kwestii nie potrafił rozwiązać, więc skupił się na drugiej. Michael miała w portfelu kartkę z numerem Logana, na wypadek gdyby coś jej się stało. Bez imienia i nazwiska – po prostu Logan. Był dla niej jak brat – pokrewna dusza, towarzysz broni, człowiek z niemal tak samo zawiłą historią jak ona – i strzegł jej tak samo zaciekle jak ona jego.

Bradford zerknął na zegarek. Potem sprawdził telefon. Od upadku Munroe upłynęło najwyżej dziesięć minut. Trochę za wcześnie, żeby zacząć dochodzenie, ale to nie miało znaczenia. Wybrał w komórce prywatny numer, znany niewielu osobom. Ten telefon Logan stale nosił przy sobie i niemal zawsze go odbierał.

Po krótkim dzwonku włączyła się poczta głosowa.

Przerwał połączenie, nie zostawiając wiadomości.

W spisie wyszukał numer Tabithy, starszej siostry Munroe, kciukiem wcisnął klawisz wybierania, ale rozłączył się, zanim usłyszał sygnał. W rodzinie Munroe nikt nie miał pojęcia o jej sekretnym życiu. Chroniła ich i skrzętnie pilnowała, aby nie zostawiać żadnych śladów, które mogłyby do nich prowadzić. Na ten telefon jeszcze było za wcześnie, a wolał nie zapędzać się na grząską ścieżkę wyjaśnień, gdyby Tabitha odebrała. Najpierw musiał obmyślić wiarygodny scenariusz.

– Wygląda na to, że te cyfry to część numeru czynnej jednostki Fire-Rescue – odezwał się Jahan. – Nie jestem w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, mając tylko połowę, ale raczej są legalne.

Bradford odwrócił się plecami do białych tablic.

– Wóz został skradziony?

– Nic na to nie wskazuje, ale możliwe, że jeszcze tego nie zgłoszono.

– A namierzanie z GPS? Da się ustalić, dokąd trafił ambulans... i gdzie był wcześniej?

Jahan okręcił się na krześle, żeby spojrzeć na Bradforda. Obrócił się o kilka cali w prawo, potem w lewo i znowu w prawo, jak ktoś, kto nie może usiedzieć w miejscu.

– Mógłbym spróbować – przyznał i wreszcie znieruchomiał. – Kiedy powiesz nam, o co chodzi?

Bradford westchnął. Podszedł do najbliższego pustego miejsca na białych tablicach, wziął czerwony marker i narysował oś. Na początku napisał: „Michael – straciła przytomność czy została postrzelona?”.

Odwrócił się.

– Na razie to wszystko, co mam.

Jahan otworzył usta, ale minęła pełna sekunda, zanim się odezwał.

– To jakiś żart? – rzucił i natychmiast spytał: – Co widziałeś?

– Za mało.

Palec wskazujący Jahana wycelował w tablicę.

– Ale dość, żeby wysnuć taki wniosek?

Bradford przygarbił się i ponownie zerknął na diagram, który zaczął rozrysowywać.

Komuś, kto znał styl życia Munroe, tyle wystarczyło, ale nie miał nic na potwierdzenie swoich podejrzeń. Dziewięć miesięcy od infiltracji w Argentynie upłynęło w spokoju. Michael zamierzała zostać w Dallas tylko tydzień, ale wciąż odwlekała wyjazd. Początkowo nocowała u niego sporadycznie, potem coraz częściej, aż w końcu ona – osoba, która nie miała własnego domu – zadomowiła się u niego. Podsuwał jej firmowe zlecenia, aby opóźnić nieuchronne rozstanie, ale były to drobne i dość błahe zadania. Najdłuższe wymagało miesięcznego pobytu w Abudży, stolicy Nigerii, i w zasadzie sprowadzało się do niańczenia jednej dorosłej osoby – słowem, nic nadzwyczajnego. W

żaden sposób nie mógł połączyć tamtej roboty z tym, co się właśnie wydarzyło.

Rozległ się trzask interkomu.

– Znalazłam Michael Munroe na oddziale ratunkowym w Medical City – oznajmiła Walker.

Jahan uniósł brwi pytająco, ale Bradford pokręcił głową.

– Za szybko – skwitował.

Jahan niemal niezauważalnie kiwnął głową, raczej na znak, że ufa ocenie Bradforda, a nie że się z nim zgadza. Z wieszaka na klucze Miles wziął jeden komplet i ruszył do wyjścia.

– Pilnuj telefonów, dobrze? Zamknę od frontu. Zabieram Sam ze sobą.

Razem z Walker zjechali windą na poziom podziemnego parkingu i skierowali się do forda explorera, jednego z trzech wozów, które Capstone trzymało tu w pogotowiu. Bradford usiadł za kierownicą. Samantha zajęła miejsce pasażera, zapięła pas i wlepiła wzrok w przednią szybę. Wiedział, że powstrzymuje się od pytań.

Jej milczenie było częścią tego samego tańca uników, który trwał w firmie, odkąd Michael dołączyła do zespołu. Podejrzenia o lepsze traktowanie zepsuły atmosferę. Miles wciągnął Munroe do Capstone, nie robiąc tajemnicy z tego, że z nią sypia. Poza tym już raz rzucił wszystko, żeby ją ubezpieczać. Do momentu zdobycia dowodów Walker i Jahan traktowali ten wypadek do szpitala jako prywatną misję Bradforda, rezultat jego paranoi i nadopiekuńczości, krótko mówiąc – marnowanie środków firmy.

Oddział ratunkowy szpitala Medical City, tak jak większość tego typu miejsc, był jaskrawo oświetlony i robił przygnębiające wrażenie. Poczekalnię wypełniały krzesła. Historyjka o najbliższej rodzinie pozwoliła Bradfordowi i Walker dostać się za szerokie drzwi wahadłowe oddzielające bezsilnych od tych, którym usiłowano pomóc.

W korytarzu uderzył ich zapach środków dezynfekujących. Jaskrawy blask jarzeńówek uwydatniał makabryczność scen, których Bradford wolałby nie oglądać.

Odszukał właściwą salę i wszedł za kotarę przesłaniającą wejście, ale błyskawicznie się wycofał.

Idąca tuż za nim Walker niemal na niego wpadła. Ledwo zdążyła odskoczyć w bok.

– Co jest? – spytała.

Zamiast odpowiedzieć, jeszcze raz sprawdził numer sali, więc obrzuciła go tym samym spojrzeniem co wcześniej i wyminęła.

Wewnątrz znajdowało się tylko jedno łóżko i arsenał sprzętu medycznego. Miejsca było niewiele. Bradford stanął obok Walker, która z zaszępią miną przypatrywała się obcej kobiecie z mnóstwem sińców i szwów, odurzonej środkami znieczulającymi.

– Mam pogadać z pielęgniarkami? – spytała szeptem. – Dowiedzieć się, czy nie doszło do jakiejś pomyłki?

Bradford z powrotem zaciągnął zasłonę i dał Sam znak, żeby pilnowała korytarza. Rzeczy pacjentki leżały przy łóżku. Przeszukał je szybko, obmacał ubranie, sprawdził buty i zajrzał do torebki. W końcu znalazł portfel.

Portfel Munroe.

W rzeczach nie było poza tym nic, co pozwoliłoby ustalić tożsamość kobiety – żadnego notesu, gadżetów ani nawet telefonu. Tylko ten złożony na pół kawałek skóry, który jeszcze tego ranka tkwił w tylnej kieszeni spodni Munroe. Bradford przejrzał zawartość, wyjął kartę identyfikacyjną i obrócił ją do Walker, żeby mogła się jej przyjrzeć. Potem kiwnął głową w stronę drzwi.

Okręciła się na pięcie i wyszła.

Bradford sprawdził jeszcze prawo jazdy i karty kredytowe. Wszystkie były na miejscu. Brakowało tylko numerów kontaktowych

oraz gotówki. Schował portfel do kieszeni i nieznacznie podniósł prześcieradło, żeby zobaczyć, co się kryje pod spodem. Zdawał sobie sprawę, że narusza prywatność tej kobiety, ale musiał potwierdzić swoje podejrzenia. Gdy to zrobił, dyskretnie opuścił salę.

Walker czekała na niego przy fordzie. Stała oparta o maskę, z założonymi rękami. Gdy się zbliżył, oderwała się od wozu.

– Tamta kobieta trafiła tu około dziesiątej dwadzieścia – oznajmiła – a Munroe zabrali dopiero o jedenastej trzydzieści. Coś tu nie gra.

– Nie zapominaj, że Michael przysłała do firmy tuż po dziesiątej – stwierdził. – Wszystko się zgadza, jeśli czekali, aż ona się zjawi, i mieli już pewność, że ją zgarną.

– To znaczy, że musieli obserwować twój dom – zauważyła Walker.

– Nie wykluczam tego.

Otworzył drzwi i wsiadł za kierownicę. W głowie kłębiła mu się setka pytań i wszystkie po kolei wypierało poczucie winy. Nigdy by nie dopadli Munroe, gdyby nie była w Dallas, a została tu ze względu na niego.

Rozdział 2

Samantha Walker była niewysoką brunetką z okazałym biustem, szerokim uśmiechem i naturalną opalenizną. Bywalcy barów brali ją za taką, którą można bezkarnie obłapiać i nazywać „lalunią”, ale gdy tylko złamała któremuś nos, zaraz padało słowo „suka”.

Wychowała się na wojskowym osiedlu. Jedyńca, córka snajpera amerykańskiej piechoty morskiej i brazylijskiej tancerki egzotycznej, miała podwójne obywatelstwo. Jako dwudziestosześcioletka była najmłodszym członkiem dziewięcioosobowego zespołu Bradforda i jedyną kobietą – jeśli nie liczyć Munroe, która dołączyła do nich tylko na jakiś czas.

Niektórzy mogli pomyśleć, że Walker dostała pracę z litości – bo wypadało wprowadzić jakąś kobietę do świata mężczyzn, aby spełnić cywilne normy zatrudnienia – albo że przyjęto ją tylko ze względu na urodę, zwłaszcza kiedy widzieli ją za biurkiem recepcji. Tak jednak mylić się mogli tylko ci, którzy nie znali jej i Bradforda. Praca w Capstone często wiązała się z ogromnym ryzykiem. Nie było tu miejsca na egoizm, seksizm ani rasizm. Jeśli człowiek nadawał się do roboty, to ją dostawał i już. Takie panowały między nimi zwyczaje i dzięki temu w zespole panowała zgoda. Zresztą Bradford zaliczał Walker do swoich najlepszych ludzi – dlatego właśnie ją zabrał ze sobą do szpitala.

Teraz siedziała w wozie z zamkniętymi oczami i kciukiem przyciśniętym do nasady nosa, robiąc to, co zwykle: przypominając sobie wszystko, cofając się w myślach, utrwalając szczegóły, które w tej chwili niewiele znaczyły, ale później mogły się okazać ważne. Bradford wyjechał z parkingu. Z futerału przy pasku wyciągnął komórkę i wybrał numer Logana. Ponownie połączył się z pocztą głosową.

W zwykły dzień brak odpowiedzi uznałby za przypadek, który można czymś wytłumaczyć, ale dziś milczenie Logana zwiastowało kolejne komplikacje. Cisnął aparat na deskę rozdzielczą i szarpnął

kierownicę w lewo, skręcając gwałtownie. Przeciął dwa pasy i wykonał zwrot o 180 stopni. Kobieta w czerwonej maździe wcisnęła klakson. Mężczyzna za nią miał mniej skrupułów i pokazał Milesowi środkowy palec.

Walker złapała się uchwytu w drzwiach.

– Dokąd jedziemy? – spytała przez zaciśnięte zęby.

Bradford po nawrocie wdepnął pedał gazu. Explorer szarpnął się w przód na tyle szybko, że nikt nie wjechał mu w bagażnik.

– Logan nie odbiera komórki – oznajmił.

Walker nie do końca rozumiała, jakie to ma znaczenie, ale wiedziała dość, aby nie zadawać zbędnych pytań.

– Po co ten cały sobowtór w szpitalu? I dlaczego podrzucili tam portfel? – zaczęła się zastanawiać na głos, gdy znowu trafili w strumień samochodów.

Bradford oderwał oczy od drogi i przyjrzał się Samancie. Zatrzymał na niej wzrok o sekundę za długo. W końcu znowu spojrzął przed siebie i mruknął coś w odpowiedzi. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Munroe i po raz drugi pognał w niewłaściwym kierunku. Nie dostrzegał labiryntu, dopóki Walker nie zmusiła go do tego swoim pytaniem.

– Wiedzieli, że będziemy jej szukać – odpowiedziała sobie sama – i chcieli odwrócić naszą uwagę. Nie na długo, bo przecież zdawali sobie sprawę, że jak tylko dotrzemy do szpitala, podstęp wyjdzie na jaw. – Na moment umilkła. – Prosiłeś Irka, żeby sprawdził numery?

– Aha.

– I co?

– To legalna rejestracja Dallas Fire-Rescue – odparł Bradford. – Nikt nie zgłosił kradzieży.

– Ale instynkt ci podpowiada, że ratownicy nie byli prawdziwi?

Instynkt podpowiadał mu wiele rzeczy, jednak wolał nie mówić o nich na głos.

– W tym momencie mogę jedynie spekulować.

Samantha przez chwilę milczała.

– Jeśli to naprawdę byli ratownicy, w końcu ją znajdziemy. Dlatego na razie założmy, że nimi nie byli i że Irek się nie pomylił. Skąd wzięli ambulans? Nie można przecież tak po prostu zgarnąć go z ulicy, bo ktoś by się zorientował i podniósł alarm, który by nam nie umknął.

– Na ich miejscu wziąłbym jednostkę z serwisu. Miasto musi gdzieś takie trzymać.

– No to mamy trop.

Bradford sięgnął po telefon i rzucił go Walker.

– Powiedz Irkowi, żeby się tym zajął – poleciał i skręcił w prawie pustą drogę do dzielnicy przemysłowej.

Po obu stronach ulicy wznosiły się niskie sześciiany budynków. Kolejne firmy oddzielone były od siebie wąskimi oknami i zatoczkami rozładunkowymi. Nad jedną z nich widniały metaliczne litery składające się na napis LOGAN'S. Bradford właśnie tam się zatrzymał.

Parking był pusty, a w budynku panowała cisza. Wyglądał wręcz na opuszczony. Betonowe stopnie pod daszkiem prowadziły do niemal w całości przeszklonych drzwi. Za nimi nie paliła się żadna lampa, a w świetle dziennym szklana tafla dawała efekt lustra. Zapadka zamka zatrzymała się na framudze, tak jakby ktoś wychodził w pośpiechu i nie zauważył, że pękła sprężyna.

Bradford wyciągnął broń z kabury pod pachą i butem pchnął drzwi. Walker również dobyła broni i weszła do środka w ślad za nim.

Pusty korytarz biegł prosto piętnaście metrów. W jego końcu były drzwi do magazynu, a po obu stronach znajdowały się cztery pomieszczenia, w których mieściło się całe biuro – dwa od frontu służyły za miejsce pracy, a dwa na tyłach Logan zamienił w kuchnię i sypialnię. Jedyne światło sączyło się do środka przez frontowe drzwi.

Wewnątrz panowała cisza. Podłoga zasypana była rozbitym szkłem z dużej ramy, w którą oprawiono plakat. Wcześniej wisiała na ścianie, teraz, w kawałkach, stała pod nią. Bradford ominął szklane odłamki i po kolei zajrzał do każdego pomieszczenia, aby upewnić się, czy są puste.

Najwięcej śladów walki znalazł w kuchni. Stół był połamany, a wokół walały się potłuczone naczynia. Na kuchennych blatach i podłodze widniały strużki zaschniętej krwi. Odszukał wyłącznik i wcisnął go łokciem, uzupełniając scenografię o jaskrawe światło. Gdy ogarnął wszystko wzrokiem, wycofał się i kiwnął na Walker, żeby też się rozejrzała.

Zatrzymała się na granicy chaosu i po chwili odszukała jego wzrok. Bradford zostawił ją i ruszył dalej, w stronę drzwi do magazynu i toalet, choć wiedział, że niczego tam nie znajdzie. Sprawca zjawił się tu po Logana, zastał go w kuchni, zgarnął i odjechał.

Magazyn był dwa razy szerszy od biura. Mieścił maszyny, narzędzia oraz części. Bradford zatrzymał się pośrodku ogromnego pomieszczenia i wsłuchał w ciche buczenie elektryczności, która niewidocznymi przewodami płynęła do potężnych lamp. Bez słowa schował broń do kabury i powoli obrócił się wokół własnej osi, próbując poskładać wszystkie fakty w całość.

Wydarzenia tego dnia miały ze sobą zbyt wiele wspólnego, aby uznać je za zbieg okoliczności. Ktoś był naprawdę dobrze poinformowany, a to oznaczało, że nie chodzi o świeżą sprawę. Wspólna historia Munroe i Logana spinała wszystkie elementy – chodziło o coś z ich przeszłości, o kogoś, kto doskonale wiedział, dokąd ma iść i kogo zabrać. Tylko dlaczego akurat dziś? Wspomnienia wydarzeń w Argentynie nie dawały Bradfordowi spokoju.

Minął Walker, która stała w drzwiach.

W sypialni Logana przekopał się przez komody i szuflady, sprawdził ściany i wszystkie powierzchnie, robiąc jeszcze większy bałagan niż ci,

którzy byli tu przed nim. Szukał zdjęć, rysunków, osobistych przedmiotów, czegokolwiek, co mogło prowadzić od Logana do Hanny, jego córki, dla której Munroe podjęła się infiltracji sekty w Buenos Aires.

Nic nie znalazł. Tak jak Michael, Logan bardzo uważał, aby nie zostawić żadnego tropu prowadzącego do bliskich mu osób. Bradford na moment poczuł ulgę, ale zaraz zagłuszyła ją nowa fala czarnych scenariuszy. Pogrążony w myślach, dopiero po chwili podniósł głowę i zobaczył, że Walker przygląda mu się uważnie. Wyprostował się, ignorując jej niemy wyrzut. W jej oczach mogło to tak wyglądać, ale naprawdę nie zachowywał się jak mężczyzna, który był świadkiem porwania swojej partnerki. Walker nie znała przeszłości Munroe. Nie rozumiała, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Logan. Skoro nie widziała, nie doświadczyła – nie przetrwała – tego co Bradford, nie mogła pojąć, skąd się brał jego lęk.

Vanessa Michael Munroe była zabójczynią obdarzoną naturalnymi instynktami drapieżnika. Dawała sobie radę w każdych okolicznościach. Jego przerażenie – wręcz trwogę – budziła świadomość tego, co mogłaby zrobić doprowadzona do ostateczności. Widział, jakie potrafił zniszczenie. Na własnej skórze doświadczył tego, jak mrok wypacza jej umysł. Jeśli ten, kto ją porwał, miał także Logana...

Bradford pozwolił niedokończonej myśli zgasnąć i odciął się od ponurych miejsc, do których wiodła. Przez chwilę stał nieruchomo, analizując sytuację.

– Monitoring – wyszeptał w końcu.

Walker zadarła głowę i rozejrzała się wkoło.

– Światłowody – wyjaśnił.

Cały system znaleźli w kuchennej szafie. Miniaturowe wentylatory wciąż jeszcze wirowały, a obudowa nosiła ślady pospiesznego majstrowania.

Tacka nagrywarki była pusta.

Bradford zajrzał za sprzęt. Kępy kabli wychodziły z urządzeń i znikwały w ścianie. Zaparł się o boki szafy i podciągnął do miejsca, gdzie widniały nikłe ślady wycięcia. Pchnął panel i część sufitu odsunęła się na specjalnych prowadnicach. Przestrzeń nad kuchnią była czysta. Na belkach sufitowych ułożono deski, a ciągi ogrzewania i wentylacji przekierowano tak, aby obsługiwały również ten niewielki stryszek – zupełne przeciwieństwo zwykłych schowków, do których rzadko się zagląda. Niecałe pół metra od otworu znajdowały się dwa serwery, a obok niewielki stojak z płytami DVD w obwolutach. Bradford wcisnął przycisk otwierający tackę nagrywarki, wyjął nieopisaną płytę, wsunął ją w pustą obwolutę i rzucił do Walker.

Z kuchni przeszli z powrotem do pomieszczeń od frontu. Biurowe komputery zniszczono, a twarde dyski zabrano. Zaczęli szukać rejestrów, kalendarzy, notatek – czegoś, co by ich naprowadziło na trop ostatniego gościa Logana. Niestety, jeśli w ogóle istniały jakieś zapiski, prawdopodobnie zostały wyrzucone razem ze śmieciami.

W milczeniu wrócili do wozu. Po drodze zatrzymali się przy pierwszej budce telefonicznej i Miles powiadomił policję o włamaniu, nie podając nazwiska.

– Co ich łączy? – spytała go Walker, kiedy wrócił. – Munroe i Logana?

Bradford patrzył na drogę. Nie odpowiadał. Brakowało mu słów, aby opisać plątaninę fragmentów przeszłości i tego, co podpowiadało mu doświadczenie. Mroczne ścieżki, jakimi poruszała się Munroe, wiodły na grzędzawiska, w które właśnie mieli się zapaść.

Walker westchnęła i spojrzała przez boczną szybę.

– Wiesz znacznie więcej ode mnie i nie zdołam ci pomóc, jeśli będziesz odgrywał rolę kochanka w żałobie – powiedziała.

Bradford zerknął na nią ukradkiem.

- Tym, którzy to zrobili, zależało na Munroe. Logana zgarnęli na wszelki wypadek, jako zakładnika – stwierdził i na moment umilkł. – Istnieje też inna możliwość – dodał. – Zabrali go z zemsty. Chcą, żeby Michael parzyła na jego śmierć, zanim ją także zabiją. Więcej opcji nie widzę.

W samochodzie zapadło ciężkie milczenie.

- Rany – westchnęła w końcu Walker.

- To tylko moje domysły, ale koniecznie chciałaś wiedzieć.

Obróciła się na fotelu, tak że teraz siedziała przodem do niego.

- Jednego nie rozumiem – przyznała. – Logan jest zawodowym kierowcą. Bierze udział w wyścigach motocyklowych. Po co mu tak okablowane lokum?

- Bo oprócz wyścigów i serwisu silników motocyklowych prowadzi firmę zaopatrzeniową, niemającą nic wspólnego z warsztatem. Logan to gość, który potrafi wszystko załatwić. Jeśli potrzebujesz na przykład jakiegoś sprzętu, którego używa armia i trudno go zdobyć, on się tym zajmie.

- I nie ma systemu alarmowego?

- Niczego, co ściągnęłoby do niego przedstawiciele prawa.

- Ale i tak nie wierzysz, że to, co się dziś stało, ma związek z nim i jego – Walker nakreśliła w powietrzu znaki cudzysłowu – biznesem zaopatrzeniowym?

Bradford na moment oderwał wzrok od drogi i zerknął na nią. Munroe została zgarnięta „na czysto”, a siedziba Logana była zdemolowana i pokryta śladami krwi. Nawet ktoś, kto nie znał ich wspólnej przeszłości, mógł wysnuć logiczne wnioski.

Zjechali z drogi szybkiego ruchu i zatrzymali się na światłach. Dopiero teraz odpowiedział:

- Niewykluczone, że ma to jakiś związek z jego interesami, ale z całą pewnością chodzi o Munroe.

– Skąd wiesz? Kolejne przeczucie?

– Przestań na mnie warczeć. Przecież wiem, że ty także to dostrzegasz. Ten, kto to zrobił, porwał Michael w publicznym miejscu, w biały dzień. Włożył sporo wysiłku w to, żeby nas zmylić. Nie mamy do czynienia z amatorem, więc możemy z góry założyć, że gdyby zależało mu na śmierci Munroe, Logan byłby tu teraz z nami i ją opłakiwał, a tymczasem on także zniknął. Zabrali go tylko po to, aby móc ją kontrolować.

– Niezła teoria. Tylko dlaczego akurat jego? Przyjaźnią się, rozumiem, ale skoro potrzebowali zakładnika, dlaczego nie wzięli ciebie? Albo mnie lub jakiegoś dzieciaka z ulicy?

Bradford zwlekał z odpowiedzią. Jak miał wytłumaczyć, kim dla Munroe był Logan?

– Logan jako zakładnik jest dla nich najlepszą bronią – odparł w końcu. – Z Munroe łączy go więź silniejsza od więzów krwi.

– I ktoś o tym wie?

Bradford przytaknął. Ktoś wiedział. Tylko nie miał bladego pojęcia kto.

Rozdział 3

Jahan odwrócił się od monitorów i przez szklane ściany patrzył na nich, kiwając się na krześle, dopóki Miles nie wszedł do centrum operacyjnego.

– Udało mi się ustalić numery VIN ambulansu – poinformował, zanim Bradford zdążył się odezwać. – Znalazłem też adres punktu serwisowego i teraz próbuję jakoś to powiązać z rejestrami Dallas Fire-Rescue i danymi z GPS. To nam powie, skąd zabrano wóz i jaką zrobił trasę... Co z Loganem? – spytał po krótkim wahaniu.

– Zniknął. – Bradford pokręcił głową.

Walker podała Jahanowi płytę.

– Nie wiem, czy jest aktualna. Wyciągnęliśmy ją z backupu monitoringu.

Jahan przez chwilę przyglądał się dyskowi, a potem odwrócił się do komputera i wsunął płytę w odtwarzacz DVD.

Bradford i Walker nachylili się nad nim.

Czując na plecach ich oddechy, oparł ręce o biurko i odepchnął się z krzesłem do tyłu.

– Bardzo was proszę... – powiedział.

Oboje się wyprostowali i cofnęli o krok. Jahan machnięciem ręki dał im do zrozumienia, że potrzebuje więcej przestrzeni.

– Zajmijcie się swoją robotą i pozwólcie mi pracować – oznajmił.

Kiedy żadne się nie ruszyło, usiadł wygodniej, wyciągnął nogi przed siebie i zadarł głowę.

– Czasu mam mnóstwo.

Walker zerknęła na Bradforda. Nie odezwał się, więc cofnęła się jeszcze o krok, a potem ruszyła na korytarz. Tuż za progiem zatrzymała się i wsunęła głowę z powrotem do centrum.

– Lepiej daj mi znać, kiedy się czegoś dowiesz, Irek... bo jak nie, to przysięgam, że znajdę sposób, aby ci uprzykrzyć resztę chrzanionego

życia.

Pół minuty później dobiegło ich kliknięcie ruchomego segmentu ściany.

Jahan zrobił z dłoni dziób i poruszył palcami w geście oznaczającym paplanie.

– Gada, jakby mi nie ufała! – mruknął pod nosem.

Drugi ciekawski nie ruszył się z miejsca, więc Jahan obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Muszę to zobaczyć – uparł się Bradford.

– Wcale nie musisz. Myślisz, że dzięki temu lepiej się poczujesz, bo będziesz miał wrażenie, że coś robisz, że jesteś na bieżąco i w ogóle. Ale jak będziesz tu sterczał i sapał mi prosto w ucho, czekając, aż uda mi się coś z tego wyciągnąć, to w końcu puszczą ci nerwy... i mi też. Przy diagramach są nowe informacje. Poza tym masz na głowie całą firmę. – Jahan wskazał białe tablice po drugiej stronie pomieszczenia. – Do roboty.

Bradford westchnął. Odwrócił się od monitora i od tego, co – wbrew rozsądkowi – miał nadzieję tam zobaczyć.

Nadzieja. Wybór bezradnych. On żył w świecie działania. Polegał na sprycie i sam kreował własne szczęście, dzięki któremu jeszcze nie zginął. Mimo to w chwili słabości stał się żebrakiem, który z *nadzieją* czeka na jałmużnę.

Ustąpił ze względu na przyjaźń, która łączyła go z Paulem od dawna. Prywatnie wciąż zwracali się do siebie ksywami, które przyłgnęły do nich w cięższych czasach.

Z wywiadu wojskowego Jahan trafił prosto do stadka najemników Bradforda. Miał trzydzieści siedem lat. Jego rodzina od dwóch pokoleń mieszkała w Stanach. Z krewnymi w Mumbaju utrzymywał luźne kontakty. W ciągu ostatnich ośmiu lat często zabezpieczał interesy prywatnych klientów w krajach Bliskiego Wschodu. Mógł z równym

powodzeniem uchodzić – przynajmniej z wyglądu – za Pakistańczyka, Saudyjczyka, Persa lub Syryjczyka, jak za Hindusa. Czasem brano go też za Meksykanina albo Kolumbijczyka, w zależności od uprzedzeń rozmówcy – a tych nigdy nie brakowało.

Jahan posiadał niezwykłą umiejętność wyciągania ludzkich uprzedzeń na pierwszy plan, a ponieważ trudno było przegadać przemądrzalca, który uwielbiał kpiny i miał IQ na poziomie 152, słowami często prowokował ciosy. Król uników i szyderstw, wyśmiewał i drwił, twierdząc, że irytowanie ludzi i wyciąganie z nich nietolerancji jest najlepszą darmową rozrywką. Dlatego w Capstone od razu przyłgnęła do niego sympatyczna ksywka Irek.

Bradford stanął przed białymi tablicami i wykresem, który zaczął rysować rano, gdy świeżo w pamięci miał obraz Munroe przewracającej się z motocyklem na asfalt. Wtedy jeszcze nie miał poczucia, że nad głową zamyka mu się bagno, odcinając dostęp powietrza.

Starł poprzednie notatki i zastąpił je jednym słowem: Michael. Potem mechanicznie zaczął dopisywać to, co dotychczas ustalił. Sprawcy – kimkolwiek byli – wiedzieli, że Michael jest w kraju i jak ją znaleźć. Mieli świadomość, że jest kobietą, kim jest dla niej Logan, gdzie go szukać, a nawet, że w jego lokum są kamery. Przytłoczony ciężarem pytań, na które nie potrafił odpowiedzieć, odruchowo powędrował wzrokiem na inną tablicę, na której Jahan uzupełnił informacje od teamu w Peszawarze. W tej robocie sam rachunek za telefony satelitarne mógł go zrujnować.

Siedmiu członków podstawowego zespołu przebywało w tej chwili za granicą – dwóch w Pakistanie, czterech w Afganistanie i jeden w Sri Lance. Tylko on, jako szef i właściciel, mógł dowolnie ustalać swój grafik. Reszta dostawała zagraniczne misje na przemian z lokalnymi operacjami, w zależności od doświadczenia i dyspozycyjności.

W kraju było łatwiej, ale większa kasa wymagała większego ryzyka. Robota, która częściej oznaczała ohydne nory i prymitywne warunki niż gorącą wodę i czystą pościel, wymagała specyficznej mentalności. Wyjazdy negatywnie odbijały się na związkach tych szczęściarzy, którzy kogoś mieli. Czasem Bradford miał wrażenie, że prowadzenie tego biznesu polega w dużej mierze na odsiewaniu szaleńców.

Przez Capstone przewijały się dziesiątki pracowników, zwykli szeregowcy pojawiali się i znikali, ale podstawowa dziewiątka – dziesiątka, jeśli liczyć Munroe – tak jak w kancelarii prawniczej, miała szczególne uprawnienia. Bradford uważał ich za swoich ludzi, sprawdzonych i niezawodnych. Wiedział, że takich jak oni trudno by ze świecą szukać w cywilizowanych i niecywilizowanych kręgach. Każdy trzymał się firmy z innych powodów, ale jedno ich łączyło: byli dobrzy w tym, co robili. Niekompetentni nie żyli długo.

Niewiele ujęć zarejestrowanych przez kamery mogło im się do czegoś przydać, jednak z innych powodów, niż Bradford sądził. Intruzi zabrali główną płytę, ale i tak postarali się, aby nie dało się ich rozpoznać. Było ich trzech. Lider otworzył drzwi kluczem. Dwaj pozostali weszli za nim, trzymając kije baseballowe w pogotowiu. Daszki czapek zasłaniały ich twarze, a poza tym cały czas mieli spuszczone głowy. Walka rozegrała się w kuchni, poza zasięgiem kamer, i trwała koszmarne cztery minuty.

Trzech na jednego. Cztery minuty.

Kiedy wreszcie wyciągnęli Logana na korytarz, jego prawa noga wyglądała na złamaną. Był ranny i krwawił, ale oprawcy wyglądali niewiele lepiej. Wciąż się nie poddawał, wciąż walczył. Stawiał opór, choć napastnicy tłukli go przez całą drogę do frontowych drzwi. Ostatnie obrazy kamera zarejestrowała o 10.13. Kilka minut później Munroe zjawiała się w Capstone.

Centrum dowodzenia Capstone na moment otoczył kokon podszytej zdumieniem ciszy, a potem, jak na znak, Bradford puścił wiązanę wyzwisk, a Walker zaklęła w brazylijskiej odmianie portugalskiego. Tylko Jahan siedział w milczeniu, stukając palcami w blat biurka.

– Zgarnęli Munroe, żeby dobrać się do Logana, czy zgarnęli Logana, żeby dobrać się do Munroe? – spytał wreszcie.

Mniej więcej o to samo pytała Walker w samochodzie. Bradford nie miał ochoty jeszcze raz tego wyjaśniać.

– Zaczynj szukać informacji – polecił Jahanowi. – Wybadaj, czy Logan ma jakieś długi i czy w grę nie wchodzi żadne zazdrosne kochanki. Zakładam jednak, że jest czysty. Ma zbyt wiele do stracenia. Za bardzo zależy mu na życiu i odbudowaniu więzi z córką.

– Tylko że... – zaczął Jahan, ale Bradford mu przerwał.

– Celem była Michael. Logan to zabezpieczenie – oznajmił.

– Zabezpieczenie czego?

Bradford zamknął oczy. Przycisnął dłoń do czoła. Kolejna runda tych samych informacji.

– Ich życia. Wolą się asekurować. Dopiero co uprowadzili Munroe... Munroe – powtórzył i dla efektu zrobił pauzę. – Zakładam, że jeszcze jest pod wpływem środków odurzających, ale co będzie, kiedy odzyska przytomność? Logan jest dla niej jak klatka, jak elektryczna obroża, jak kajdany... – Urwał. Tłumaczenie tego nie miało sensu. Niepotrzebnie tracił czas.

Kątem oka zauważył, że Walker ucisza Jahana. Później zamierzała mu wszystko wyjaśnić. Sami mogli potem roztrząsać wątpliwości i snuć teorie. W tej chwili motyw nie miał aż takiego znaczenia. Musieli działać szybko w oparciu o bardzo skąpe informacje.

Bradford jeszcze chwilę zwlekał, spodziewając się sprzeciwu, ale oboje milczeli.

– Poza nami i resztą zespołu, kto jeszcze mógł wiedzieć, jak ważny jest dla niej Logan? – odezwał się w końcu.

Walker pokręciła głową. Jahan podniósł ręce w geście, który oznaczał, że nie ma pojęcia.

– Raczej niewiele osób – podjął Bradford – i przynajmniej to jedno działa na naszą korzyść... zawęży pole poszukiwań.

Jahan podszedł do białej tablicy i zaczął uzupełniać zapiski Bradforda. Po chwili odwrócił się do pozostałych.

– Jakie są cele?

– Znaleźć Michaela, znaleźć Logana – powiedział Bradford i odwrócił się z powrotem do monitora, na którym widniał zamrożony kadr nagrania: trzech intruzów. Dwaj byli pochyleni, ale ich lider podniósł głowę na tyle, że obiektyw złapał go z profilu. Jego postawa zdradzała bezczelność młokosa. Czas i doświadczenie jeszcze nie przytępiły arogancji. – Ten skurwysyn wie, gdzie jest kamera... spójrzcie na jego uśmiezek.

Walker podeszła do Bradforda i pochyliła się w kierunku ekranu, uważnie studiując stop-klatkę.

– Może niepotrzebnie zakładamy, że to spece – zauważył Jahan. – Może są tylko nieudolnymi idiotami, którzy działają bez konkretnego planu, improwizują.

Bradford i Walker spojrzeli na niego znacząco.

– No dobra, może nie – przyznał. – Ale skoro wreszcie mnie słuchacie, mam pytanie. Nie chcę wyjść na gbura ani zmieniać tematu, jednak teraz, kiedy Munroe zniknęła, a my angażujemy wszystkie środki firmy w odnalezienie jej, co mam zrobić ze zleceniem Tisdale'ów?

Bradford znieruchomiał. Powoli zamknął i otworzył oczy, tak jakby mrugał w zwolnionym tempie, a potem obrócił się w stronę swojego pokoju, gdzie – choć nie mógł tego widzieć – na biurku leżała

dokumentacja sprawy Tisdale'ów, z umową, pod którą Munroe tego ranka złożyła podpis. Wystarczyło tylko przefaksować dokumenty. Tisdale'owie. Właśnie dlatego przyszła dziś do firmy.

Tym razem nie chodziło o zapewnienie ochrony ani inne zadanie z rodzaju tych, które Bradford podsuwał Munroe, żeby miała powód zostać z nim dłużej. To było zupełnie inne zlecenie – prośba o pomoc Michael, choć oczywiście nie wymieniono jej konkretnie – które nie trafiło do Capstone zwykłymi kanałami.

Dwoje oszalałych z rozpaczy rodziców z Kalifornii zwróciło się bezpośrednio do Bradforda, w nadziei, że pomoże im dotrzeć do Munroe. Wprawdzie nie znali jej z nazwiska, ale każdy, kto coś znaczył w elitach społecznych, słyszał o Emily Burbank, którą przez cztery lata uważano za zaginioną, podejrzewając, że nie żyje. To Munroe odnalazła ją w Afryce. Bradford utrzymywał kontakty z radą nadzorczą firmy, która finansowała poszukiwania. Henry i Judith Tisdale'owie – potentat z Doliny Krzemowej i członkini Senatu Stanów Zjednoczonych – wpływowi promineri świata biznesu i polityki, nie potrzebowali wiele czasu, aby namierzyć jego firmę.

Neeva Eckridge.

Zaginiona.

Czy Munroe może ją odnaleźć?

Bradford niczego nie obiecywał, nie zdradził nawet, że wie, *jak* skontaktować się z Munroe. Powiedział tylko, że zobaczy, co się da zrobić. A teraz Michael także zniknęła. Jeśli porwanie Eckridge było podstępem, rozegrano to po mistrzowsku, bo dziewczyny szukał już cały świat – na razie bez rezultatów.

Jeszcze dwa tygodnie temu Neeva Eckridge była średnio popularną gwiazdką Hollywood, a teraz jej twarz należała do najbardziej rozpoznawalnych w Ameryce. Miała napięty plan spotkań i zawodowych projektów, a zniknęła w jedynej wolnej w kalendarzu

godzinie. Nikt nie miał pojęcia, co się z nią stało. Żadnych śladów przestępstwa, żadnych świadków, żadnych informacji – jakby zapadła się pod ziemię.

Początkowo traktowano to jako sensacyjną plotkę, ale wkrótce w mediach zawrzało, bo do momentu zaginięcia Neevy Eckridge nikt – ani jej agentka, ani chłopak, ani nawet hollywoodzcy przyjaciele – nie miał pojęcia, że jej rodzicami są Tisdale'owie. Zaczęto spekulować, co w życiorysie Neevy było prawdą, a co zostało sfabrykowane. Temat budził takie samo zainteresowanie, jak domysły, co się z nią stało. Pojawiały się różne teorie, doszukiwano się sensacji, stawiano koszarne hipotezy, a nawet rozgłaszano, że została uprowadzona przez kosmitów. Zdjęcia Neevy i jej rodziców były dosłownie wszędzie.

Bradford długo spoglądał w stronę biura, gdzie czekały dokumenty. Munroe chciała się podjąć tego zlecenia, wręcz się do niego paliła. Jeśli rzeczywiście była największą nadzieją Tisdale'ów na odnalezienie córki, to biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, sprawę należało uznać za przegraną.

Walker podeszła do niego. Sięgała mu ledwie do ramienia. Kiedy wreszcie wyprostował przygarbione ramiona i wszystko wskazywało na to, że wrócił do teraźniejszości, spytała:

– Myślisz, że te sprawy mają ze sobą jakiś związek?

– Na razie żadnego nie widzę – odparł. – Ale trudno mi uwierzyć, że taki splot okoliczności jest przypadkowy.

– Wiemy, że Michael została porwana – powiedziała – i że Logana wzięto jako zakładnika. A to wszystko może być powiązane z Neewą Eckridge, która także zniknęła bez świadków. Jaka nić łączy te zdarzenia?

– Sam chciałbym wiedzieć – przyznał. – Mając tę informację, szybciej dopadłbym drania, który za tym stoi. – Odwrócił się do Walker,

a ona lekko zadarła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. – I tak go znajdę –
oznajmił. – Znajdę i zniszczę.

Rozdział 4

Wysokość przelotowa 29 tysięcy stóp, przestrzeń powietrzna USA
Nad wybrzeżem Zatoki Meksykańskiej

Valon Lumani spojrział na kobietę leżącą w poprzek podwójnego siedzenia. Wydawała się taka potulna i spokojna. Przyjrzał się jej twarzy, prześledził kontury smukłego ciała i tak jak za pierwszym razem, gdy ją zobaczył, skrzywił się kpiąco.

Bo była kobietą. I to miało być rozwiązanie, które załatwił w imieniu wuja, poświęcając temu aż tyle wysiłku.

Rozumiał, że potrzebny jest fachowiec i dlaczego powinna to być obca osoba, ale nie pojmował, po co aż tyle kasy i energii poszło na zdobycie właśnie jej, nawet jeśli bzdury, które słyszał, były prawdą – a najwyżej połowa wydawała się w ogóle realna.

Z bliska budziła jeszcze mniejsze obawy, niż gdy obserwował ją z dużej odległości – ubraną w czarny strój, na czarnym motocyklu. Na wszelki wypadek zaaplikował jej solidną dawkę, obliczoną dla osoby o jej wzroście i przybliżonej masie ciała. W razie konieczności mógł podać kolejną, żeby bez przeszkód dowieźć ją tam, gdzie będą bezpieczni. Ale reszta? Tyle zasad i całe to gadanie? Kupa gadania. Ha! Bezsensowne głupoty.

Nie mów przy niej w swoim ojczystym języku – ostrzegła go dobrze poinformowana osoba – bo wykorzysta to przeciwko tobie. Pilnuj, żeby wokół nie było żadnych przedmiotów, wszystko może zostać użyte jako broń. Trzymaj się od niej z daleka, potrafi cię zabić gołymi rękami. Nie wiąż jej, znajdzie sposób, żeby się wyswobodzić, a tobie więzy dadzą fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Nie dotykaj jej. Zostaw ją w spokoju i traktuj z szacunkiem, to jedyny sposób, żeby nie obudzić w niej przemocy. Jeżeli złamiesz te zasady, możesz mieć pewność, że cię zabije.

Lumani uśmiechnął się i wyciągnął przed siebie rękę, jakby trzymał rewolwer. Przyłożył palec-lufę do jej czoła i pociągnął za

wyimaginowany spust.

Paf!

Przecież była taka sama jak każdy towar. Wymienialna. Poklepał ją po twarzy jak psa po mordzie, jak gdyby chciał powiedzieć: Śpij sobie, bestyjko, dopóki nie będziesz potrzebna. Potem wstał i przeszedł do przedniej części kabiny, gdzie czekała już na niego pełna szklanka.

Dziś nie pił alkoholu. Do momentu doręczenia zadanie nie było skończone. Poza tym gdyby zaczął pić, nie mógłby przestać, dopóki trwał w nim wewnętrzny karnawał. Ale już wkrótce miał przyjść czas na świętowanie sukcesu.

Upił łyk gazowanego napoju i zerknął na zegarek. Lecieli w stronę słońca. Siedem stref czasowych na wschód, odrzutowcem Gulfstream G550. Za taką prędkość i zasięg trzeba było słono zapłacić i cena polowania na tę jedną kobietę wzrosła do poziomu kosztów wypadu po ekskluzywny towar, a może nawet je przekroczyła.

Nie miał pojęcia, czy ona okaże się tego warta. Był tylko prawą ręką wuja, wykonawcą jego woli. Wuj nakazał ją zdobyć, więc Lumani stanął na wysokości zadania. Może perfekcyjnym wykonaniem planu miał szansę zasłużyć sobie na uśmiech i słowa „Dobra robota”, a nawet na coś więcej, bo rozwiązanie problemu miało przynieść im taki zysk, że z miejsca mogliby wynająć ten odrzutowiec na lata, gdyby wujowi przyszła na to ochota – choć pewnie by tego nie zrobił. Tylko idioci biorą sobie zabawki, które przyciągają taką uwagę.

Ponownie zerknął na zegarek.

Po opuszczeniu amerykańskiej przestrzeni powietrznej zamierzał zawiadomić pilotów o zmianie planów. Najpierw międzylądowanie na Dominikanie, żeby uzupełnić zapas paliwa, a potem skok na Teneryfę, gdzie Lumani miał przyjaciół i mógł wyczarterować coś mniejszego, za bardziej przystępną cenę – jakiś europejski samolot, który mniej rzuca się w oczy.

Tak naprawdę nie miał powodów do obaw. W Stanach zadbał o to, żeby opóźnić ewentualny pościg, a w międzynarodowej przestrzeni powietrznej równie dobrze mogli się stać niewidzialni. Zamiana na Wyspach Kanaryjskich była ostatnim środkiem ostrożności, na wypadek gdyby pilotom po powrocie przyszła ochota na gadanie. Komuś mogło bardzo zależeć na odnalezieniu tej kobiety, a Lumani wolał nie ułatwiać mu zadania.

Rozdział 5

Dallas, Teksas

Opierając dłonie o szybę, Miles Bradford stał dokładnie w tym samym miejscu, z którego widział upadek Munroe. Przeniósł wzrok z budynku, przed którym leżała, na okoliczne wieżowce, a potem na drugą stronę drogi Dallas North, w górę pierwszego wysokiego biurowca, potem drugiego i następnego, tworząc w myślach mapę przestrzenną. Szukał punktów, z których strzelec miał najlepszą możliwość trafienia.

Strach zniknął – zduszony, wypchnięty, zastąpiony emocjonalnym dystansem, który pomagał przetrwać w boju. Świadomie wyparł panikę. Musiał odciąć się od cierpienia, jakie czuje człowiek, który podtrzymuje umierającego towarzysza do ostatniego tchu. Tylko tak mógł się nie poddać i przeżyć.

To była wojna, w której walka toczyła się dosłownie za progiem. Miejsce strachu zajęła misja: namierzyć wroga, dopaść go, zniszczyć i odebrać mu to, co skradł.

– Gdyby to ode mnie zależało, wybrałabym tamten dach – usłyszał za sobą głos Walker.

Odwrócił się i w milczeniu patrzył, jak idzie w jego stronę. Paul Jahan przyszedł razem z nią, ale zatrzymał się w drzwiach biura Bradforda i z założonymi rękami oparł o framugę.

– Albo tamten, albo tamten – dodała Samantha.

Bradford powiódł wzrokiem za jej palcem, który przenosił się na kolejne budynki, a w końcu powrócił do pierwszego: dwunastopiętrowca na godzinie dziesiątej, z dostępem do podziemnego parkingu.

– Tam masz wszystko jak na dłoni – oceniła. – Na parkingu można zostawić wóz, nie martwiąc się, że go odholują albo wlepią mandat, a budynek znajduje się na tyle blisko, że każdy dupowaty strzelec z

odpowiednim karabinem trafiłby w cel. Nawet specsnaiper, jeśli miał ją tylko uśpić, musiał użyć czegoś specjalnego, zmodyfikowanego, a to wymagało przekalkulowania, może zmniejszenia dystansu, więc wołał być jak najbliżej, aby mieć pewność, że trafi. Gdybym to ja tam siedziała, zwinęłabym się od razu, jeszcze zanim przyjechał ambulans.

Bradford skinął głową i ponownie spojrzął przez okno. Z wielu możliwych punktów Walker wybrała ten sam, ku któremu on również się skłaniał. Plasnął dłonią w szybę, na moment dając się ponieść frustracji, ale natychmiast spokojnie cofnął się o krok.

– Sam, znajdź mi nasz budynek. Zadzwoń do mnie, jak już coś ustalisz. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Wolałby pójść tam razem z nią, polować na wskazówki i tworzyć obraz sytuacji na bieżąco, w chwili, gdy wypływają nowe informacje, wiedział jednak, że Walker sama szybciej znajdzie to, czego szukali, a poza tym chciał sprawdzić, co się dzieje w lokum Logana po tym, jak zawiadomił policję. Samantha jeszcze chwilę stała przy szybie. Miles zaczekał, aż się odwróci i go minie. Wzrokiem odprowadził ją na korytarz, a potem ruszył za nią.

Paul zastąpił mu drogę.

Bradford, zniecierpliwiony, próbował go ominąć, ale wtedy Jahan zagroził wyjście.

– Złaż mi z drogi, Irek. Nie zmuszaj mnie, żebym cię powalił na dupsko.

Jahan położył mu dłoń na ramieniu. Stał tak, że Bradford nie mógł uniknąć jego wzroku.

– Posłuchaj – zaczął – wiem, że wszyscy daliśmy ci popalić, kiedy wciągnąłeś do zespołu Michael, ale możesz na nas liczyć, jasne? Ona jest jedną z nas.

Gdyby takie słowa padły dzień wcześniej, Bradford zbyłby je jakąś złośliwą uwagą, ale teraz miał tylko jeden cel: wydostać się stąd, działać

– dlatego jedynie kiwnął głową w niemym podziękowaniu. Chciał po przyjacielsku rąbnąć kułakiem w ramię Jahana.

Paul złapał jego pięść.

– W końcu to poczujesz – powiedział – a wtedy nie wyładowuj się na innych ani nie daj się zabić albo aresztować, rozumiesz? Wal prosto do mnie.

Bradford przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Milczał, dopóki Jahan nie puścił jego ręki, a potem bez słowa poszedł do wyjścia. Takie obawy były uzasadnione, ale nie zamierzał się dać ani zabić, ani aresztować. Był na to za sprytny.

Kiedy zawiadamiał policję, miał nadzieję, że siedziba firmy LOGAN'S zostanie potraktowana jak miejsce zbrodni. Liczył, że dodatkowe siły i środki pomogą przynajmniej w rozwiązaniu zagadki zniknięcia Logana, ale szukał wskazówek, które mogły go doprowadzić do tego, kto porwał Munroe. Samodzielne wykonanie całej roboty nie miało sensu, zwłaszcza że lokalna dochodzeniówka była do niej lepiej przygotowana. Pojechał tam tylko, żeby sprawdzić, jakie zainteresowanie wzbudziło zdemolowane biuro, i przy okazji szybciej ustalić, kogo warto przycisnąć i gdzie przypomnieć, że mają u niego dług wdzięczności – lub gdzie szukać nowych przyjaciół, gdyby zaszła taka potrzeba.

Na parkingu przed budynkiem Logana panował ruch. Zebrało się tam sporo żądnych sensacji gapiów, ale widział też wozy policyjne i funkcjonariuszy. Obecność tłumu ciekawskich brał za dobrą monetę. Oznaczała, że na miejsce wezwano już specjalistów i jeśli coś odkryto, mógł do tego dotrzeć.

Dojechał do końca ulicy, zaparkował wóz pod hurtownią materiałów tapicerskich i pieszo wrócił do granicy żółtej taśmy. Był tylko kolejną anonimową twarzą w tłumie gapiów. Kiedy zobaczył to, po co przyjechał, ruszył z powrotem do Capstone.

Znajdował się trzy przecznice od firmy, kiedy jego telefon zabrzęczał.

W słuchawce usłyszał podekscytowany głos Walker:

– Załatwione!

Zerknął na zegarek. Jeśli naprawdę znalazła właściwe miejsce, zabrało jej to niecałe dwie godziny. Szybko – ale wcale go to nie dziwiło. Walker bez skrępowania obracała seksizm na swoją korzyść, grała erotyzmem i żerowała na hormonach i głupocie, jaką prowokowały. W ten sposób zdobywała to, czego chciała. Podejrzewał, że właśnie w tej chwili w którymś z biurowców przy Dallas North ochroniarz ukrywa wzwód i dosłownie wyłazi ze skóry, żeby załatwić dla niej wszystko, o co prosiła.

Miles nigdy nie wymagał od niej takich metod działania, ale skoro sama chciała w ten sposób załatwiać sprawy, to tak egzotyczną i niebezpieczną broń wolał mieć po swojej stronie.

Adres przysłała mu esemesem Bradford skręcił w prawo, kierując się od razu we wskazane miejsce. Budynek sąsiadował z tym, który początkowo obrali za cel. Miał tyle samo pięter i był połączony z tym samym podziemnym parkingiem.

Zastał Samanthę dokładnie tam, gdzie się spodziewał – w dziupli wielkości garderoby, otoczoną monitorami wyświetlającymi obrazy z kamer przemysłowych. Dwóch gości w strojach ochrony bezskutecznie próbowało nie gapić się na jej piersi. Kiedy Bradford wszedł do środka, zapadła cisza.

Sam przywitała go zdawkowym machnięciem ręki i pochyliła się nad biurkiem, żeby zmienić ustawienia jednego z urządzeń. Ochroniarz Jeremy Justin – jak wynikało z identyfikatora – odsunął się nieco, żeby nie wyjść na zupełnego prostaka, ale nie na tyle, aby nie musiała się o niego otrzeć.

Walker nie zwróciła na to uwagi.

– Musisz to zobaczyć – oznajmiła Bradfordowi.

Jej palce mignęły nad kontrolkami, aby cofnąć nagranie, a stacatto objaśnień przybrało nieco szybsze tempo od przewijanych ziarnistych obrazów. W końcu znalazła to, czego szukała, i na ekranie pojawił się najnowszy chevrolet impala.

Twarz kierowcy była niewyraźna, poza tym miał ciemne okulary, ale numery rejestracyjne dało się odczytać bez problemu.

– Szukałam według stempli czasowych – przyznała. – Sprawdziałam wjeżdżających i wyjeżdżających w oparciu o nasze wyliczenia. Wiemy, że zadekował się tu przed dziesiątą, ale nie mieliśmy pojęcia, o której się zjawił. Znamy za to dokładną porę wydarzenia. Założyłam, że gość chciał się stąd zmyć jak najszybciej, a ponieważ tylko idiota przyszedłby pieszo, więc skupiałam się na parkingach. W przypadku większości budynków obowiązuje limit czasowy darmowego parkowania, a... – Walker zrobiła krótką pauzę, w jednej chwili przeistaczając się w zupełnie inną osobę i uśmiechając słodko do Justina, który poczerwieniał – ...Jeremy wyjaśnił mi, że parking dla gości jest patrolowany co godzinę. Samochody maruderów są odholowywane. Przy wjeździe jest bramka, do której trzeba mieć specjalną kartę. Ponieważ nikt nie zgłosił kradzieży, to...

Samantha zaczęła cofać zarejestrowany przez kamery obraz na najwyższej prędkości i wreszcie uderzyła w klawisz „STOP” z taką siłą, że Justin drgnął.

– Proszę bardzo – oznajmiła. – Wjechał za innym wozem. W przedziale czasowym, który nas interesuje, zrobił tak jeszcze jeden, więc na wszelki wypadek przejrzałam nagrania z kamer wewnątrz budynków. Niewiele z tego nam się przyda. W zasadzie nic, co wskazywałoby, że właśnie ten facet był na dachu, ale zwróć uwagę na tego przy windach. – Ponownie zatrzymała przewijanie. – Stemple czasowe się zgadzają, krawat i wzór na koszuli pasuje do kierowcy

pierwszego samochodu. A teraz spójrz na jego neseser – powiedziała. –
Nieźle gabaryty, co?

Bradford przysunął się bliżej.

– Możesz najechać na jego twarz?

Walker cofnęła się od stołu i wdzięcznie poprosiła Justina:

– Mógłbyś to zrobić?

Ochroniarz przejął pulpit i wybrał obraz, na którym widać było największą część twarzy mężczyzny.

– To najlepsza ostrość, jaką da się uzyskać – poinformował.

Mężczyzna był podobny do tego, którego zarejestrowały kamery w domu Logana. Walker ponownie przejęła kontrolę, przy okazji muskając dłoń Justina. Wróciła do pierwszej stop-klatki z kierowcą w chevroletcie.

– Zwróć uwagę na czas wyjazdu.

Kiedy ten człowiek wyjeżdżał po rampie z parkingu na ulicę, Bradford właśnie pędził do drzwi.

– A o co chodzi z tym neseserem? – zainteresował się Justin.

Walker uśmiechnęła się do niego.

– Jest super, nie?

– Zapisałaś numery? – spytał Bradford.

Podawała mu kartkę.

– Ile budynków sprawdziłaś?

– Dotychczas trzy.

– Dobra robota – przyznał. – Podrzucę to Irkowi, ale na wszelki wypadek założmy, że coś przeoczyliśmy. Szukaj dalej, dobra?

Walker przytaknęła.

– Ale co z tym neseserem? – nie poddawał się Justin.

Bradford już zawrócił do wyjścia. Z tyłu dobiegł go słodki głosik Samanthy:

– Chcę dostać taki na urodziny.

Z parkingu Bradford zadzwonił do Jahana i podał mu rejestrację, a następnie wybrał w telefonie numer pierwszego z wielu znajomych, których miał w departamencie policji w Dallas. Gdyby to nic nie dało, istniały jeszcze inne możliwości. Wielu zaciągnęło u niego dług wdzięczności. W świecie szarych stref prawa niejednemu wyświadczył przysługę. Liczył, że któryś w ramach rewanzu podrapie go po plecach. Jeśli zdjęto odciski palców i policja miała jakichś podejrzanych lub nowe wątki w śledztwie, wiedział, że w końcu wszystkiego się dowie, choć mogło to trochę potrwać.

Dotarcie do firmy zabrało mu siedem minut. Okazało się, że Jahan znowu dokonał cudów. Wygodnie rozparty na krześle, z rękami za głową, szczyrzył zęby jak idiota.

- Wóz zarejestrowany jest na wypożyczalnię Enterprise. Namierzyłem też nasz ambulans - oznajmił, gdy tylko Bradford przestąpił próg centrum dowodzenia.

Miles zatrzymał się w pół kroku, a potem skierował do białej tablicy. Doskonale. Wreszcie jakiś postęp. Od chwili, gdy Munroe została wprowadzona, mijało właśnie pięć godzin. Jeśli wcześniejsze wnioski jego i Walker były słuszne i cała zmyłka miała służyć jedynie chwilowemu odwróceniu uwagi, Michael i Logan mogli już być daleko, a każda informacja pojawiała się za późno.

Przyjrzał się diagramowi i w myślach dodał obrazy z kamer na parkingu.

Usłyszał skrzypnięcie krzesła.

- Mów, co wiesz - rzucił.

- Miałeś rację z tą stacją serwisową. Włamanie się do systemu GPS okazało się łatwiejsze niż wyszukanie konkretnego ambulansu, ale nie ma wątpliwości, że stamtąd go wzięli i tam odstawili. Pociągnąłem za kilka sznurków, żeby sprawdzić, co spadnie, ale nie natknąłem się na żaden poważniejszy przekręt: jakaś pomyłka w dokumentach,

podejrzone podpisy, ślady po kilku studolarowych banknotów, które trafiły w odpowiednie ręce – nic, co wymagałoby mistrzowskiej roboty.

Bradford odwrócił się do niego.

– A ratownicy?

– Zupełnie nic.

– Czyli że ambulans to ślepy zaułek.

– Moglibyśmy jeszcze trochę poszperać, ale chyba szkoda na to czasu. Zwłaszcza że mamy numery wynajętego wozu.

– Może to nie ten.

– Może – zgodził się Jahan. – Ale z tego, co mówi Sam, wynika, że raczej jesteśmy na właściwym tropie. Niedługo przyniesie mi nagrania do analizy. A skoro wynajęli wóz, znajdą się też karty kredytowe.

– Zdobędziesz dane?

– Jasne, tylko może to trochę potrwać.

– Na razie innych tropów nie mamy – stwierdził Bradford i na moment umilkł. – Udało ci się dowiedzieć, gdzie był ambulans po zgarnięciu Munroe, zanim trafił z powrotem do stacji serwisowej?

– No właśnie, mamy zagadkowy postój, który trwał cztery minuty – poinformował Jahan. – Dopiero potem kurs do Medical City i na koniec z powrotem do serwisu. – Wystukał coś na klawiaturze i wskazał monitor po prawej stronie. – Miejsce postoju zaznaczyłem na planie jako „X”. Wiemy już, co znalazła ekipa dochodzeniówki u Logana?

– Zadzwoiłem do kilku znajomych – powiedział Bradford, podchodząc do monitora z planem. Przez chwilę go studiował. Dranie zatrzymali się zwyczajnie na parkingu, tak jakby zupełnie się nie przejmowali, że mogą zostać namierzeni.

Jahan również spojrział na plan.

– Trzeba przyznać, że bydlaki mają jaja.

Bradford popatrzył na niego ponuro.

– Albo i nie – wycofał się Jahan.

– Najedź na tę strefę – polecił Bradford, a gdy towarzysz powiększył wskazany fragment planu, przyjrzał mu się uważnie. Wiedział już, co i kiedy. Gdyby udało mu się ustalić jak, a może nawet dlaczego, dotarłby do informacji, kto, a to oznaczało grę na zupełnie nowym poziomie. W końcu wyprostował się i zaklął pod nosem. – Lotnisko.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Walker.

– Co ustaliłaś?

– Na razie nagranie z kamery na parkingu to najlepszy trop. Mogłabym szukać dalej, rozszerzyć pole do tysiąca pięciuset metrów, ale nie wiem, czy to ma sens... Takie trafienie z większej odległości... – Nie dokończyła zdania.

– Dobrze się spisałaś – orzekł Bradford. – Wracaj do bazy, jesteś mi potrzebna.

Mijało sześć godzin od uprowadzenia Munroe. Szansa na szybką akcję i uwolnienie już się ulatniała. Bradford nie miał pojęcia, czy lotnisko – kolejne przeczucie – również nie okaże się zmyłką. Ale taka droga wydawała mu się najbardziej sensowna. Jeżeli snajper odpowiednio wszystko zaplanował, lotnisko Addison pozwalało najszybciej opuścić miasto. Wystarczyłaby nawet niewielka przewaga nad pościgiem.

Zatrzymał samochód obok budynku administracji.

Niemal cały kompleks znajdował się przy pasie długości niemal półtorej mili i równolegle do niego biegnącej drodze. Wzdłuż nich rozsiadło się sto pięćdziesiąt hangarów różnej wielkości – w sumie setki tysięcy stóp kwadratowych powierzchni zaplecza, wieża kontroli lotów i mnóstwo otwartej przestrzeni.

Bradford wysiadł z wozu i rzucił kluczyki do Walker. Miał nadzieję, że w wykazie startów i lądowań znajdzie coś, co naprowadzi go na właściwy trop. Interesowało go wszystko, co opuściło Addison tego dnia po dziesiątej rano, a konkretnie między jedenastą i pierwszą.

Jeśli strzelec zadbał o to, aby nie dało się go łatwo namierzyć, zdobycie informacji mogło wymagać więcej wysiłku. Obawiał się, że sam telefon od znajomego oficjela nie załatwiłby sprawy, dlatego zabrał ze sobą Walker.

W głównym biurze panował spokój. Większość personelu poszła już do domu i Bradford musiał czekać całe dziesięć minut, zanim wyszła do niego zadbana kobieta, która przedstawiła mu się jako Beth Evans, kierownik lotniska. Pokazał jej odznakę prywatnego detektywa i ograniczył wyjaśnienia do bardzo uproszczonej wersji prawdy. Kiedy odpowiedział zadowolająco na wszystkie pytania, Evans zaproponowała, że podwiezie go do strefy hangarów, gdy tylko skończy to, czym akurat była zajęta.

Walker czekała na nich na zewnątrz, oparta o maskę forda, dokładnie w tej samej pozycji jak pod szpitalem. W dłoni trzymała jakiś dokument.

Bradford przedstawił sobie obie panie, a potem zwrócił się do Samantha.

– Czego się dowiedziałaś?

– Niewiele – przyznała. – Przeważnie startują i lądują tu niewielkie samoloty śmigłowe. Większość należy do osób prywatnych. Podejrzewam, że szukamy raczej czegoś większego, co bardziej nadaje się do czarteru. – Podała Bradfordowi kartkę. – W tej klasie między dziewiątą i trzecią było tylko osiem lotów. Myślę, że powinniśmy zacząć od większych hangarów.

Evans zawiozła ich własnym samochodem do strefy, w której było najjaśniej i uwijało się najwięcej ludzi, ale nawet z jej pomocą nie od razu trafili we właściwe miejsce. Pokazali zdjęcia Munroe i Logana w trzech hangarach, zanim im się poszczęściło.

Jeden z członków obsługi naziemnej rozpoznał na fotografii Munroe. Evans została przy samochodzie, a Walker i Bradford poszli z

nim pogadać.

Mężczyzna, tak jak Evans, dobiegał pięćdziesiątki. Łysiał i miał dość spory brzuch. Bezceremonialnie zapalił, nie przejmując się obecnością Walker.

– Ją chyba widziałem – przyznał. Na moment umilkł, odszukał oczy Samantha, a potem przemknął wzrokiem po jej piersiach. – Taaa, to mogła być ona. Trudno stwierdzić, bo chyba była chora albo spała. Siedziała na wózku.

Mechanik, który pracował niedaleko, odłożył klucz francuski i wytarł dłonie w szmatę.

– Mówisz o tamtych z wózkiem? – spytał. – Pokażcie.

Walker podała mu zdjęcie. Mechanik uśmiechnął się do niej i Sam odwzajemniła mu się tym samym.

Przez chwilę studiował fotografię, a potem ją oddał.

– To mogli być oni.

– Kto z nią był? Jacyś mężczyźni? – spytał Bradford.

– Tylko jeden – odparł pierwszy. – Elegancki, ciemnowłosa, chyba tego wzrostu co pan. Młody.

– Miał przy sobie neseser? – wtrąciła Walker.

– No, całkiem spory. Prawie jak normalna walizka.

– I coś jeszcze?

– Chyba mieli też dwie niewielkie torby. Nie za bardzo się przyglądałem, to nie wiem na pewno.

– A pamięta pan, dokąd lecieli? Albo numery samolotu?

– Coś mi się zdaje, że na Bahamy. Co do tych numerów, to nie wiem, ale łatwo je sprawdzić w biurze. To było G550. Rzadko tu takie widzujemy.

Bradford wyciągnął setkę, uściśnął dłoń mężczyzny i razem z Walker zawrócili do samochodu. Nie uszli nawet kilku kroków, kiedy Sam oznajmiła z przekonaniem:

– To nasz samolot.

– Aha – potwierdził. – Wróc tu jutro z samego rana. Jeśli zamierzali przekroczyć granicę, możliwe, że od razu przeszli kontrolę paszportową, a to znaczy, że mieli dokumenty dla Munroe. Chcę znać nazwiska – zwłaszcza to, pod jakim ona podróżuje. Zauważyłaś, że żaden z mechaników nie wspomniał o Loganie. Co nam to mówi?

– W jego stanie? Wciąż tu jest.

W firmie nie zastali Jahana w centrum dowodzenia, ale na biurku leżały dwie kopie wydruków transakcji za wynajem samochodu.

Walker wzięła jedną i zaczęła przerzucać kartki.

– Nieźle – skwitowała.

Z głębi korytarza dobiegł odgłos spuszczonej wody.

Bradford sięgnął po drugą kopię, zerknął na pierwszą stronę i zamurowało go. Zabrakło mu tchu. Wrócił strach – po raz pierwszy, odkąd zdołał go od siebie odsunąć przed południem. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł nawet dobyć z siebie głosu. Z trudem utrzymał się na nogach.

Walker przerwała studiowanie kolejnych stron i obróciła się do niego. Na widok jego miny cofnęła się o krok.

– Co jest, Miles?

Podniósł palec i zamknął oczy. Zdusił panikę, zdeptał ją, upchnął w jakiś zakamarek, z którego nie mogła go dosięgnąć. Po chwili znowu zaczął myśleć. Wciągnął do płuc powietrze i poczuł chłód.

Jahan wszedł do sali i zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na Bradforda, potem na Walker i znowu na Bradforda.

– Co jest? – spytał.

Bradford postukał palcem w kartki i wydukał z siebie słowa jak automat.

– Znam to nazwisko – powiedział. – Wiem, jaka to firma. – Odwrócił się do okna i zapatrzył na ciemniejące niebo. Dopiero po jakimś czasie

spojrzał na towarzyszy. – Kurwa mać!

Wyszedł na korytarz i skierował się do swojego gabinetu. Tam obrócił się wokół własnej osi, tak jakby nie wiedział, od czego zacząć. W końcu podszedł do ogniotrwałej szafy w kącie i w pęku kluczy odszukał właściwy. Otworzył zamek i pochylony zaczął przerzucać teczki z dokumentami, dopóki nie trafił na dużą szarą kopertę.

Wyprostował się.

Jahan i Walker stali w drzwiach.

– Centrum dowodzenia – rzucił Bradford i oboje bez słowa zawrócili.

Jahan ruszył za Walker, a Bradford zamknął pochód.

Z koperty wyjął dokumenty i rzucił je na biurko. Przez chwilę wertował plik, aż znalazł to, czego szukał. Wydruk arkusza kalkulacyjnego i wycinek z gazety. Podsunął pod nos pozostałej dwójce.

– Oto, na kogo polujemy – oznajmił. – To jest nasz strzelec.

Plik dokumentów miał ponad cal grubości: rejestry bankowe, dokumenty spółki, notatki i wątki uprzedzone w sieć zła, która oplatała całą Europę i świat. Jahan zaczął przeglądać dokumentację. Po chwili przerwał i spojrzał na Milesa.

– Skąd się to wszystko wzięło?

Bradford postukał palcem w kartki.

– Mniej więcej dwa lata temu Michael podjęła się odnaleźć osobę, która zaginęła w Afryce Środkowej – wyjaśnił. – Wtedy po raz pierwszy z nią współpracowałem. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd zaprowadzi nas ta sprawa. To są właśnie jej następstwa.

– Sam to zebrałeś?

– Nie. Dokumenty znalazłem już po wszystkim, tutaj w Stanach, w sejfie gościa, który zginął.

– Jeśli to nie miało żadnego związku z Munroe, dlaczego ci ludzie namierzili właśnie ją i Logana? – spytała Walker.

Bradford skierował się do wyjścia.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Ale wiem, gdzie zacząć kopać.

Rozdział 6

Zagrzeb, Chorwacja

Jedyne światło sączyło się do środka przez szczelinę pod drzwiami, ale to wystarczyło, żeby ból głowy stał się jeszcze bardziej nieznośny. Vanessa Michael Munroe zacisnęła powieki, aby przerwać natrętne pulsowanie w czaszce i wrócić w ciemność, do słów i dźwięków, które odbijały się echem od ścian.

Wiedziała, że słucha nagrania. Nawet odurzona narkotykami potrafiła to poznać. Wyciągnęła rękę i opuszkami palców musnęła ścianę. Dotyk powiedział jej to samo, co zapach tego miejsca. Wilgoć. Zimno. Podziemie.

Noga była sztywna i obolała, a ramię mocno stłuczone. Igły instynktu przywołały ostatnią rzecz, jaką pamiętała. Ulica. Motocykl. Trafienie w udo. Upadek w ciemność i ból.

Zza drzwi dobiegł odgłos kroków. Głosy, tym razem prawdziwe – chwilami podniesione – nałożyły się na równy rytm nagrania, które brzmiało niezmiennie, tłumiąc i maskując dźwięki ze świata za tymi ścianami, przez co miała wrażenie, że ten loch istnieje poza czasem.

Odetchnęła powoli, głęboko. Wdech-wydech. Zapadła się w materac śmierdzący pleśnią, brudem i ludzkim potem. Dała się ponieść wibracjom mowy, zanurzyła się w niej, dopóki nie rozległ się szcęk zamka – metal o metal. Drzwi odciągnięto w bok i nagle pomieszczenie wypełniła oślepiająca jasność.

Ze światłem wrócił ból. Spod przymrużonych powiek dostrzegła cień kogoś, kto przygarbiony stanął w progu. Za pierwszym intruzem pojawił się kolejny. Obaj trzymali się w bezpiecznej odległości, dopóki nie dołączył do nich trzeci. Ten podszedł bliżej.

– Odzyskałaś przytomność – stwierdził, a jego głos zabrzmiał znajomo, tak jakby go sobie wyśniła albo właśnie doświadczała *déjà vu*.
– To dobrze. Teraz zjedz. Potem pójdiesz z nami.

Mówił po angielsku z akcentem, ale starannie – może kształcił się w Wielkiej Brytanii albo nawet w Kanadzie. Na pewno nie był to jego ojczysty język. Umilkł, ale zamroczony umysł Munroe pracował za wolno, aby wyłapać to, co powinna od razu wiedzieć. Jakieś spostrzeżenie zamajaczyło na skraju świadomości, ale znikło. Westchnęła i dała za wygraną. Ponownie pogrążyła się w spokoju.

Cień powiedział coś do dwóch pozostałych – słowa, które w jej myślach rozpadły się na poszczególne dźwięki i zawirowały. Łapała ich sens – ale niezupełnie; mowa wydawała się znajoma – ale nie do końca jasna.

– Niech jeszcze trochę odpocznie. Nie jest gotowa.

Tak! Właśnie to powiedział. Po chwili wszyscy trzej się oddalili, a ona została sama w otoczeniu głosów – uporczywych głosów – i ciemności, i mijającego czasu.

Potem ocknęła się świadomość.

Gwałtownie rozwarła powieki w mroku, zupełnie przytomna.

Przekręciła się na brzuch i podciągnęła nogi, aby sięść w kucki.

Jasna szczelina znikła. Węgierskie nagranie bez końca mąciło ciszę.

Zsunęła się z materaca na podłogę i wzdłuż ściany przeszła do rogu. W kilka minut zbadała dotykiem to, co wzrokiem mogłaby ogarnąć w kilka sekund. Obmacała mury celi, oceniając, że ma mniej więcej siedem stóp na sześć. Sufit był tak nisko, że od czasu do czasu włosami zaczepiała o jego nierówną powierzchnię.

Przy drzwiach wpadła na metalową tacę. Zawahała się, była głodna, ale po chwili ruszyła dalej. Mogli coś dodać do jedzenia. Wołała nie ryzykować. Wróciła na materac, oparła się plecami o zimną, kamienną ścianę i pozwoliła myślom płynąć, zataczać powolne kręgi, odsłaniać elementy układanki i formułować pytania w takt nagrania imitującego immersję językową, jaką zawsze praktykowała przed wyprawą do państwa, w którym jeszcze nie była, lub przed podjęciem się nowego

zadania... Tak jakby tamci – kimkolwiek byli – *wiedzieli* o niezwyklej zdolności, którą miała od dzieciństwa. Umiała przyswoić sobie nowy język niemal z taką samą szybkością, z jaką inni analizowali to, co widzieli wokół siebie. Ten zatruty dar wpłynął na całe jej życie. Zagnał ją do miejsca, które uczyniło ją taką, jaka teraz była.

Rozmowny wrócił w końcu w towarzystwie milczących towarzyszy. Zasłoniła oczy przedramieniem, bo jasne światło sprawiało, że widziała jedynie zarysy sylwetek. Ten, który znał angielski, położył na podłodze paczkę i stopą podsunął ją do Munroe.

– Czyste ubranie – wyjaśnił. – Włóż je. Wrócę za kwadrans. – Zerknął na tacę. – Nie jesz?

– Nie jestem głodna.

Pokręcił głową.

– Jedzenie jest czyste.

– I tak nie jestem głodna – powtórzyła, sięgając po paczkę.

Jego reakcja na ten gest – ich reakcja – zaskoczyła ją.

Było ich trzech na nią jedną i całkowicie blokowali wyjście z celi przeznaczonej chyba dla miniaturowych ludzi, ale kiedy pochyliła się w ich stronę, wszyscy drgnęli.

– Możecie to wyłączyć? – spytała, kiwając głową w stronę, skąd dobiegały nagrane dźwięki.

– To niemożliwe – zaprzeczył i już wiedziała, że bez względu na to, kim jest ten młody mężczyzna i jaką rolę odegrał w tym, co ją spotkało, nie on tu decydował. – Przepraszam za te warunki – powiedział, wskazując materac i ściany. – Uprzedzono nas, że prawdopodobnie nie zechcesz nam towarzyszyć z własnej woli, dlatego musieliśmy załatwić to inaczej. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Nie odpowiedziała. W tej niewielkiej przestrzeni mogła bez trudu dosięgnąć paczki, ale celowo wstała i zrobiła krok do przodu. Mikrosekundowe błyski instynktu mierzyły mowę ich ciała i

komunikowały jej jasno: przyszli tutaj we trzech, bo byli nieuzbrojeni – fizyczna siła w miejsce broni.

Rozmowny przyjrzał się jej dziwnie, tak jakby wiedział, że potrafi być niebezpieczna. Był jak dzieciak, który patrzy na węża, czekając, aż gad zaatakuje, żeby zobaczyć, co się stanie. Nie do końca wierzył w to, co słyszał.

– Może sprawdzisz, co jest w środku – zaproponował niecierpliwie.

Domyślała się, że chciał zobaczyć jej reakcję na strój w paczce. Wsunęła palec wskazujący pod zagięcie papieru i rozerwała go.

Wewnątrz były męskie rzeczy. Spodnie. Koszula. Buty. Bielizna. Bandaż elastyczny. Poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku. Ci ludzie wiedzieli o niej stanowczo za dużo.

– Masz piętnaście minut – oznajmił i kiwnął głową na większego z towarzyszy, mężczyznę z kolekcją szpetnych blizn, pamiątek po brutalnych walkach wręcz. – Później Arben obetnie ci włosy.

Munroe wróciła na materac. Papier i ubranie położyła obok siebie, a potem spokojnie oparła dłonie o uda i spojrzała na młodego.

– Jeśli mnie dotknie, zabiję go – powiedziała.

Jej słowa były jak charakterystyczny odgłos grzechotnika, jak ostrzegawcze warczenie psa – chciała przestrzec przed niepotrzebnym rozlewem krwi i uniknąć ciężaru kolejnej śmierci. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby ten goryl ją tknął, instynkt i doświadczenie przeważąby nad rozsądkiem i albo by go zabiła, albo sama zginęła.

Młody zakasłał zdumiony i zaraz potem zaśmiał się nieprzyjemnie.

Arben oraz bezimienny trzeci towarzysz w ogóle nie zareagowali – nie znali angielskiego.

Przesunęła palcami wzdłuż kołnierzyka nowej koszuli.

– Przynieś mi maszynkę. Sama sobie poradzę – powiedziała, celowo unikając wzroku Rozmownego.

– Zastanowię się – odparł.

Zostawili ją samą, żeby się przebrała. Bardzo chciała wziąć prysznic – gorący, taki, żeby aż parzył. Pragnęła zmyć z siebie zapach własnego potu i smród tego miejsca, pozbyć się resztek watowatej mgły – pozostałości po tym, czym ją odurzyli. Ale w celi nie było wody. Tylko materac, zimna betonowa podłoga i kratka kanalizacyjna w kącie, którą zauważyła, gdy do środka wdarło się światło z korytarza.

Rozebrała się i włożyła nowe ubranie.

Ich gra, ich zasady. Na razie.

Na wierzch włożyła swoją skórzaną kurtkę i zapięła zamek.

Jej opiekunowie zjawili się po kwadransie – tak jak zapowiedzieli – choć oczywiście mogła oceniać upływ czasu jedynie na wycucie. Tym razem zaczekali na nią pod drzwiami celi. Nie zbliżali się. Nie próbowali zakuć jej w kajdanki ani nawet dotknąć. Nie zamierzali też zmuszać jej, żeby ruszyła się z miejsca, gdy zamiast wstać z cuchnącego materaca, przyglądała im się obojętnie. Zuchwała ciekawość kazała jej wybadać granice ich determinacji, sprawdzić, jak daleko może się posunąć, zanim sprowokuje reakcję, ale pragnienie wydostania się z tej śmierdzącej nory okazało się silniejsze.

Powoli się podniosła.

Ten, który mówił po angielsku, wymownie spojrzał na jej kurtkę, tak jakby żądał, aby zostawiła ją z resztą swoich rzeczy. Wolno pokręciła głową. Przez moment się wahał, a potem z dojrzałością, która nie pasowała do jego wieku i ego, ustąpił z uśmiechem.

– Włosami zajmiemy się później – orzekł i odsunął się, puszczając ją przodem.

Pochyliła głowę, żeby zmieścić się w wyjściu. Minęła go w wąskim korytarzu oświetlonym szeregiem byle jak podłączonych świetlówek, które wypełniały przestrzeń ostrym, urzędowym światłem. Uderzyła ją

woń środka dezynfekującego, która przyćmiła zjełczały, wilgotny smród celi.

Jasność i zapach spadły na nią z taką siłą, jakby ktoś uderzył ją kamieniem w głowę. W pamięci wciąż miała obraz tamtej meliny w Argentynie – wspomnienie zbrodni i zemsty. Wtedy do siedziby zła trafiła przez przypadek, ale dzięki tamtemu doświadczeniu już wiedziała, gdzie się znajduje. Po raz pierwszy, odkąd się ocknęła – po raz pierwszy od bardzo dawna – żądza mordu zapłonęła w niej dziko. Poczowała świerzbiecie w palcach.

Zacisnęła dłonie i zerknęła w głąb korytarza.

Po prawej stronie widziała jeszcze dwie cele. Gdzieś z końca dobiegł wrzask, który na moment zagłuszył węgierskie nagrania. Nie było w nim bólu, tylko pierwotne wibracje zwierzęcej wściekłości.

Munroe obróciła się w stronę, z której dobiegał. Korytarz był wąski. Przed sobą miała dwóch oprychów. Trzeciego z tyłu. Musiałaby ich pokonać, żeby się stąd wyrwać. Przystanęli, ponieważ ona to zrobiła. Żaden jej nie popędzał, ale też nie zamierzali niczego wyjaśniać. Przez jakiś czas stali tak bez słowa, aż w końcu młody pokazał jej, że ma iść w lewo, w kierunku przeciwnym do tego, z którego dobiegały krzyki.

Ruszyła za goryłami w zaułek, który wydawał się ślepy, i znalazła się u podnóża stromych schodów. Kusiły oddechem świeżego powietrza i światłem dnia. Ciężkie metalowe drzwi oddzielały świat na dole od tych, którzy żyli na górze. Zamknięte, stanowiłyby barierę nie do pokonania, ale w tej chwili stały otworem i zapraszały. Pod kuratelą opiekunów wspięła się do wysokiego pomieszczenia. Zalało ją światło wpadające do środka przez okna ze szprosami, a szepty ludzi otoczyły rzeką słów. Część brzmiała słowiańsko – trochę podobnie do macedońskiego, który już знаła – inne były mową bez słów, językiem, którego od lat nie słyszała.

W reakcji na dźwięki tyłu rozmów, bez udziału woli i bez wysiłku, nieproszone pojawiły się błyski zrozumienia – z taką samą łatwością, z jaką innym przychodzi oddychanie.

Szli po kamiennej posadzce, korytarzem pozostawionym między pomieszczeniami biur po jednej stronie, a nierówno ustawionymi biurkami i zagraconymi stołami po drugiej. Munroe wodziła wzrokiem od belek sufitowych po podłogę i od ściany do ściany, wybierając najlepsze drogi ucieczki i szukając czegoś, co mogłoby jej posłużyć jako broń.

Pracownicy w skupieniu pochylali się nad przytwierdzonymi do blatów szklami powiększającymi, niewielkimi palnikami Bunsena, woskowymi formami i skalpelami – obróbka złota na różnych etapach. Żaden nie przerwał pracy, kiedy mijała ich dziwna grupka. W pozornym braku zainteresowania Munroe wyczuwała mieszaninę lęku i przyzwyczajenia, tak jakby brudny więzień prowadzony przez pracownię jubilerską nikogo tutaj nie dziwił.

To dość surrealistyczne przedstawienie skończyło się równie niespodziewanie, jak się zaczęło.

Dotarli do celu. Pokryty bliznami goryl, którego Rozmowny nazwał Arbenem, i jego wciąż bezimienny kompan ustawili się po obu stronach drzwi. Arben otworzył je i kiwnął na nią, na znak, że ma wejść do środka. Zawahała się. Rozmowny nie raczył nawet na nią spojrzeć, więc przestąpiła próg. Drzwi się za nią zamknęły, a ona przystanęła.

Całe pomieszczenie, od podłogi po sufit – regały wzdłuż ścian, szklane gabloty, krzesła i eleganckie szafki – zapełniały porcelanowe lalki. Miniaturowe i naturalnej wielkości, malowane ręcznie bądź pistoletem natryskowym, w pięknych strojach, z nawoskowanymi i ufryzowanymi włosami. Wszystkie patrzyły na nią – bezlik martwych oczu – niezwykły zbiór, oczko w głowie kolekcjonera, ideały bez najmniejszej skazy.

Poza tym pokój był umeblowany jak zwykły gabinet i tylko okno oraz kaloryfer pod nim mówiły jej, że to nie Teksas ani w ogóle Stany Zjednoczone. Była w Europie. Pewnie gdzieś na Bałkanach, sądząc po słowach, które docierały do niej w dużej sali, ale także po stylu architektury i wyglądzie wewnętrznego dziedzińca za oknem – za mężczyzną, który częściowo zasłaniał widok.

Mężczyzna siedział za biurkiem. Splecione dłonie trzymał na blacie. Otaczała go aureola porannego blasku wpadającego przez okno, przez co rysy jego twarzy były słabo widoczne. Munroe skinęła głową na powitanie. Odkłonił się jej uprzejmie. Miała wrażenie, że się uśmiechnął, choć mogła się mylić.

Wstał i zasłonił okno wertikalami, aby nie musiała mrużyć oczu, patrząc na niego. W języku angielskim, bez najmniejszego śladu akcentu młodszego towarzysza, poprosił ją, aby usiadła. Miał sympatyczny uśmiech i uprzejmy sposób bycia. Munroe ponownie skłoniła głowę, odpowiadając z podobną galanterią, ale w duchu kalkulowała prawdopodobieństwo tego, czy rama okienna jest wzmocniona, a szyby z bezpiecznego szkła, i z jaką siłą musiałaby na niego wpaść, aby oboje zdołali się przebić na zewnątrz i wylądować na bruku dziedzińca.

Przez chwilę patrzył, jak ona wodzi wzrokiem od lalek do okna i z powrotem.

– Są piękne, nieprawdaż? – powiedział, jakby zupełnie opacznie zrozumiał jej reakcję.

Munroe w odpowiedzi obdarzyła go półuśmiechem.

Lalkarz wstał i podszedł do regału po lewej stronie. Zaczął przy samym oknie, krocząc z rękami założonymi na plecy, jak generał oceniający wojska podczas defilady. Powoli przesuwiał się wzdłuż ściany, co chwila zatrzymując się, aby przyjrzeć się którejś lalce z bliska, dotknąć pukla włosów lub zmienić ułożenie fałd sukni.

Miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu, ale nie tylko dlatego wydawał się mały. O kobiecie takiej budowy powiedziano by, że jest drobna. Miał doskonale skrojony garnitur – zapewne szyty na miarę – idealnie zawiązany krawat i wypolerowane buty. Przerzedzone włosy i liczne plamy na dłoniach świadczyły, że dawno już przekroczył sześćdziesiątkę, choć sądząc po jego posturze i celowości działania, błędem byłoby uznanie go za starego.

– Idealne – powiedział cicho, dotykając koronki. W jego głosie brzmiał szczery podziw. – Nie mają żadnych wad – dodał szeptem. – Są po prostu piękne. – Odwrócił się do Munroe i tym razem odezwał się już normalnym tonem. – Mam jeszcze inne, ale te tutaj cenię sobie najbardziej. Dlatego trzymam je blisko. Dają mi radość. – Przystanął, żeby pogłaskać porcelanowy policzek, a potem z westchnieniem wrócił za biurko i usiadł w fotelu. – No ale co ze mnie za gospodarz – stwierdził nagle. – Na pewno ma pani pytania.

Munroe się nie spieszyła. Pozwoliła ciszy wypełnić gabinet. Przyglądała się mężczyźnie, tak jak on jej.

– Gdzie jestem? – zapytała w końcu. – I dlaczego mnie tu sprowadzono?

– Jest pani w Chorwacji, a powodem jest pewne zlecenie – oświadczył, okraszając to lekceważącym gestem dłoni. Potem zmienił pozycję i założył nogę na nogę. – Chodzi o spłatę długu.

Munroe zdołała powstrzymać prychnięcie. Mogła się domagać, aby wyjaśnił, o jakim długu mówi tak, jakby zakładał, że sprawa powinna być dla niej zupełnie oczywista, ale instynkt kazał jej poczekać.

– Większość osób zwyczajnie prosi mnie o pomoc – stwierdziła. – Porywanie mnie i trzymanie w celi pod kluczem to najgorszy sposób na nakłonienie mnie, abym się zgodziła.

– Owszem – odparł – większość ludzi rzeczywiście prosi. Ale podejrzewam, że akurat to zlecenie dalekie jest od tych, jakie byłaby

pani skłonna przyjąć. Po co miałbym się narażać na odmowę? To by mnie tylko rozgniewało.

W głowie Munroe zakwitła myśl – próba wprowadzenia jakiejś logiki w to szaleństwo. Jej wewnętrzny miernik szalał jak licznik Geigera w skażonym terenie, ostrzegał ją, żeby nie naciskała za bardzo, nakłaniał do przyjęcia zasad gospodarza. Usiadła tak samo jak on, dłonie splotła na biurku i powiedziała:

– W takim razie co mogę dla pana zrobić?

Lalkarz odchylił się na oparcie fotela i uśmiechnął, sycąc się pierwszym zwycięstwem. W myślach zapisywał bitwę na konto wygranych, jeszcze zanim na dobre się zaczęła, bo miał pewność, że tak właśnie będzie. Jego uśmiech świadczył o potędze i kontroli. W tym świecie cieszył się władzą absolutną. Sadystyczne wykrzywienie ust – tak dobrze jej znane – było jak deklaracja, że może z nią zrobić, co zechce. To, co kryło się pod tym uśmiechem, sprawiło, że jej serce zaczęło szybciej bić.

Czekała w bezruchu, z kamienną twarzą. Wreszcie on pochylił się do przodu i zaczął wyjaśniać:

– Zajmie się pani dostarczeniem przesyłki. Transport z punktu A do punktu Z, w pewnym sensie.

Te słowa jej nie zaskoczyły, zwłaszcza że wiedziała, co się kryje w podziemiach.

– Chodzi o żywą przesyłkę? – spytała.

– Jak najbardziej. – Jego oczy rozbłysły, tak jakby wreszcie znalazł godnego siebie gracza.

Munroe powoli, swobodnie, ale świadomie zmieniła pozycję. Przez chwilę uważnie przyglądała się jego twarzy, czekając na jakąś wskazówkę.

– Transport żywej przesyłki... – powiedziała w końcu – ...pewnie mogłabym się tego podjąć, choć oczywiście wiele zależy od samej

przesyłki i adresu, pod jaki należy ją dostarczyć. Zakładam, że skoro odmowna odpowiedź nie wchodzi w rachubę, nie powinnam również spodziewać się zapłaty.

Twarz mężczyzny spochmurniała. Błyskotliwa partnerka do gry jednak okazała się idiotką.

– Spłaci pani dług – oznajmił. – To powinno wystarczyć.

– A jeżeli się nie zgodzę? Co będzie, jeśli pomimo tylu pana starań i tak powiem nie?

– Umiem przekonywać.

– A ja odmawiać.

– Tak czy inaczej, spłaci pani dług – oznajmił.

– W euro? W dolarach? Ile jestem panu winna?

Nawet jeśli usłyszał ironię w jej głosie, nie zareagował.

– Zgodzę się na jedyną walutę, jaka ma dla pani wartość – przyznał.

– Zapłaci pani życiem niewinnej osoby.

Jego słowa zaboląły jak siarczysty policzek. Oczy zapiekły ją, tak jakby została naprawdę uderzona. Ten człowiek nie powinien tego wiedzieć.

Na jej twarzy pozostał obojętny wyraz, ale w głębi ducha, w tej bezdennej przepaści, w której szaleństwo czekało uśpione przez ostatnie dziewięć miesięcy, odezwało się powolne, miarowe dudnienie zwiastujące wojnę – nikłe, ale pewne.

– O czym życiu mowa? – spytała.

Wykonał dłonią ten sam lekceważący gest co wcześniej.

– Niewinni to niewinni – stwierdził. – Czy jedno życie naprawdę może być warte więcej od innego?

Bulgoczący lęk był tuż pod powierzchnią. Już się domyślała. Człowiek o jego pozycji mógł tak jawnie traktować ją jak swoją własność, tylko jeśli miał coś, co uważała za najcenniejsze.

– Miliony niewinnych umierają każdego roku. Nikt nie jest w stanie ocalić wszystkich – powiedziała.

– W takim razie pozwoli pani, że pokażę, co mam na myśli.

W telefonie na biurku wcisnął klawisz interkomu, a kiedy ktoś się odezwał, Lalkarz wezwał go do siebie w języku, którego, jak sądził, nie rozumiała. Potem usiadł wygodnie i splótł ręce na kolanach, obserwując ją z chytrym uśmieszkiem.

Munroe przyglądała się swoim paznokciom. Na kowadle głęboko w jej duszy lemieszce zmieniały się z powrotem w miecze. Oddychała głęboko i rytmicznie, przygotowując się na to, co musiało nadejść.

Rozdział 7

Nie zareagowała na odgłos otwieranych drzwi. Nie odrywała wzroku od Lalkarza, którego twarz na ułamek sekundy zmieniła wyraz. Mgnienie satysfakcji znikło równie szybko, jak się pojawiło.

– Już miała pani okazję poznać Valona – powiedział, nie patrząc na nią.

Do gabinetu wszedł ten, który w podziemiach rozmawiał z nią po angielsku – na tyle ważny, że potrzebował obstawy – ten, który wciąż bardziej przypominał chłopca niż mężczyznę. Valon Lumani z szacunkiem przywitał wuja, a potem przeniósł wzrok na Munroe. Przyglądał się jej uważnie, dopóki Lalkarz się do niego nie odezwał.

Rozmawiali po albańsku. Lumani o mało nie pękł z dumy, słuchając skąpych pochwał. Po chwili jednak ton Lalkarza się zmienił.

– Pokaż jej – nakazał i Lumani wyciągnął z kieszeni telefon.

Kciukiem dotknął kilku przycisków i podetknął go Munroe pod nos z włączonym wideo i ustawioną na maksimum głośnością.

Poczuła, jak całe jej ciało napina się w proteście. Płuca odmówiły posłuszeństwa, a wojenny rytm wewnętrznej perkusji zabrzmiał głośniejsz, szybciej. Patrzyła, jak Logan – pobity i zakrwawiony – nie chce mówić, kiedy mu każą, nie krzyczy, gdy go biją. Świat przybrał czarno-białe barwy i stracił ostrość. Widziała już tylko mężczyznę za biurkiem.

Młot wystukał o kowadło rozkaz: „Zabij!”.

Zaślepiąca gniewem nie mogła skupić myśli, dlatego z wysiłkiem uciszyła wewnętrzny zgiełk i zmusiła się do obejrzenia nagrania, aby dojrzeć coś poza samym Loganem – znaleźć jakieś wskazówki, gdzie go trzymają, i dokonać tego w kilka sekund, mając do dyspozycji rozedrgany obraz, na którym w głębi widać było tylko stół i okno.

Foliowa torebka strunowa i dwucalowe drewniane żaluzje. Filary amerykańskiej kultury. Dostępne były wszędzie, ale nie tak powszechne i tanie jak w Stanach Zjednoczonych – na pewno nie w Europie.

W jakimś amerykańskim domu lub biurze Logana dosięgnął kolejny cios. Znow krew, kolejna pęknięta chrząstka. Lufa przytknięta do potylicy. Munroe niczego nie dawała po sobie poznać. Tylko w środku ciśnienie rosło niebezpiecznie, grożąc, że za chwilę eksploduje, wyrwie ją z krzesła i przerzuci nad biurkiem, aby mogła zacisnąć dłonie na szyi Lalkarza i trzymać go tak, aż jego twarz zmieni barwę, a martwy język wysunie się z ust. Chciała skraść mu ostatnie tchnienie, tak jak on zabierał jej powietrze.

Lumani wyłączył nagranie i schował telefon.

Munroe małymi porcjami zaczerpnęła tchu. Bała się normalnie odetchnąć, bała się zdradzić cierpienie i strach, który wlewał się w jej żyły piekącym strumieniem. Z całych sił starała się nie okazać wściekłości i nienawiści, które czuła do tego mężczyzny i jego protegowanego.

Dług.

Przesyłka.

Transport.

Gdyby teraz zabiła Lalkarza, byłoby to równoznaczne z pociągnięciem za spust tamtej broni przytkniętej do głowy Logana. Była za daleko, aby ocalić go przed zemstą, zanim dosięgną go reperkusje. W duchu miotała się, szukając odpowiedzi, szukając wyjścia. W końcu wskazała kieszeń, do której Lumani wepchnął telefon.

– Mam rozumieć, że gdy dostarczę waszą przesyłkę, zapłacicie mi życiem tamtego człowieka?

Mgnienie rozczarowania pojawiło się na twarzy Lalkarza, ale zaraz wrócił na nią chytry uśmieszek.

– Owszem, spłaci pani dług, a ja się odwdzięczę tym życiem.

Wiedziała, że to kłamstwo.

Ktoś na tyle potężny, że zdołał ją odszukać, wprowadzić i przetransportować przez ocean, człowiek, który miał pod tym

budynkiem prawdziwy loch, nie pokazałby swojej twarzy, tej kryjówki i jednego z biznesów, gdyby naprawdę zamierzał puścić wolno ją – a tym bardziej Logana. Ale teraz liczyła się jedynie iluzja jego kontroli i pozorna akceptacja kłamstwa. Kiwnęła głową na znak, że przyjmuje jego zapewnienia.

– Może zdołamy dojść do porozumienia – powiedziała.

Uśmiezek zmienił się w uśmiech zadowolenia i Lalkarz wyraźnie się odprężył.

– Bardzo mnie to cieszy – przyznał. – Lubię interesy z rozsądnymi ludźmi. Dzięki temu unika się nieprzyjemnego bałaganu.

Z wysiłkiem przywołała na twarz uśmiech, który oznaczał, że jest tego samego zdania. Stan Logana nie wskazywał na to, że jej rozmówca ma aż taką awersję do brudnej roboty.

– Powinnam chyba zobaczyć przesyłkę – stwierdziła.

Lalkarz wskazał drzwi.

– Valon panią zaprowadzi – powiedział do niej, a potem w ojczystej mowie rzucił kilka pogardliwych słów do młodego mężczyzny. Po aprobacie, jaką przedtem mu okazał, nie został nawet ślad. – Przeprowadź tu lalkę, kiedy wszystko załatwicie.

Lumani przytaknął. Wcześniejszą euforię zastąpiła kamienna determinacja. Zawrócił do drzwi i przelotnie spojrzął na Munroe. Kiwnięciem głowy dał jej znak, że ma iść za nim, i zaczął, aż wstanie.

Opieszale podniosła się z krzesła.

Przemierzyła gabinet pozornie bez pośpiechu, ale w myślach skakała od jednego przypadkowego elementu układanki, do drugiego, próbując złożyć je w całość, aby zyskać obraz sytuacji i dostrzec jakiś sens w tym, czego nie potrafiła na razie wyjaśnić.

Dwaj goryle wciąż czekali za drzwiami. Lumani ruszył przodem, a osiłki zamknęły pochód za Munroe. Znowu minęli stanowiska złotników i metalowe drzwi. W podziemiach nie skierowali się do celi,

w której ją trzymano, tylko w koniec korytarza. W tle wciąż brzmiało nagranie tych samych węgierskich głosów.

Przy końcu wąskiego przejścia znajdował się jeszcze jeden strażnik. Gdy niewielka grupa przybyszów skierowała się ku niemu, dźwignął się z metalowego, składanego krzesła. Kiwnięciem palca Lumani nakazał mu otworzyć ostatnią celę i mężczyzna wyciągnął z kieszeni łańcuch, z którego wybrał odpowiedni klucz.

Szczęk metalu rozniósł się echem w ciasnym korytarzu i po chwili drzwi stały otworem. Munroe pochyliła głowę, aby zmieścić się w niskim wejściu, ale Lumani powstrzymał ją gestem ręki. W tym samym momencie obok jej nogi przeleciała łyżka, a chwilę później dosięgła ich seria bełkotliwych przekleństw.

Głos z całą pewnością był kobiecy. Akcent wskazywał na mieszkankę Zachodniego Wybrzeża USA, ale to, co Munroe poczuła, kiedy stanęła w progu celi, dało się porównać jedynie z odrażającym fetorem chlewa.

Lumani nie ruszył się z miejsca. Razem z obstawą został na korytarzu i pozwolił Munroe wejść do środka samej. Usłyszała za sobą pstryknięcie przełącznika i słaba żarówka rzuciła makabryczne światło na brudną istotę, która wycofała się pod ścianę. Zapachy nieczystości i zgnilizny przyćmiewały tu woń wilgoci i pleśni. Zamiast zjadać to, co jej przynoszono, dziewczyna rzucała jedzeniem, głównie w kierunku drzwi. Munroe przysunęła się, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

Dziewczyna była przykuta do ściany. Obręcz wokół kostki połączono łańcuchem z metalowym kółkiem w murze – jak w cholernym średniowieczu. Nie mogła się odczołgać dalej od gąbki, która zastępowała jej łóżko, i zmuszona była załatwiać się tam, gdzie spała. Miała cuchnące, poplamione i porwane ubranie, rozczochrane włosy, a twarz i ręce umazane tak, że nie dało się stwierdzić, jakiego koloru była jej skóra.

Kiedy oczy małej więźniarki przywykły do światła, zaczęła sunąć w stronę gościa, bluzgając oryginalnymi przekleństwami. W miarę jak się zbliżała, smród stawał się coraz bardziej nieznosny i Munroe z trudem zapanowała nad odruchem wymiotnym. Nagle dziewczyna skoczyła ku niej, ale krótki łańcuch szarpnął ją do tyłu. Munroe była tuż poza zasięgiem szponiasto zagiętych palców. Brudna istota klęła i wyła, szarpiąc kajdany z wściekłością i cierpieniem dzikiego zwierzęcia, które ktoś zamknął w klatce.

Patrząc na to, Munroe poczuła pod powiekami piekące łzy gniewu i bezsilności. W innych okolicznościach jej gwałtowna natura wybuchłaby z całą mocą w obronie tej dziewczyny. Gdyby nie zdołała nad sobą zapanować – tak jak wcześniej w korytarzu i w gabinecie na górze – zniszczyłaby ludzi, którzy za to odpowiadali.

Niewinne ofiary.

Aby ocalić Logana, musiała pozostawić dziewczynę losowi, jaki zaplanował dla niej Lalkarz.

Gdyby chciała ją uratować, musiałaby zawieść Logana. Pierwsza fala poczucia klęski dosięgła skraju duszy, ochlapując falochrony myśli i domagając się, aby ją wpuścić. Munroe była więźniem w tej samej historii, zakutym w jednakowo mocny łańcuch i otoczonym grubymi murami.

Odwróciła się. Zobaczyła już to, co chciała.

Na korytarzu, gdzie powietrze przesycone zapachem środka dezynfekującego wolne było od wywołującego mdłości, odrażającego fetoru, wreszcie zdołała odetchnąć. Nikt się nie odezwał, ani strażnicy, ani Lumani. Ten ostatni jedynie kiwnął głową w stronę schodów i Munroe skierowała się ku nim.

Za sobą usłyszała głuchy odgłos gumowego węża spadającego na betonową podłogę, skrzypienie opornego kranu i szum wody. Po chwili

dołączył do tego krzyk dziewczyny – świdrujące zawrodozenie, które szarpało za trzewia.

Tym razem, gdy weszli na górę, Lumani nie zaprowadził Munroe do gabinetu z lalkami, tylko w przeciwną stronę, do niewielkiego pomieszczenia, które okazało się łazienką. Znajdowały się tam jedynie muszla sedesowa i zlew, nad którym wisiało stare lustro z plamami przebarwień. Kolejne kiwnięcie palca – zamiast słów – przywołało chłopca, z niewielkim, tekturowym pudełkiem.

Lumani wziął je, sprawdził zawartość i podał Munroe.

Nie ruszyła się.

– To do włosów – wyjaśnił. Przez chwilę milczał, a potem wskazał łazienkę i dodał: – W twoich rękach to lustro może się stać niebezpieczną bronią, mam rację? Mogłabyś mnie zabić. I jeszcze kilku innych. Mimo to zaryzykuję. Rozumiesz chyba, że jeśli coś zrobisz, Logan będzie cierpiał?

Munroe powoli kiwnęła głową, patrząc mu prosto w oczy.

– Mój wuj surowo rozprawia się z tymi, którzy go zawodzą – powiedział. – Czy to jasne?

Ten młokos, ten cały Lumani – gówniarz jeszcze – nie miał prawa wymawiać imienia Logana, szastać nim tak lekceważąco i poufale, jakby był jakimś dawnym znajomym.

Munroe wzięła pudełko, odwróciła się do niego plecami, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

W środku osunęła się na podłogę. Czarna przepaść wabiła ją, kusiła, aby zapuścić się w mroczne głębiny, gdzie sumienie i ból nie istnieją.

Dłońmi zakryła głowę i przywarła twarzą do kamiennej posadzki, wyjąc bezgłośnie. Z całych sił opierała się tej czerni. Przez dziewięć miesięcy rozsmakowała się w szczęściu. Po raz pierwszy poczuła, czym jest spokój i jak wygląda normalne życie. Przez dziewięć miesięcy kipiel gniewu i przemocy, która kształtowała jej los przez tyle lat, wreszcie

ucichła. A teraz ci, którzy nie mieli do tego żadnego prawa, bezkarnie wyrwali ją z nowo odkrytej harmonii i wciągnęli w sytuację bez wyjścia. Cokolwiek miała zrobić – cokolwiek wybrać – ścieżka i tak wiodła z powrotem w otchłań szaleństwa.

Oddychała szybkimi haustami. Potrzebowała czasu do namysłu, aby poukładać w głowie detale, które nie miały sensu. Musiała znaleźć jakiś sposób na skontaktowanie się z Bradfordem, zawiadomić go, że musi znaleźć Logana, aby uwolnić ją z kajdan, dać jej wybór, zyskać dla niej więcej czasu.

Lumani głośno zastukał do drzwi.

– Chwila – odparła. – Najpierw musiałam skorzystać z toalety.

Podniosła się i spuściła wodę. Z pudełka wyjęła maszynkę do strzyżenia. Znalazła gniazdko i podłączyła urządzenie. Ci ludzie wiedzieli, co ją napędza i co ma dla niej największe znaczenie.

Zdawało się, że wiedzą o niej wszystko, a zarazem nie podejrzewali nawet, że rozumie ich mowę.

Dlaczego? Albania i Macedonia sąsiadowały ze sobą. W Macedonii często słyszało się język albański, zwłaszcza w przygranicznych miastach. Tak podstawowego błędu raczej nie popełniłby nikt w tej części świata, chyba że wszystkie informacje o niej pochodziły od kogoś, kto nie zdawał sobie sprawy z następstw tutejszych wojen, przebiegu granic oraz znaczenia trwającego od wieków konfliktu.

Munroe włączyła maszynkę i spojrzała na swoje pęknięte odbicie. Wprawnymi ruchami kogoś, kto robi to nie po raz pierwszy, zaczęła przesuwać trymerem od czoła w tył i od boku ku górze, odpowiednio regulując wysokość strzyżenia. Pasma ciemnych włosów spadały do zlewu. Po chwili z lustra zaczerwienionymi oczami patrzył na nią młody mężczyzna z wojskową fryzurą, ubrany po cywilnemu.

Umiejętność wcielania się w role obu płci i łatwość zmieniania tożsamości, zależnie od potrzeb, była jej narzędziem pracy. Korzystała z

niej od tak dawna, że przychodziło jej to bez wysiłku. Porywacze wiedzieli o tym, tak jak o jej zdolnościach językowych – i zamierzali to wykorzystać.

Wiedzieli.

Munroe wyprostowała się i schowała maszynkę.

Z pudełkiem w ręku wciąż przyglądała się swojemu odbiciu, kiedy Lumani otworzył drzwi. Nawet nie zapukał. Odwróciła się do niego. Jej oczy jako ostatnie oderwały się od lustra.

Przystanął niepewnie w progu. Wyraz zaskoczenia na jego twarzy szybko ustąpił uśmiechowi, który powoli stawał się coraz szerszy, w miarę jak Lumani przyglądał się jej z tą samą nieskrywaną ciekawością, z jaką patrzył na nią wcześniej w celi. W końcu kiwnął głową, wyraźnie zadowolony.

– Maszynka – powiedział i Munroe oddała mu pudełko. – Teraz idź do mojego wuja – nakazał.

Pojęła, że w pokrętnych realiach tego zwariowanego świata brudna istota w podziemiach była lalką, o której wcześniej mówił Lalkarz.

Arben i jego bezimienny kompan ponownie ustawili się za nią, aby towarzyszyć jej w krótkiej drodze do gabinetu. Jej umysł rejestrował wszystko, tak jakby przemierzała ten odcinek w zwolnionym tempie. Chłoneła detale stanowisk pracy – miniaturowe palniki, ostre narzędzia, meble. Wszystkie aż się prosiły, żeby ich użyła i wyrwała się stąd. Tym razem jednak instynkt przetrwania i przemoc, do której ją pchał, były daremne, bo jak łańcuch zaciskający się na szyi podwórzowego psa powstrzymywał ją Logan. Zawsze Logan.

Lalkarz wstał, gdy Munroe weszła do gabinetu. Z galanterią człowieka minionej epoki ponownie wskazał jej jedno z krzeseł z wysokimi oparciami, naprzeciwko biurka. Zaczekał, aż usiądzie, i dopiero wtedy wrócił na swój fotel.

– Znakomicie – powiedział, pokazując jej włosy. – Iluzja jest lepsza, niż przypuszczałem – przyznał, wygładził krawat i oparł dłonie na biurku, splatając palce. – Widziała pani przesyłkę.

– Tak – potwierdziła. – Mam pytania.

– W takim razie napijmy się kawy i porozmawiajmy.

Sięgnął po słuchawkę telefonu.

– *Mala, donesi nam dvije kave, brzo. I to najboljem porculanu kojeg imaš, čuješ?*

Nie angielski, nie albański i nie macedoński – ale blisko. W myślach odnotowywała kolejne informacje. Podobnie jak ona, ten mężczyzna znał wiele języków, i tak jak w jej przypadku, nie miało to nic wspólnego z jego pochodzeniem.

Rozległo się pukanie, a potem ciche skrzypnięcie drzwi. Lalkarz wykonał zdawkowy gest i do gabinetu weszła młoda kobieta, niosąc srebrną tacę z porcelanowym serwisem. Munroe i gospodarz przyglądali się sobie nawzajem. Żadne nie odwróciło wzroku, podczas gdy kobieta rozstawiała filiżanki i spodki, tak jakby byli w Ritzu, a nie w alternatywnym świecie, w którym szaleniec porwał Logana, i chcąc ratować przyjaciela, Munroe musiała pogwałcić wszystkie swoje zasady, żeby dostarczyć dziewczynę... No właśnie, dokąd?

Kiedy znowu zostali sami, Lalkarz z namaszczeniem napełnił jedną filiżankę i dodał śmietankę oraz cukier. Widząc, że gość nie zamierza pójść za jego przykładem, nalał kawę do drugiej filiżanki, upił z niej łyk, a następnie postawił przed Munroe.

– Nic w niej nie ma – zapewnił. – A zatem słucham, jakie ma pani pytania?

– Dokąd mam dostarczyć przesyłkę? I jak?

– Pojedziecie samochodem. To podróż na cały dzień, może nawet dwa, zależnie od okoliczności.

Okoliczności. Miała omijać patrole graniczne, unikać policji i nie zwracać niczyjej uwagi, wioząc na przednim fotelu dzikuskę. A może

planowali zapakować ją do bagażnika?

– Jutro pozna pani wszystkie szczegóły – obiecał – oraz zasady. Potem przesyłka będzie już pani problemem.

– Ma pan ludzi – stwierdziła. – I broń. Nie potrzebuje mnie pan do tej roboty. Po co zadawać sobie tyle trudu, ponosić takie koszty i ryzyko, żeby mnie uprowadzić, przetransportować za ocean i zlecić mi przewiezienie dziewczyny – przesyłki – do miejsca, które jest o dwa dni drogi stąd? Dysponuje pan wszystkim, czego potrzeba do wykonania zadania.

Lalkarz odstawił filiżankę i westchnął.

– Moja droga, miałem już z tym tyle kłopotów, tyle kłopotów. Problemy z dostawą. Problemy z klientem. Problemy z przesyłką. Stanowczo za wiele komplikacji i za duże zainteresowanie. Nie zamierzam ryzykować dobrego imienia oraz reputacji całej organizacji, dlatego to pani musi ją dostarczyć na miejsce.

Munroe podniosła filiżankę z kawą, oparła łokcie o blat i zerknęła na mężczyznę znad krawędzi porcelany. Na jego polecenie strzelano do niej, odurzono ją środkami usypiającymi i uprowadzono. Z Logana zrobił zakładnika, żeby zapewnić sobie jej posłuszeństwo. A teraz serwował jej kawę w pieprzonej porcelanie i zwracał się do niej „moja droga”. Miała wrażenie, że ocknęła się w pełnym lalek świecie rodem z obrazów Salvadora Dalego.

Dmuchnęła na parujący płyn.

– Nie zdołam przewieźć jej w obecnym stanie. Nawet jeśli zamkniecie ją w bagażniku.

Uśmiech Lalkarza był karcący i zarazem pobłażliwy.

– Sprowadziłem ją na specjalne zamówienie – wyjaśnił. – Nigdy nie wysłalibyśmy klientowi lalki w takim stanie. O ten szczegół zadbamy. Kiedy się z nim uporamy, przesyłka stanie się pani problemem.

– Kim ona jest? – spytała Munroe.

- To Neeva Eckridge - odparł.

Długo siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad ironią i przekleństwem losu. Aby ocalić człowieka, który znaczył dla niej więcej niż życie, była zmuszona zdradzić dziewczynę, którą miała obowiązek - moralny oraz wynikający z umowy - uratować.

- Handel ludźmi jest poważnym przestępstwem - powiedziała. - Cały świat szuka Eckridge. Gdyby mnie złapali, trafiłabym do więzienia na wiele lat. Może tamten człowiek z nagrania nie jest dla mnie aż tak ważny? Albo los tej dziewczyny nie obchodzi mnie aż tak bardzo? Co zrobicie, jeśli zwyczajnie wypnę się na wszystko?

Uśmiech Lalkarza przygasł odrobinę. Wstał, okrążył biurko i podszedł do stolika za jej plecami. Wziął stamtąd jedną z lalek i wrócił na miejsce, trzymając ją tak, jak zwykle trzyma się kota.

- Hm... W końcu zacznie pani zależeć - powiedział. - Jak nie na tym, to na kolejnym albo jeszcze innym...

Pogładził włosy lalki i przeciągnął opuszkami palców po sukni z misternej koronki.

- Piękna, prawda? Dla mnie to ideał. Na specjalne zamówienie. Tak jak przesyłka na dole. Nie miałem pojęcia, ile kłopotów sprawi nam ta dziewczyna. Dostawa już jest opóźniona. Pani musi to naprawić.

- Nie potrzebujecie mnie do tego zlecenia - powtórzyła jeszcze raz Munroe.

Z ust Lalkarza nie schodził uśmiech. Nie odrywał wzroku od swojego dziecka-zabawki.

- Nie spodobałyby się pani konsekwencje - powiedział i wreszcie spojrzał jej w oczy. - Lepiej ich uniknąć. Wszystkim będzie przyjemniej.

- Dlaczego akurat ja? - wyszeptała.

- Już to wyjaśniłem. Ma pani dług, więc wymiana jest sprawiedliwa. Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć?

– Może byłabym bardziej skłonna podjąć się zadania, gdybym wiedziała, o jakim długu mowa.

– A co jeszcze można na ten temat powiedzieć? Przez panią osobą, która reprezentowała moje interesy w Ameryce, trafiła do więzienia. – Lalkarz umilkł, pochylił się nieco do przodu i po chwili podjął wyjaśnienia, mówiąc powoli, jakby wyjaśniał zagadnienia fizyki kwantowej czterolatce. – Brak pośrednika pociąga za sobą problemy logistyczne. To z kolei prowadzi do strat finansowych. Sprawa jest w zasadzie dość prosta. Pani zadaniem jest zarobienie dla mnie tego, co straciłem. Przesyłka ma wielką, naprawdę wielką wartość. Dostarczy ją pani i będziemy kwita.

Munroe westchnęła i pozwoliła mu na chwilę triumfu – satysfakcji z tego, że ją pokonał.

– W porządku – powiedziała.

Bardzo niewiele osób wiedziało, kim jest i jak do niej dotrzeć. Jeszcze mniej rozumiało, jaka więź łączy ją z Loganem, lub miało odwagę ją wytropić. Wystarczyło dorzucić do tego wzmiankę o amerykańskim pośredniku, a od razu przypomniała sobie Katherine Breeden. Wreszcie ją olśniło. Już wiedziała, kim jest ten szalony starzec. Pamiętała dokumenty zdobyte przez Bradforda. Pamiętała handlarza, który przebierał kobiety za lalki. Dotarło do niej, że wszystkie bliskie jej osoby są w niebezpieczeństwie. Tylko godząc się na warunki stawiane przez tego człowieka, mogła zyskać na czasie. Myślami wróciła do Logana. Bagno wciągało ich powoli i ta świadomość sprawiła, że zrobiło jej się ciężko na duszy.

Rozdział 8

Drzwi odsunęły się z metalicznym szcęknięciem, wpuszczając do środka mniej stęchłe powietrze i zbyt dużo światła. Serce Neevy zabiło gwałtownie. Minęło najwyżej pięć minut, odkąd tamten ktoś... on lub ona... ta dziwna osoba przyszła się pogapić. Nigdy nie odwiedzano jej tak często.

Zacisnęła zęby i przysiadła w kucki, czekając, co się wydarzy.

No dalej, chamoły, miejmy to z głowy. Banda zboczeńców i maniaków. Wnieście tacę z jedzeniem, spuście spodnie, a potem pogapcie się na skutą małolată i ulżycie sobie.

Pytania i prośby tu nie pomagały. Nawet łzy żalości nic nie dały. Zresztą te bydlaki nie znały angielskiego.

Obrzucała ich najbardziej ohydnyimi wyzwiskami, a i tak nie reagowali – oprócz tego ładnego. Raz się uśmiechnął, kiedy popisała się wyjątkową kreatywnością, ale to było szesnaście posiłków wstecz i od tamtej pory go nie widziała, aż do dziś, gdy przyprowadził ze sobą tego... kogoś.

Może właśnie ta osoba wszystkim kierowała.

Może wiedziała, dlaczego ją tu trzymają.

A może już wytłumaczyli jej powody w swojej bełkotliwej mowie, tylko ona nic nie rozumiała. Nie, to było mało prawdopodobne. Niewiele gadali, kiedy robili sobie dobrze, a jak już któryś z tych jaskiniowców się odzywał, to padały warkliwe polecenia, których nie rozumiała, albo przekleństwa, których sensu potrafiła się domyślić, nawet nie znając języka.

Przecież nie ściągnęli jej tu tylko po to, żeby karmić ją obrzydliwym żarciem i się masturbować, nawet jeśli zdawali sobie sprawę, kim jest. Miała już do czynienia z szalonymi fanami, a nawet psychologami. Czasem dostawała pocztą obrzydliwe rzeczy. Tym razem jednak, wszystko jedno, z której strony do tego podchodziła – a miała mnóstwo czasu na

myślenie – w żaden sposób nie pasowało jej to na fana-psychologa-nożownika-mordercę-prześladowcę-totalnego odchyła.

Kopała, wyrywała się, gryzła i wrzeszczała, ale ani razu jej nie uderzyli. Widziała, że mają ochotę – czasem nawet myślała, że to zrobią – ale zemścili się inaczej. Zabrali jej wiadro, które zastępowało ubikację, i skrócili łańcuch, tak że nie mogła dosięgnąć odpływu kanalizacji w kącie celi.

Tego się nie spodziewała.

Potem zabrali jej koce. Bez nich ciągle się trzęsała.

Jedyną pozytywną stroną – jeśli taka w ogóle istniała – było to, że im gorzej śmierdziała, tym częściej zostawiali ją w spokoju. Naliczyła już pięć posiłków, odkąd ostatni raz jeden z tych bydlaków spuścił przy niej spodnie. Wcześniej wystarczał im sam widok jej skutej i upokorzonej, żeby się podniecić. Ale teraz, kiedy tak cuchnęła? Już nie.

Dupki.

W progu pojawił się czyjś cień, ale nikt nie wszedł do celi.

Neeva czekała. W końcu podchodzili bliżej. Zawsze.

Przy otwartych drzwiach bezustanne gadanie w korytarzu brzmiało jeszcze głośniej. Przypominało to jakieś lekcje, czy coś w tym rodzaju. Najpierw słowa po angielsku, a potem w innym języku, na przemian. W kółko to samo ple-ple puszczane non stop co najmniej od czterech posiłków. Prawdę mówiąc, wołała to od sporadycznego płaczu, który docierał do niej wcześniej. Szlochy i krzyki. Głosy dziewczynek albo nastolatek. Czasami wydawały się starsze. Protestowały przeciwko innemu piekłu od tego, które przechodziła ona. Ból, rozpacz, beznadzieja. Żadna nie wołała po angielsku. Pojawiały się i znikwały, zwykle w odstępach pięciu lub sześciu posiłków, aż w końcu nie było już żadnego płaczu, tylko lekcje jakiegoś języka i chyba ktoś w celi u wylotu korytarza.

Sylwetka strażnika ponownie przesłoniła światło. Tym razem trzymał jakiś zwój... Sznur? Nie, gumowy wąż. Neeva czekała, aż się zbliży, ale tego nie zrobił. Znali już jej metody. Wiedzieli, co potrafi, i ten nie zamierzał wystawiać się na cel.

Szybkim ruchem dłoni mężczyzna-cień wycelował końcówkę węża i nagle uderzyła w nią woda. Zimny strumień wywołał szok i ból. Wrzasnęła. Silna struga chlusnęła jej prosto w twarz. Strażnik celował nie tylko w nią. Polewał też ściany i podłogę, tak jakby zamierzał zmyć cały syf i smród do kratki ściekowej w kącie, jak dozorca w zoo czyszczący klatki zwierząt.

Gwałtownie łapała powietrze i się krztusiła, ale kiedy strumień zsunął się na jej pierś, znowu zaczęła krzyczeć. Nic to nie pomogło. Woda przestała płynąć, dopiero gdy wszystkie ściany i podłoga były mokre, ubranie zupełnie oblepiło jej ciało, a materac zmienił się w ciężką, nasiąkniętą gąbkę.

Cień zakręcił kurek i znikł, zabierając wąż. Po chwili wrócił. Tym razem wszedł do celi i zbliżył się do niej. Starła się odczołgać jak najdalej, ale była przykuta łańcuchem, obolała i rozdygotana. Nie miała nic, czym mogłaby w niego rzucić. Chwycił ją za głowę. Próbowwała się wyrwać. Na siłę rozwarł jej szczęki. Starła się go ugryźć. Strzyknął jej w usta jakimś płynem i po chwili osunęła się bezwładnie.

Stał i patrzył, jak dygocze na przemoczonym materacu. Wlepiała w niego wzrok. Miała wrażenie, że wszystko wokół się rozciąga i wykrzywia. Wreszcie się odezwał. W jego głosie brzmiała odraza i choć Neeva nie rozumiała słów, doskonale pojęła ich sens: *No i co? Już nie jesteś taka twarda, cuchnąca dzikusko.*

Rozdział 9

Gatesville, Teksas

Mijała dziewiąta rano, kiedy Bradford wjechał na parking przy więzieniu Mountain View. Nie miał żadnego powodu, aby zjawić się tu niemal bez uprzedzenia, i to w zwykły dzień tygodnia, poza godzinami odwiedzin. Jadąc tu wczoraj wieczorem, przez półtorej godziny wisiał na telefonie, i jeszcze dwie z samego rana. Załatwiał i kombinował, żeby go tu wpuszczono.

Dotarł na miejsce dopiero o dwudziestej drugiej. Kilka godzin do świtu spędził w pobliskim hotelu, próbując odpocząć, ale jego umysł nie chciał się wyłączyć. Bezustanne powtórki zapamiętanych obrazów i poczucie winy. Prawdopodobieństwo i powiązania. Pytania, na które nie znał odpowiedzi. Wszystko zlewało się w jedno grzaskie bajoro, aż w końcu wstało słońce.

Wyłączył silnik. Zanim wysiadł z wozu, opróżnił kieszenie, wrzucając wszystko, łącznie z komórką, do schowka w panelu deski rozdzielczej. Ze sobą zabrał tylko dokumenty. Pozostałych przedmiotów i tak nie mógłby wnieść na salę widzeń, a zbędne rzeczy tylko spowolniłyby przejście przez kontrolę osobistą.

Chwilę zwlekał, zanim zatrzasnął drzwi. Wahał się, jak to rozegrać. Nie obawiał się tego, co usłyszy. Bał się raczej, że całe wysiłki i długa podróż nie pomogą mu zdobyć potrzebnych informacji. Wiedział, że tu znajdzie odpowiedzi, ale choć naczelnik więzienia w drodze wyjątku udzielił mu zezwolenia na widzenie, nie miał pewności, czy Katherine Breeden zechce się z nim spotkać.

Breeden była prawniczką – cholernie dobrą. Dokładna, rzeczowa, błyskotliwa, serdeczna... i bezwzględna. Odsiadywała wyrok za morderstwo, którego nie popełniła. Trafiła tu nie dlatego, że zabrakło jej sprytu, aby się wyplątać z systemu więziennictwa. Zdołałaby to

zrobić równie szybko, jak tu trafiła, tyle że Bradford się postarał, aby nawet nie próbowała.

Dokonanie tego zabrało mu dziesięć minut. Dosłownie. Wystarczyła jedna rozmowa, która założyła pętlę na szyję tej kobiety i już w areszcie zacisnęła ją niebezpiecznie. Wyznaczono astronomiczną kaucję, aby nie mogła jej zapłacić i zbiec. Za kratkami czekała na rozprawę, której termin ogromnie przyspieszono. Wtedy Bradford widział ją po raz ostatni. Nie miał pojęcia, czego może się teraz spodziewać ani jak wydobyć to, na czym mu zależało, od osoby, którą szantażem zmusił do milczenia.

Na pewno podejrzewała, że on się zjawi.

Po co komu tak diaboliczna inteligencja, jeśli wokół nie ma nikogo, kto by ją podziwiał? Wprawdzie nienawidziła Bradforda, ale jednocześnie należał do wąskiego grona osób, przed którymi nie musiała kryć swojego triumfu. Możliwe, że był jedynym, który mógł w pełni docenić wytrwałość i upór, jakich potrzebowała kobieta w jej położeniu, aby przygotować zemstę – jeśli oczywiście miała coś wspólnego z porwaniem Munroe.

Musiała mieć.

Breeden wzięła na siebie winę za zbrodnię, której nie popełniła. Parafrazując słowa dawnego znajomego Bradforda, ryzykowała życie w więzieniu, aby ocalić je przed czymś, czego obawiała się jeszcze bardziej. Pamiętał nazwiska z tamtych faktur opłaconych kartą kredytową i wiedział, że ludzie, dla których Breeden milczy – ci, których się boi – prędkiej porąbią winowajcę na kawałki, niż dopuszczą do zdrady i konsekwencji ujawnienia ich operacji.

Zlecenie, którego Munroe podjęła się w Afryce, miało swoje następstwa. W ostatniej odsłonie tego przedstawienia udało im się dotrzeć do dokumentów, które ujawniły istnienie spółek-wydmuszek, układów i mechanizmów przestępczej organizacji. Na jej czele stał

mężczyzna znany jedynie jako Lalkarz. Organizacja ta zajmowała się handlem ludzkimi duszami.

Tutaj, w Stanach Zjednoczonych, właśnie Breeden umożliwiła jej działanie.

Bradford przypadkiem odkrył powiązania z siatką przestępczą tuż przed aresztowaniem prawniczki. Informacji zawartych w dokumentach, które pokazał poprzedniego dnia Walker i Jahanowi, użył, żeby zmusić tę kobietę do kapitulacji. Całe dossier dochodzeń i brudów ujawniało sieć stworzoną przez Breeden w Stanach, która mackami podejrzanych umów sięgała dalej, do Europy, kreśląc powiązania między pozornie legalnymi firmami w USA a światową organizacją, która sprzedawała dziewczęta jako seksualne niewolnice.

Informacje Bradforda nie były na tyle konkretne, żeby traktować je jak niezbite dowody, ale wystarczyły, aby zwrócić uwagę na organizację, która dotąd operowała na arenie międzynarodowej niewidzialna i bezkarna. Właśnie te dokumenty Miles pokazał Breeden i zagroził, że ujawni je w jej imieniu. Prawniczka zdawała sobie sprawę, że gdyby to zrobił, ludzie, z którymi wcześniej współpracowała, uciszyliby ją na zawsze.

Taki szantaż był niemal równoznaczny z grożeniem śmiercią, ale Bradford osiągnął cel. Breeden nie puściła pary z ust. Wciąż nie miał pewności, czy od początku wiedziała, kim są jej klienci i że handlują życiem. Nie wykluczał nawet, że nieświadomie zgodziła się pośredniczyć w przestępstwach i dopiero od niego dowiedziała się o całym procederze.

Wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Breeden maczała palce w innych brudnych sprawach i choć nie dopuściła się morderstwa, z całą pewnością nie była niewinna.

Bradford w końcu zatrzasnął drzwi samochodu i ruszył do budynku. Najpierw musiał przejść przez procedury kontroli i detektory metalu.

Dopiero potem wpuszczono go do sali widzeń, gdzie osoby, których nie skreślono z listy odwiedzających, mogły przez szybę rozmawiać z więźniami.

Wciąż nie rozumiał natury wcześniejszych układów Breeden z Lalkarzem, ale zjawił się tu, bo wydarzenia poprzedniego dnia były zbyt dobrze zaplanowane i perfekcyjnie skoordynowane, aby mógł je uznać za przypadkowe. Ten, kto przewodził tamtym kanaliom, miał dobrego informatora, a Kate Breeden była jedyną osią, wokół której mogły się kręcić wszystkie elementy. Bradford zakładał, że jeśli prawidłowo złożył układankę, prawniczka zechce się z nim spotkać, choćby po to, żeby triumfalnie patrzeć na jego porażkę. Być może dzięki jej słabości do pychy miał szansę poznać odpowiedzi na pytania.

Jeden ze strażników wskazał mu krzesło. Po drugiej stronie szyby już czekała Breeden. Uśmiechnęła się, gdy go zobaczyła. Nie dostrzegł w jej uśmiechu ani zadowolenia, ani wyniosłości. Raczej coś na kształt ulgi, że widzi człowieka spoza tych murów – nawet tak znienawidzonego – bo jakikolwiek odwiedzający był lepszy niż nikt.

Nie czekała, aż on odezwie się pierwszy. Nie dała mu nawet wygodniej usiąść i przyłożyć słuchawki do ucha.

– Miles, co za miła niespodzianka – zaczęła. – Oczywiście wiedziałam, że w końcu mnie odwiedzisz, ale nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

Przywitanie – którego pierwsze słowa wyczytał z ruchu jej warg – odebrało mu nadzieję. Przyjechał, aby się przekonać, co ona wie i jaki miała udział w ostatnich wydarzeniach. Długo rozważał, od czego powinien zacząć, jaką linię obrać. Miał nadzieję, że zdoła wyjaśnić swoją obecność w więzieniu, nie odstawiając wszystkich kart. Tymczasem ona od razu zbiła go z tropu.

Wyraz jego twarzy chyba zdradził zaskoczenie.

Breeden się roześmiała.

– Miles, daj spokój, nie udawaj naiwnego. Skoro miałeś dość rozumu, żeby tu przyjść, na pewno podejrzewałeś, że się ciebie spodziewam.

Przełknął gorycz i odczekał sekundę.

– Co zrobiłaś, Kate?

Uśmiechnęła się jak kot z Cheshire.

– To zbyt ogólne pytanie. Kryje tak wiele potencjalnych niespodzianek. Lepiej chyba mówić o konkretach, nie sądzisz, mój drogi?

– Oboje wiemy, dlaczego tu jestem i jakimi materiałami dysponuję, więc od razu przejdźmy do rzeczy.

Sztuczny uśmiech znikł.

– Rozumiem – stwierdziła, odsuwając się od szyby. – Widzę, że serdeczność nie jest twoją mocną stroną. Przyjemnie mieć towarzystwo, ale jeśli nie potrafisz się zdobyć na uprzejmość, i nie zamierzasz się nawet wysilić, aby przeciągnąć spotkanie komplementami lub rozmową o pogodzie, to nie mam ci nic do powiedzenia.

Nie odkładając słuchawki, wstała.

– Jak was tu karmią? – spytał.

Breeden znowu się roześmiała.

– To już lepiej – stwierdziła, ponownie siadając. – Jedzenie jest obrzydliwe, ale dziękuję, że pytasz.

– Podoba mi się twój nowy styl ubierania się. Pasuje ci.

– Hm, teraz przeginasz.

– Masz miłe współlokatorki?

Westchnęła i zadarła głowę, tak jakby wydychała dym papierosowy.

– Na studiach miałam gorsze.

– Gdzie jest Logan?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak już dobrze nam szło, a ty psujesz całą zabawę. – Umilkła na moment i zrobiła minę, jakby kwestia Logana ją nudziła. – Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznała.

– Ale wiedziałaś, że go zgarną?

– Daj spokój. Skąd? Przecież w ogóle stąd nie wychodzę...

– Posłuchaj, Kate. Nie jestem tu po to, żeby cokolwiek udowodniać lub obalać. Niczego nie nagrywam, nie robię notatek, nie zamierzam nikomu powtarzać tego, co powiesz, ani jeszcze bardziej uprzykrzać ci życia. Chcę tylko znaleźć Michael. Ludzie, którzy zabrali Logana, połamali mu kości. Jest ranny i mocno krwawi. Mam to wszystko na nagraniu. Muszę go znaleźć, zanim go zabiją. Wiesz, gdzie go trzymają?

– Nie.

– I nie obchodzi cię to?

– Nie za bardzo.

– Miałaś z tym coś wspólnego?

Wzruszyła ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? I tak siedzę za kratkami, nie?

Uśmiechnęła się irytująco i w tym momencie Bradford wszystko pojął. Raz jeszcze porównał w myślach pozornie odrębne fakty i wydarzenia. Teraz wreszcie miało to sens. Już rozumiał, skąd ludzie, którzy uprowadzili Munroe, wiedzieli, gdzie jej szukać.

– Skierowałaś do mnie Tisdale'ów, żeby dotrzeć do Munroe, tak?

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się jeszcze szerzej, tak jakby się cieszyła, że wreszcie dostrzegł jej geniusz.

– Oni ją zabiją – powiedział Bradford. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Może – odparła. – Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim wpakowałeś mnie do celi, sądząc, że w ten sposób ją ochronisz.

– Nie jesteś tutaj przeze mnie.

– Ale ty się postarałeś, żebym nie mogła stąd wyjść – stwierdziła i raz jeszcze wypuściła powietrze, tak jakby wydmuchiwała z ust dym. – Zawsze ktoś musi przegrać, Milesie, i tym razem nie będę to ja.

– Pamiętaj, że wciąż mam tamte materiały.

Ponownie się uśmiechnęła, tym razem z okrutną pogardą.

– Na tym właśnie polega problem z takimi jak ty. Nieugięci twardziele, którzy tylko rwą się do strzelania – podsumowała. – Jesteś głupi i krótkowzroczny. Zupełnie nie rozumiem, co Michael w tobie widzi. Nie dorastasz jej do pięt. – Breeden odłożyła słuchawkę na blat i odsunęła się od szyby. Długo patrzyła na Milesa, zanim ponownie sięgnęła po aparat. – Wiesz, dlaczego Michael ze mną pracowała?

– Tak, wiem – przyznał Bradford.

– Nie pozwalała, aby nasze relacje stały się bardziej zażyłe, bo jestem prawnikiem, a nie żadną przyjaciółką ani zastępczą matką...

– Wiem, dlaczego z tobą współpracowała, Kate – przerwał jej. – Mówisz o tym, bo sprawia ci to satysfakcję?

Breeden zachowywała się tak, jakby w ogóle go nie słyszała.

– Jestem tak samo twarda i cwana jak ona, Milesie. Lepiej o tym nie zapominaj. – Zrobiła pauzę i spojrzała mu prosto w oczy. – Teraz już nic mi nie zrobisz. Jeśli tamte informacje wyjdą na jaw, oni będą wiedzieli, że to nie ja.

Bradford pochylił się w stronę szyby.

– Jeśli naprawdę tak sądzisz, to chyba nic nie stracisz, mówiąc mi, dokąd ją zabrali.

Przewróciła oczami.

– Jesteś taki niedomyślny. Przecież masz informacje. Od początku je miałeś. Bądź grzecznym chłopczykiem i sam trochę pokombinuj.

Chwilę zczekał, aż piekąca frustracja osłabnie, i dopiero wtedy powiedział spokojnie, bez emocji:

– Masz rację, nie jestem szczególnie bystry. Może powinienem zwrócić się do kogoś mądrzejszego, żeby pomógł mi to zrozumieć... na przykład do mediów i policji.

Znowu się roześmiała.

– Drogi Milesie, naprawdę postanowiłeś mnie dzisiaj rozerwać. Już raz miałeś okazję mnie zniszczyć. Jesteś dobry, ale nie aż tak. Już nie masz na mnie wpływu, a twoja krótkowzroczność jest śmieszna i zarazem żalosna. Miotasz się to tu, to tam. Tak bardzo skoncentrowałeś się na Loganie, że w ogóle nie jesteś w stanie spojrzeć na wszystko z dystansu. Nawet gdybym chciała, nie zdołałabym pomóc komuś tak beznadziejnie niepojętnemu. – Umilkła na moment i z rozmysłem pokiwała głową. – Nie marnuj tej odrobiny czasu, jaka ci jeszcze została – oznajmiła i odłożyła słuchawkę. Nie patrząc na niego, wstała i ruszyła do strażnika po drugiej stronie szyby.

Bradford odprowadził ją wzrokiem i dopiero gdy znikła mu z oczu, podniósł się z krzesła. Nie od razu opuścił więzienie. Trochę trudu i nerwów kosztowało go przebrnięcie przez biurokratyczne przeszkody, ale zyskał dostęp do rejestru odwiedzin i sprawdził, kto przyjeżdżał do Breeden. Bez trudu ustalił, z kim się kontaktowała, ponieważ w księdze figurowało tylko jedno nazwisko. Wcześniej się z nim nie zetknął.

W samochodzie na moment zamknął oczy i jeszcze raz przeanalizował rozmowę, notując niektóre rzeczy w pamięci, a inne na papierze. Zaczynał odczuwać skutki braku snu i dwudziestoczterogodzinnego stresu. Robił się coraz bardziej poirytowany. Poza tym drugi dzień miał na sobie to samo ubranie.

Ze schowka wyjął komórkę. Nieodebrane połączenie od Samantha Walker. Nie zostawiła wiadomości, tylko wysłała mu esemesa, żeby się z nią skontaktował. I jeszcze jeden telefon od Alexis, córki Tabithy, który spotęgował niepokój Bradforda. Oddzwonił do Walker dopiero z trasy, jadąc na wschód osiemdziesiątkączwórką.

– Czego się dowiedziałeś? – spytała.

– Dość, by mieć pewność, że jesteśmy na dobrej drodze – przyznał – ale za mało, żeby szukać skrótów. Jesteś w firmie?

– Będę za pięć minut. Właśnie wracam z Addison. A co?

– Chcę, żeby Jack sprawdził jedno nazwisko, przekażesz mu?

– Jasne. Ja też mam dla ciebie nazwisko – oznajmiła.

– Jakie?

– Munroe. Michael Munroe.

– Jaja sobie robisz.

– Nie. Mieli papiery na nią... a raczej na *niego*. Ten gość, który towarzyszył jej... jemu... nazywa się Valon Lumani.

Bradford zaklął pod nosem. Znał to nazwisko z materiałów, którymi szantażował Breeden. Wtedy był to jeszcze dzieciak, szkolona małpka i prawa ręka Lalkarza – osierocony siostrzeniec, którego stary wziął pod swoje skrzydła, gdy chłopak jeszcze sikał w pieluchy. To, że Lumani osobiście przyjechał po Munroe, wiele mówiło, podobnie jak fakt, że przygotowali dla Michael dokumenty, w których figurowała jako mężczyzna. Ale tym, co sprawiło, że Miles mocniej wcisnął pedał gazu, była informacja, że Lumani podróżował pod własnym nazwiskiem.

Jeśli wierzyć profilom sporządzonym w oparciu o zebrane materiały, Lalkarz był perfekcjonistą, dla którego liczył się każdy szczegół. Podobno ucinał palce, a czasem całe ręce i nogi, aby ukarać tych, którzy go zawiedli. Skoro jego siostrzeniec otwarcie użył prawdziwego nazwiska, nie bali się, że Munroe weźmie na nich odwet.

– Pamiętasz, kogo mamy teraz w rezerwie? – spytał Samanthę.

– Adamsa i Gonzaleza.

Żaden nie miał wielkiego doświadczenia w ryzykownych przedsięwzięciach, ale trzymano ich w odwodzie, na wypadek gdyby potrzebny był ktoś do pomocy. Nie zaliczali się do głównego zespołu,

ale już dość długo współpracowali z firmą i potrafili włączyć się do akcji na każdym etapie.

– Ściągnij obu. Mają być gotowi do inwigilacji – nakazała. – Są mi potrzebni do całodobowego nadzoru.

– Na jak długo?

– Tak długo, jak będzie trzeba. Zapłacę im z własnej kieszeni, więc nie zwracaj mi głowy kosztami firmy. Ty i Irek zajmiecie się rozpracowaniem wątków z tego dossier. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

– Całą noc przesiedzieliśmy nad tymi papierami – przyznała. – Do chłopaków zadzwonię, kiedy dotrę do firmy.

– Dobra, ale najpierw wyświadczyć mi przysługę i sprawdź kilka miejsc. Wystarczy, że tamtędy przejedziesz i upewnisz się, czy wszystko jest w porządku: czy nikt się tam nie kręci i nie dzieje się nic dziwnego. To co zwykle.

– Nie ma sprawy – powiedziała, ale w jej głosie usłyszała westchnienie. – Gdzie mam jechać?

– Do domu siostry Munroe. Chcę mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Kolejni zakładnicy?

– Właśnie tego się obawiam. Adres dostaniesz esemesem.

Wysłał Walker potrzebne informacje, odłożył telefon i zapatrzył się przez szybę na drogę. Czekają go trzy godziny jazdy. Nie miał dość ludzi ani możliwości, żeby chronić wszystkich. Słowa Breeden nie dawały mu spokoju, a jeszcze bardziej niepokoiło go to, czego nie powiedziała. Doprowadziła ludzi Lalkarza do Munroe, nie rozumiał tylko po co. Czego mógł potrzebować taki człowiek, że wysłał po nią własnego siostrzeńca? Na pewno nie chodziło o to, żeby wyświadczyć Breeden przysługę. Gdyby chciał powetować sobie straty, jakie poniósł, odkąd prawniczka trafiła do więzienia, albo zdjąć pętlę z jej szyi, aby mogła

znowu zacząć działać, po prostu zabiłby Munroe, a potem Bradforda. Tymczasem Munroe przepadła, zniknął również Logan.

Michael była im do czegoś niezbędna, tylko nie widział w tym żadnego sensu. Ktoś, kto działał tak jak Lalkarz, nie potrzebował osoby o jej umiejętnościach, a nakłanianie Munroe do czegokolwiek siłą wiązało się z ogromnym ryzykiem. Jej pomocy szukano, kiedy zadanie wymagało dyskrecji, tęgiego umysłu i umiejętności kameleona – w sytuacjach, gdy ktoś biegły w strategii, taktyce i znajomości języków dawał największe szanse na sukces misji. Lalkarz nie miał powodu sprowadzać jej do zwykłych zadań, z jakimi jego ludzie radzili sobie od wielu lat. Ona była potrzebna, gdy gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę, gdy trzeba było przetransportować coś ogromnie...

Nagle doznał olśnienia.

Neeva Eckridge.

Wreszcie miał pełen obraz wydarzeń. To Katherine Breeden zasugerowała Lalkarzowi Vanessę Michael Munroe jako rozwiązanie problemu z transportem najbardziej poszukiwanej dziewczyny na świecie. Tylko Breeden mogła to zrobić. Oprócz Logana jedynie ona znała Munroe tak dobrze.

Już się nie bała, bo wynegocjowała z Lalkarzem układ. Gdyby poniósł klęskę, Munroe musiałaby go usunąć, a wtedy dokumenty Bradforda straciłyby wartość. Z kolei sukces Lalkarza oznaczał śmierć Munroe, a zawarta przez Breeden umowa miała ją chronić przed dalszym szantażem Milesa. Bez względu na rezultat jeden z wrogów Kate Breeden miał ponieść klęskę. Bez względu na rezultat ona sama już zwyciężyła.

Bradford minął drzwi z napisem Capstone Consulting. Pośrodku recepcji Samantha Walker przeglądała pudła – część regularnych przesyłek, które otrzymywali od członków zespołu stacjonujących za

granicą. Kiedy wszedł, podniosła głowę i pozdrowiła go zdawkowym kiwnięciem.

– Sprawdziłam oba adresy. Wszystko wygląda normalnie. Na razie. Rezerwowi będą tu za pół godziny. Irek jest w centrum dowodzenia. Dołączę do was za moment.

Przeciągnął kartę-klucz przez czytnik, zaczekał na brzęczyk i pchnął panel. Przez przeszkloną ścianę zobaczył, jak Jahan przenosi wzrok z klawiatury na jeden z monitorów, które wyświetlały stan przeszukiwania bazy danych, od czasu do czasu zatrzymując się i sygnałem dźwiękowym obwieszczając znalezienie jakiejś informacji.

Nie odwrócił się, więc Bradford zostawił go w spokoju i podszedł do białej tablicy po lewej stronie. Pokrywały ją nowe wykresy i zapiski – szczegóły, nad którymi jego towarzysze ślęczeli wiele cennych godzin. Akta Lalkarza zostały rozebrane na części i rozpracowane. Każdy potencjalny trop rozgałęział się na dalsze ścieżki. Ślepe zaułki przekreślono, a nowe wątki wyraźnie zaznaczono.

Nazwiska.

Firmy.

Towary.

Samochody.

Nieruchomości.

Nie tylko Bradford miał za sobą nieprzespaną noc.

– Ci ludzie naprawdę mają nieruchomości tutaj, w Dallas? – spytał, wciąż stojąc plecami do Jahana.

Po długiej pauzie i serii uderzeń w klawisze usłyszał:

– Jeszcze nie wiemy. Wciąż trafiamy w ślepe zaułki albo fałszywe tropy. Nie wszystkie dane są tak dokładne, jak nam się wydawało. Jeszcze jesteśmy na etapie odsiewania aktualnych informacji.

Zważywszy na źródło, z jakiego pochodziły materiały, ta wiadomość nie zdziwiła Bradforda.

– Dane są przesadzone? – spytał.

Jahan pokręcił głową.

– Przeciwnie, daleko im do rzeczywistej sytuacji.

– Jak daleko?

Jahan wzruszył ramionami i znowu pochylił się nad klawiaturą. Bradford nie naciskał. Czy w ogóle można mierzyć stopnie horroru, jakim jest handel ludźmi? Dziewczyny wabiono kłamstwami, zastraszano je, kupowano lub porywano; dzieci i nastolatki przewożono w odosobnione miejsca, gwałtami i biciem zmuszano do posłuszeństwa, a potem wprowadzano w świat, w którym nie skuwały ich łańcuchy, tylko przemoc i strach.

Podobnie jak Jahan, Bradford wiedział co nieco o całym procederze. Ten, kto spędził choć trochę czasu w biedniejszych rejonach świata, nie mógł pozostać zupełnie ślepy na los ofiar i poczucie beznadziejności. Dotychczas jednak stykał się głównie z problemem wydawania za mąż nieletnich dziewcząt oraz z akceptowaną w niektórych kulturach przemocą w rodzinie, ale nie z takim... takim barbarzyństwem żerującym na najbardziej prymitywnym z ludzkich popędów.

Wiedział, co Jahan ma na myśli. Cała organizacja sięgała swoimi mackami dalej i głębiej, niż podejrzewali.

Przeciągnął palcem wzdłuż wątku kalifornijskiego.

Jahan i Walker też do tego doszli: Neeva Eckridge.

Zbyt wiele tropów, zbyt wiele potencjalnych ścieżek i brak czasu, aby zbadać wszystkie.

Czas.

Ile jeszcze im zostało? Ile czasu mogło zabrać Munroe wykonanie zadania, do którego ją porwano? Dzień? Dwa? Tydzień? Boże, skąd miał to wiedzieć?

Czas.

Prześledził wątki prowadzące do Teksasu. W myślach usunął dziewięćdziesiąt procent diagramu. Odwrócił się i zobaczył, że Jahan mu się przygląda.

– Teksas – powiedział Bradford. – Munroe wywieźli stąd w ciągu godziny od uprowadzenia. Logan został. Podejrzewam, że jego stan nie pozwala na przewiezienie go gdzieś dalej. Wciąż tutaj jest. W Teksasie. Prawdopodobnie w Dallas. Musimy go odszukać.

– Przed Munroe?

Bradford wciągnął do płuc potężny haust powietrza i spojrzał na sufit. Jahan nie pytał wyłącznie o logistykę. Po długim wydechu Miles spojrzał na niego.

– Tak – odparł w końcu. – Przed Munroe.

Rozdział 10

Zagrzeb, Chorwacja

Munroe siedziała na materacu, plecami do ściany. Oczy miała zamknięte. Przedramiona oparła na kolanach. Takie czekanie w ciemnościach znała z odległej przeszłości. Pamiętała, jakie to uczucie pozwolić, aby noc wchłonęła ją całą, zabrała strach, bezradność i gorączkowe oczekiwanie, aż coś się zacznie dziać.

Oddychała miarowo, a w myślach rozgrywała kontrakcje, planowała kontrstrategie i bez końca układała wszystkie elementy. Kończyła i zaczynała od nowa, próbując wybrnąć z labiryntu beznadziei. Dopiero hałas w korytarzu wyrwał ją z transu i rzucił z powrotem w szaleństwo rzeczywistości.

Drzwi się odsunęły. Otworzyła oczy.

Sylwetka Arbena zasłoniła wejście. Na tle wpadającego z zewnątrz światła widziała jedynie zarys postaci. Nic nie powiedział, ale i nie musiał. Jego obecność była wystarczającym poleceniem. Za nim dostrzegła drugi cień – prawdopodobnie bezimiennego towarzysza, Arbena numer dwa. Żaden nie wszedł do celi. Tym razem wielki bydlak ani drgnął, gdy wstała z materaca i ruszyła w jego stronę.

Podążyła za nim wąskim przejściem na schody i dalej przez wielką salę złotników, która teraz była pusta i nieoświetlona. Sztuczny blask latarni wpadał do środka przez okna, dostatecznie rozjaśniając opuszczone stanowiska jubilerskie, tak że latarka nie była potrzebna. Z gabinetu Lalkarza sączyło się żółte światło i przyciszone rozmowy.

Arben zastukał do drzwi i otworzył je, nie czekając, aż ktoś powie: „Proszę”. Kiwnięciem głowy dał Munroe znak, że ma wejść do środka. Po raz trzeci tego dnia stanęła przed szaleńcem. Tym razem oparty o krawędź biurka podziwiał naturalnej wielkości lalkę usadowioną na krześle pośrodku pomieszczenia. Lumani stał po jego prawej stronie,

jak żołnierz po komendzie „Spocznij”. Spojrzał na nią przelotnie, rejestrując jej obecność, a potem przeniósł wzrok na wuja.

Munroe przekroczyła próg gabinetu i zmarszczki na czole Lalkarza się wygładziły. Uśmiechnął się i gestem poprosił, aby się zbliżyła.

– Proszę podejść – powiedział. – Już tu jest i można ją sobie obejrzeć. Oto przesyłka.

Munroe wyszła na środek gabinetu i jak oniemiała okrążyła krzesło. Miała chęć dotknąć włosów, które z brudnego blond kołtuna zmieniono w idealnie jedwabiste pukle.

Fryzura, makijaż, strój, buty w stylu Mary Jane – Neeva stała się idealną kopią lalki. Perfekcyjnie zadbano o każdy aspekt jej wyglądu. Przekonująco wyglądały nawet jasnoniebieskie oczy, szkliste, półprzymknięte, z otępieniem patrzące w przestrzeń.

– Jest piękna, nieprawdaż? – zwrócił się do Munroe Lalkarz, a ona mu przytaknęła, bo na widok dziewczyny z wrażenia zabrakło jej tchu. Stało się dla niej jasne, dlaczego ekran ożywał, gdy pojawiała się na nim Neeva. Nie dziwiło jej, że cały świat rzucił się na poszukiwania zaginionej nastolatki, a przede wszystkim zrozumiała, jak trudno będzie ją ukryć podczas transportu.

Lalkarz wyprostował się, minął zapatrzoną w Neewę Munroe i podszedł do regałów za jej plecami.

– Mój klient ma pewne wymagania – oznajmił.

Odwróciła się do niego.

Zdjął z półki mniejszą wersję Neevy, która, tak samo jak żywa dziewczyna, była ubrana w zielony aksamit.

– Żadnych sińców – ostrzegł. – Żadnych śladów. Żadnych środków odurzających. Musi dotrzeć do niego w idealnym stanie. Wszelkie uchybienia będą równoznaczne z niewykonaniem zadania. – Przez chwilę kołysał lalkę w ramionach. – Wymagania – powtórzył. – Nie wiem, jak przy tych ograniczeniach zapanować nad taką dzikuską, ale

teraz to już nie mój problem. – Spojrzał na lalkę i się uśmiechnął. – Ta pochodzi z Włoch. Nie powstała na specjalne zamówienie, ale i tak jest piękna – stwierdził, a potem, jak gdyby nigdy nic, podjął wcześniejszy wątek. – Klient zaczyna się niecierpliwić, zwłaszcza że ostatnio o dziewczynie zrobiło się głośno.

Dobrze płaci, ale sprawa ściąga na nas zbyt dużą uwagę, a to nie jest warte żadnych pieniędzy.

Munroe ponownie spojrzała na Neewę, której powieki powoli opadły i po chwili się podniosły.

– Chyba się nie przesłyszałam, powiedział pan: „Żadnych środków odurzających” – zwróciła się do Lalkarza.

Wzruszył ramionami.

– Inaczej nie dało się tego załatwić. Tylko w ten sposób mogliśmy ją doprowadzić do porządku. Wkrótce narkotyki przestaną działać i nikt się nie dowie. To sekret, którego nie możemy nikomu wyjawić. Musi pani znaleźć inny sposób, aby nad nią zapanować.

– Żadnych sińców.

– No tak, to rzeczywiście niełatwe – przyznał – ale towar musi być nieuszkodzony. Takie są instrukcje.

– Dlaczego? – spytała.

Lalkarz ponownie wzruszył ramionami.

– A kto to może wiedzieć? I kogo to obchodzi? Dla dobrego klienta, który dużo płaci, robimy co trzeba i nie zadajemy pytań.

– Czyli że to nie pierwsze zlecenie?

Lalkarz pieszczotliwie pogładził ciemne loki zabawki, bezdusznymi oczami wpatrując się w bezduszne oczy.

– Nie pierwsze – potwierdził – i jeśli pani się powiedzie, nie ostatnie.

Munroe znowu zaczęła okrążyć Neewę, kolejną ofiarę w szeregu skradzionych istnień.

- A jeśli mi się nie uda?
- Niepowodzenie nie wchodzi w grę.
- Nigdy?
- Jego cena jest wysoka.

Zatoczyła kolejny krąg, nie odrywając oczu od Neevy.

- Wymaga pan ode mnie bardzo wiele - powiedziała. - Wy macie broń, a i tak pana ludzie musieli dziewczynę odurzyć, żeby sobie z nią poradzić. Ja jestem sama i chce pan, żebym osiągnęła to, co wam się nie udało.

- To już nie mój problem - powtórzył. - Reszta należy do pani. Musi pani przestrzegać zasad. Jeśli zostaną złamane... jeśli pani zawiedzie, ucierpi niewinny. Gdy dostarczy pani przesyłkę, a ja otrzymam pieniądze, wypuszczę pani przyjaciela.

- A co ze mną? Nie zapominajmy, że ja również jestem pańskim więźniem.

- Pani także pozwolę odejść - powiedział. Wciąż przypatrywał się lalce, którą tulił. Munroe oderwała wzrok od jego twarzy i przemknęła nim po ścianach, po suficie. Zastanawiała się, jak to możliwe, że ani mrugnięciem, ani rumieńcem, ani drgnieniem jakiegokolwiek mięśnia nie zdradził się, że kłamie.

- W takim razie muszę poznać plan - oznajmiła.

- Przez Włochy do Francji. Dwa dni, uwzględniając ewentualne opóźnienia. Jeden dzień, jeśli przesyłka będzie się dobrze sprawowała.

Na to raczej nie mogła liczyć.

- Najłatwiej byłoby ją przewieźć samolotem - zauważyła. - Tak jak ja tutaj trafiłam i prawdopodobnie tak jak ona. Do tego mnie nie potrzebujecie.

- Może pani przewieźć ją w dowolny sposób. Dziewczyna jest pani problemem i pani za nią odpowiada. Rzecz w tym, że musiałyby pani mieć własny samolot i pilotów.

Munroe jeszcze raz powoli obesza krzesło, udając, że podziwia idealny strój Neevy. W rzeczywistości intensywnie myślała. W duchu zastanawiała się, jakie ma szanse uciec samolotem razem z dziewczyną i uratować Logana, zanim ten szaleniec i jego sługusy połapią się, o co chodzi, i go zabiją.

Niestety, w każdej rozgrywce, niezależnie od ruchów poszczególnych figur, Logan zawsze znajdował się za daleko.

Potrzebowała więcej czasu. Musiała jak najbardziej przeciągnąć tę podróż.

– A jeśli zdecyduję się sama ją zawieźć?

– Wtedy zapewnię wam samochód.

– Kradziony?

– Z dobrą rejestracją – zapewnił Lalkarz, tak jakby tylko to miało znaczenie. – I zapłacę za paliwo – dodał z cieniem uśmiechu.

– W takim razie wyruszymy jutro, gdy przestaną działać narkotyki, którymi ją naszpikowaliście.

Lalkarz przytaknął.

Munroe wskazała Neewę.

– Zamierzacie zabrać ją z powrotem do celi?

– Oczywiście. Zostanie tam, dopóki samochód nie będzie gotowy.

– Pobrudzi się.

– Dostała nowy materac, ale i tak szkoda. – Odłożył lalkę na biurko i podszedł do Neevy. Palcami musnął jej loki i przesunął wzdłuż szwu sukienki z koronek i aksamitu. – Gdyby tylko dało się zachować ją taką jak teraz. Naprawdę wygląda jak lalka. Na specjalne zamówienie. Prawdziwy kolekcjonerski rarytas. Nic dziwnego, że cena za nią jest aż tak wysoka.

Skinął na Lumaniego, a ten zawołał obu Arbenów. Razem ujęli Neewę pod rękę, ale zamiast wynieść ją z gabinetu, zaczęli przestawiać powoli niemal bezwładne nogi dziewczyny.

Na stojąco Neeva wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie. Drobna i szczuplutka, miała najwyżej pięć stóp i dwa cale wzrostu, a może nawet tylko pięć stóp – zupełne przeciwieństwo osobowości, jaką się stawała na ekranie, tak jakby kamera nadawała tej małej osobce większy format.

– Co z nią zrobią? – spytała Munroe.

– Rozbiorą i położą spać.

Słowa Lalkarza i nonszalancja, z jaką je wymówił, sprawiły, że krew uderzyła jej do głowy. Postąpiła krok w stronę dziewczyny, aby zagrozić im drogę. Zrobiła to odruchowo, pod wpływem impulsu tak silnego, że na moment przyćmił rozsądek i zaskoczył ją niemal tak samo jak Arbenów, którzy przystanęli. Jej kolejny krok był już świadomy, podobnie jak następny. Po chwili stała między Neewą a wyjściem.

Lalkarz uśmiechnął się, tak jakby upominał dziecko.

– Lepiej się nie przywiązywać do towaru – powiedział, ale Munroe nie ruszyła się z miejsca. – Jest dla mnie więcej warta cała, nie pozwoliłbym moim ludziom się nią bawić.

Powoli, z wahaniem usunęła się z drogi. Lalkarz nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się triumfalnie. Arbenowie wyprowadzili Neewę z gabinetu. Munroe powiodła za nimi wzrokiem.

Kiedy drzwi się zamknęły, Lalkarz spojrzał na nią.

– Noc spędzi pani tak samo. Zostawimy otwarte drzwi, ale jeśli wejdzie pani na schody, zakładnik ucierpi. Czy to jasne?

Munroe przytaknęła. Wciąż poruszała się jak w hipnotycznym transie. Musiała ominąć krzesło i tym razem na jej drodze znalazł się Lumani.

Dotychczas milczał i stał spokojnie, wzrokiem wodząc za wujem jak wierny pies, który czeka na aprobatę i komendę pana. Każdy dokładnie

odmierzony krok przybliżał ją do niego, ale całą uwagę skupiała na Lalkarzu, który trwał w błogim samozadowoleniu.

Nagle gwałtownie skręciła i w mgnieniu oka dopadła do Lumaniego. Nie zdążył zareagować.

Uderzyła go sztywno wyprostowanymi palcami w krtań i chwyciła za nadgarstek.

Szarpnęła jego rękę za plecy i pchnęła go tak, że ukląkł. Z trudem łapał powietrze. Wolną ręką sięgnął do łydki. Wiedziała, że w chwili paniki młokos spróbuje dobyć ukrytej broni. Była szybsza od niego. Błyskawicznie odsłoniła i wyciągnęła jego nóż.

Rękojeść wpasowała się w jej dłoń, jakby trafiła z powrotem w matrycę, w której powstała. Znajomy dotyk metalu zadziałał kojąco. Broń błagała, by jej użyć, przelać krew. Przytknęła ostrze płasko do gardła Lumaniego i przytrzymała je tam.

Lalkarz tymczasem ponownie podniósł z biurka swoją zabawkę i zaczął ją kołysać, ignorując Munroe i siostrzeńca. W tej obojętności, tak jak wcześniej w kłamstwie, żaden tik go nie zdradził, żaden gest nie wyjawiał ukrytych myśli. Mężczyzna uśmiechnął się do martwej porcelanowej twarzyczki.

– Zapłacisz za ten błąd – powiedział, nie odrywając wzroku od lalki.

Lumani drgnął i Munroe przesunęła płasko nożem po jego skórze, pilnując się, aby instynktownie nie poderżnąć mu gardła.

– Czy to wszystko warte jest tyle, ile jego życie? – spytała. – Albo zniszczenie przesyłki?

– Osiągnę cel z pani pomocą lub bez – oznajmił Lalkarz.

Munroe szarpnięciem postawiła Lumaniego na nogi i się cofnęła.

Nóż pchnęła po podłodze w jego kierunku.

– Ja także mam wybór i chyba oboje powiedzieliśmy już dość – stwierdziła. – Chcę zobaczyć Logana, transmisja ma być na żywo, żebym miała pewność, w jakim jest stanie.

- To mogę załatwić - zgodził się Lalkarz.

- Dziś wieczorem?

- Nie dziś. Jutro.

- Sama zejdę na dół - powiedziała. - Nie musicie mnie pilnować.

Zostawcie mnie w spokoju i powiadomcie, kiedy dziewczyna się ocknie.

Rozdział 11

Dallas, Teksas

Miles Bradford stanął pośrodku centrum dowodzenia i rzucił na podłogę dwie kamizelki kuloodporne. Jahan i Walker spojrzeli na niego. Milczeli posępnie.

– Rozstrzygnijcie to sami – powiedział. – Będę u siebie.

Rzeczywiście zamierzał być w swoim biurze, a dokładnie na podłodze pod biurkiem. Chciał się zdrzemnąć przed kolejnym wypadem.

Gdy wyszedł, usłyszał za sobą gorączkowe szepty. Ktoś musiał zostać w firmie, a nikt nie chciał się zgłosić na ochotnika.

Dochodziła pierwsza w nocy. Właśnie zaczął się trzeci dzień polowania na choćby najdrobniejszy ślad Munroe i Logana. Gonili resztkami sił. Trzymane na wodzy nerwy powoli puszczały, napięcie dawało o sobie znać. Jego organizm nie znosił braku snu tak dobrze jak osiemnaście lat temu, kiedy był dwudziestolatkiem i świat należał do niego. Potrzebował pięciu, najwyżej dziesięciu minut.

Przez cały dzień gromadzili informacje. Działalność Capstone została tymczasowo zawieszona, aby mogli mozolnie przekopywać się przez gigabajty danych, sprawdzać kolejne wskazówki i wykluczać fałszywe tropy. Ogromny wysiłek umysłowy, niezliczone telefony i sporadyczne wypadki, żeby zdobyć dokumenty, w końcu pozwoliły im zawęzić listę możliwości do czterech. Cztery miejsca, w których mogli znaleźć Logana, jeśli nadal był w Teksasie: prywatny dom, biuro, magazyn i siedziba firmy transportowej. Wszystkie w granicach Dallas.

Znaleźć Logana.

Na tym etapie wszystko opierało się na domysłach, a te były najlepsze.

Rzucił śpiwór pod biurko i położył się nogami do okna, głowę kryjąc w ciemnościach. Zanim zamknął oczy, jeszcze raz sprawdził telefon, tym

samym gestem, który wykonywał w dziesięciominutowych odstępach przez cały dzień, wciąż się łudząc, że Munroe albo Loganowi udało się dotrzeć do telefonu i zadzwonić albo wysłać wiadomość, a on jakimś cudem nie usłyszał sygnału.

Niestety. Zamknął oczy, otworzył je i zobaczył stopy Sam Walker.

Dostrzegł też brzegi kamizelek, które zarzuciła na ramiona. W prawej ręce miała plecak z gotowym zestawem do inwigilacji.

Zegarek w telefonie powiedział mu, że upłynął kwadrans, odkąd zamknął powieki.

– Nie śpisz? – syknęła Walker z takim natężeniem, że obudziłaby go, nawet gdyby spał.

– Nie – odparł. – Co ustaliliście?

– Irek zostaje, ja idę z tobą.

Bradford wysunął się spod biurka.

– Naprawdę? – spytał, zwijając śpiwór. – Jak go przekonałaś?

Westchnęła.

– Dwa miejsca ja, dwa on. O świcie się zmienimy.

Kiwnął głową.

– Dał ci listę tego, czego potrzebuje?

– Weźmie, co przywieziemy.

Podał jej kluczyki do forda.

– Prowadzisz – oznajmił. – Ja się zdrzemnę.

O składzie broni w centrum dowodzenia krążyły takie same legendy jak o Wielkiej Stopie i zdolności Munroe do języków. Tylko kilka osób miało świadomość, że to miejsce istnieje naprawdę, a z nich jedynie Bradford i Jahan wiedzieli, gdzie się znajduje i jak dostać się do środka. Magazyn założył na wszelki wypadek, to była jego żelazna rezerwa, zabezpieczenie na czarną godzinę – bo trudno się wyzbyć starych nawyków. Przez lata powiększał kolekcję z myślą o scenariuszu, według którego zwycięża ten, kto ma największy arsenał.

Walker wycofała wóz z miejsca parkingowego Capstone i Bradford podał jej adres. Zerknęła na niego w ten sam sposób co zawsze, ale nic nie powiedziała przez całe pół godziny, dopóki nie zjechali z osiemdziesiątki. Skręciła w drogę dojazdową, zatrzymała się przed kompleksem prywatnych magazynów i obudziła Milesa szturchnięciem.

Budynki z pustaków znajdowały się na samym końcu dojazdu, w strefie zdominowanej przez komisje samochodowe, warsztaty motoryzacyjne i lombardy. W takim miejscu trzeba byłoby zainstalować ogrodzenie z drutu ostrzowego, potężne reflektory i kamery bezpieczeństwa, gdyby właściciel wynajmowanych składów nie uwzględnił tego w ofercie.

Bradford niemal położył się Walker na kolanach, żeby wstukać kod dostępu na padzie przy bramie. Sam wstrzymała oddech. Pomyślała, że to nie fair. Po dwóch nieprzespanych nocach ona wciąż miała ludzki zapach, z lekko kwiatową nutą.

Brama się otworzyła i Bradford pokierował Walker przez labirynt alejek między budynkami na tyły całego kompleksu. Zatrzymali się przed pustakowym magazynem – dziesięć stóp na dwanaście – wynajętym na fałszywe nazwisko i zarejestrowanym na fałszywą firmę.

Bradford wysiadł z wozu, otworzył kłódkę i podciągnął wzmocnione drzwi do połowy. Zanurkował pod nimi i po ciemku podszedł do ściany po lewej stronie. Na czuja wprowadził kod na niepodświetlanej klawiaturze, wyłączając alarm.

Gdyby drzwi minęły trzy czwarte wysokości lub dotarcie do manipulatora kodowego trwało dłużej niż czterdzieści sekund, skład wypełniłby się dymem i gazem łzawiącym, a odległe o wiele mil centrum dowodzenia otrzymałoby sygnał, że adres jest spalony i lepiej tu nie wracać.

Bradford podciągnął drzwi do końca, a Walker podjechała ffordem tak blisko, jak pozwalała na to wąska alejka. W środku znajdowało się

siedem ogniotrwałych sejfów z bronią, połączonych ze sobą i przytwierdzonych bolcami do betonowej podłogi. Bradford otworzył dwa z nich. Zapach metalu i smaru do broni przyćmił unoszącą się w magazynie woń kurzu. Przez chwilę przyglądał się zawartości. Walker, która przyświecała mu latarką, zagwizdała cicho.

– Spodziewasz się końca świata? – spytała.

– Daj mi tamten worek na prawo od ciebie.

Omiotła wnętrze sejfu snopem światła latarki, zatrzymała je na płóciennym worku i rzuciła go Bradfordowi. Po chwili namysłu czubkiem buta podsunęła w jego stronę plastikową skrzynię. Pojemnik głośno skrobnął o beton. Bradford spojrział na nią, pokręcił głową i znowu odwrócił się do sejfu. Szerzej otworzył drzwi, żeby mogła lepiej zobaczyć zawartość.

– Wybieraj, co ci się podoba – powiedział.

Pokazała mu latarką.

– Jeden dla mnie, jeden dla Irka.

Bradford zdjął z uchwytu MP5, sprawdził zamek i podał pistolet Walker. To samo zrobił z dwoma, które włożył do skrzyni.

– Jeszcze tamtą snajperkę – powiedziała.

Spojrział na oświetloną XM2010, najnowszy nabytek w składzie. We właściwych rękach miała zasięg 1200 metrów – niosła śmierć z odległości trzech czwartych mili.

Walker nie przeszła tradycyjnego szkolenia wojskowego ani nie miała na koncie doświadczeń wojennych, które ubarwiłyby życiorys prywatnego najemnika i uzasadniły prośbę o taką broń. Miała za to nadopiekuńczego ojca, który przez niemal dwadzieścia lat był strzelcem wyborowym i traktował ją jak syna. Znała sztukę snajperską lepiej niż wielu z tych, którzy całe życie spędzali na łowach. Wprawdzie Bradford nie wystawiłby jej przeciwko strzeleckiej elicie, ale zadania,

jakich się podejmował, zwykle nie wymagały takiego poziomu umiejętności.

Wzięła od niego broń. Przez chwilę oglądała karabin z podobną czułością, jaką matka okazuje nowo narodzonemu dziecku.

Bradford podał jej jeszcze celownik i dwójnóg, a potem zamknął sejf.

– A plastik? – spytała.

Mógł się przydać, żeby wywołać kontrolowany wybuch. Bradford ponownie otworzył sejf i wyciągnął kilka paczek C4 z detonatorami. Pokazał je Walker.

– Wystarczy – oceniła.

Włożył je do worka, a potem zamknął i zabezpieczył sejfy. Sam pomogła mu załadować broń do wozu.

Wbrew temu, czego pragnął, miał poświęcić resztę godzin do świtu na szukanie Logana – nie Munroe. Bo on był tu, a ona gdzieś daleko. Bradford liczył, że jeśli dotrą do Logana, zanim wykończą go ludzie Lalkarza, być może to wystarczy, żeby ocalić także Munroe.

Zagrzeb, Chorwacja

Valon Lumani stał przed ścianą lalek, z rękami splecionymi z tyłu, całkowicie skupiony na wuju, który przeglądał dokumenty. W ciągu trzydziestu minut, odkąd stawił się na wezwanie, wuj ani razu nie raczył zauważyć jego obecności.

Czekał na jakiś znak akceptacji, na coś, co świadczyłoby, że jest ważny dla człowieka, który zastąpił mu ojca. Czekał i milczał, bo gdyby się odezwał i został zignorowany – jak niewidzialny i niesłyszalny duch pośród żywych – tylko utwierdziłby się w przekonaniu, że jest bezwartościowy. Wtedy cierpiały o wiele bardziej.

Dlatego stał i czekał. W pamięci odtwarzał wydarzenia poprzedniego wieczoru – prywatny seans filmowy ze ścieżką dźwiękową szeptów, jakie krążyły wśród ludzi. Docierały do niego

strzępy słów przesyconych niechęcią, zarzuty, że jest faworyzowany, bo wuj upominał go jedynie milczeniem, zamiast go ukarać tak jak innych.

Oni nigdy nie mieli tego zrozumieć.

Fizyczne cierpienie dało się uśmierzyć, znieczulić, dopóki ból nie minie, ale na emocjonalne tortury poradzić mogło jedynie odrętwienie, zapewniane przez narkotyki i alkohol – słabość, która jeszcze bardziej podkreślała wady Lumaniego i obnażała upokarzającą świadomość, że nie jest ideałem. Naprawdę wolałby fizyczny ból – bo łatwiej mógł go znieść, a nawet o nim zapomnieć.

Mijały minuty. Wuj przekładał kolejne dokumenty, a Lumani w myślach po raz kolejny odtwarzał bieg wydarzeń, przez które skończył na kolanach. Miał spore doświadczenie, a mimo to wykorzystwała go jak kukłę, żeby pokazać wujowi, do czego jest zdolna. Zaatakowała tak szybko, że nie zdążył się zasłonić. Wykorzystała element zaskoczenia, aby swoją mimowolną reakcją pokazał jej, gdzie ukrył broń. Gdyby postąpił według zaleceń, przyszedłby nieuzbrojony.

Został upokorzony na oczach wuja. Zawiódł go. Wcześniejsze sukcesy i perfekcja, z jaką wykonał ostatnie zadanie – zaplanował i przeprowadził całą akcję w Teksasie – w tej chwili nie miały żadnego znaczenia. Nie zostało po nich nic, znikły jak znaki na piasku rozmyte przez fale. Liczyła się tylko teraźniejszość, a ona miała smak porażki.

Wuj na moment oderwał się od dokumentów, żeby pogłodzić jedwabiste włosy najbliższej lalki. Wykonał ten gest odruchowo, jak staruszka bezwiednie głaszcząca kota. Zawsze był taki – miłością i uwagą obdarowywał rzeczy martwe, a dla ludzi z krwi i kości nie miał żadnych uczuć.

Drzwi zawibrowały pukaniem, a serce Lumaniego odpowiedziało przyspieszonym biciem. Poprzedniego wieczoru upokorzyła go kobieta. Przechytryła go, co nigdy nie udało się żadnemu z ludzi wuja. Chciał

umieć to, co ona, choć nie była nawet mężczyzną. Ta świadomość obudziła w nim nikły lęk i coś jeszcze – dziwne ożywienie.

Drzwi się otworzyły.

Lumani się nie odwrócił.

Ta, na którą mówili Michael, weszła do gabinetu i wuj oderwał wzrok od dokumentów. Obojętny wyraz twarzy zmienił się w uprzejmy uśmiech.

– Moja droga – zwrócił się do niej i gestem poprosił, aby usiadła.

Nienawiść i zazdrość zwieńczyły falę uczuć, jakie targnęły Lumanim. Dlaczego właśnie ona, ta kobieta – zwykły towar, który miał zostać użyty i zniszczony – zasłużyła sobie na uśmiech, który należał się jemu...

Zajęła wskazane miejsce, a potem powoli i umyślnie się odwróciła, żeby spojrzeć na Lumaniego. Przemówiła do niego bez słów. Nie potrzebowała ich, aby dać mu do zrozumienia, że zna jego myśli – jego więzienie. Skupił wzrok na biurku, żeby nie patrzeć na nią, ale serce znowu biło mu szybciej. Gdyby mógł, podszedłby do niej od razu i bólem wydobył z niej wszystkie tajemnice.

Miał wrażenie, że frustracja i wrogość sączą się przez pory jego skóry.

Wuj i ta cała Michael poruszali się w zwolnionym tempie. Wuj wyjął z szuflady kluczyki, GPS, mapę, paszporty i dokumenty samochodu. Podczas transportu ona w pełni odpowiadała za przesyłkę. Nikt inny nie miał im towarzyszyć. Konwersacja toczyła się spokojnym rytmem, dopóki głos wuja nie przedarł się przez tafłę odrętwienia. Lumani podniósł wzrok i stwierdził, że wuj i kobieta patrzą na niego.

Poczerwieniał. Nie słyszał, co do niego powiedziano, ale domyślał się, o co mogło chodzić, bo właśnie po to został tu wezwany. Wyprostował plecy, z futerału przy pasku wyciągnął telefon i podszedł

do kobiety. Podał jej aparat, tym razem na wszelki wypadek odsuwając się na bezpieczną odległość.

Chciałby umieć wyczytać z jej postawy, że nie grozi mu żaden atak, ale poprzedniego wieczoru też się go nie spodziewał, dlatego przy niej wolał nie ufać swojej umiejętności oceny. Wzięła telefon i na moment zatrzymała na Lumanim wzrok, tak jakby próbowała przejrzeć jego intencje, podobnie jak on starał się rozszyfrować ją.

Cofnął się, nic po sobie nie pokazując. Przeniósł wzrok na komórkę i dotknęła wyświetlacza, żeby włączyć odtwarzanie. Chciała mieć pewność, że jej przyjaciel żyje, a oni byli gotowi dostarczyć jej takich dowodów, ale bez względu na obietnice wuja, połączenie na żywo nie wchodziło w grę. Nie mogli ryzykować, że Logan w jakiś zaszyfrowany sposób przekaże jej informacje, które pomogą udaremnić pieczołowicie przygotowane plany. To nic, że znajdował się na drugiej półkuli.

Lumani bacznie studiował jej reakcje, ale – tak jak wcześniej on – nic po sobie nie pokazała. Nie zdołał jej przejrzeć. Kiedy nagranie się skończyło, spojrzała mu w oczy i oddała telefon. Wuj podsunął do niej torbę z prowiantem. Patrzyła na nią dłuższą chwilę.

– Potrzebuję mocnej, tekstylnej taśmy i koca – powiedziała po zastanowieniu, a kiedy wuj przecząco pokręcił głową, bo nic takiego nie przygotowali, powtórzyła jego własne słowa: żadnych środków odurzających, żadnych sińców.

Wiedziała, że dostanie to, o co prosiła, a on, Lumani, musiał tego dopilnować, choć nikt z obecnych w gabinecie nie powiedział tego wprost. Klient się niecierpliwił. Gdyby nie udało im się dostarczyć towaru w określonym przez niego czasie, mógłby wycofać zamówienie albo, co gorsza, stworzyć jeszcze więcej przeszkód, które musieliby pokonać, bo w przeciwnym razie lalkę trzeba by zniszczyć. Wuj mógł stracić to, co już zainwestował, dlatego Lumani miał zadbać o dostarczenie potrzebnych przedmiotów. Przesyłka musiała wyruszyć

jeszcze dzisiaj, choć wyjazd mógł się odwlec aż do popołudnia, a to oznaczało, że przesyłka dotrze na miejsce za minimum dwa dni.

Wuj ponownie zaczął mówić. Słowa przestrogi, słowa nakazu. Ostrzegł ją, że musi trzymać się planu. Każde działanie miało swoje konsekwencje, każde opóźnienie – swoją cenę. Obdarzył ją jeszcze jednym uśmiechem, na którego widok Lumani zagotował się w duchu. Kobieta wstała i wuj podał jej komórkę.

– Ten telefon to wasze życie – oznajmił. – Nie wolno go zgubić i musi przez cały czas być włączony.

Był linią komunikacji, która wiązała ich ze sobą. Za jego pośrednictwem Michael miała otrzymywać instrukcje na każdy odcinek podróży. Dodatkowo miał zainstalowany podsłuch i przekazywał dane dotyczące położenia, tak że mogli elektronicznie ją namierzyć i słyszeć, co się dzieje. Gdyby postanowiła wyciągnąć baterię i dołożyć cierpień Loganowi, na wszelki wypadek w samochodzie zainstalowano dodatkową pluskwę.

O tym jednak wuj nie wspomniał.

Lumani miał odpowiednie doświadczenie i broń. Do niego należało pilnowanie, aby trzymała się planu, i zdawanie raportu z kolejnych etapów, od których zależało życie Logana.

Rozdział 12

Irving, Teksas

Firma Veers Transport była pierwsza na liście miejsc, w których mogli znaleźć Logana. Spełniała wszystkie warunki. Ciężarówki. Biura. Magazyn. Odosobnione miejsce. W myślach Bradforda włączył się sygnał ostrzegawczy.

Z pozoru firma działała legalnie i przynosiła zyski. Gdyby nie informacje w aktach Lalkarza, w ogóle nie zwróciliby na nią uwagi. Nawet nazwisko Breeden nie pojawiało się już w żadnych dokumentach ani raportach spółki. Natrafili na powiązania, dopiero gdy pogrzebali trochę w przeszłości prawniczki, tak jak zrobił to nieboszczyk, do którego wcześniej należało dossier.

Veers Transport posiadało flotę piętnastu samochodów ciężarowych, większość klasy 6, i na dokładkę dwa osiemnastokołowce. Wszystkie papiery aktualne. Żadnych spraw sądowych w toku. Firma nie miała zaległości w podatku dochodowym, obrotowym ani we wpłatach na fundusz pracy. Zapewniała świadczenia zdrowotne wszystkim pełnoetatowym pracownikom – w sumie osiemnastu osobom. Nikt z zarządu ani kierownictwa nie był powiązany z żadnym nazwiskiem z listy Lalkarza.

Trzeba było trochę się zagłębić w życie osobiste i przeszłość szefów, żeby znaleźć lukę w tej fasadzie – no bo jak można było wytłumaczyć to, że żadna z osób, do których należała firma, nie była jednocześnie właścicielem ani najemcą nieruchomości oraz nie posiadała ani nie prowadziła pojazdów spółki. Podobnie jak nie dało się wyjaśnić, dlaczego zaledwie przed miesiącem jeden z tych ludzi jako miejsce stałego pobytu podawał adres przytułku dla bezdomnych.

Bradford najpierw pojechał na rekonesans.

Zjechali z obwodnicy do dzielnicy przemysłowej, w której importerzy i hurtownicy rozlokowali swoje siedziby między

parkingami a szerokimi, jednopiętrowymi kompleksami biurowymi. Zajezdnia ciężarówek znajdowała się bezpośrednio przy drodze dojazdowej, za ogrodzeniem z siatki. Biura mieściły się z przodu, w osobnym budynku z prefabrykatów, a w głębi znajdował się magazyn z dwiema rampami przeładunkowymi. Na ogrodzonej posesji stało sześć ciężarówek. Gdyby cała flota transportowa zjechała do firmy, trudno byłoby ją zmieścić.

Ktoś nieorientowany mógłby uznać, że teren jest chroniony słabo albo nawet wcale, ale wprawne oko bez trudu dostrzegło kamery i czujniki ruchu.

– W takim miejscu powinni raczej afiszować się z ochroną – powiedziała Walker.

– Pewnie wolą tego nie robić, żeby nie ściągać na siebie uwagi policji.

– Może.

Bradford minął firmę przewozową, skierował się w nieco węższą drogę, a potem skręcił w pierwszą uliczkę w prawo. Biegła tuż za trzyjardowym murem oddzielającym dzielnicę mieszkalną od kompleksów handlowych.

Lampy uliczne rozpraszały mrok. Między oszalowanymi ścianami a siatkowym ogrodzeniem ciągnęły się ogródki. W niektórych wyblakłe i połamane plastikowe zabawki zaśmiecały zaniedbaną trawę, w innych stały stare samochody oparte na pustakach.

Ze zdjęć satelitarnych wynikało, że tędy najdyskretniej dotrą do firmy przewozowej. Bradford powoli jechał po dziurawej nawierzchni wąskiej ulicy, dopóki nie zobaczyli na wprost przed sobą spadzistego dachu magazynu. Zatrzymał wóz z dala od latarni. Od celu oddzielał ich kompleks biurowy. Walker z trzaskiem założyła magazynkę do MP5 i oboje wysiedli z forda.

Zagrzeb, Chorwacja

Neeva leżała na plecach, z rękami wzdłuż tułowia, i patrzyła na sufit. Metalowe drzwi celi były otwarte, gdy się obudziła – na oścież, tak jakby ktoś się nad nią znęcał, jakiś tyran, który podtyka głodnemu smakowity kąsek, żeby go dziabnąć, gdy ten da się skusić. Wciąż miała wokół kostki metalowy pierścień powleczony gumą i przykuty łańcuchem do ściany, ale pokusa ucieczki była większa niż strach przed tym, że znowu zamkną ją w ciemnościach. Sfrustrowana szarpnęła łańcuch, poczuła mocny opór i zrezygnowała. Nie miała już siły krzyknąć ani walczyć.

Strażnik, który zwykle siedział przy wejściu do jej celi, znikł. Wyłączono też nagrania do nauki języka. Nie miała pojęcia, czy to dobry, czy zły znak, ale w tym miejscu zmiany zwykle oznaczały, że szykuje się coś gorszego.

Po tamtym ataku wodą ktoś ją wykąpał albo umył pod prysznicem. Czują, że jest czysta. Dres, który miała na sobie, pachniał świeżością. I włosy miała dziwne. Jak u Shirley Temple.

Jakiś cień przesłonił wejście. Neeva zerwała się i cofnęła pod ścianę. Żaden odgłos kroków nie zapowiedział przybysza, choć w podziemiach panowała cisza. Namacała łańcuch. Był na tyle długi, że mogła go użyć jako broni, gdyby cień zbliżył się za bardzo.

Postać pochyliła głowę, żeby zmieścić się w wejściu, a potem ustawiła się tak, aby lampa w korytarzu nie oświetlała jej z tyłu. Dopiero teraz Neeva zobaczyła twarz. To była ta sama osoba co wczoraj, tylko fryzurę miała inną. Teraz wyglądała bardziej jak mężczyzna, a nie jak ktoś nieokreślonej płci.

– Mogę wejść? – padło pytanie.

Neeva zrobiła wielkie oczy – bynajmniej nie dlatego, że ktoś zwrócił się do niej tak uprzejmie. Po prostu po raz pierwszy od bardzo dawna słyszała ojczystą mowę. To był prawdziwy amerykański angielski, bez

żadnego akcentu ani sztuczności, tak jak u tamtych bydlaków, którzy uczyli się języka w szkole.

– Przecież już jesteś w środku – stwierdziła, a on uśmiechnął się do niej trochę smutno.

– Michael – powiedział i wyciągnął rękę.

Nie zareagowała i po chwili dłoń się cofnęła.

– Mówisz po angielsku – odezwała się w końcu.

– Ty również, z tego co udało mi się usłyszeć – stwierdził ten, który podawał się za Michaela. – I masz bardzo barwne słownictwo.

Neeva prychnęła, a Michael podszedł bliżej. Mniej więcej pośrodku celi usiadł na podłodze, przodem do niej, i zaczął się rozglądać po suficie. Czekala, aż coś powie, ale on milczał. Nawet na nią nie patrzył, co w tym miejscu było wyjątkowo dziwne.

– Czego chcesz? – spytała.

Spojrzał na nią wreszcie.

– Porozmawiać z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zaśmiała się szczekliwie. Przykuta łańcuchem do ściany raczej nie mogła sobie stąd pójść. Poza tym wcześniej nikogo nie obchodziło, czego ona chce.

– Nie ma sprawy – powiedziała. – Gadaj, ale może najpierw spuścisz spodnie. Taka chyba jest tutaj kolej rzeczy... oczywiście rozmowy przeważnie w ogóle nie ma w programie.

– Masz szczęście – stwierdził przybysz, tak jakby mówił sam do siebie.

Jego słowa zabolaly jak policzek.

– Aha, akurat! Straszna ze mnie szczęściara. Właśnie tak myślą tamci zboczeńcy, kiedy zaszczycają mnie swoją obecnością.

– Próbują cię poniżyć. Tylko tak mogą to zrobić, nie dotykając cię. Gdybyś była kimś innym, biliby cię i gwałcili. Żeby cię upokorzyć. Złamać.

Szczerota przybysza sprawiła, że Neeva straciła rezon, tak jakby nie wiedziała juŒ, gdzie jest góra, a gdzie dół. Wszystkie pytania, które pozostawały bez odpowiedzi, wróciły gwałtowną falą i umilkły, dopiero gdy Michael ponownie się odezwał.

– Wbrew sobie muszę się podjąć pewnego zadania – powiedział i spojrział prosto na nią. – Zapewniam cię, że tego nie chcę.

– Nie widzę u ciebie żadnych łańcuchów – stwierdziła Neeva – więc nie mów mi o tym, czego chcesz.

– Jestem tu więźniem tak jak ty, jednakowo zakutym w łańcuchy, choć ich nie widać.

– Wybacz, ale jakoś nie potrafię ci współczuć.

– Zależało mi tylko, żebyś o tym wiedziała, zanim zaczniesz się obłęd – powiedział Michael, a potem wstał i skierował się do drzwi.

Neeva gorączkowo szukała pretekstu, żeby go zatrzymać. Był Amerykaninem. Szansą na rozmowę w ojczystym języku. No i być może potrafił jej wyjaśnić najważniejsze kwestie: dlaczego i po co?

– To ciebie trzymali w tamtej celi u wylotu korytarza? – spytała.

Przytaknął.

Neeva podciągnęła kolana pod brodę i oplotła je rękami.

– Odpowiesz mi na pytania, na które tamci nie reagują?

Michael zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Nie wiem – przyznał. – Mogę spróbować.

– Dlaczego tu jestem? Czego oni ode mnie chcą? Chodzi o okup?

Przyglądał się jej przez chwilę, tak jakby coś sobie układał w myślach, rozważał argumenty albo szukał odpowiednich słów.

– To tylko przechowalnia, miejsce, gdzie się czeka. Ktoś obiecał zapłacić za ciebie odpowiednią cenę, a ludzie, którzy cię porwali, rzucili na mnie odpowiedzialność za dostarczenie cię do kupca.

Wreszcie zaczynała rozumieć. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– I znając powody, zamierzasz mnie tak po prostu odstawić pod wskazany adres?

Ponownie odwrócił się do wyjścia, ale znowu się zawahał i obejrzał.

– Nie znam cię – powiedział – choć wiem, kim jesteś. Gdyby tylko dało się znaleźć sposób na ocalenie wszystkich... ale to niemożliwe. Ktoś przystawił mi lufę do głowy, dlatego im bardziej będziesz się opierała, tym większej siły użyję, bo chcę ocalić własne życie. Rozumiesz?

Neeva nie zamierzała zaszczycić tak żalosnej wymówki odpowiedzią. Zamiast tego usiadła z założonymi rękami i posłała mu gniewne spojrzenie.

Przybysz pokiwał głową.

– Naprawdę mi przykro.

Gdzieś z głębi korytarza dobiegł głuchy odgłos stąpania po betonowej podłodze. Michael przekrzywił głowę, a potem wyprostował się i wyszedł, tak jakby dziewczyna przestała istnieć.

Neeva pociągnęła za łańcuch. Wytarła łzy. Nie miała nawet pojęcia, że zaczęła płakać. W przyпіływie desperacji daremnie szarpała metal z coraz większą rozpaczą. Czuła gniew, strach i frustrację; pragnienie zniszczenia narastało w niej przez ostatnie dni – gwałtowna, desperacka chęć, aby zadawać ból, ranić, zabijać i mścić się na wszystkich, przez których była w tak beznadziejnej sytuacji. To wszystko znalazło upust w potwornym, mrozącym krew w żyłach krzyku.

Rozdział 13

Munroe po krokach potrafiła policzyć, ilu się zbliża, odróżnić ich po rytmie stąpania. Wyszła na korytarz i zastąpiła drogę Lumaniemu, zanim dotarł do jej celi.

Specjalnie podszedł za blisko, uśmiechając się pod nosem, tak jakby bawiło go jej zachowanie. Za sobą miał Arbenów – bydlaków, którzy tylko czekali na pretekst do bójki. Jeden z nich trzymał wieszak z koronkami i aksamitami, które wcześniej miała na sobie Neeva. Widać Lalkarz w swojej fantazji zdecydował, że dziewczyna ma podróżować w przebraniu – jak gdyby i bez tego dyskretnie przewiezienie jej nie było dostatecznie trudne – dlatego wysłał swoich ludzi, żeby ubrali towar.

– Taśma i koc – powiedział Lumani. Podał Munroe przedmioty, o które prosiła. – A teraz radzę, żebyś zeszła nam z drogi.

Nie zrobiła tego. Nie miała takiego zamiaru. Nawet jeśli dziewczyna w końcu korytarza była jedynie przeszkodą, która zagradzała Loganowi drogę do wolności, nie mogła pozwolić, aby ci mężczyźni zbezczeszili bezradną istotę oczami i łapskami.

– Dajcie mi ubranie – oznajmiła. – Ja odpowiadam za przesyłkę i dopilnuję, żeby była ubrana.

W języku, którego, jak mylnie sądził, nie rozumiała, Lumani poinstruował Arbena, żeby oddał jej rzeczy. Munroe wzięła wieszak i ruszyła do celi Neevy. Za sobą usłyszała gorączkowe szepty sprzeciwu, które ucięło jedno krótkie polecenie Lumaniego.

Przewiesiła sukienkę przez oparcie krzesła w końcu korytarza, na siedzeniu położyła koc, a taśmę zabrała ze sobą do celi dziewczyny. Zwierzęce wrzaski, które towarzyszyły jej, gdy stąd wychodziła, dawno umilkły. Neeva czekała w półprzysiadzie pod ścianą, w dłoni ściskając luźny fragment łańcucha. Jasne loki komicznie kontrastowały z aurą dzikości.

Munroe podeszła bliżej. Neeva poruszyła się nieznacznie i jeszcze mocniej zacisnęła łańcuch. Nie zmieniła pozycji, choć Michael zatrzymała się poza jej zasięgiem. Munroe przyklękła, żeby znaleźć się na poziomie wzroku dziewczyny.

– Proszę, nie próbuj ze mną walczyć – ostrzegła. – Jeśli to zrobisz, sprawę ci ból, a naprawdę tego nie chcę.

Neeva nie odpowiedziała ani nie spuściła wzroku. Munroe poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Pamiętała o zasadach. Nie mogła dziewczyny odurzyć ani posiniaczyć, ale istniało wiele sposobów zadawania bólu, po których nie zostawał żaden ślad – doświadczyła tego na własnej skórze.

– Musimy cię przebrać – powiedziała. – Możesz to zrobić sama. Uszanuję twoją prywatność. Chcę tylko mieć pewność, że będziesz posłuszna.

Milczenie.

– Zrobisz to?

Neeva patrzyła na nią obojętnie. Wciąż była spięta jak dzika kocica, która tylko czeka na okazję do ataku.

Munroe spróbowała jeszcze raz.

– Trzymaj przy sobie ręce i nogi i słuchaj moich poleceń, a nic ci nie zrobię. Jeśli będziesz stawiała opór, zmusisz mnie do użycia przemocy. Więcej nie zamierzam cię ostrzegać, rozumiesz? – Przez chwilę czekała na jakąś reakcję, ale Neeva tylko utkwiała w niej nieruchome spojrzenie. – Proszę cię, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

Dziewczyna powoli odetchnęła – równy wdech i wydech, zamiast płytkiego, przyspieszonego oddechu pod wpływem adrenaliny i strachu. Munroe już widziała, do czego Neeva jest zdolna. To nic, że była drobna i słabsza od przeciwnika. Michael wiedziała, że nie wolno lekceważyć ducha walki rozpalonego pragnieniem zwycięstwa. Nadal klęcząc i utrzymując kontakt wzrokowy, zawołała Lumaniego.

Specjalnie robiła to w języku, którym przymusowo ją karmiono, świadoma, że węgierski nie jest jego ojczystą mową, podobnie jak angielski.

W duchu odliczała upływające sekundy. Nawet nie odwracając się, wiedziała, kiedy za nią stanął. Wyciągnęła do tyłu rękę po strój, który z całą pewnością przyniósł.

Na palcach poczuła ciężar wieszaka.

– Potrzebne mi krzesło – oznajmiła także po węgiersku. Zdanie zabrzmiało sztucznie, bo chociaż słowa zapisały się w jej pamięci i rozumiała ich znaczenie, nie doświadczyła jednak prawdziwej interakcji, która pozwala się nauczyć płynnej mowy.

Nie odwróciła się, gdy wciągnął krzesło do celi, skrobiąc metalowymi nogami o beton. Nawet nie drgnęła, gdy zaledwie o cal od jej ucha wyszeptał:

– Nie igraj z ogniem. Nie jestem twoim chłopcem na posyłki.

– Potrzebuję jeszcze kilku minut – oznajmiła i zaczęła, aż Lumani wyjdzie. Dopiero wtedy, powoli, teatralnym gestem ponownie przewiesiła sukienkę przez oparcie krzesła. Po raz ostatni podjęła próbę załagodzenia nieuchronnego spięcia z Neevą. – Wiem, że rozumiesz moje ostrzeżenie – powiedziała i przesunęła krzesło, tak żeby dziewczyna mogła sięgnąć po ubranie. – Weź sukienkę. Odwróć się, jeśli potrzebujesz prywatności, ale nie wyjdę, dopóki się nie przebierzesz.

Żadnej reakcji.

– Masz trzydzieści sekund. Potem cię zmuszę – oznajmiła, ale Neeva i tym razem nie zareagowała.

Niepokój Munroe wzrósł. To była walka, której nie chciała, walka, której Neeva nie mogła wygrać – konieczna, żeby ocalić Logana.

– Czas minął.

Dziewczyna nie wykonała żadnego ruchu.

Munroe położyła rolkę taśmy na siedzeniu krzesła i ominęła je, wchodząc w krąg, w którym miał ją dosięgnąć nieuchronny atak. Wyciągnęła rękę w stronę nadgarstka dziewczyny i wtedy Neeva rzuciła się ku niej, pięścią i pętlą łańcucha celując w twarz Munroe, tak jakby zamierzała przerzucić łańcuch nad jej głową jak stryczek.

Munroe błyskawicznie złapała metal. Przekręciła. Szarpnęła. Dziewczyna straciła równowagę.

Szok opóźnił jej reakcję. Munroe szarpnęła ponownie, pociągając Neewę ku sobie. Łokciem uderzyła ją w żołądek i powaliła na materac. Łądowanie było twarde. Munroe przycisnęła dziewczynę kolanem i przełożyła łańcuch wokół jej głowy, zaciskając go na szyi, tak jak wcześniej próbowała to zrobić Neeva: dość mocno, aby uniemożliwić oddychanie, ale nie na tyle, żeby zmiażdżyć krtań albo zostawić znaki.

Dziewczyna zaczęła się wić, próbując się uwolnić. Jej dłonie powędrowały ku szyi i zamknęły się na łańcuchu. Munroe zwiększyła nacisk. Jedną ręką zatkała nos Neevy, łańcuch owinęła wokół nadgarstka drugiej, aby był napięty, i tą samą dłonią zakryła dziewczynie usta.

Neeva szarpała się rozpaczliwie. Drapała. Kopała. Wierzgała. Munroe puściła ją, dopiero gdy poczuła, że dziewczyna traci siły. Neeva panicznie wciągnęła powietrze. Długo leżała bezwładnie i tylko oddychała. Potem, jakby nagle naładowała baterie, ponowiła próbę ataku. Z pazurami rzuciła się do oczu Munroe, próbując ją podrapać.

Zaciekłość Neevy, jej walka o przetrwanie – aby przeżyć, zranić, okaleczyć i zabić przeciwnika, choćby tylko po to, żeby następnego dnia zacząć bój na nowo – były dla Munroe jak powrót do przeszłości. W innych okolicznościach przepełniłaby ją dumą i poczuciem solidarności. Stanęłaby ramieniem w ramię z tą dziewczyną, aby razem z nią walczyć do zwycięstwa. Niestety, okoliczności zmieniły solidarność w pustkę, a

Neewę – tę dziką, nieustępliwą istotę – w cel, który trzeba było poskromić, aby uwolnić Logana.

Uderzyła pięścią w brzuch dziewczyny, a kiedy ta dobyła z siebie zduszony krzyk i raz jeszcze zaczęła walczyć o oddech, Munroe mocno wykręciła jej rękę. Neeva wrzasnęła z bólu i znieruchomiła. Gdyby nie przestała się opierać, kość ramienna wyskoczyłaby ze stawu. W jej oczach pojawiły się łzy i Munroe zobaczyła w nich dawną siebie, bo nie były to łzy bólu, tylko wściekłości i frustracji.

– Wiedziałaś, czym to grozi – powiedziała, luzując łańcuch, ale nie puszczając ręki Neevy. – Jeśli nie przestaniesz się opierać, sprawię ci jeszcze większy ból.

Neeva kiwnęła głową. Ten gest obudził w Munroe nowe wspomnienie. Rozumiała go. Nie oznaczał zgody ani kapitulacji. Był jedynie skutkiem niewyobrażalnego bólu. Neeva liczyła, że w ten sposób zyska na czasie. Walka jeszcze się nie skończyła.

Munroe usiadła okrakiem na dziewczynie i wezwała Lumaniego. Pojawił się tak szybko, że musiał się znajdować tuż obok. Prawdopodobnie podsłuchiwał, a może nawet podglądał, co się dzieje w celi.

– Twój nóż – powiedziała po węgiersku, a kiedy się zawahał, dodała, kalecząc język: – Wiem, że go masz. Nie zranię dziewczyny.

Pochylił się, żeby wyciągnąć ostrze. Kiedy się zbliżył i Neeva zobaczyła przedmiot w jego dłoni, znowu zaczęła się wyrywać. Wrzasnęła, gdy poczuła większy nacisk na rękę. Munroe sięgnęła za siebie po rękojeść noża, który Lumani wyciągnął w jej stronę.

Zimny metal zetknął się z jej skórą. Przygotowała się na gwałtowną falę euforii, ale i tak na moment straciła ostrość widzenia. Wszystko w celi przybrało barwy szarości, a w jej wnętrzu zbulgotała żądza mordy – reakcja na nóż i wspomnienia, jakie przywołał jego dotyk. Nieznośne pragnienie rwało się na wolność.

– Wyjdź – nakazała Lumaniemu.

Gdyby tego nie zrobił, nie zdołałaby nad sobą zapanować i dokończyć zadania. Najpierw użyłaby noża przeciwko niemu, a potem zadźgałaby obu Arbenów, żeby otworzyć drogę ucieczki sobie i tej dziewczynie... a wtedy dla Logana nie byłoby nadziei.

Lumani nie ruszył się z miejsca. Munroe nadal wciskała kolano w klatkę piersiową Neevy. W jednej ręce trzymała nóż, a drugą wykręcała ramię dziewczyny. Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Wyjdź natychmiast, bo nie ręczę za siebie – powiedziała po angielsku przez zaciśnięte zęby.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Nie odrywając od niej oczu, wycofał się z celi, tak jakby napotkał wściekłego psa. Nawet nie zaczęła, aż zniknie za drzwiami, tylko obróciła się do Neevy i ustawiła nóż tak, żeby nie drasnąć gardła dziewczyny. Rozcięła dres aż do gumki spodni i dalej, do krocza. Ostrzem odsunęła materiał. Neeva leżała na plecach z obnażoną piersią.

– Mogę cię teraz puścić – powiedziała Munroe – i pozwolić, żebyś sama się ubrała. Albo możemy robić to dalej w ten mało przyjemny sposób.

Dziewczyna skrzywiła twarz, próbując powstrzymać łzy.

– Sama to zrobię – wyszeptała. Gardło miała suche, a głos ochrypły od walki i ucisku łańcucha na krtań.

Munroe wycofała się stopniowo. Najpierw powoli i ostrożnie uwolniła rękę, potem odkręciła łańcuch z nadgarstka, wreszcie podniosła kolano i wstała. Neeva przez cały czas leżała nieruchomo, tak jakby wreszcie pojęła, że nawet najmniejszym drgnięciem może zaprzepaścić ten nieznaczny postęp. Poza tym chwilowe ustąpienie oznaczało szansę na podjęcie walki później.

Munroe wyprostowała się i ponownie cofnęła za krzesło, na którym przewiesiła sukienkę.

– Naprawdę nie chcę cię skrzywdzić – zapewniła dziewczynę.

Neeva nie odpowiedziała, tylko podniosła się i przez długą chwilę patrzyła na Munroe wyzywająco. W końcu ostentacyjnie – aktorka w każdym calu – zsunęła z siebie rozcięte ubranie i upuściła je na materac. Naga, przez cały czas patrząc na Munroe, sięgnęła po sukienkę i z niewielkimi trudnościami wciągnęła ją na siebie.

Ubrana, z bezczelną miną zeszła bosą z materaca na betonową podłogę, przesadnie ciągnąc za sobą łańcuch, tak jakby mówiła: I co teraz?

Munroe wzięła taśmę i koc z krzesła, chwyciła mebel za oparcie i wyciągnęła go, szorując o podłogę, z powrotem na korytarz. Czuła nienawiść do siebie, Lalkarza, tego chłopca Lumaniego i jego zbirów. Brzydziła ją perwersyjna natura człowieka, która kazała kryć najbardziej prymitywne popędy pod pozorem czynienia dobra, a potem wytykać palcami i szukać kozłów ofiarnych.

Zatrzymała się przed Lumanim. Zanim pragnienie użycia ostrza wzięło górę, rzuciła mu nóż pod nogi. Gdyby nie było popytu, kupców ani mężczyzn gotowych płacić za seks, nie istniałyby organizacje, które żerują na ludzkim nieszczęściu, ani zbrodniarze tacy jak Lalkarz.

– Chcę cię zabić – powiedziała.

Uśmiechnął się. Podniósł nóż.

– To uczucie jest wzajemne – odparł.

– Daj klucz. Dziewczynę trzeba rozkuć.

– Skaleczyłaś ją?

– Nie jestem głupia. Przynies resztę tego, co ma włożyć, może jakieś buty. Chcę jak najszybciej wyjechać.

Lumani się nie odwrócił. Przyglądał się twarzy Munroe i szukał czegoś w jej oczach w sposób, który zdradzał o nim więcej, niż sądził. W końcu po albańsku wydał polecenie drugiemu Arbenowi. Mężczyzna ruszył po schodach na górę. Echo powtarzało odgłosy jego kroków w

podziemiach. Lumani zuchwale kontynuował obserwację, aż jego goryl wrócił z pudełkiem.

Nie zamierzał pierwszy odwrócić wzroku. Przekazał jej pudełko oraz klucz do kajdan. Dopiero wtedy oderwała od niego oczy – dlatego tylko, że musiała. Podczas tej próby się studiowała go, a on ją, i bez słów doskonale się zrozumieli.

Rozdział 14

Irving, Teksas

Samantha Walker wspięła się po Bradfordzie, z kolana na ramię, i wyżej, na mur. Złapała równowagę i na brzuchu przesunęła się do miejsca, z którego miała lepszy widok. Weszła tu zamiast niego, bo była mniejsza i lżejsza. W słuchawce usłyszał jej szept. Sprzęt. Rozmieszczenie kamer. Odległości.

Gdyby planowali rozegrać to bezpiecznie, według zasad, właśnie z tego miejsca prowadziliby obserwację, ale nie mieli ani czasu, ani środków na rozsądną i bezpieczną grę. Żeby uratować Munroe, musieli znaleźć Logana, dlatego tej nocy mieli wyważać drzwi.

– Okno. Drugie piętro magazynu, od północnej strony – odezwała się Walker po dłuższej przerwie. – Właśnie zapaliło się tam światło.

Bradford usłyszał w jej tonie wahanie. Sam też poczuł dreszcz na plecach. Do tego momentu posesja wydawała się opuszczona, ale tam, gdzie były światła, byli też ludzie, w tym wypadku strażnicy – a jak strażnicy, to i więźniowie.

– Złaź – wyszeptał. – Wejdzimy od frontu.

Walker zsunęła się ze szczytu muru. Na moment zawisła. Do ziemi zostały jeszcze cztery stopy. Skoczyła.

– Na pijaną i wściekłą? – spytała.

Przytaknął.

– Powinno zadziałać.

Powinno. Podczas zaimprovizowanego wypadu mogli się opierać jedynie na domysłach.

Tym razem Bradford usiadł za kierownicą. Walker ściągnęła bluzę i została w obcisłej koszulce na ramiączkach, która niewiele zasłaniała. Być może pchali się prosto w ogień bez zabezpieczenia, ale w bojowym rynsztunku nie mieli szans dostać się do środka od frontu. Samantha

ściągnęła gumkę z włosów i przeczesła je palcami. Gęste, ciemne pukle opadły jej na ramiona.

– Jesteś pewna, że chcesz tak to rozegrać? – spytał Bradford.

Przewróciła oczami.

– W porządku, rozumiem – dał za wygraną.

Gdy dojechali do końca uliczki, skręcił z powrotem w główną drogę. Przystanął na chwilę w niewielkiej odległości od celu, poza zasięgiem kamer, żeby wypuścić Walker.

Minął jeszcze jeden niski kompleks budynków i zaparkował tak, żeby mieć na nią oko. Podeszła do bramy chwiejnym krokiem, celowo zataczając się i potykając. Chwyciła za siatkę i potrząsnęła nią. Udała, że chce się po niej wspiąć, niezdarnie próbując oprzeć na czymś czubek buta, ale bezładnie zsunęła się z powrotem.

Zapaliły się dodatkowe reflektory.

Ponownie szarpnęła za siatkę, krzycząc coś niezrozumiale. Przedramieniem wytarła nos. Kamera na północno-wschodnim narożniku magazynu zmieniła położenie. Walker jeszcze bardziej wczuła się w rolę. Raz po raz przewlekała palce przez otwory siatki, chwiejnie zawracała w kierunku Bradforda, to znów podejmowała kolejne nieudane próby wspięcia się na bramę.

Boczne drzwi magazynu otworzyły się i na plac wyszedł mężczyzna. Był zwalisty, ale nie gruby. Niski wzrost sprawiał, że wyglądał jak cegła w pogniecionych ciuchach. Koszulę tylko do połowy zdążył upchnąć w dżinsy. Jeśli miał broń, był na tyle rozsądny, aby się z tym nie afiszować. W miarę jak się zbliżał, jego mina łagodniała. Kiedy znalazł się przy Walker, na jego twarzy malowało się niemal współczucie.

Samantha się zachwiała, potarła oczy i raz jeszcze niezdarnie przejechała ręką po nosie. Bradford nie mógł słyszeć ich rozmowy, bo w tak skąnym stroju nie dało się ukryć mikrofonu, ale domyślał się jej przebiegu. Mężczyzna wskazał na coś. Walker przytaknęła i otwartą

dłonią przesunęła po oczach, wycierając łzy. Nieraz zgarniała pokerowe pule tą samą rolą pijanej, budzącej litość, bezradnej kobietki, która trafiała w czułą strunę każdego mężczyzny i szarpała za rozporki.

Strażnik wyciągnął z kieszeni klucze, otworzył bramę i uchylił jedno skrzydło, wpuszczając Walker. Chciał za nią zamknąć, ale Sam znowu zaczęła dramat. Pomaszerowała prosto do drzwi, którymi mężczyzna chwilę wcześniej wyszedł z magazynu, więc nie miał wyboru, musiał ruszyć za nią, zostawiając bramę otwartą.

Żadna z kamer w tym czasie się nie poruszyła i w żadnym z nielicznych okien nie zapaliło się światło – nikogo więcej tu nie było. Widać cała ochrona ograniczała się do pojedynczego strażnika, który drzemał sobie na nocnej zmianie.

Bradford czekał, aż Walker znajdzie się w połowie odległości między bramą i magazynem, a potem dyskretnie wysiadł z samochodu. Wślizgnął się za uchyloną bramę.

Walker celowo się zachwiała i potknęła, a kiedy mężczyzna objął ją, żeby ją podtrzymać, obejrzała się przez ramię. Zauważyła Bradforda i ruszyła dalej. Dotarli do wyjścia i w progu Sam ukradkiem wyjęła coś prawą ręką z tylnej kieszeni i przesunęła palcami wzdłuż framugi.

Drzwi się zamknęły.

Bradford zdusił chęć, żeby wyprzedzić plan i pognać za partnerką, która właśnie złamała wszystkie niepisane zasady pozwalające utrzymać się przy życiu.

Znał jej zamiary, ale i tak wszystko się w nim gotowało.

Odliczał sekundy.

W końcu położył dłoń na klamce i pociągnął. Zapadka zamka, zaklejona kawałkiem taśmy, ustąpiła łatwo. Ogarnął wzrokiem widoczny fragment wnętrza. Przez chwilę nasłuchiwał, a potem wsunął się do środka.

Budynek naprawdę był magazynem – dużą i w przeważającej części pustą halą z solidnymi regałami wzdłuż ścian, na których piętrzyły się same palety. Obok drzemały wózki widłowe. Przy rampach dla ciężarówek, w przedniej części, czekały towary gotowe do załadunku, jak w prawdziwej firmie przewozowej. Zdziwiło go to.

Gdzieś musiało być jakieś odosobnione miejsce, kryjówka, dźwiękoszczelne pomieszczenie, w którym przetrzymywano kobiety. Jeżeli istniało, na pewno właśnie tam trafił Logan. Doskonale się nadawało, żeby go ukryć. Wszystkie informacje, jakie zdołali dotychczas zebrać na temat magazynu i całej firmy, wyraźnie wskazywały, że to, czego szukają, jest właśnie tu. Tylko że w środku wszystko wyglądało nie tak, jak się spodziewali.

Na prawo od Bradforda metalowe schody przy wewnętrznej ścianie prowadziły na piętro, prawdopodobnie do pomieszczeń biurowych, które zajmowały zaledwie czwartą część powierzchni magazynu, zawieszane na słupach nad pustą przestrzenią. Właśnie stamtąd dochodziły głosy – wyraźnie słyszał Walker, która wciąż udawała pijaną. Wziął to za dobrą monetę.

Rozejrzał się po stropie, szukając kamer, ale nic nie znalazł. Pomimo tylu elektronicznych oczu skierowanych na zewnątrz w budynku monitoring był skąpy. Obszedł cały magazyn wzdłuż ścian – od regałów i palet po wózki widłowe – ale nie natrafił na żaden ślad fałszywego przepierzenia ani kryjówki pod podłogą.

Z góry docierały do niego dźwięki rozmowy – wciąż tylko dwa głosy. Mężczyźni rzadko milczeli w obecności Walker, czyli że magazynier był sam. Brak innych oznaczał, że nawet jeśli Logan był tu wcześniej, już go dokądś przewieziono.

Na górze otworzyły się drzwi. Bradford wycofał się pod schody. Walker, drocząc się ze strażnikiem, chwiejnie zeszła na dół, machając kluczykami do wózka widłowego. Mężczyzna próbował je zabrać, ale

Sam wymknęła mu się ze śmiechem. Wpakowała jeden w stacyjkę i uruchomiła silnik. Hałas doskonale zagłuszył odgłos kroków na metalowych stopniach. Bradford musiał się spieszyć. Wiedział, że strażnik nie zechce długo znosić przekomarzanek i zabaw. Sprawy mogły wkrótce przybrać zły obrót.

Góra wyglądała tak, jak się spodziewał. Dwa pomieszczenia i toaleta wielkości szafy, w której wentylację zapewniało niewielkie okno wychodzące na zewnątrz. Właśnie w nim Walker zauważyła zapalone światło.

Połowę pierwszego pokoju zajmowały monitory systemu bezpieczeństwa, w drugiej części stało biurko z dwiema wieżami komputerów. Jeden nie miał ekranu. Na stole przed ekranami leżała wyjęta z kabury broń.

Prezent od Walker.

Bradford sięgnął po pistolet, ale coś go powstrzymało. Gdyby go wziął, wzbudziłby podejrzenia ludzi Lalkarza. Skierował się do drugiego pomieszczenia. Stół konferencyjny, krzesła, ekspres do kawy i kilka szafek na dokumenty. Ani śladu Logana.

Nawet z takiej odległości usłyszał nagłą zmianę tonu rozmowy. Wózek widłowy umilkł. Walker krzyczała. Bradford ruszył do wyjścia.

Na dole Walker groziła pięścią strażnikowi.

Bradford zaczął schodzić.

Mężczyzna rzucił się na Samanthę, ale ona błyskawicznie wycofała się za palety – o wiele mniej pijana, za to bardzo wściekła. Strażnik zaklął. Z ciężkim obcym akcentem nazwał ją suką i kurwą.

Bradford dotarł do podnóża schodów i przystanął.

– Jazda mi z drogi! – wrzasnęła Walker i Miles błyskawicznie ruszył do wyjścia, wiedząc, że skierowała te słowa do niego, a nie do tej parszywej bestii, która stała między nimi.

Na parkingu zerknął na zegarek. Niepokoił się. Czekał na zewnątrz, podczas gdy jego partnerka tkwiła w środku. Taki układ był zły pod każdym względem.

Jeszcze pół minuty i podniesione głosy zabrzmiały bliżej. Bradford zaczął się ostrożnie cofać, pamiętając o rozmieszczeniu kamer. Został mu jeszcze spory odcinek do bramy. Krzyki dochodziły już z bardzo bliska. Walker się nie ościagała.

Pędem puścił się do bramy. Dotarł tam akurat w chwili, gdy Samantha biegiem wypadła z magazynu. Ochroniarz gonił za nią. Bradford odwrócił się przodem do nich, zaczekał, aż Walker go minie, a potem ruszył na strażnika, udając wściekłego kochanka.

– Co ty, kurwa, robisz z moją dziewczyną?

Mężczyzna zwolnił i asekuracyjnie wyciągnął przed siebie ręce, ale zanim zdążył się zatrzymać, Bradford wpadł na niego. Pchnął go w pierś i kopnął podeszwą buta w kolano. Przeciwnik się cofnął, zaskoczony pierwszym uderzeniem. Drugie sprawiło, że ugięły się pod nim nogi. Z trudem złapał równowagę i zamachnął się pięścią na oślep.

Bradford zrobił unik i błyskawicznie doskoczył do gościa, stając z nim pierś w pierś.

– Trzymaj swoje brudne łapska z dala od mojej kobiety – ostrzegł i naparł na strażnika. Czołem rąbnął go w nos, łamiąc chrząstkę.

Mężczyzna dotknął twarzy, rozmazał krew i zawył z bólu i wściekłości. Prawą ręką sięgnął do tyłu, po broń, która leżała na biurku w jednym z pomieszczeń na górze. Zaklął i rzucił się na Bradforda.

Szeroki i zwalisty, poruszał się niezgrabnie.

Bradford uskoczył w bok. Wykorzystał masę i rozpęd przeciwnika. Wystawił but, żeby zatrzymać nogi bydlaka w miejscu, podczas gdy reszta przeleciała łukiem nad przeszkodą. Mężczyzna runął na beton.

Bradford ruszył do bramy, ale po chwili przystanął, odwrócił się i wycelował palcem w strażnika, który gramolił się na kolana.

– Jak jeszcze raz ją tkniesz, to cię zabiję.

Walker czekała już w wozie z zapiętym pasem, kiedy Bradford się zjawił. Wsunął się za kierownicę, włożył kluczyk w stacyjkę i wcisnął pedał gazu. Wyjechał na opustoszałą drogę, robiąc stanowczo za wiele hałasu, i w dodatku przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Cholerna adrenalina.

– Mam nadzieję, że rozwaliłeś mu nos – powiedziała Walker.

– Załatwione – odparł i zerknął na nią z ukosa.

Siedziała ze skrzyżowanymi rękami i zaciśniętymi pięściami, gniewnie patrząc przez boczną szybę.

– Po wszystkim, jak już będziemy mieli Logana i Michael, wrócę tu – oznajmiła.

– Jasne. Tylko po co?

Obróciła się w jego stronę.

– Bo ten drań to obłąkany psychopata. Mogę się założyć, że ma gdzieś własny cmentarzyk. Jeśli go nie załatwię, skrzywdzi inną kobietę.

– Mówił ci, co zamierza z tobą zrobić, he?

– Między innymi.

Bradford skupił się na drodze.

– Po pierwsze Michael i Logan – powiedział. – Potem posprzątam śmieci.

Rozdział 15

Zagrzeb, Chorwacja

Po raz pierwszy od trzech dni Munroe wyszła na zewnątrz. Wdychała wiosenne powietrze późnego ranka, nieco chłodniejsze niż w Dallas i przesycone wonią starych kamieni i drewna. Czuła w nim nutę oleju napędowego. Tak mogłaby pachnieć stara stodoła. Po niekończących się godzinach pośród zgniłego fetoru, pleśni i smrodu środka dezynfekującego ten zapach wydawał się słodszy i czystszy niż świeży powiew górskiego wiatru.

Na ramieniu niosła plecak, a w nim koc, taśmę, paszporty, dokumenty wozu, mapy i GPS od Lalkarza. Neeva czekała w podziemiach, przykuta do ściany zabezpieczonymi gumą kajdanami, w idiotycznym stroju, w który uparli się ją ubrać tutejszy boss i jego sługusy. Munroe miała po nią wrócić, kiedy wszystko przygotuje. Na razie jej uwagę zaprzętał samochód czekający na wewnętrznym dziedzińcu.

Brukowany placzyk z trzech stron otaczały ściany budynku. Pracownię złotników i okna gabinetu Lalkarza miała dokładnie za plecami. Co przed sobą – nie wiedziała. Wyjazd z dziedzińca zagrażała łukowata, drewniana brama, która miała pewnie kilkaset lat. To właśnie ona roztaczała wokół charakterystyczną woń stodoły.

Samochód, opel astra, miał co najmniej osiem lub dziewięć lat, monotonna, szarą barwę, mocno zużyte opony i słoweńską rejestrację. Był to podstawowy, pięciodrzwiowy model, bez automatycznie otwieranych zamków i okien, z manualną skrzynią biegów i bez klimatyzacji. Ktoś wyrwał radio, a karoseria nosiła ślady kilku spotkań ze słupami latarni. Lalkarz na pewno nie zamierzał rozpaczać, gdyby wóz do niego nie wrócił.

Munroe okrążyła opla, uważnie rejestrując wszystkie szczegóły. W końcu zatrzymała się przed maską i otworzyła przednią klapę, żeby

sprawdzić płyny. Wyjęła wskaźnik oleju i wytarła go szmatą, która leżała z boku pod pokrywą, zmierzyła poziom oleju, a potem wsunęła wskaźnik na miejsce. Na koniec z hukiem zatrzasnęła klapę.

Lumani przez cały czas stał z założonymi rękami, oparty o ścianę przy schodach, i przyglądał się jej w ten sam sposób co wcześniej, jakby była owadem za szybą albo jakimś egzotycznym zwierzęciem w klatce. Może liczył, że czegoś się od niej nauczy. Celowo przeciągała każdą czynność i wykonywała każdy ruch o wiele wolniej niż powinna. Próbowwała wzbudzić w nim zniecierpliwienie, ale nie reagował.

– Już czas – powiedział w końcu.

Neeva siedziała na materacu, kiedy Munroe po nią wróciła. Lalkarz i jego pachołki bali się, że dzikuska pobrudzi nowe ubranie, dlatego na wszelki wypadek nie karmiono jej, odkąd włożyła sukienkę, i nie mogła liczyć, że coś dostanie, chyba że Munroe wzięłaby na siebie to ryzyko.

Środki uspokajające bardzo ułatwiłyby to przedsięwzięcie. Jedna tabletką rozpuszczoną w wodzie i dobranoc – dziewczynę na całą podróż dałoby się zapakować do bagażnika. Tylko że wtedy nie potrzebowaliby Munroe. Gdyby nie dziwaczne wymagania tajemniczego klienta Lalkarza, pewnie nadal byłaby w Dallas i mogła co świt gnać ducati szosami Teksasu.

Ale klient stawiał warunki.

Żadnych sińców. Żadnych środków odurzających.

Takie żądania wydawały się bezsensowne.

Większość handlarzy ludźmi specjalnie odurzała kobiety, wołała, gdy były uzależnione, bo biernie się wszystkiemu poddawały. Gromada naćpanych narkomanek nie sprawiała tylu kłopotów, co harde i wrzaskliwe gówniary, takie jak Neeva.

Żadnych sińców. Żadnych środków odurzających.

Dlaczego?

Tysiąc możliwości, ale tylko jedna z nich mogła być odpowiedzią na to pytanie. Munroe wołała nie wiedzieć. Przyczyna nie zmieniałaby

sytuacji.

– Chodźmy – powiedziała do dziewczyny.

Neeva podniosła głowę.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytała.

Wyszkolone do perfekcji reakcje, które pozwoliły Munroe przetrwać, gdy sama była swego rodzaju więźniem, wyczuliły ją na ton głosu, mowę ciała i mimikę twarzy. Instynktownie wyłapywała niuanse ze skutecznością superczułego radaru. Jej wewnętrzny czujnik ostrzegł ją, że coś się święci.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Znam tylko pierwszy etap podróży. O kolejnych będą mnie informowali na bieżąco.

– I dokąd najpierw jedziemy?

– Do Lublany.

– Co to za miejsce?

– Stolica Słowenii.

Neeva spojrzała na nią niepewnie.

Munroe wyciągnęła z plecaka taśmę. Liczyła, że zdoła odwrócić uwagę dziewczyny rozmową, więc zaczęła wyjaśniać.

– Jesteśmy w Chorwacji. Słowenia graniczy z nią od północy.

Neeva wlepiła wzrok w podłogę i przez jakiś czas milczała, tak jakby coś kalkulowała albo próbowała sobie przypomnieć, dlaczego ta nazwa brzmi znajomo.

– Uprawdzili mnie do kraju, w którym trwa wojna? – spytała nagle.

Munroe pokręciła głową. Słowenia i Chorwacja były odłamkami z tego samego źródła. Skojarzenie z tą drugą – o wiele lepiej znaną większości Amerykanów niż Słowenia – oznaczało, że ci, którym ta nazwa coś mówiła, często łączyli ją z konfliktami z lat dziewięćdziesiątych. Tak jakby została zamrożona w czasie i podpięta do tej samej kategorii co ludobójstwo i masowa rzeź w Bośni i Hercegowinie.

Neeva była za młoda, żeby pamiętać relacje z tamtych wydarzeń. Może wiedziała o nich od rodziców, których pasjonowała polityka. Nie miały teraz czasu na lekcje geografii ani tym bardziej na wykłady z historii i omawianie różnych konfliktów na terytorium dawnej Jugosławii.

– Tu nie toczy się wojna – powiedziała. – Skończyła się niemal dwadzieścia lat temu. Wstań, proszę.

Neeva nie ruszyła się z materaca.

– Musimy przekroczyć granicę? – spytała.

– Tak.

– Masz mój paszport?

– To chyba nie ma w tej chwili znaczenia, prawda? Proszę cię, Neevo, wstań – powtórzyła Munroe.

Dziewczyna kiwnęła głową. Podniosła się i zeszła z materaca. Wewnętrzny czujnik Munroe zabrzmiał głośniejsz. Znalazła koniec taśmy i odwinęła kawałek.

– Wyciągnij ręce przed siebie.

Neeva wypełniła polecenie. Palce zwinęła w luźne pięści. Munroe lewą ręką ujęła prawy nadgarstek dziewczyny. Nic nie wzbudziło jej niepokoju. Nie pojawił się żaden ostrzegawczy sygnał. Pochyliła się lekko, żeby owinąć taśmę wokół ręki Neevy, i w tej samej chwili druga pięść dziewczyny pomknęła w stronę oczu Munroe. Spomiędzy palców sterczał wyszczerbiony kawałek metalu.

Munroe szarpnęła się do tyłu.

Prowizoryczne ostrze niemal zahaczyło o jej szczękę. Przecięło powietrze i natychmiast po raz drugi pomknęło do góry, celując w jej policzki. W następnej sekundzie Neeva już leżała na plecach, z trudem łapiąc powietrze i próbując krzyknąć, podczas gdy Munroe wpatrywała się w swoje dłonie zaciśnięte na gardle dziewczyny.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła palce, żeby się rozwarły, i przestała dusić Neewę, choć zwierzęcy instynkt i każda komórka ciała nakazywały jej dobić ofiarę.

Odsunęła się.

Wyszarpnęła trzycalowy kawałek metalu z dłoni dziewczyny i machinalnie mu się przyjrzała.

Wyglądał jak część ramy łóżka.

– Ostatnia osoba, która próbowała to zrobić, nie żyje – powiedziała.

Wsunęła kawałek metalu do kieszeni i wstała. Neeva leżała na plecach. Jej łzy skapywały na materac. Munroe związała jej ręce ciasną ósemką z taśmy, z której Neeva nie miała szans się uwolnić.

Potem chwyciła za splot między nadgarstkami jak za rączkę i jednym pociągnięciem postawiła dziewczynę na nogi. W myślach wciąż od nowa analizowała ostatnie sekundy, szukając miejsca dla kawałka układanki, który nigdzie nie pasował. Ten atak, podobnie jak wcześniejsza walka, nie były przypadkowym wynikiem paniki i adrenaliny ani desperackim zrywem dziewczyny, która walczy o przetrwanie. Neeva panowała nad swoim ciałem jak ktoś, kto od lat uczy się sztuk walki, a nawet bierze udział w zawodach, choć raczej nie zdobył doświadczeń w realnym świecie, gdzie instynkt, szybkość i umiejętność przechytrzenia przeciwnika przesądzają o tym, czy dosięga cię nóż sadysty, czy udaje ci się uciec.

– Nie powinnaś lekceważyć moich ostrzeżeń. To nie był żart – powiedziała Munroe. – Nie chcę cię skrzywdzić, ale zrobię to, jeśli mnie zmusisz. Trzeba było mnie posłuchać.

Neeva nic nie powiedziała, tylko przytaknęła. Munroe przeszukała ją dokładnie, przesuwając dłońmi pod ubraniem i wzdłuż szwów w tempie odpowiednim do własnego rozdrażnienia. Powinna była przewidzieć atak, zanim do niego doszło, ale choć wewnętrzny alarm ją ostrzegał, nie zauważyła żadnych oznak i to złościło ją bardziej niż

samo uderzenie. Na siłę rozwarła usta Neevy, sprawdzając, czy dziewczyna nic tam nie ukryła. Czy dała się oszukać zdolnej, młodej aktorce, która doskonale odegrała swoją rolę? W końcu sama dzięki kameleonowej naturze potrafiła się stać tym, kim musiała, aby osiągnąć cel.

Nie znalazła przy Neevie nic, co mogło posłużyć jako broń. Opuszkami palców dotknęła podbródka dziewczyny i odchyliła jej głowę, żeby przyjrzeć się szyi i ocenić szkody. Neeva nie stawiała oporu.

Wyglądało na to, że obrażenia są tylko wewnętrzne. Munroe miała nadzieję, że nie będzie żadnych widocznych śladów.

– Teraz zdejmę ci łańcuch – uprzedziła. – Jak drgniesz, to znowu skończymy na materacu, a mam wrażenie, że ta gra nie za bardzo ci się podoba.

Neeva unikała kontaktu wzrokowego. Patrzyła prosto przed siebie i poruszała szczęką tak, jakby zgrzytała zębami albo szykowała się, żeby splunąć.

– Robię wszystko, co mogę, żeby cię nie krzywdzić, chronię cię, kiedy jest to możliwe... nie chcę tego pożałować – powiedziała Munroe i uklękła, żeby zdjąć połączoną z łańcuchem obręcz.

Dwa metalowe elementy rozłączyły się i opadły na podłogę. Munroe przydepnęła stopę Neevy.

– Nie ruszaj się – nakazała. Sprawdziła kostkę dziewczyny w miejscu, gdzie dotykała jej obręcz. – Boli cię?

Ponad dwa tygodnie – jak przypuszczała – ucisku i szarpania wystarczyły, żeby zostały siniaki albo otarty naskórek. Oczywiście wina spadłaby na Munroe, choć nie miała z tym nic wspólnego.

– Trochę swędzi – wyszeptła dziewczyna – ale nie boli.

Munroe nacisnęła skórę jeszcze raz, uważnie patrząc, czy dziewczyna się nie skrzywi. Nie zauważyła żadnej reakcji, więc wstała. Gumowa powłoka spełniła swoje zadanie. Lalkarz wspomniał, że Neeva

nie była pierwszą, którą trzeba było dostarczyć, stosując się do tak dziwnych wymagań. Umiał zadbać o idealny stan towaru.

Podniosła z podłogi plecak i za łokieć wyprowadziła Neewę z celi na korytarz. Dziewczyna nie stawiała oporu, ale z wyraźnym niepokojem opuszczała swoje więzienie. Nic dziwnego. Był to świat, który nauczyła się rozumieć, choć go nie akceptowała. Mimo wszystko wolała niebezpieczeństwo, z jakim się oswoiła, niż to, które dopiero miało nadejść.

Drogę na schody zagradzał Arben. Na jego widok Neeva zeszywniała.

– Znasz go? – spytała Munroe, nie zatrzymując się ani nie puszczając łokcia nastolatki.

Neeva przytaknęła.

– Możesz spokojnie mówić, on nie zna angielskiego.

Głos Neevy brzmiał jak ochrypły szept.

– Najczęściej przychodził do mojej celi.

– Przy mnie nic ci nie zrobi.

Opór dziewczyny trochę zelżał i Munroe pchnęła ją naprzód. Szły gęsiego, żeby ominąć Arbena, który demonstracyjnie nie ruszył się z miejsca. Musiały iść przy samej ścianie. Gdy przechodziły obok, po chamsku próbował obmacać Neewę. Dziewczyna się cofnęła.

Munroe nie mogła uszkodzić przesyłki, ale nikt nie mówił, że nie wolno jej tknąć tego twardego. Wiedziała, że kiedy w końcu nadarzy się sposobność, wykorzysta ją. Arben musiał zginąć.

Neeva zaczęła wspinać się po schodach. Munroe szła za nią.

Arben ruszył tuż za nimi. Za blisko. Munroe czuła na plecach jego gorący oddech. Przez całą drogę na górę, do sali, gdzie złotnicy pilnie pochylali się nad pracą, miała wrażenie, że bydlak niemal dotyka skóry na jej karku.

Neeva szła sztywno, szurając nogami. Głową kręciła na boki, tak jakby pierwszy raz w życiu widziała innych ludzi. Munroe jej nie poganiała. Za to Arben deptał im po piętach. Zatrzymał się tylko, żeby hałaśliwie zaryglować metalowe drzwi – po raz pierwszy, odkąd tu była. Po chwili znowu poczuła go za sobą. Szedł za blisko, próbując wykorzystać przewagę fizyczną i zmusić ją, aby przyspieszyła kroku.

Znowu poczuła jego oddech na karku. Miała wrażenie, że cała się w środku skręca. Żółć wezbrała i wszystko wokół zabarwiła wściekłość.

Jasną salę oblekły monotonne szarości.

Munroe puściła łokieć Neevy.

Zatrzymała się gwałtownie.

Obróciła się, tak jakby zamierzała o coś spytać, i niespodziewanie rąbnęła czołem w prawą stronę zuchwy Arbena. Głuchy odgłos uderzenia i ból, jaki wywołało, odrobinę rozładowały jej napięcie. Pragnęła więcej, łaknęła ukojenia i balsamicznego bólu. Chciała prawdziwej walki i euforii, jaką poczułaby, zabijając tego bydlaka. Zadowoliliby ją nawet celne uderzenie buta w tę pokrytą bliznami, wściekłą mordę i chrzęst kości, ale to byłoby zbyt oczywiste i sprowokowało natychmiastowy odwet.

Dłońmi złapała się za głowę i wyraźnie zachwiała. Nie mogła wypaść z roli skruszonej uczestniczki przypadkowego zderzenia.

– *Bocsánat* – powiedziała, cofając się.

Lumani widział całe zajście i nie zdołał w porę powstrzymać szyderczego uśmiechu. Nie miała pojęcia, jak zareagował Arben, ale trzymał się teraz dostatecznie daleko i już go nie czuła. Wiedziała, że chętnie by ją teraz zabił, i to jej odpowiadało. Wściekłość mąciła rozsądek, nienawiść wypaczała logikę.

Wreszcie wyszli na dziedziniec. Na widok samochodu Neeva ponownie zeszywniała.

– Nie opieraj się – powiedziała do niej Munroe. – Nie chcę znowu sprawić ci bólu.

Niemal czuła, co dziewczynie chodzi po głowie. Podstawowe zasady samoobrony: *Nigdy nie wsiadaj z nikim do samochodu. Lepiej uciekaj. Lepiej wołaj o pomoc. Lepiej walcz, kiedy wokół są ludzie.* Poczwała, jak ciało Neevy się napina i dziewczyna robi głęboki wdech. Błyskawicznie zakryła jej usta dłonią.

– Ostrzegam cię – powiedziała. – Mogę załatwić to tak, że już nigdy więcej nie krzykniesz.

Z Neevy zeszło powietrze.

Postęp.

– *Nyisd ki az ajtót* – rzuciła do Lumaniego, a on posłusznie podszedł do opła i otworzył drzwi po stronie pasażera.

Na wszelki wypadek osłoniła dłonią głowę Neevy i pomogła jej wsiąść. Lumani stał obok i patrzył, jak Munroe przykłęka, wyjmując taśmę i oplata kostki dziewczyny podobną ósemką jak na nadgarstkach. Na koniec połączyła więzy ze sobą, żeby Neeva nie mogła dosięgnąć bocznej szyby. Gdy już zabezpieczyła przesyłkę, opuściła oparcie fotela tak, aby najbardziej rozpoznawalnej twarzy na świecie nie dało się dostrzec z zewnątrz. Na koniec przykryła Neewę kocem, ukrywając taśmę.

Wreszcie się wyprostowała, zatrzasnęła drzwi i zablokowała zamek.

Lumani się odsunął i uśmiechnął z aprobatą – może nawet z szacunkiem. Respekt między zabójcami. Poważanie profesjonalisty. Zza pleców Lumaniego Arben zerkał wściekle na Munroe.

Posłała mu uśmiech, niezbyt szeroki, ale taki, który miał go jeszcze bardziej rozdrażnić.

Rozdział 16

Dziedziniec był za mały, aby dało się na nim zawrócić, więc Munroe tyłem wyjechała przez łuk bramy w grubym murze. Lumani przez cały czas śledził ją wzrokiem.

Pierwszy adres z szacowanym czasem dotarcia na miejsce krótszym niż dziesięć minut już wprowadzono do nawigacji. Nie miała się tam zatrzymywać, a jedynie wpisać kolejne dane i jechać dalej. Tym sposobem musiała podążać mikroodcinkami trasy zaplanowanej przez Lumaniego. Według GPS znajdowała się w Donjim Gradzie, starej części Zagrzebia. Stolica Chorwacji miała osiemset tysięcy mieszkańców i rozrosła się wokół starych dzielnic mieszanką funkcjonalnych – choć nie zawsze pięknych – bloków i wieżowców.

Lumani zaczekał pod łukiem, aż opel wyjedzie na ulicę, a potem zamknął wielką bramę. Siedziba Lalkarza wtopiła się w szereg niemal identycznych kamienic po obu stronach drogi. Za każdym zakrętem ciągnęła się nowa pierzeja. W solidnych, kamiennych murach trzy- i czteropiętrowych domów widniały stare wejścia, które prowadziły pewnie na jednakowe wewnętrzne dziedzińce.

Po obu stronach łuku, z którego wyjechały, widniały witryny dwóch sklepów jubilerskich, demonstrujących przechodniom wyroby ze złota. Każdy ukazywał inne oblicze Lalkarza – inny wizerunek z talii jego kart. Munroe podejrzewała, że jest właścicielem budynków po obu stronach dziedzińca, a jedyna droga do środka wiodła właśnie pod tym łukiem. Miejsce idealnie się nadawało do przerzucania towarów. Tylko on wiedział, co się działo za zamkniętą bramą.

Gdy kamienica, Lumani i reszta szaleńców zostali z tyłu, Munroe wzięła telefon Lalkarza i włączyła wyświetlacz. Neeva opuściła głowę na pas bezpieczeństwa i zamknęła oczy.

Munroe co chwila przenosiła wzrok z drogi na telefon i z powrotem, prowadząc samochód i jednocześnie sprawdzając wiadomości.

Przejrzała po kolei każdy esemes w skrzynce, którą wypełniały adresy i instrukcje dotyczące kolejnych odcinków podróży.

Etap z Zagrzebia do Lublany – ze stolicy jednego kraju, przez granicę, do stolicy drugiego kraju – powinien biec porządnymi autostradami, pośród zielonych lasów. Gdyby opel miał do pokonania drogę, jaką wybrałby każdy rozsądny człowiek, podróż trwałaby dwie godziny, jeśli nie liczyć opóźnień związanych z kontrolą na granicy. Niestety, ostatnie dni przypominały zupełny absurd, najczarniejszy z koszmarów, i podobnie zapowiadała się zaplanowana przez Lalkarza trasa. Munroe zapuszczała się coraz głębiej w patchwork powiatów i dróg, klucząc między równo zaoranymi polami i wiejskimi domkami z praniem na sznurkach, zadbanymi ogródkami i pelargoniami w oknach.

Lalkarz nie wyjaśnił, dlaczego prosta droga przez granicę nie wchodziła w grę, ale nietrudno było się domyślić powodów. Słowenia należy do strefy Schengen – układu dwudziestu kilku państw, które współpracują w zakresie polityki imigracyjnej – natomiast Chorwacja nie.

Przejścia graniczne między państwami członkowskimi rzadko są patrolowane. Czasami jedynie znajomość konkretnego regionu i zmiana języka na tablicach informacyjnych pozwalają się zorientować, że to już terytorium innego kraju. W strefie Schengen nie ma wiz, stempli w paszportach, odpraw celnych ani czekania w kolejkach do posterunków granicznych, gdzie umundurowani strażnicy mają prawo odesłać człowieka z kwitkiem. Za to wjazd do tej strefy z państwa, które nie należy do układu z Schengen, wygląda zupełnie inaczej – podobnie jak na granicy między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi.

Słowenia, tak jak Węgry, Słowacja i Polska, znajduje się na obrzeżach strefy Schengen. Granice terytoriów tych państw są zarazem granicami całej strefy, dlatego tamtejszym punktom kontroli granicznej przypadła rola odsiewania nielegalnych imigrantów.

Munroe wpisała kolejny adres w nawigację, włożyła telefon w uchwyt przy desce rozdzielczej i sięgnęła do plecaka na tylnej kanapie po mapę. Odrywając wzrok od drogi tylko na krótkie chwile, prześledziła palcem bieg trasy i wreszcie znalazła to, czego szukała.

Miały się dostać do Słowenii przejściem w Krasincu – maleńkiej kropce na mapie – miejscowości na południe od Metliki, która sama ledwie pretendowała do miana miasta. Kierowały się do posterunku granicznego z samego dołu hierarchii – odległego i mało uczęszczanego przejścia – punktu przeznaczonego dla mieszkańców przygranicznych miejscowości, którzy mieli specjalne numery albo nalepki.

Zadzwonił telefon.

Munroe zatrzymała się przed krzyżówką, sprawdziła pozycję w nawigacji, a potem odebrała połączenie.

– Znajdź jakieś miejsce na postój – nakazał Lumani. – Najlepiej gdzieś na uboczu. Tam zaczekaj na kolejny telefon.

– Dlaczego? – spytała.

– Bo ja tak mówię, to chyba wystarczający powód.

– Raczej nie.

– Nie masz innego wyboru.

– Tu się mylisz, i to bardzo. Wszystko, co zrobię przez następne dwadzieścia cztery godziny, jest moim wyborem, decyzją, która zaważy na całym moim życiu. W każdej chwili mogę postanowić, że się wycofuję. Masz tego świadomość, więc jeśli zależy ci na współpracy, odpowiesz na moje pytanie.

Chwilę się wahał.

– W Krasincu mamy przyjaciół – wyjaśnił w końcu. – I ci przyjaciele gotowi są przymknąć oko na to, co przewozisz i jakie masz papiery. Tylko że dotrą do pracy z małym opóźnieniem, dlatego, tak jak poleciłem, znajdź jakieś miejsce na uboczu i zaczekaj na mój telefon.

Lumani się rozłączył.

– Co się dzieje? – spytała ochrypłym szeptem Neeva.

Były to jej pierwsze słowa od czasu, gdy wyruszyły. Munroe przeszła w nawigacji do bardziej ogólnej mapy i zaczęła ją studiować.

– Właśnie koordynują plany – powiedziała. – Musimy gdzieś się zatrzymać i poczekać.

Zawróciła w stronę lasu i skręciła w potworną dla podwozia piaszczystą drogę z zaschniętymi koleinami, które zostały po ostatnim deszczu. Dwieście metrów od granicy gęstniejącej zasłony z drzew droga poszerzała się nieco. Munroe zawróciła w tym miejscu i zaparkowała przodem do kierunku, z którego przyjechała, a potem zgasiła silnik i opuściła oparcie fotela.

– I co teraz? – spytała Neeva.

– Czekamy.

– Chce mi się pić.

– Nie wątpię – stwierdziła Munroe.

– I jestem głodna – dodała dziewczyna błagalnym szeptem. – Ale bardziej chce mi się pić. W tamtej ciemnicy straciłam rachubę czasu, ale myślę, że upłynęła co najmniej doba, odkąd coś piłam.

– Postaw się na moim miejscu. – Munroe spojrzała na dziewczynę. – Nie dając ci jeść ani pić, muszę jedynie znosić twoje jęki. Wystarczy, że zakleję ci taśmą usta, i po problemie. Nie pobrudzisz ubrania i mnie nie ugryziesz. Poza tym nie chce mi się wysiadać i przekopywać bagażnika w poszukiwaniu prowiantu, który przygotowali nam na drogę.

– Obiecuję nie pluć ani nie rzucać jedzeniem.

– Na pewno niczym nie będziesz rzucać, bo nie zamierzam uwolnić ci rąk – stwierdziła Munroe. – Masz szansę zjeść tylko to, co włożę ci do ust. Naprawdę nie mam ochoty na kolejną walkę z tobą.

– Będę grzeczna.

– Wątpię.

Neeva spojrzała na Munroe. Po jej policzku spłynęła kropla cennej wody.

– Obiecuję – zapewniła.

Munroe patrzyła na nią długo, próbując ocenić, czy ma przed sobą dziewczynę, czy aktorkę – prawdę czy kłamstwo. W końcu westchnęła. Oderwała kawałek taśmy z rolki i zakleiła nią usta Neevy, a potem wysiadła z samochodu. Przejrzała dokładnie zawartość płóciennej torby na tylnej kanapie, żeby się upewnić, czy oprócz żywej przesyłki nie wiezie także narkotyków. Lumani zadbał o wodę i paczkowane produkty: precle, cukierki i inne słodkości. Nie był to porządny posiłek, ale nie miały wymówki, że muszą się gdzieś zatrzymać. Munroe zamierzała w końcu wyciągnąć zapasy. Najpierw jednak chciała się rozejrzeć, a Neeva dała jej do tego pretekst. Mogła wysiąść z wozu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Otworzyła bagażnik i dokładnie wszystko sprawdziła, w myślach odmierzając kolejne sekundy. Przeszukała schowki, zajrzała pod wykładzinę i pod tylną kanapę. Miała nadzieję, że dodatkowe wyposażenie – w przeciwieństwie do radia – zostawiono w wozie.

Po kolei wyciągała poszczególne elementy: trójkąty ostrzegawcze, pustą apteczkę i nic niewarty podnośnik. Wreszcie znalazła to, na czym jej zależało – klucz do kół. Nie sprawdzał się w roli broni tak dobrze jak łom, ale nie mogła wybrzydzać. Jakoś zdołała umieścić go pod fotelem kierowcy.

Na koniec wyjęła z torby krakersy i butelkę wody i ponownie usiadła za kierownicą. Otworzyła paczkę.

– Nic nie mów, bądź grzeczna, a pozwolę ci to zjeść – powiedziała.

Neeva kiwnęła głową i Munroe powoli odkleiła taśmę z jej ust.

Dziewczyna nie rzucała się, nie pluła, a co najważniejsze, milczała. Nowa wersja Neevy niepokoiła Munroe, bo wbrew pozorom duch walki dziewczyny nie został złamany.

Piła wodę dużymi łykami i spokojnie gryzła krakersy, omijając palce Munroe. Kiedy skończyła, Munroe zgmiotła opakowanie i rzuciła je na tylną kanapę. Głowę oparła o zagłówek, a dłonie o dół kierownicy.

Od telefonu upłynęło dwadzieścia minut i wciąż nic się nie działo.

Palcami wystukiwała morsem ciąg wyrazów, przypadkowych zwrotów – stary nawyk, który wracał, gdy nad czymś dumiała. Nie miała pojęcia, czy Lumani – lub ten, kto siedział przy odbiorniku podsłuchu założonego w wozie – znał się na rzeczy i potrafił rozszyfrować nadawane w ten sposób sygnały.

Po kolejnych trzydziestu minutach zadzwonił telefon.

– Możecie ruszać – oznajmił Lumani. – Jak przekroczycie granicę, otrzymacie nowe namiary.

– A co z resztą trasy do Lublany?

– Zmiana planów. Omijamy miasto.

– Dlaczego?

Rozłączył się, a Munroe zakłęła pod nosem. Aby skontaktować się z Bradfordem, potrzebowała dostępu do cywilizacji. Musiała przynajmniej z grubsza wiedzieć, jaki jest plan podróży na najbliższe godziny, żeby cokolwiek zaplanować, obmyślić jakąś strategię, wykombinować sposób na wydostanie się z tego koszmaru. Jednym posunięciem Lumani odebrał jej to, na co liczyła.

Przekręciła kluczyk i znowu ruszyła do Pravutiny, najbliższej kropki na mapie.

Granica przecinała dwupasmową drogę i most. Na jednym brzegu Chorwacja, na drugim Słowenia: jedna malownicza widokówka oddzielona od drugiej wstążką rzeki i dwoma zadaszonymi posterunkami – po jednym z każdej strony.

Czysto. Urocz. Spokojnie.

Z Chorwacji wypuszczono je bez żadnych pytań. Strażnik tylko przelotnie zerknął na opla. Gdyby się zbliżył i zobaczył w środku Neewę,

byłby problem. Być może. No ale jechały do Słowenii na słoweńskich numerach. Po co miał się fatygować?

Po drugiej stronie mostu Munroe zatrzymała się pod zadaszeniem. Młody mężczyzna w mundurze wyszedł z budki, zerknął na samochód, okręcił się na pięcie i wszedł z powrotem do środka.

Zadzwoił telefon.

Munroe odebrała.

– Jedź dalej – polecił Lumani.

Dyskretnie wyjrzała przez szyby i zerknęła w lusterka. Był gdzieś niedaleko... musiał je obserwować – *ktoś* miał na nie oko – w przeciwnym razie, skąd Lumani wiedziałyby, kiedy ma zadzwonić.

– Dokąd teraz? – spytała, ale on już się rozłączył.

Kilka sekund później telefon zaczął wibrować, zwiastując nowe wiadomości.

Munroe powoli ruszyła. Przez kolejną godzinę i czterdzieści minut jechały drogami, które opasywały wzgórze i od czasu do czasu przecinały maleńkie miejscowości jak z obrazka. Długo się nie odzywały, ale w końcu Neeva przerwała ciszę:

– Muszę skorzystać z toalety.

Jej słowa uruchomiły w myślach Munroe maszynę strategii. Pionki zaczęły się przesuwać, ruch po ruchu. Rozgrywka na śmierć i życie.

Nie odzywała się, więc Neeva ponowiła prośbę.

– Naprawdę nie wytrzymam.

Oprócz krakersów dziewczyna nic nie jadła, odkąd została odurzona przed przygotowaniem do podróży, a jeśli dostała cokolwiek do picia, to na pewno niewiele. Wiedziała o tym. I wiedziała, że Michael też wie. Celowo wlała w siebie cały litr wody. Nawet ktoś, kto nie był aktorem i nie oglądał telewizji, musiał zdawać sobie sprawę, że numer z łazienką to najbardziej oklepana taktyka ucieczki, więc albo Neeva uważała ją za głupią, albo wierzyła, że aktorskimi zdolnościami wygra z logiką.

– Trzeba było to załatwić przed wyjazdem.

– Chyba nie mówisz serio? – Głos Neevy, wciąż zachrypnięty po wcześniejszym przyduszeniu, zabrzmiał o ton wyżej. – Proszę. Ofiara porwania powinna mieć prawo skorzystać z toalety, prawda?

Munroe nie odpowiedziała.

Podstęp Neevy otwierał nowe szanse. Jeśli Lumani nie chciał, żeby ich cenna przesyłka załatwiła potrzebę gdzieś na polu i przy okazji ubrudziła strój, pojawiał się uzasadniony powód, aby zatrzymać się gdzieś, gdzie znajdą przynajmniej namiastkę cywilizacji. Według nawigacji od najbliższego miasta wciąż dzieliło je sporo kilometrów, a ograniczenia prędkości ogromnie spowalniały podróż.

– Poza tym tamci zabrali mi wiadro – dodała dziewczyna – więc mogłam najwyżej załatwić się pod siebie, a wolałam nie ubrudzić ubrania. Naprawdę muszę do toalety.

– Nie ma takiej możliwości – powiedziała Munroe.

Neeva zaczerpnęła tchu.

– Nie wytrzymam – powtórzyła. – Jeśli się nie zatrzymamy, zrobię to na fotel. Wierz mi, po smrodzie, jaki znosiłam przez ostatnie tygodnie, nie będzie mi to w ogóle przeszkadzało.

– Samochód nie jest mój i nie ja muszę siedzieć w śmierdzącym ubraniu, więc rób, jak chcesz.

Upłynęła kolejna długa minuta, zanim Neeva ponownie się odezwała, tym razem ciszej. I znowu trudno było się domyślić, gdzie się kończy aktorka, a zaczyna zwykła dziewczyna.

– Sukienka musi być ważna. Inaczej by mnie nie głodzili i nie zabraliby mi wiadra. Zadali sobie tyle trudu, żeby mnie wystroić – powiedziała i zrobiła pauzę. – Naprawdę chcesz, żebym się w nią załatwiła?

– Jeśli się zatrzymamy, jeśli spróbujesz uciec, jeśli coś ci się stanie, człowiek, którego kocham, zginie i ty się do tego przyczynisz.

– Ale ja tylko mam pełen pęcherz – zaprotestowała Neeva.

Munroe oderwała wzrok od drogi i spojrzała na nią.

– Jeżeli swoim zachowaniem sprawisz, że ktoś zginie, twoje życie przestanie mieć dla mnie znaczenie.

– Naprawdę chcę tylko do toalety.

Munroe wzięła telefon. Wybrała jeden z dwóch numerów, z którymi mogła się połączyć, i po angielsku – choć wolałaby tego uniknąć, żeby utrzymać Neewę w niepewności – powtórzyła całą rozmowę.

– Nie możesz jej kontrolować? – spytał Lumani.

– Akurat na to nie mam wpływu. Ale skoro lepiej się nie zatrzymywać, nie mam nic przeciwko temu, żeby załatwiła potrzebę na fotelu. Nie jestem tylko pewna, czy nie będzie później za bardzo śmierdziała. Nawet jeśli przygotowaliście strój na zmianę, tylko wy wiecie, jak wasz klient zareaguje na niezbyt świeżo pachnący towar.

Długo czekała na odpowiedź.

– Oddzwonię – powiedział w końcu Lumani.

Hazard myśli. Figury na szachownicy znowu zmieniły miejsca: sumienie przeciwko sumieniu. Instynkt podpowiadał Munroe, aby wykorzystwała determinację dziewczyny do własnych celów. Gdyby dobrze wszystko rozegrała w czasie, najbliższa godzina mogłaby umożliwić ocalenie wszystkich w ostatecznej rozgrywce. Wiedziała jednak, że nie będzie łatwo.

Włożyła telefon w uchwyt.

– I? – chciała wiedzieć Neeva.

– Na razie jedziemy i czekamy na wiadomość.

Dziewczyna odwróciła głowę. Do następnej miejscowości zostało mniej niż pół kilometra. Rozległ się dzwonek telefonu.

Rozdział 17

Dallas, Teksas

Bradford niedbale zaparkował wóz, częściowo zajmując miejsce, które nie należało do Capston. Było mu wszystko jedno, czy ktoś przyjdzie go upomnieć. Gwałtowny przyływ adrenaliny, potem jej spadek i powtórny skok, a do tego brak snu, nadmiar kofeiny i gwałtowne wahania poziomu cukru doprowadziły do obecnego stanu. Niebezpiecznie prowadził i praktycznie nie był w stanie podejmować racjonalnych decyzji ani tym bardziej przeanalizować ogromnych ilości informacji, jakie zebrał przez ostatnie dni, i odkryć w tym wszystkim jakiegoś sensu.

Walker trzymała się tylko trochę lepiej.

Czas uciekał i równie szybko blakła nadzieja.

Ostatnie godziny pod każdym względem okazały się klęską. Zmarnowali szansę i stracili mnóstwo czasu, a zdołali jedynie skreślić dwa miejsca z listy potencjalnych kryjówek i przygotować wypad do trzeciego. Z firmy przewozowej pojechali do magazynu odległego o trzydzieści pięć minut drogi, ale tam również nie znaleźli Logana ani żadnych wskazówek – tylko mroczną i pustą halę, w której nie było ochrony, ciężarówek ani żadnych śladów życia.

W recepcji Capstone Bradford otworzył panel drzwi w ścianie i wycelował palcem w Walker.

– Biuro. Masz się przespać – oznajmił. – To rozkaz. Następną tura o jedenastej.

Walker z rezygnacją przygarbiła ramiona, ale się nie sprzeciwiła. Ze zwieszoną głową minęła centrum dowodzenia i zaniósła kamizelki do szafy.

Jahan zerknął na Bradforda i pokręcił głową, patrząc mu w oczy.

– Muszę się przespać – stwierdził Miles. – Nie ma mnie dla nikogo, chyba że coś się zacznie dziać. To samo dotyczy Sam. Ty też masz nockę

w plecy?

– O drugiej zrobiłem sobie przerwę. Mogę ruszać, gdy tylko będziecie gotowi.

– Daj mi cztery godziny – poprosił Bradford. – I zadzwoń jeszcze raz do Robertsona, dobrze? – rzucił na odchodne. – Sprawdź, czy nie pojawiły się jakieś nowe wątki. Może odciski i próbki zebrane u Logana coś dały. Gość ma u mnie dług wdzięczności, musi coś znaleźć. – Umilkł, ale w progu jeszcze raz się odwrócił. – Jakież wieści ze skrzynek awaryjnych?

Jahan pokręcił głową.

– Ale upewniłeś się, że wszystkie działają? Nic się nie zawiesiło?

– Wszystko jest na chodzie. Dam ci znać, jeśli coś przyjdzie. Możesz być pewny.

Bradford przytaknął i ponownie się odwrócił. Brak snu sprawił, że fale niepokoju atakowały z większą siłą. Strach liznął jego skórę po raz pierwszy, odkąd zaraz po porwaniu zdołał go od siebie odsunąć.

Minęły siedemdziesiąt dwie godziny, a oni nadal nie mieli nic oprócz nadziei i resztek sił. Nie znaleźli dowodu na to, że Logan wciąż żyje. Bradford nie mógł w żaden sposób stwierdzić, czy Munroe podjęła się tego, do czego ściągnęli ją Lalkarz i jego ludzie. A co do Neevy Eckridge? Powinien chyba wrzucić umowę do niszcarki i poinformować zleceniodawców, że nie zdołał namierzyć osoby, do której próbowali dotrzeć rodzice dziewczyny.

Raz jeszcze sprawdził telefon, nerwowo szukając odpowiedzi na pytanie, które zadał wcześniej Jahanowi. Capstone miało skrzynki poczty głosowej na sześciu kontynentach w niemal dwudziestu państwach – specjalne łącza telefoniczne, które rejestrowały i w cyfrowej formie przekazywały wiadomości do centrum dowodzenia – dodatkowe zabezpieczenie dla agentów, którzy znaleźli się w

tarapatach i nie mieli możliwości połączenia się z zagranicznym numerem.

Bradford rozwinął śpiwór i rzucił go pod biurko.

Był pewien, że Munroe zadzwoni.

Jeśli żyje, jeśli potrzebuje pomocy, jeśli zdoła dotrzeć do telefonu, zadzwoni – ta myśl kołatała się w jego głowie nieprzerwanie, dopóki nie ogarnął go sen.

Miał wrażenie, że Jahan obudził go po dwóch minutach. Nie mógł podnieść powiek, tak jakby ktoś wbił w nie haki obciążone workami z piaskiem. W końcu rozwarł je palcami, ale natychmiast zmrużył, gdy zapiekły go oczy. Zbyt wiele godzin na chodzie, za mało snu, nie mówiąc o tym, że był za stary na tempo, z którym miałby trudności nawet dziesięć lat wcześniej.

Jahan przykucnął blisko głowy Milesa i wyciągnął w jego stronę kubek z kawą.

– Cztery godziny – powiedział.

Bradford jęknął.

– Mam wrócić za dziesięć minut?

Miles sięgnął po telefon i zamazanymi oczami zerknął na wyświetlacz, łudząc się, wbrew rozsądkowi. Kolejny kawałek doby bez sygnału od Munroe.

– Już wstaję – powiedział i wyciągnął rękę po kawę. – Coś nowego?

– Tylko tyle, że Walker już siedzi w centrum dowodzenia. Lepiej się zbieraj, jeśli nie chcesz wyjść w tym towarzystwie na babę.

Bradford wysunął się spod biurka i dźwignął do pionu, uważając, aby nie rozlać kawy. Śpiwór zostawił na podłodze.

– Kiepsko wyglądasz – skwitował Jahan i się uśmiechnął.

– Dzięki. – Bradford upił łyk kawy. Skrzywił się.

Jahan przyjrzał się jego twarzy. W miejsce uśmiechu pojawiła się mina psychiatry pilnującego pacjenta, który próbuje popełnić

samobójstwo.

Bradford zasłonił się otwartą dłonią.

– Co ty, moja matka jesteś? Daj sobie z tym spokój.

– Masz gościa – poinformował Jahan.

– Gościa?

– Aha. Jakaś dziewczyna. Nie chce podać nazwiska ani powiedzieć, dlaczego cię szuka. Twierdzi tylko, że cię zna i że zrozumiesz, o co chodzi. Przyszła z dzieckiem.

– Z dzieckiem?

– W wózku. Najwyżej dwulatek.

Wreszcie odrobina jasności.

Alexis, córka Tabithy, dzwoniła do niego, kiedy był w więzieniu u Breeden. Posłał wtedy Walker, żeby sprawdziła, czy nic jej nie grozi, ale nie oddzwonił. Teraz musiał jakoś z tego wybrnąć, aby trzymać ją jak najdalej od tego bałaganu.

Czekała na niego na kanapie w recepcji Capstone. Na jego widok wstała i się uśmiechnęła. Nie tyle z radością, ile z ulgą.

– Próbowалам dzwonić – powiedziała.

Była podobna do Munroe, tylko jasnowłosa i nie tak wysoka jak ona. Za to miała tak samo szczupłą sylwetkę i mocno zaznaczone kości policzkowe, a przede wszystkim niemal identyczne oczy. Z trudem zmusił się, żeby na nią spojrzeć. Podobieństwo jednak kończyło się na wyglądzie.

W przeciwieństwie do Munroe, która żyła poza utartymi szlakami, na krawędzi, i jak dotąd zabijała ludzi na co najmniej czterech kontynentach, Alexis była delikatna, słodka i pod pewnymi względami wciąż trochę naiwna.

– Prowadzę teraz trudną sprawę, często nie mam jak odebrać telefonu – powiedział. Ukląkł przy spacerówce i połaskotał Prestona,

wywołując tym jego śmiech. Potem wstał i wskazał drzwi. – Może porozmawiamy na korytarzu – zaproponował.

Większość osób, które znały Munroe towarzysko, z jej mało konkretnych odpowiedzi, a nawet kategorycznych zaprzeczeń wniosowała, że jest sierotą albo przynajmniej od dawna nie utrzymuje kontaktów z bliskimi. Przez całe lata rzeczywiście tak było. Odkąd po raz pierwszy opuściła Afrykę, nie zamieniła słowa z rodzicami, ale przez ostatnie miesiące od powrotu z Argentyny starała się odbudować więzi z rodzeństwem, którego wcześniej prawie nie znała. Bradford nie znał wszystkich szczegółów, ale wiedział, że najbardziej lubiła Alexis – tylko z nią spośród najbliższych krewnych połączyła Munroe prawdziwie bliska więź.

– Nie mogę się skontaktować z Essą – powiedziała Alexis. – Przedwczoraj miałyśmy się spotkać na lunchu, ale nie przyszła. W jej telefonie od razu włącza się poczta głosowa. Kiedyś mi mówiła, że jeśli nie będę mogła się do niej dodzwonić, mam kontaktować się z Loganem albo z tobą, ale żaden z was nie odbierał telefonu. Wiesz może, gdzie ona jest?

Bradford powstrzymał się od westchnienia. W labiryncie myśli zaczął szukać odpowiednich słów, *kłamstwa*, które mogło nakłonić Alexis do większej czujności, ale nie przerazić jej zupełnie.

– Od kilku dni nie mam od niej wiadomości – przyznał – ale jestem pewien, że w końcu się odezwie.

– Tak sądzisz?

– Wiesz, jaka z niej twarda zawodniczka. Na pewno nic jej nie będzie.

Alexis uśmiechnęła się, a jej policzki lekko poczerwieniały.

– Myślałam, że może czymś ją zdenerwowałam i dlatego przestała się do mnie odzywać.

Bradford skierował ją do windy i wcisnął guzik.

– Zapewniam cię, że to nieprawda.

– Nigdy nie wyjaśniła, dlaczego miałabym się z tobą kontaktować. Trochę się denerwuję. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystko o niej wiem.

Bradford wyjął z portfela wizytówkę i podał ją Alexis.

– Nie wiem, czy przez najbliższy tydzień będę mógł odbierać wszystkie telefony, ale tu masz numer naszego biura. Dzwoń kilka razy dziennie i sprawdzaj, czy nie ma jakichś nowych informacji, dobrze?

Wzięła kartonik i przyjrzała się logo firmy. Nie musiał czytać w myślach, i tak wiedział, że próbuje zyskać na czasie, bo nie ma pojęcia, jak zadać pytania, które nie dawały jej spokoju.

– Nie myśl, że mam paranoję – powiedział – po prostu wolę dmuchać na zimne. Mogłabyś z Prestonem wyjechać z miasta na tydzień lub dwa? Masz dokąd?

Winda przyjechała, ale Alexis nie ruszyła się z miejsca. Nie spuszczała z niego wzroku. Drzwi zaczęły się zamykać. Bradford je przytrzymał.

– W jakie kłopoty się wpackowała? – spytała Alexis.

Bradford powoli wprowadził spacerówkę do windy. Weszła do środka za nim.

– Nie wiem – odparł. – Naprawdę nie mam pojęcia i trochę się martwię. Na pewno nie zaszkodzi, jeśli zachowamy szczególną ostrożność.

Wycofał się z kabiny. Alexis stała z założonymi rękami i wpatrywała się w niego intensywnie, dopóki drzwi nie zaczęły się zamykać.

– Pamiętaj, żeby dzwonić – zawołał jeszcze.

Dopiero gdy znikła, przygarbił ramiona. Informatorką Lalkarza była Kate Breeden, dlatego bardzo się niepokoił o bezpieczeństwo Alexis.

Jahan czekał na niego w recepcji.

– Kto to był? – spytał.

– Siostrzenica Munroe.

-Wygląda raczej jak jej siostra.

Bradford przytaknął i przesunął kartą przez czytnik, otwierając panel drzwi.

- Dzielą je chyba tylko dwa lata - powiedział, a Jahan przekrzywił głowę, tak jakby w myślach coś liczył, a potem ruszył za Bradfordem.

W centrum dowodzenia Samantha Walker siedziała na miejscu Jahana. Jedną dłoń trzymała na myszy, a drugą obejmowała kubek z kawą. Głowę zadarła lekko do góry, w stronę jednego z płaskoekranowych monitorów. Przeglądała dokumenty przewozowe Veers Transport.

Stanęli za nią i patrzyli, jak pracuje. W rejestrach magazynowych Veers Transport dostrzegła tę samą niespójność co Bradford.

- Jakie wnioski? - spytał.

- Pomijając nielegalny handel, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z praniem pieniędzy - odparła, nie odwracając się od ekranu. Mysz przez cały czas klikała w jednakowym tempie.

- Muszą przepuszczać kasę za dziewczyny przez jakiś legalny kanał - stwierdził. - Firma przewozowa to świetna przykrywka, zwłaszcza że i tak trzeba je transportować.

- Taka liczba kursów? - zdziwiła się Walker. - Niemożliwe, żeby aż tyle wywozili z kraju. Bazy osób zaginionych osiągnęłyby stan alarmowy. Ktoś by się połapał, dostrzegł podobieństwa, zaczął węszyć. Przecież nie mówimy tu o pojedynczej operacji, w której zarzuca się dziewczynie worek na głowę i przewozi przez granicę do Meksyku. To organizacja na szeroką skalę i poważna inwestycja.

- W magazynie nie było towarów? - spytał Jahan, który do tej pory milczał.

- Niewiele - odparł Bradford. - Na pewno nie tyle, ile można się spodziewać według dokumentów przewozowych, nawet jeśli założymy,

że w dziewięćdziesięciu procentach transakcji ładunek dostarczany jest bezpośrednio do odbiorcy z pominięciem magazynu.

– Może liczba przejazdów ma tylko stwarzać pozory – stwierdził Jahan. – Niewykluczone, że przerzucają dziewczyny, ale pewnie nie przy każdym transporcie. Potrzebują mil, rejestrów i papierów, żeby mieć dokumentację legalnego biznesu i móc przepuszczać przez firmę brudne pieniądze. Podejrzewam, że część listów przewozowych jest prawdziwa.

– Tylko że to wszystko wydaje się takie nieudolne – wtrąciła Walker. – Mało wydajne. Nie macie takiego wrażenia? Utrzymywać operację na taką skalę tylko po to, żeby mieć przykrywkę dla nielegalnego handlu?

– Właśnie dlatego to działa – powiedział Jahan. – Kto by się uważniej przyglądał takiej firmie? My też nie zwrócilibyśmy na nią uwagi, gdyby nie informacje w tamtych materiałach. Taki system może działać zupełnie jawnie przez lata, nie budząc niczyich podejrzeń, a na legalnych zleceniach zarabia pewnie dość, żeby wyjść na czysto.

Bradford wzruszył ramionami.

– Taka organizacja świetnie się nadaje do prania pieniędzy. Do handlu ludźmi też. Pewnie robią i jedno, i drugie. – Oparł ręce o krzesło i przeniósł wzrok na sąsiedni monitor. Jeśli słusznie zakładał, że Logana porwano, aby kontrolować Michael, na pewno zażądała dowodów, że on żyje. Aby mogła ratować siebie, oni musieli uwolnić ją od presji – dotrzeć do Logana, odszukać norę, w której go trzymano. Tylko że mieli coraz mniej czasu i pomysłów. – Wszystko jedno, czy biznes jest legalny czy nie. Liczy się tylko jedno pytanie: Gdzie przetrzymują cargo?

– Nie sprawdziliśmy jeszcze biura firmy ani domu.

– Wątpię, żeby akurat tam coś było. Coś musieliśmy przeoczyć.

– Szukamy igły w pierdolonym stogu siana – podsumował Jahan. – Sam wylałbym się z roboty, gdybym próbował udawać, że wszystko sprawdziliśmy.

Przerwał im dźwięk brzęczyka – sygnał, że ktoś przekroczył próg recepcji. Walker obróciła się na krześle i już miała się podnieść, ale Jahan ją powstrzymał.

– Załatwię to.

Kiedy wyszedł, Samantha wróciła do studiowania monitorów, a Bradford zamknął oczy i w myślach jeszcze raz przeanalizował główne wątki rozmowy. Po chwili Jahan wrócił z dwiema torbami. W pomieszczeniu rozszedł się zapach jedzenia, tłumiąc aromat kawy i charakterystyczną woń elektroniki.

Jahan kiwnął głową do Walker.

– To moje miejsce – oznajmił i podał jej torbę. – Złóż stąd i idź coś zjeść.

Drugą torbę wręczył Bradfordowi.

– Mam nadzieję, że umiecie gadać szybciej niż żuć. Chcę wszystko wiedzieć. Jak wam poszło, krok po kroku. Potem musimy się zbierać.

Bradford i Walker na zmianę zdawali relację, wprowadzając Jahana w szczegóły nocnych wydarzeń i snując teorie, między połykanymi naprędce kęsami. Jahan zapisywał wszystkie fakty na tablicy. Kolejne wątki nie prowadziły do żadnych konkretnych wniosków, plątały się i kluczyły, coraz bardziej gmatwając obraz sytuacji. Wreszcie skończyli jeść i Bradford wstał.

– Wkładaj garnitur – rzucił do Jahana.

Według oficjalnych dokumentów biuro należało do przedsiębiorstwa Akman sp. z o.o., którego sfera działalności była równie mglista jak nazwa. Domyślali się, że chodzi o import i eksport, tylko jeszcze nie ustalili czego. Żadnego z trzech szefów Akmana nie dało się powiązać z rzekomymi właścicielami Veers Transport, choć według listów przewozowych Akman prowadził sporo interesów z Veers – i prawie nic poza tym.

Taki układ wydał im się podejrzany, a zupełnie pozbyli się wątpliwości, gdy w starych rejestrach spółki dokopali się do powiązań z Katherine Breeden. Wszyscy zgodnie uznali, że Akman to kolejne oblicze tego samego biznesu związanego z praniem brudnych pieniędzy i handlem żywym towarem.

Główna siedziba spółki mieściła się w Las Colinas, w północnej części Irving, dwadzieścia minut od Veers Transport – ale równie dobrze mogła się znajdować na drugim końcu miasta, a nawet w zupełnie innym kraju. Budynki z kamienia otoczone zadbaną zielenią w niczym nie przypominały lustrzanych biurowców, a obok golfowej jakości trawników i sztucznych stawów ciągnęły się idealne pasażer handlowe i kompleksy biurowe, które na rynku nieruchomości pod wynajem osiągały najwyższe ceny.

Las Colinas było czyste, zadbane, nowoczesne i ekskluzywne.

Z całą pewnością ekskluzywne.

Ubrany w garnitur i krawat Jahan zatrzymał samochód o jedną przecnicę od celu i szturchnięciem obudził Bradforda, który zwyczajem zaprawionych w boju żołnierzy nauczył się wykorzystywać każdą sposobność do drzemki, bo trudno było przewidzieć, kiedy znowu będzie mógł odpocząć. Ocknął się natychmiast, gdy Jahan dotknął jego ramienia. Chwycił plecak i wysiadł z wozu.

Jahan odczekał kilka minut, żeby dać mu więcej czasu. Mieli ze sobą stałą łączność. Bradforda nie opuszczało wrażenie, że wszyscy zwracają na niego uwagę. Mijał go samochód za samochodem. W tej dzielnicy mężczyznę idącego piechotą widywało się równie rzadko jak bezpieczeństwa psy.

Kompleks biurowy powstał na planie ósemki. Składał się z jednopiętrowych budynków połączonych w segmenty po trzy i przedzielonych idealnie przystrzyżonymi żywopłotami oraz podjazdami. Segment, w którym mieściła się spółka Akman, znajdował

się w głębi, w prawym narożniku. Parking firmowy był pusty, ale Jahan wolał zatrzymać wóz przed sąsiednim budynkiem.

Bradford spokojnym tempem zbliżał się do kompleksu z przeciwnej strony. W rozpiętym plecaku trzymał w pogotowiu MP5. Kolba broni lekko wystawała. Kiedy znalazł się w umówionym miejscu, Jahan wysiadł z samochodu i ruszył do głównego wejścia.

Nacisnął klamkę.

Zapukał.

Chwilę czekał.

Widząc, że nikt nie odpowiada, Bradford zwolnił kroku.

Jahan wrócił do wozu, zatrzasnął drzwi i udał, że do kogoś dzwoni.

Bradford zbliżył się do budynku firmy, która sąsiadowała z Akmanem przez ścianę. Na drzwiach widniała nazwa INTELISET, a pod nią godziny otwarcia. Otworzył je i wszedł do środka.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu, z którego krótki łącznik prowadził prawdopodobnie do mniejszego pokoju na tyłach. Stało tu pięć biur, ale tylko przy dwóch siedzieli pracownicy: mężczyzna i kobieta. Oboje młodzi i zwyczajnie ubrani. Kiedy wszedł, spojrzeli na niego znad papierów i klawiatur.

– Szukam spółki Akman – powiedział.

– Następne wejście – poinformował mężczyzna, znacząco kiwając głową w stronę ściany.

– Już próbowałem. Drzwi są zamknięte i nikt nie odpowiada. Nie miałem pewności, czy nie pomyliłem adresu.

– Na pewno pan nie pomylił. – W głosie mężczyzny pojawił się ton pogardy, jakby jakiś kretyn zostawił psią kupę na trawniku przed jego domem. – To Akman.

– Mam dla nich list polecony i ktoś musi mi pokwitować odbiór – wyjaśnił Bradford. – Może wiedzą państwo, jak oni odbierają przesyłki?

- Kurierzy zwykle zostawiają wszystko pod drzwiami - odparł mężczyzna, a kobieta dodała:

- Zwykle raz w tygodniu ktoś wszystko zabiera. Prawdopodobnie właściciele. Prawdę mówiąc, nigdy ich nie widziałam.

- Dziękuję - powiedział Bradford.

Mężczyzna wrócił do papierów, a kobieta posłała mu uśmiech.

- Powodzenia - zawołała za nim.

Już spod wejścia InteliSetu widział, że przed drzwiami Akmana nie ma żadnych przesyłek, co oznaczało, że albo ostatnio nic nie przyszło, albo niedawno ktoś tu był i wszystko zabrał.

Bradford przyklęknął, żeby zawiązać sznurowadło. Zobaczywszy to, Jahan wysiadł z wozu, minął go i skierował się do wejścia Akmana. Kiedy sięgnął po coś do kieszeni, Bradford wstał i ruszył za nim. Otwarcie drzwi zajęło Jahanowi kilka sekund. Bradford zrównał się z nim, a potem minął go i pierwszy wszedł do budynku, dobywając broni. Błyskawicznie ogarnął wzrokiem wnętrze, szukając zagrożeń, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu systemu alarmowego i kamer. Nic nie zauważył.

Lekko zastukał w uchylone drzwi i się odsunął, aby Jahan - który wciąż czekał na zewnątrz, udając biznesmena - mógł do niego dołączyć.

Wnętrze wyglądało niemal identycznie jak sąsiednie biuro: jedno duże pomieszczenie i krótki korytarz po lewej stronie, który sugerował istnienie drugiego pokoju na zapleczu. W ścianie po prawej stronie były dodatkowe okna - zaleta narożnego segmentu. Miejsce przypominało naprędce opuszczone obozowisko: puste pojemniki po żywności, plastikowe sztucze ze śladami używania, tekturowe pudełka z pustymi torebkami po chipsach i butelkami po napojach i nieotwarta dwulitrowa cola.

Umeblowanie było skromne: dwie stojące lampy, żaluzje i składany stolik po prawej stronie blisko okien. Na nim znajdował się promiennik,

a obok niego srebrna taśma i pudełko torebek strunowych – ale nie to zwróciło uwagę Bradforda i sprawiło, że jego serce nerwowo zabiło. Obok stolika stał oparty o ścianę kij baseballowy.

Ruchem głowy wskazał go Jahanowi. W nagraniach z monitoringu u Logana również widzieli taki kij. Zbieg okoliczności? Może.

Jeśli ktoś był skłonny w to wierzyć.

Skurwysyny.

Niewielkie brązowe plamki na wzorzystej wykładzinie znaczyły niemal niewidzialny szlak od wejścia w stronę stolika. Bradford zrobił kilka kroków i zobaczył, że ślady urywają się raptownie mniej więcej dziesięć stóp od ściany. Więcej maleńkich, ciemnych kropek znaczyło białą ścianę wokół miejsca, które – sądząc po wiele mówiących smugach – ktoś wytarł gąbką albo szmatą, usuwając resztę śladów.

Bradford dał towarzyszowi znak i wskazał krótki korytarz. Jahan ruszył do drugiego pomieszczenia. Łokciem pchnął lekko uchylone drzwi i kiwnął na Bradforda, żeby sam zajrzał do środka. W drugim pokoju też nie było mebli, tylko kserokopiarki. Jahan się wycofał, a Bradford podszedł do ostatnich drzwi w końcu korytarza. Prowadziły do łazienki. W zlewie leżały podarte i zakrwawione, takie jak te, które widział na nagraniach z monitoringu, spodnie Logana.

Rozdział 18

Miren–Kostanjevica, Słowenia

Przez okular celownika Lumani patrzył na nadjeżdżający szary samochód. Krzyż siatki naprowadził na przednią szybę, na kierowcę. Opel skręcił na niewielką stację benzynową. Na małym parkingu musiał poczekać, aż ktoś odjedzie, i dopiero wtedy mógł zająć zwolnione miejsce. Dokładnie tak, jak polecił Lumani, przy samym rogu budynku, jak najdalej od dystrybutorów. Tam, jako strzelec, mógł ogarnąć największe pole.

Wewnątrz opla coś się działo. Kobieta, na którą mówiono Michael, pochyliła się i z jej ruchów wywnioskował, że jakimś narzędziem albo kawałkiem metalu przecina taśmę, aby uwolnić nogi lalki.

W głowie Lumaniego zapaliła się lampka alarmowa.

Podczas transportu zawsze dochodziło do nieprzewidzianych sytuacji. Spodziewał się tego. Liczył się z tym. Zawczasu przygotowywał się na wiele nieoczekiwanych zwrotów, bo zakładał, że jeśli ktoś jest na tyle sprytny, aby powierzono mu zadanie dostarczenia towaru, w końcu zawsze ulegał złudzeniu, że zdoła pokrzyżować plany. Wszystkie przesyłki, które nadzorował Lumani, docierały do celu, bo ostatecznie przebiegłość czy upór przewoźników nie miały znaczenia. Wystarczyło odpowiednio ich przycisnąć, znaleźć słabe punkty, a nawet najsilniejsi się załamywali.

Ale ona? Lustrował ją. Analizował. Widział to, co być może umknęło nawet wujowi, który uchodził za mistrza w sztuce obserwacji. Ona już została złamana, tyle że w miejscach pęknięć zamiast szczelin i ran pojawiły się zrosty mocniejsze od wcześniejszej tkanki.

Palec wskazujący oparł obok osłony spustu. Jednym okiem przez celownik śledził przesyłkę, drugim ogarniał otoczenie. Czekał. Gdyby decyzja należała do niego, nie pozwoliłby im się zatrzymać. Kazałby jechać dalej, przez granicę, i jak najszybciej przemierzyć Włochy. To wuj

się uparł, że lalka musi wyglądać idealnie, aby spełnić życzenia wymagającego klienta. Dlatego zgodził się na ten postój, nie biorąc pod uwagę nieuchronnej próby ucieczki.

No bo po co miał zaprzętać sobie tym głowę? Co miał do stracenia? Przecież Lumani był na miejscu, żeby pilnować wykonania zadania i posprzątać ewentualny bałagan, który mógł wyniknąć z takiego braku rozwagi. I jak zawsze to na Lumanim ciążyła odpowiedzialność za niepowodzenie będące następstwem decyzji człowieka, który sukces uważał za rzecz oczywistą i karał za najbardziej błahe przewinienia.

W samochodzie kobieta o imieniu Michael odrzuciła koc na tylną kanapę. Lumani wiedział, co za chwilę nastąpi. Napięcie rosnęło. Osiągnęło już pierwszy szczebel niepokoju. Gęsta i lepka obawa oklejała każdą myśl i spływała do żołądka. Świadomie zapanował nad oddechem i się skoncentrował.

Michael otworzyła drzwi po stronie kierowcy. Postawiła stopę na chodniku i odwróciła się do wnętrza samochodu. Lumani w słuchawce usłyszał jej wyraźny głos.

– Siedź spokojnie – powiedziała. – Nie ruszaj się, dopóki ci nie otworzę.

Dzięki dużemu powiększeniu celownika mógł się przyjrzeć konturom jej sylwetki. W tylnej kieszeni dostrzegł wybrzuszenie telefonu. W ręku trzymała kluczyki. Nie miał całkowitej pewności, ale wyglądało na to, że wszystkie dokumenty zostawiła w samochodzie. Wziął to za dobrą monetę. Planowała wrócić, czyli przynajmniej o to mógł się nie martwić.

Otworzyła drzwi po stronie pasażera, przecięła taśmę wokół nadgarstków lalki, wzięła ją za rękę i pociągnęła ku sobie. Potem otoczyła ją ramieniem – jak troskliwy chłopak, opiekujący się chorą dziewczyną. W ten sposób mogła pilnować przesyłki i nie zwracać uwagi otoczenia.

Razem, z trudem dopasowując tempo kroków, skierowały się na tyły budynku stacji. Lumani nieznacznie zmienił pozycję i powiódł za nimi snajperką. Czekał na pierwszy błąd tej kobiety. Jeszcze nigdy nie musiał zabić kierowcy przed wykonaniem zadania i wolał, aby tak ryzykowna przesyłka nie była pierwszą, którą będzie musiał osobiście dostarczyć.

W połowie drogi Michael przystanąła. Wciąż mocno obejmując dziewczynę ramieniem, obróciła ją tak, że obie stanęły przodem do niego. Jej usta poruszyły się nieznacznie. Powiedziała coś za cicho, żeby schowana w kieszeni komórka zdołała to wychwycić. Lalka spojrzała w stronę miejsca, gdzie się zaczął – mógł przysiąc, że prosto na niego.

Znieruchomiał. Jakikolwiek ruch potwierdziłby jedynie to, czego ich oczy może jeszcze nie dostrzegły. I wtedy ta cała Michael dyskretnie – a może wcale nie – skinęła głową w jego kierunku, jakby na znak, że rozumie, a nawet akceptuje i pochwała. Wbrew instynktowi, wbrew rozsądkowi i wieloletniemu doświadczeniu, pomimo nienawiści i zazdrości, którymi darzył tę kobietę, złodziej wujowskich uśmiechów uległ ciepłemu uczuciu, jakie niosła jej aprobata.

Wrażenie znikło równie szybko, jak się pojawiło.

Michael ponownie odwróciła dziewczynę i ruszyły do bocznych drzwi, na których widniał znak toalety. Sam je tam skierował. Razem weszły do niewielkiego pomieszczenia bez okna. Lumani wiedział, że drzwi są otwarte, bo dopilnował, żeby były.

Zaczął odliczać czas. Z każdą minutą, gdy nie miał ich na oku, jego niecierpliwość rosła. Kobiety zawsze spędzały w toalecie więcej czasu, to wiedział, ale żeby aż tak długo? Słowa odbijające się echem od wyłożonych kafelkami ścian docierały do niego w postaci niezrozumiałych dźwięków. Musiał wprowadzić nową zasadę: telefon zawsze włączony i zawsze na wierzchu.

Nieopodal, za zakrętem drogi, czekał Arben, gotowy w każdej chwili znowu ruszyć za oplem.

Lumani nakazał mu podjechać bliżej.

Drzwi łazienki się otworzyły.

Lumani cofnął polecenie.

Michael wyszła pierwsza. Tak jak wcześniej, obejmowała dziewczynę-lalkę ramieniem. Ruszyły z powrotem do samochodu krokiem, do którego powoli się przyzwyczajały. Lumani czekał, aż znowu spojrzą w jego stronę. Niemal błagał o to w myślach. Pragnął jeszcze raz poczuć się zauważony i doceniony, ale kobieta poświęcała całą uwagę przesyłce.

I wtedy to się stało. Tak szybko, że Lumani nie od razu pojął, co się dzieje. Tym razem to nie kierowca podjął próbę ucieczki, tylko lalka.

Szarpnęła się niespodziewanie.

Łokciem uderzyła swojego stróża w twarz.

Michael potrzebowała zaledwie sekundy, żeby dojść do siebie, ale lalka i tak zdołała się wyrwać. Puściła się pędem przed siebie, oddalając się od stacji. Biegła coraz szybciej. Michael rzuciła się za nią w pogoń. Nie dała dziewczynie się odsadzić, ale i nie zmniejszyła dzielącego je dystansu. Lalka była szybka.

Lumani obserwował je przez okular celownika. Gdyby zdecydował się strzelać, mógłby uszkodzić towar, a jeszcze istniała szansa, że uda się odzyskać lalkę. Uspokoił przyspieszony oddech. W jego myślach pojawiła się mantra niedoskonałości, klęski i bezwartościowości.

Lalka zmieniła kierunek, skręciła w wąską uliczkę, która oddalała ją od Arbena. Wkrótce Lumani mógł stracić ją z oczu. Wycofał się z punktu obserwacyjnego, przewiesił snajperkę przez plecy i przeczołgał się po dachówkach do obniżenia między dachami, a potem znowu do góry, na prostopadle biegnącą kalenicę, która dawała mu nowe pole obserwacji.

Dziewczyna biegła z całych sił, z rozwianym włosiem i furkoczącą sukienką. Michael wciąż znajdowała się kilkanaście kroków za nią. Lumani podał Arbenowi pozycję i nakazał przeciąć im drogę, ale wtedy

lalka znowu skręciła. Na tej uliczce kręciło się więcej ludzi. Dziewczyna kierowała się w stronę niewielkiego ogródka restauracji, w którym trzy- i czteroosobowe grupki siedziały przy stolikach w popołudniowym słońcu.

Zbyt wielu świadków.

Gdyby Arben teraz je dogonił, operacja wuja wyszłaby na jaw. Za lalkę odpowiadała ta cała Michael. To ona musiała złapać dzikuskę, która była warta tyle pieniędzy, ale sprawiała masę kłopotów. Lumani w czasie krótszym niż jedno uderzenie serca dokonał analizy i podjął decyzję – błyskawicznie i pewnie. Taką strategię przez lata wpajał mu wuj. Po raz drugi cofnął decyzję.

– Nie zatrzymuj dziewczyny – polecił Arbenowi.

Lalka zaczynała tracić siły. Michael zmniejszyła dystans, choć w tym tempie miała szansę dogonić dziewczynę dopiero przy restauracji. Lumani zaczął się zsuwać na dół, ale po chwili zmienił zdanie. Chciał na własne oczy zobaczyć, co się stanie, bo wiedział, że wuj zażąda szczegółowej relacji.

Klienci przy stolikach obrócili się w stronę, z której dobiegał hałas. Z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami patrzyli na pędzącą ku nim lalkę, która coś krzyczała – oczywiście po angielsku. Lumani nie musiał jej słyszeć, żeby to wiedzieć. Głupi Amerykanie, byli tak pewni własnej wyższości nad resztą świata, że rzadko czuli potrzebę lub chęć, aby się nauczyć innego języka. Problem polegał na tym, że angielski stał się tak powszechny. Na jej szczęście – a jego nieszczęście – nawet w tej niewielkiej mieścinie mógł się znaleźć ktoś, kto by ją zrozumiał.

Michael też zaczęła coś wołać – i tym razem Lumani ją usłyszał, choć komórka nadal tkwiła w kieszeni, a głośne uderzenia butów o chodnik sporo zagłuszały.

Krzyczała po włosku.

Ucisk w piersi Lumaniego nieznacznie zelżał.

Szansa, że w miasteczku tak blisko granicy ktoś zna ten język, była spora. Większa niż w przypadku angielskiego.

I wreszcie Michael dogoniła dziewczynę. Lumani miał wrażenie, że ogląda to w zwolnionym tempie.

Goście restauracji poderwali się z miejsc. Zszokowani próbowali umknąć z drogi. Zaszurały krzesła. Zakołysały się stoły. Kufle i kieliszki przewracały się, plamiąc obrusy i ubrania, co częściowo odwróciło uwagę biesiadników, ale jednocześnie spotęgowało ogólny chaos.

Lalka potknęła się i pociągnęła za sobą jeden ze stolików. Michael już była przy niej. Złapała dziewczynę, zanim ta upadła na ziemię.

Chwyciła przesyłkę mocno, nie zważając na wymachujące ręce i wierzgające nogi. Potem spokojnie odezwała się do świadków, tonem, który przebijał się ponad krzyki dziewczyny. Obecni, początkowo skamieniali i przerażeni, stopniowo zaczęli się rozluźniać i uspokajać. Twarze zmieniły wyraz. Usta zaczęły się poruszać. Ktoś zrozumiał wyjaśnienia i przetłumaczył je pozostałym.

Klienci restauracji zrobili miejsce. Przyniesiono wodę.

Dziewczyna wciąż się wyrywała i po angielsku błagała o pomoc tak głośno, że Lumani nawet z tak dużej odległości słyszał jej krzyki bez pomocy pluskwy. Dźwięki – choć niekoniecznie zrozumiałe słowa – odbijały się od murów i niosły daleko. Michael pochyliła się nad lalką i zaczęła szeptać jej coś prosto do ucha. Po chwili wierzganie i hałasy ustały. Pogładziła dziewczynę po włosach i objęła mocno, wciąż szepcząc coś pocieszająco. Potem podała jej szklanekę wody, którą ktoś przyniósł, i wreszcie, mając po swojej stronie wszystkich świadków wydarzenia, zdołała postawić Neewę na nogi i ją odprowadzić.

Ta niesamowita perfekcja pośrodku chaosu rozpalila niepokój Lumaniego. W jego myślach pojawiła się kolejna warstwa emocji, a lep strachu i nadziei znowu spłynął mu do żołądka. Bardzo pragnął

usłyszeć te słowa. Chciał wiedzieć, czym ta cała Michael zdusiła płomienie, w jaki sposób zapanowała nad ogniem.

Chciwie łyknął wielki haust powietrza, bo uświadomił sobie, że zahipnotyzowany magią zdarzenia zbyt długo wstrzymywał oddech. Wraz z wdechem pojawiła się charakterystyczna, ziemista woń starych dachówek, które miał tak blisko twarzy. Cofnął się w przeszłość: ten sam zapach, tylko inne dachy i szczęśliwsze wspomnienia – jeśli wspomnienia w ogóle mogą być szczęśliwe – z czasów, kiedy bez przeszkód wałęsał się ulicami Dubrownika. Bez troskie chwile, prezent od losu i rzadkość w dzieciństwie, bo zwykle przekazywany był z rąk do rąk i szkolony przez coraz to innych ludzi. Wuj wtedy nie chciał mieć go przy sobie i odesłał do znajomego, którego zupełnie nie obchodziło, co chłopak robi całymi dniami.

Kiedy miasto po nieustającej celebracji lata wreszcie zasypiało, w mroku biegał ulicami z grupą starszych kolegów. Wspinali się na stare mury nadmorskiej fortecy, przeskakiwali szczyty dachów, zakradali się do franciszkańskich ogrodów i zrywali z drzew zakazane owoce. Lumani był najmłodszy i najmniejszy, ale nastoletni chłopcy zabierali go ze sobą, bo szybko biegał i wszędzie potrafił wleźć. Wołali na niego „Shipak”. Taki żart chorwackich nastolatków – gra słów, bo myśleli, że Albańczycy mówią o sobie *Shiptari*. Nie poprawiał ich. Cieszył się, że w ogóle przyjęli go do swego grona, że ma ksywkę i jakieś poczucie przynależności – nawet jeśli było tylko pozorne.

Kiedy robiło się naprawdę późno i nawet koledzy szli spać, Lumani wtapiał się w wąskie uliczki, wędrował nimi wzorem kocich obywateli, przez okna podglądając scenki z życia zwyczajnych rodzin, a czasem czepiając się występów w murze, żeby okraść pokoje na piętrze. Przez tamte dwa miesiące po raz pierwszy i ostatni poczuł, jak to jest być dzieckiem, choć już wtedy, w wieku dziewięciu lat, wtapiając się w mrok cichych ulic przed świtem, czuł się dorosły.

Raz jeszcze wciągnął zapach dachówek i zamknął furtkę wspomnień.

W ogródku restauracji, gdzie minutę wcześniej panowała panika, goście ustawiali stoliki i krzesła na miejsca. Część z nich wróciła do potraw i drinków, inni wciąż z ożywieniem rozprawiali o tym, co zaszło. Ponieważ wszystko się uspokoiło, Lumani wycofał się ze swojej pozycji, zsunął w dół i wspiął z powrotem na miejsce, które opuścił zaledwie pięć minut wcześniej. Miał wrażenie, że upłynęły co najmniej trzy godziny.

Poruszał się pewnie, spokojnie, panując nad oddechem i rytmem serca. Dostarczycielka wiedziała, że on tu jest. Na pewno się domyślała, że musiał zmienić miejsce, aby nie stracić ich z oczu. Jeśli planowała porzucić przesyłkę i wykorzystać zamieszanie, żeby dać nogę, teraz miała najlepszą szansę.

Nie mógł do tego dopuścić.

Była sprytna. Była przebiegła. Była genialna. Ale i tak mu nie dorównywała.

Podniósł snajperkę na wysokość ramienia. Przez celownik przyglądał się jej twarzy, gdy prowadziła lalkę do samochodu. Jej wyraz się zmienił. Znikła maska łagodności. Zastąpiła ją wściekłość. W miarę jak zbliżały się do stacji, coraz szybciej przebierała długimi nogami i lalka musiała prawie biec, aby dotrzymać jej kroku.

W pewnym momencie kobieta gwałtownie przystanęła i się pochyliła, pociągając za sobą dziewczynę. Podniosła z ziemi but, wręczyła go lalce, a potem ruszyła po drugi.

Lumani zdał sobie sprawę, że choć reszta stroju ocalała, rajstopy były w strzępach. Zostały same wielkie dziury i oczka biegnące od pięt w górę. Na szczęście mieli zapasowe, ale dla wuja to nie miało znaczenia. Porażka – wszystko jedno, duża czy mała, bez względu na

okoliczności i nawet gdy wszystko kończyło się sukcesem – pozostawała porażką.

Westchnął. Przez chwilę rozważał, czy nie zataić tego szczegółu.

Nie, to nie miałyby sensu.

Arben albo Tamás o wszystkim by donieśli. Prawda wyszłaby na jaw i Lumani zostałby ukarany za przemilczenie. Lepiej było od razu wszystko wyjawić.

O dziwo, po raz pierwszy, odkąd pamiętał, bał się nie o siebie, tylko o kogoś innego – o tę całą Michael, której nienawidził, choć nie zapominał, że okazała mu aprobatę. Bał się cierpienia, które miało być karą za jej uchybienie.

Rozdział 19

Las Colinas, Teksas

Wreszcie mieli namacalny dowód, że są na tropie Logana. Ta świadomość wywołała taki sam skok adrenaliny jak pierwszy wystrzał w strefie walk.

Miles Bradford wycofał się z łazienki. Jahan kiwnięciem głowy dał mu znak, że wszystko jasne, i ruszyli do wyjścia. Zostawili wszystko nietknięte, ale nie zawracali sobie głowy zamkiem w drzwiach.

Dopiero w samochodzie, gdy oddalali się od siedziby Akmana tak szybko, jak pozwalały na to przepisy drogowe, Jahan zaczął się głośno zastanawiać:

– O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wytarli ściany, skoro zostawili w łazience spodnie?

– Może się spieszyli? Albo wiedzieli, że w każdej chwili mogą wrócić i dokończyć sprzątanie, dlatego się nie przejmowali, że zostawiają ślady DNA.

– A może po prostu zapomnieli o spodniach. Beznadziejni idioci, zabrali tylko to, czym przykryli podłogę. Jakiś brezent, sądząc po rozmiarach.

Bradford potarł oczy wnętrzem dłoni. Kiedy razem z Walker sprawdzał Veers Transport i magazyn, Logan prawdopodobnie tkwił w biurze Akmana. Spóźnili się zaledwie o kilka godzin.

– Zostawili nam ochłapy – stwierdził. – Upominek w stylu „pierdolcie się”. Wiedzą, że ktoś go szuka.

– Mają pojęcie, że to ty?

– A kto inny?

– Jeśli wciąż przenoszą go z miejsca na miejsce, możemy ganiać za nimi całymi dniami, a i tak ich nie złapiemy – przyznał Jahan.

Bradford odetchnął głęboko i cofnął się myślami do początku. Wgryzł się w fakty, rozpruł wątki, pozwolił im się rozwinąć i

nawarstwić bez żadnego porządku.

– Na nagraniach widzieliśmy, w jakim stanie jest Logan. Raczej nie mogą bezustannie przenosić go z miejsca na miejsce – powiedział po chwili. – Myślę, że w tym biurze trzymali go tylko tymczasowo.

– Jak to?

– To nie jest ich baza przerzutowa.

– W takim razie po co w ogóle go tam zabrali?

– Nie mam pojęcia. Może tego wymagał ich plan? – Bradford wskazał na prawo. – Zatrzymaj się na tej stacji. Mają tam automat.

Automaty telefoniczne. W świecie komórek i Wi-Fi coraz trudniej było je znaleźć.

Tak jak wtedy, gdy opuścili zdemolowane lokum Logana, anonimowo zawiadomił policję. Szansa, że w siedzibie Akmana pojawią się jakieś nowe tropy, była większa, ale i tak nie miał pewności, czy coś z tego wyniknie. Przynajmniej krew powinna się zgadzać – o ile departament w Irving w ogóle miał potraktować biuro Akmana jako potencjalną scenę zbrodni i skojarzyć to ze sprawą prowadzoną przez inny wydział.

Jahan zdawał się czytać w jego myślach.

– Ktoś z nas mógłby pomóc policji w powiązaniu wydarzeń, wziąć cały ciężar na siebie i zobaczyć, co uda im się ustalić – stwierdził.

Bradford pokręcił głową.

– Nie mogę teraz nikogo poświęcić, zresztą nawet jeśli zdejną tam odciski kogoś, kto już figuruje w kartotekach, samo nazwisko nie pomoże nam dotrzeć do Logana.

– Sprawdzamy jeszcze dom? – spytał Jahan.

Bradford przytaknął. Od ostatniego miejsca, w którym mogli znaleźć Logana, dzieliło ich piętnaście minut drogi. Instynkt podpowiadał mu, że to strata czasu, bo nie wierzył, żeby ofiary handlu ludźmi przetrzymywano w zwykłej willi z czterema sypialniami – a już na

pewno nie w dzielnicy, do której zmierzali. No ale wyczerpanie robiło swoje. Od dłuższego czasu gonił resztkami sił i nie myślał jasno. Obawa, aby niczego nie przeoczyć, przeważała nad instynktem.

Valley Ranch w królestwie nieruchomości mieszkalnych dorównywało Las Colinas w świecie biznesu: zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, nowe, czyste i szablonowe. Osiedle znajdowało się dalej od centrum i stanowiło zupełnie inny świat niż brzydkie, zaśmiecone zabawkami podwórka domów w okolicy Veers Transport. Jahan pokonywał kolejne zakręty i ulice, wzdłuż których biegły ceglane fasady dwupiętrowych willi, równo przystrzyżone trawniki i różgi drzewek, które za kilkanaście lat miały dawać zasłonę przed prążącym letnim słońcem.

Gdy znajdowali się o przecznicę od celu, Jahan zwolnił.

– Myślisz, że ktoś tam jest?

– Wątpię.

– Od przodu czy od tyłu?

– Jesteś w garniturze. Pójdiesz od frontu. Możesz udawać świadka Jehowy – stwierdził Bradford.

Jahan zatrzymał na nim wzrok na pół sekundy, a potem spojrzął z powrotem na drogę.

– Nie ma sprawy – powiedział – ale jak wybierzemy się do szkoły tańca, ty włożysz spódniczkę.

Ta wizja sprawiła, że wbrew ponuremu nastrojowi i napięciu Bradford uniósł kąski ust.

Jahan zatrzymał wóz u wylotu bocznej alejki. Bradford wysiadł.

– Spotkamy się w środku – rzucił.

Przez jakiś czas patrzył za odjeżdżającym samochodem, aby wiedzieć, gdzie w razie potrzeby go znajdzie. Potem obrócił się i spokojnym truchtem pokonał alejkę prowadzącą na tyły willi. Płot

wysokości ośmiu stóp strzegł podwórze przed wścibskimi spojrzzeniami.

Bradford zastukał w jedną z desek i zaczekał na szczek, warczenie lub jakikolwiek odgłos, który wskazywałby, że domu strzeże pies. Tak jak się spodziewał, odpowiedziała mu cisza. Veers Transport. Akman. Ciężarówka. Handel życiem. Taki proceder nie dawał stabilizacji, jakiej wymagała opieka nad podwórzowym stróżem, a nic nie przyciągało uwagi sąsiadów skuteczniej od wyjącego z głodu zwierzaka.

Bradford sprawdził furtkę.

Zamknięta.

Za ogrodzeniem nie widział żadnych drzew ani krzewów, a wjazd do podwójnego garażu był zamknięty. Podciągnął się na płocie na wysokość wąskich, poprzecznych przeszkleń garażowych okien. W środku nie było nic. Żadnego samochodu. Żadnych rzeczy.

W słuchawce usłyszał głos Jahana, informującego, że jest u celu.

Zaczekał na pukanie. Gdy się rozległo, wspiął się po nierównościach w deskach furtki i przeskoczył na drugą stronę. Wylądował w przysiadzie i chwilę odczekał. W ogrodzie nie było nic prócz przerośniętej trawy, wyblakłego stolika z parasolem i dwóch krzeseł na odkrytym patio.

Wokół walały się niedopałki. W oknach i drzwiach od tej strony zaciągnięto rolety.

W słuchawce znowu usłyszał pukanie.

Cisza.

Zwykle nie uważał, że przyłożenie ucha do szyby wystarczy, aby sprawdzić, czy w środku ktoś jest, ale przy tak skrajnych emocjach człowiek przestawał myśleć, zwłaszcza gdy liczyła się każda minuta. Poza tym zakrwawione spodnie Logana Bradford potraktował jak osobistą zniewagę. Dlatego chciał działać jak najszybciej i z szarej

strefy, jaką było wejście na teren prywatny, przeszedł do jawnego włamania.

Szarpnął drzwi.

Zamknięte.

Zaczekał na trzecie pukanie Jahana. Gdy się rozległo i nie spowodowało żadnej reakcji ani odpowiedzi, wycelował butem w drzwi i kopnął.

Nie umiał otwierać zamków tak biegle jak Jahan, zresztą miał to gdzieś. Ludzie, którzy porwali Logana, wiedzieli, że na nich poluje, więc już nie musiał się kryć. Wszedł do środka o sekundę wcześniej, niż Jahan uporał się z zamkiem od frontu.

Z gotową do strzału bronią Jahan przemierzył hol. Bradford tymczasem sprawdził pokój na tyłach.

Gdzieś w głębi domu rozległ się ostrzegawczy pisk, sygnalizujący konieczność wprowadzenia kodu. Mieli jakieś czterdzieści do sześćdziesięciu sekund, zanim rozwyje się alarm, a potem najwyżej dwie minuty, zanim firma ochroniarska wyśle tu policję.

– Ty bierzesz lewą stronę – zakomunikował szeptem Bradford – ja prawą.

Jahan zniknął w głębi domu.

Bradford systematycznie sprawdzał kolejne pomieszczenia.

Ktoś na pewno tu mieszkał. Pokoje były używane, urządzone funkcjonalnie, ale prowizorycznie. Wszystko robiło wrażenie tymczasowości, tak jak w miejscu, które tylko na jakiś czas miało zastąpić bywalcom dom. Bradford zdążył sprawdzić wszystkie sypialnie, zanim włączył się główny alarm. Ogłuszające wycie na pewno słychać było w kilkunastu sąsiednich domach.

Większość mieszkańców prawdopodobnie była w pracy.

Przez główną sypialnię Bradford przeszedł do łazienki i wtedy rozległ się dzwonek telefonu – firma ochroniarska dzwoniła na

pierwszy z podanych numerów kontaktowych. Wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł, uważnie lustrując ściany i podłogi, przyglądając się skąpemu umeblowaniu i w głowie odliczając sekundy.

Wolał być daleko stąd, gdy zjawi się patrol.

Tak jak w Veers Transport, nie znalazł tu śladów obecności Logana. Nic nie wskazywało na to, że willę traktowano jak punkt przerzutowy. Umysł Bradforda pracował na najwyższych obrotach.

– Zbieramy się – oznajmił sfrustrowany.

Natychmiast skierował się na tył domu. Usłyszał jeszcze kroki Jahana i odgłos zamka frontowych drzwi. Na zewnątrz wycie alarmu nie wydawało się tak przeraźliwe jak w środku.

Drzwi, patio, trawa, ogrodzenie. Bradford pokonał furtkę górą, a potem spokojnym krokiem przemierzył alejkę – celowo powoli, ze spuszczoną głową, tak jakby mogło mu to pomóc, gdyby któryś z sąsiadów miał wybrać sprawcę z sześciopaku kandydatów.

Wyszedł na drogę i ze wzrokiem wlepionym w chodnik zaczął się oddalać. Kiedy obok usłyszał warkot silnika, wsiadł do wozu i zapiął pas. Jahan rzucił mu na kolana złożony kawałek skóry.

– Mają słabość do portfeli – stwierdził.

Bradford zajrzał do środka, zobaczył dokumenty Logana z jedynym i неповtarzalnym połączeniem imion, i ponownie zamknął portfel. Szerebiesz Gospel Logan.

– Brakuje tylko gotówki – powiedział Jahan – jeśli w ogóle była, a pewnie tak, skoro to tu przywieźli.

– Wcześniej też zabrali pieniądze. Podejrzewam, że tamten gość z krzywym uśmiechem odleciał i mamy do czynienia z pionkami. Więcej siły niż rozumu – podsumował Bradford.

– Wciąż uważasz, że Logana trzymają w jednym miejscu? – spytał Jahan. – Gdybym to ja go pilnował i okazałoby się, że ktoś depcze mi po

piętach – a tamci wiedzą o tym już od czterech minut – natychmiast gdzieś bym go przerzucił.

– A gdybyś miał pewność, że twojej kryjówki nikt nie namierzy? Gdybyś był o tym przekonany, bo od lat z niej korzystasz i nikt jej dotąd nie znalazł?

Jahan wzruszył ramionami.

– To zmienia postać rzeczy. Wszystko zależy od miejsca. Na razie nie trafiliśmy na żadne, które by się nadawało.

– Bo szukamy po omacku – stwierdził Bradford. – Myślę, że Logana w ogóle nie było w tamtej willi. Tylko jego portfel tam trafił. – Potrząsnął głową, aby pozbyć się tumanów zmęczenia utrudniających myślenie, ale znowu poczuł tę samą frustrację, która nie opuszczała go od pierwszego wypadu. Coś przeoczył, tylko nie wiedział co. Oczywiście niewiadoma zakreślona wyraźnym, czerwonym kołem czaiła się gdzieś na skraju świadomości, czekając, aż ją zauważy, tylko smog wyczerpania przesłaniał widoczność.

Bradford sięgnął po telefon. Chciał włączyć dźwięk i wibrację, a potem skontaktować się z Walker, ale zamarł na widok listy nieodebranych połączeń i wiadomości z centrali. Próbował zapanować nad gwałtowną falą emocji, które go ogarnęły. Ze ściśniętym gardłem, mocno drżącym głosem przeczytał:

– Wiadomość ze skrzynki we Włoszech.

– Kiedy? – spytał Jahan. – To ona? Co mówi?

Bradford zignorował go i zadzwonił do Walker.

– Jedź prosto do firmy – polecił.

Połączył się z centrum dowodzenia, zanim Jahan zdążył wcisnąć pedał gazu.

Zatykając kciukiem jedno ucho i przyciskając telefon do drugiego, próbował wytłumić ryk silnika i dźwięki klaksonów, które zabrzmiały,

gdy ford wciął się między samochody. Z oddali dobiegło wycie policyjnych syren.

– Przyhamuj, do cholery – rzucił Bradford. Powiedział to do Jahana, ale Walker również zwolniła, za co był jej wdzięczny, bo ledwo rozumiał jej bełkotliwe wyjaśnienia.

Mówiła po angielsku, ale słowa brzmiały jakoś dziwnie. Kazał jej wszystko jeszcze raz powtórzyć i w końcu oznajmił:

– Będziemy w firmie za pół godziny.

– I co, to ona? – spytał Jahan, jeszcze zanim kciuk Bradforda dotknął przycisku kończącego połączenie.

– Nagranie trwa całe trzy minuty – stwierdził Bradford – a potem się urywa. Nikt nic nie mówi. Słyszać tylko dziwne dźwięki.

– Transfer dotarł bez zakłóceń?

Bradford przytaknął.

– Na to wygląda. Walker uważa, że raczej nie było żadnych problemów technicznych.

– I słyszać dziwne dźwięki?

– Aha.

– Opisała je?

– Tak, podobno brzmi to jak szum wiatru, jakieś buczenie i od czasu do czasu nierówne stukanie, tak jakby ktoś przejeżdżał przez progi zwalniające. Według Sam ktoś zadzwonił z jadącego samochodu.

– Progi zwalniające? – powtórzył Jahan, nie odrywając oczu od drogi. Zamyślił się, a potem uśmiechnął, a w końcu parsknął. Do był z siebie gulgoczący odgłos – pierwsze tony zduszonego śmiechu – tak jakby coś go rozbawiło.

Ten dziwnie radosny dźwięk zirytowałby Bradforda, nawet gdyby obaj nie byli tak napompowani kofeiną i wyczerpani skokami adrenaliny. Spiorunował towarzysza wzrokiem. Nieświadomy tego Jahan jeszcze raz zachichotał. Wyprzedził kolejny samochód i kiedy na

drodze przed nimi zrobiło się nieco luźniej, zerknął na Bradforda. W jednej chwili wyczuł jego nastrój i przestał się śmiać.

– Naprawdę nie rozumiesz? – zdziwił się.

Bradford milczał.

– Rany, chłopie, koniecznie musisz się przespać – stwierdził Jahan. – Zastanów się przez chwilę. Jak posadzisz Michael przy stole i dasz jej do rozwiązania jakiś problem, coś, co wymaga niezłej myślowy, to co robi?

Kiedy Bradford nie odpowiedział, Jahan zabębnił kciukiem w kierownicę.

Puk, puk – pauza – *puk*.

– A niech mnie... – wykrztusił Bradford. Sam też nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu. Prawie się roześmiał. Ponownie wziął telefon, a do Jahana rzucił: – Jesteś pieprzonym dupkiem, wiesz?

Jahan kiwnął głową.

– Nie ma za co – powiedział.

Bradford wybrał numer Walker.

– Morse – zakomunikował. – To stukanie to alfabet Morse’a. Nie obchodzi mnie, że trudno je wyłowić z szumu. Mówię ci, co to jest. Zaczynaj filtrować nagranie. Wyodrębnij ścieżki dźwiękowe. Zrób, co dasz radę. Irek cię zmieni, gdy tylko dotrzemy do firmy.

Wpatrzony w wyświetlacz telefonu niemal potknął się o pudła stojące pośrodku recepcji Capstone – przesyłki z ostatnich dwóch dni. Dla chłopaków za granicą był to kolejny zwykły dzień pracy i paczki przychodziły jak zawsze. Nie chciał nikogo obrazić, ale musiał przyznać, że Walker radziła sobie znacznie lepiej z pilnowaniem porządku w biurze niż jej koledzy. Teraz, gdy wyrabiała nadgodziny gdzie indziej, było to bardzo widoczne.

Nogą odsunął największe pudło na bok i skierował się do ruchomego panelu ściany, za którym już zniknął Jahan.

Drzwi zamknęły się za nim z wyraźnym kliknięciem.

Walker czekała w przeszklonym korytarzu z kartką w dłoni, cała rozedrgana. Kiwała się na palcach w sposób, który sprawiał, że nieumyte, rozczochrane włosy i ciemne kręgi pod oczami wyglądały komicznie.

– To ona – oznajmiła z przekonaniem. – Naprawdę ona. Jeśli wszystko dobrze zrozumiałam, to na pewno Michael.

Bradford wziął od niej kartkę.

– Nie przesadzasz z kawą? – rzucił.

Serce biło mu tak szybko i mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi, a ręce drżały od wysiłku, z jakim starał się nad sobą zapanować. Oparł się o ścianę. Musiał przytrzymać papier obiema dłońmi, żeby odczytać duże litery: SZKJ LOGNA BIRO LB DOM SZKJ LOGNA RTJ LOGNA Wciągał w siebie powietrze, powoli i miarowo, aż nie mógł więcej zmieścić. Patrzył na papier, przez papier, przed siebie. Wstrzymywał oddech, dopóki nie zapiekły go płuca, a potem stopniowo go wypuścił. Jahan wziął kartkę i lekko szturchnął ramię Bradforda, a potem razem z Walker bez słowa skierowali się do centrum dowodzenia. Zostawili go samego, wpatzonego w ścianę i w myślach powtarzającego raz po raz słowa wiadomości.

Te trzy zwariowane dni zlały się w nieprzerwany strumień. Jeden moment stapał się z następnym, szydząc sobie z czasu. Dopiero gdy kontury drzwi przed nim się zamazały, Bradford przesunął dłońmi po twarzy, stwierdził, że są mokre, i zdał sobie sprawę, że płacze.

Wreszcie ulga.

Świadomość, że ona żyje.

Że znalazła sposób, aby się skontaktować.

Że wciąż była nadzieja i czas się nie skończył.

Że widziała dowód życia.

Że słusznie zaczął od poszukiwań Logana.

Przeciągnął brzegiem koszuli po oczach i wypuścił nieistniejący dym w kierunku sufitu. Chwilę zaczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie, a potem wyprostował się i ruszył za towarzyszami do centrum dowodzenia.

Jahan już siedział przy biurku ze słuchawkami na uszach. Walker z założonymi rękami stała obok niego. Jahan na przemian zapisywał coś w notesie i nieznacznie zmieniał ustawienia myszą.

Jeszcze jedna notatka i wreszcie odłożył długopis. Podał notes Walker, zauważył Bradforda i zdjął słuchawki.

– Nie ma mowy o pomyłce – stwierdził. – Na nagraniu słychać jeszcze inne rzeczy, ale ja też nie potrafię ich rozszyfrować.

– Możesz namierzyć numer?

– Tak, tylko co nam to da? Łatwo wywnioskować, że nie może rozmawiać, więc nie ma co do niej oddzwaniać. Poza tym mamy pewność, że jest w Europie.

Bradford wzruszył ramionami.

– I tak sprawdź numer, na wszelki wypadek – powiedział i opadł na kanapę. Zapatrzył się na białe tablice. Przyciszona dyskusja Jahana i Walker stała się nikłym szumem w tle.

Szukaj Logana. Ratuj Logana.

Biuro lub dom.

Tak jak podejrzewał, Munroe nie mogła działać spętana porwaniem Logana. Tylko że dowód życia, który jej pokazano, pochodził co najmniej sprzed trzech godzin. Widziała Logana w jakimś domu albo biurze.

Biuro.

Siedziba Akmana.

Na pewno.

Stół, taśma, kij baseballowy i torebki strunowe.

Właśnie po to go tam zabrali. Musieli mieć nagranie, które nie ujawni nic, co mogłoby doprowadzić do bazy przerzutowej.

Baza przerzutowa.

Logan.

Bradford położył się na kanapie, głową dotykając jednej poręczy, a stopami drugiej. Siłą woli próbował przebić się przez znużenie, pochwycić to coś, co mu umykało, tę nienazwaną rzecz, której drwiące szepty rozbrzmiewały bezustannie w jego czaszce.

Magazyn.

Firma transportowa.

Biuro.

Dom.

Przekopali się przez wszystkie materiały, ale na nic więcej nie trafili. Może bazę tak ukryto, że nawet Kate Breeden nigdy jej nie widziała. Może kryjówka była oderwana od pozostałych miejsc – niewidoczna – i dlatego nie mogli jej namierzyć z centrali?

Niewidoczna.

Bradford gwałtownie spuścił stopy na podłogę i usiadł.

Widoczna.

Walker i Jahan przerwali rozmowę i spojrzeli na niego.

– Kamery – oznajmił.

Twarz Jahana zmarszczyła się i przybrała ten sam co rano wyraz psychiatry czuwającego nad pacjentem o skłonnościach samobójczych.

– Jedynym miejscem, w którym natrafiliśmy na monitoring, była siedziba Veers Transport – powiedział Bradford. – Ale kamery zamontowano tam nie w budynku, tylko na zewnątrz.

Walker otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła. W myślach już szykowała argumenty. Miała je na końcu języka, ale się powstrzymała.

– Kryjówka – ciągnął Bradford. Wstał i podszedł do tablicy. Postukał w jeden z wątków, aby łatwiej mogli pojąć tok jego rozumowania. – Nic tam nie znaleźliśmy, bo nic tam nie ma. Nie odkryliśmy ich bazy, choć

mieliśmy ją pod nosem... w pewnym sensie. – Tłumaczył niejasno. Poznawał to po minach towarzyszy. – Sami się zastanówcie. Jedynym miejscem, gdzie widzieliśmy monitoring z prawdziwego zdarzenia, była siedziba Veers, tylko że wszystkie kamery są tam skierowane na zewnątrz, a nie do środka. W środku nic nie ma, wszystko trzymają na zewnątrz. Ochrona nie ma za zadanie pilnować towarów w magazynie, tylko mieć oko na posesję. Nie natknęliśmy się na bazę przerzutową, bo ona jest ruchoma. – Bradford wziął marker.

Stał jeden z wątków na tablicy i nakreślił go od nowa. – Szukamy przynajmniej jednej specjalnej ciężarówki. Niewykluczone, że jest ich więcej. Na ogrodzonym terenie stało kilka, ale strzegł go tylko jeden człowiek, bo tej konkretnej akurat tam nie było.

Walker opuściła ręce.

Jahan odchylił się na oparcie, stopami zaparł o podłogę i zaczął kiwać krzesłem. Myślał. Przetwarzał dane.

– Gdyby był tam Logan lub ktokolwiek z bandy przemytników, natknęlibyśmy się na więcej ludzi. Lepszą ochronę – stwierdziła Walker.

– No właśnie! – przytaknął jej Bradford. – Wtedy go tam nie było. Trzymali go w biurze. Mamy na to dowody. Nie wiemy tylko, jak długo tam tkwił ani kiedy został przewieziony. – Umilkł. – Założę się – podjął po chwili – że w Veers zastaniemy teraz jeszcze jedną ciężarówkę. To nasz cel.

– A jeśli jej tam nie ma? – spytał Jahan.

– To jest w trasie i będziemy musieli dotrzeć do papierów przewozowych. Znaleźć wszystkie ich wozy. Namierzyć każdy po kolei, bo w jednym z nich jest baza.

W centrum dowodzenia zapadło milczenie. Tylko krzesło Jahana skrzypiało.

– Brama i ogrodzenie wystarczą, żeby trzymać wandalów z dala od ciężarówek. Dodatkowa ochrona nie jest potrzebna, chyba że trzymają

tam coś, czego warto strzec – stwierdziła Walker, na swój sposób przyznając Bradfordowi rację.

– Jestem za tym, żeby to sprawdzić – powiedział Jahan. – Zwłaszcza że nie mamy żadnych innych tropów.

– Kto idzie? – spytał Bradford.

Walker spojrzała na Jahana, a on na nią.

– Wszyscy – oznajmiła Bradfordowi.

Rozdział 20

Prova, Włochy

Z dłońmi na kierownicy i skradzionym telefonem ukrytym pod udem, Munroe wystukiwała kciukami nierówny rytm w takt swoich myśli. Dodawała kolejne kilometry i w milczeniu odliczała minuty. Słońce było już na ostatnim odcinku biegu za horyzont.

W strefie Schengen przemieściły się ze Słowenii do Włoch bez przeszkód. Nikt nie zwrócił na nie uwagi. Pokonywały kolejne meandry drogi biegnącej w pewnym sensie równoległe do E70, międzynarodowej trasy, która miała swój początek w Gruzji, robiła sobie przerwę w Turcji nad Morzem Czarnym, potem ponownie się pojawiała w Bułgarii i dalej, przez Chorwację i Słowenię, wiodła do Włoch i Francji, a kończyła się w Hiszpanii.

Munroe mogła jedynie pomarzyć o wygodnej autostradzie. Skazana była na boczne drogi, wąskie i przeważnie puste – chyba że akurat przejeżdżała skrajem lub przez sam środek wsi lub miasteczka, które dość nieregularnie pojawiały się na trasie prowadzącej od punktu do punktu. Raz natknęła się na karabinierów, a raz na policjantów. I jedni, i drudzy byli uzbrojeni w pistolety maszynowe i mieli zwyczaj zatrzymywać samochody na chybił trafił. Nie zamierzała jednak martwić się na zapas. Gdyby doszło do katastrofy, musiałaby stawić jej czoło – nie wcześniej.

Piękne widoki, pola, wzgórza i miejscowości, pojawiały się i zostawały za nimi. Słoweńskie nazwy ulic i tablice rejestracyjne już dawno ustąpiły miejsca włoskim. Architektura i krajobrazy zmieniły się delikatnie, w sposób, który mówił im, że są już na terytorium innego państwa. Ale to wszystko stanowiło jedynie zamazane tło dla pętli wspomnień o Loganie, przybranym bracie i pokrewnej duszy urodzonej pod nieszczęśliwą gwiazdą. Widziała go pobitego i zakrwawionego.

Obrazy pojawiały się na tle przedniej szyby, w męczącej serii powtórzeń. Szarpały za sznury uśpionych koszmarów, grożąc, że obudzą szepczące głosy, które zdołała uciszyć.

Zerknęła na GPS.

Zbliżały się do kolejnego skrzyżowania i wkrótce kobiecy głos – rozkazujący i wszystkowiedzący – miał podać instrukcje i stworzyć nową okazję do wybrania numeru na skradzionym skarbie.

Już od dwóch godzin jechały przez Włochy, ale mimo wielu prób ostatni raz udało jej się połączyć ponad trzydzieści minut temu. Wiedziała, że w końcu bateria się wyczerpie, kradzież zostanie odkryta, a niepewne łącze z Bradfordem nieodwracalnie zerwane. Pragnęła jedynie więcej czasu, ale on był nieosiągalnym luksusem.

Dotychczas zdołała zostawić pięć wiadomości – bardzo jednoznacznych, pod warunkiem że sygnały morsa były słyszalne na tle innych dźwięków. Dopóki miała zaciśniętą na szyi pętlę, nie mogła działać. Logan musiał zostać uwolniony. Przestrzegła centrum dowodzenia, żeby nie próbowali się z nią kontaktować, chyba że on będzie już bezpieczny. Tylko że gdyby Bradford nie mógł odróżnić stukania od ogólnego szumu, wszystkie jej wysiłki okazałyby się bezsensowne.

– Jestem głodna – odezwała się Neeva z tylnej kanapy.

Munroe zignorowała ją, tak jak robiła to od kilku godzin, odkąd załadowała nastolatkę z powrotem do samochodu na stacji benzynowej. To nic, że teraz miała telefon i że sama stworzyła Neevie okazję do ucieczki, żeby go zdobyć. Dziewczyna po części ponosiła winę za karę, która nieuchronnie miała dosięgnąć Munroe.

Wiele ryzykowała, pozwalając Neevie zbliżyć się do ludzi, ale ten, kto decydował o trasie, trzymał je z dala od miast, i tylko w ten sposób miała szansę skraść telefon. Liczyła na ludzką naturę, na skłonność do wiary w wersję, którą najłatwiej dało się zaakceptować, na tendencję

do usuwania tego, co niewygodne, i dopowiadania sobie reszty. Każdy wolał wierzyć w wyjaśnienia, że siostra właśnie otrzymała wiadomość o samobójstwie ukochanego, niż w to, że wrzeszcząca dziewczyna, pocieszana przez miłego, młodego mężczyznę, jest w rzeczywistości ofiarą handlarzy żywym towarem.

Nie zawiodła się na ludzkiej naturze, ale nie zamierzała dopuścić do kolejnej ucieczki. Musiała dać dziewczynie nauczkę, żeby więcej nie próbowała się wyrywać na wolność. Przydusiła kolanem jej brzuch i kciukami uciskała tętnice szyjne, dopóki Neeva nie straciła przytomności.

Walczyć do końca, wyrządzać szkody, choćby niewielkie, w odwecie za własne cierpienie – to jeszcze dało się znieść. Zupełnie inaczej czuł się człowiek siłą wepchnięty w nicość, bezradny. Przeróżająca różnica między jednym a drugim była bolesną lekcją przetrwania, której Munroe doświadczyła na własnej skórze. Ponownie związała Neewę, ułożyła ją na boku i szczelnie otuliła kocem. Zdążyła z wszystkim, zanim dziewczyna w pełni odzyskała świadomość.

Od tamtej pory upłynęły już całe godziny, a Lumani wciąż się nie odezwał – nawet po tym, jak pokazała go Neevie przyczajonego na dachu. Lalkarz również nieprzerwanie milczał. Miała pewność, że obietnica odwetu za jej rzekomy błąd zostanie spełniona, nie wiedziała jedynie, kiedy to nastąpi.

Przy akompaniamencie hipnotycznego szumu kół toczących się po nawierzchni drogi obrazy Logana znowu zaczęły się przesuwać na tle przedniej szyby. Logan bierze kij bilardowy, uśmiecha się i wskazuje rękaw, do którego zamierza wbić bilę; wychodzi z domu i wsiada na ducati; razem z nią skacze ze spadochronem z mostu New River Gorge; wyrywa jej z rąk butelkę oksykodonu, gdy ona już tylko tak umie sobie radzić z traumą na tle wydarzeń, przez które wiele lat temu uciekła z Afryki do Stanów.

I wreszcie ostatni miraż na szkle: pobity i zakrwawiony Logan nie prosi... nie błaga o litość, tylko kiwa głową do niej na znak więzi łączącej banitów.

Munroe przeniosła wzrok z nawigacji na drogę i dalej, na miejscowość, która pojawiła się na horyzoncie. Wsunęła palce między udo a fotel. Dotknęła telefonu.

Pierwszy od wielu kilometrów samochód zbliżył się z naprzeciwka i po chwili je minął. Miał włączone światła. Zmierzch zapadał szybko. Wiedziała, że jeśli ludzie Lalkarza nie zarządzą postoju, czeka je nocna jazda do celu podróży – gdziekolwiek się znajdował.

Zerknęła na ekran nawigacji, oszacowała dystans i zdjęła stopę z gazu, żeby nie za szybko dojechać do następnego skrzyżowania szlaków. Telefon spod uda przesunęła w przerwę między nogami, zaczęła na mechaniczny kobiecy głos, a kiedy się odezwał, wcisnęła na klawiaturze aparatu cyfry, których musiała się nauczyć na pamięć, gdy zaczęła współpracę z Capstone. Mogła to robić wyłącznie na wyczucie. Tylko momentami spuszczała wzrok z drogi, żeby się upewnić, czy wprowadza właściwy numer.

W końcu dotknęła zielonego przycisku i zasłoniła telefon nogą, żeby wytłumić dźwięki krótkiego nagrania. Odliczyła właściwą liczbę sekund, a potem znowu wysunęła komórkę i zaczęła wystukiwać paznokciem o obudowę tę samą, celowo skróconą wiadomość, którą powtarzała przy każdym połączeniu. Takie zabezpieczanie się było uciążliwe i czasochłonne, ale dzięki temu chyba jeszcze nikt nie wykrył podstęp.

– Naprawdę jestem głodna – odezwała się Neeva z tyłu. – Jedna paczka krakersów na cały dzień? Chcecie mnie zagłodzić?

Munroe ułożyła dziewczynę tak, żeby jej głowa znajdowała się za oparciem fotela kierowcy. Stamtąd Neeva nie mogła widzieć telefonu i – niechcący lub złośliwie – zaprzepaścić tej niewielkiej szansy na

ratunek, jaka im jeszcze została. Poza tym, kiedy tam leżała, łatwiej dało się ignorować jej sporadyczne prośby o jedzenie i wodę.

Munroe skończyła stukać i zerknęła na telefon.

– Nie mogę dać ci jeść – powiedziała z nadzieją, że Bradford to usłyszy. – Nie wolno nam stanąć bez pozwolenia. Tamten snajper na dachu chyba dał ci do myślenia. Przez cały czas nas śledzą.

Odpowiedziała jej cisza.

Zaciskając dłonie na kierownicy, Munroe w duchu błagała Neewę, żeby powiedziała coś jeszcze – cokolwiek – dając szansę na podtrzymanie pozornie normalnej rozmowy i pretekst do ujawnienia kolejnych szczegółów.

Zamiast tego usłyszała pociągnięcie nosem.

W myślach prześledziła wymianę zdań, szykując plan rezerwowy. Już miała się odezwać, ale Neeva ją uprzedziła.

– A nie można ich chociaż zapytać? – powiedziała płaczącym głosem.

Aktorka czy nie – tym razem nie miało to znaczenia. Pytanie było idealne.

– Krótki post ci nie zaszkodzi – stwierdziła Munroe. – Podejrzewam, że zostało nam najwyżej pięć lub sześć godzin do celu, jeśli nie zatrzymamy się nigdzie na noc. Jeżeli zrobimy przystanek, dojedziemy na miejsce późnym rankiem. Potem będę miała cię z głowy, a ty błagaj sobie o jedzenie tego, kto cię przejmie.

Ponownie zerknęła ukradkiem na telefon. Dwie minuty pięćdziesiąt sekund. Skrzynka nagrywała trzyminutową wiadomość, a potem automatycznie przerywała połączenie. Munroe sama się rozłączyła i wsunęła aparat z powrotem pod udo. To, co planowała przekazać w kolejnych podejściach, zawarła w tym krótkim nagraniu. Uznała, że więcej nie będzie próbowała się połączyć, dopóki nie otrzyma

wiadomości, że Logan jest bezpieczny, lub nie dowiezie dziewczyny na miejsce. Dzięki temu bateria mogła starczyć na dłużej.

Szlochanie z tyłu samochodu zabrzmiało głośniejsz – pierwszy prawdziwy płacz od początku tej katorgi, w każdym calu szczery i przejmujący. Jeszcze chwila i współczucie mogło przeważać nad rozsądkiem. Munroe zdusiła emocje, przykryła szczelnym kloszem rosnący płomień i w końcu iskra litości zmalowała tak, że łatwiej dało się nad nią zapanować.

Szloch Neevy stawał się coraz bardziej rozpaczliwy. Frustracja i gniew Munroe rosły współmiernie. *Ta podróż była konieczna, bo jedynie tak dało się przerwać pasmo cierpienia.* Milczała, wpatrzona w drogę. W hierarchii ważności pierwsze miejsce zajmował Logan i tylko to się liczyło.

Dziewczyna rozplakała się jeszcze bardziej. Munroe sięgnęła po komórkę – telefon Lumaniego – i wybrała jego numer.

Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Zatrzymam się na pięć minut – powiadomiła go. – Muszę przenieść przesłankę na przednie siedzenie i dać jej jeść.

– Nie – odezwał się Lumani.

– Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

– Jeśli się zatrzymasz, ona znowu ucieknie, a Logan przypłaci to życiem. – W jego głosie pojawił się ton, który w innych okolicznościach uznałaby za przejaw troski.

– Nie ucieknie – zapewniła.

Długo nic nie mówił.

– Ty za to będziesz odpowiadać – stwierdził w końcu.

– Rozumiem – odparła.

Z jego słów wyczytała to, czego świadomie nigdy by jej nie zdradził: najlepszy z ludzi Lalkarza był zarazem najsłabszym ogniwem łańcucha.

Neeva nie przestawała pociągać nosem, dodając ścieżkę dźwiękową do łez, które płynęły po opuchniętej twarzy. Munroe zwolniła i po chwili zatrzymała samochód na poboczu, za którym rozciągało się pole. Włączyła światła awaryjne, wysiadła i okrążyła wóz od przodu.

Otworzyła tylne drzwi po stronie pasażera i ściągnęła koc z Neevy.

– Pokaż mi ręce – nakazała.

Dziewczyna z trudem wyciągnęła nadgarstki najwyżej jak mogła, wykręcając jedno ramię pod dziwnym kątem.

Prowizorycznym ostrzem z kawałka metalu Munroe rozcięła więzy, chwyciła Neewę za rękę i podciągnęła ją do pozycji siedzącej.

– Podsuń się – powiedziała – niczego nie próbuj i w żadnym wypadku nie wycieraj nosa w rękaw.

Dziewczyna przytaknęła, pochlipując. Munroe podała jej koc.

– Użyj tego.

Neeva wytarła twarz i wysmarkała nos, a przy okazji rozmazała tusz do rzęs i starła niemal cały makijaż.

Munroe westchnęła. Kolejne wątpliwe przewinienie, za które ktoś musiał ponieść karę.

Zaczęła macać ręką po podłodze, szukając rzeczy, które zepchnęła z kanapy, kiedy pakowała tu dziewczynę. Zaczepiła o ucho torby z prowiantem, wyciągnęła ją z samochodu, a potem podała Neevie rękę.

– Chodź – powiedziała.

Kawałek po kawałku, nie wypuszczając z rąk koca, dziewczyna przesunęła się po tylnej kanapie do drzwi i zamachem spuściła nogi na ziemię. Munroe pomogła jej przejść na przedni fotel i podała torbę z jedzeniem.

– Bierz, co chcesz, tylko się nie wysmaruj – ostrzegła. – I nic nie pij, bo nie masz co liczyć na kolejny postój.

Neeva kiwnęła głową, wciąż pociągając nosem, choć łzy już przestały płynąć.

Nim drzwi się zatrzasnęły, dziewczyna wyłowiła z torby opakowanie suszonych owoców. Munroe wróciła za kierownicę i zerknęła we wsteczne lusterko. Jakieś czterdzieści metrów za nimi, bez świateł, prawie niewidoczny w mroku, na poboczu zatrzymał się drugi samochód.

Postój trwał już cztery minuty.

Munroe przyglądała się odbiciu. Próbowwała dojrzeć kształt, po cichu licząc, że zdoła rozpoznać markę, model i kolor, ale widziała tylko same cienie.

Wyłączyła światła awaryjne i ponownie wyjechała na drogę. Samochód w lusterku wstecznym zniknął. Nie zapalił reflektorów, więc nie widziała, czy nadal je śledzi.

Neeva opróżniła całą torebkę owoców i zabrała się do krakersów. Zjadła niemal całe opakowanie, a potem wypila łyk wody – tylko łyk – zakręciła butelkę, włożyła wszystko z powrotem do torby i zepchnęła ją na podłogę, obok swoich nóg.

– Dziękuję ci – powiedziała do niej Munroe, kiwając głową.

Neeva skromnie skrzyżowała dłonie na przykrywającym jej kolana kocu, który uchronił sukienkę przed okruszkami i plamami.

– Ile nam jeszcze zostało? – spytała.

– Nie wiem – odparła Munroe. – Jeśli będziemy się trzymać bocznych dróg, dotrzemy do Werony najwcześniej za godzinę, a co dalej, nie mam pojęcia.

– Na pewno coś wiesz – stwierdziła Neeva, obniżając głos o oktawę i mówiąc dźwięcznym szeptem, którego używała w filmach. – Moglibyśmy razem uciec. – Pieszczotliwie przesunęła palcami po kocu, a potem poprawiła górę sukienki, wygładzając materiał na piersi. – Albo zrobić sobie postój, trochę odpocząć. Jedziemy już strasznie długo. Powinni nam pozwolić chociaż na to, prawda?

W innych okolicznościach Munroe rozśmieszyłyby zabiegi Neevy.

– Nie jestem tu po to, żeby się z tobą zaprzyjaźnić – oznajmiła. – I nie podstawiaj mi swoich piersi. Nie interesują mnie.

– Nie podobam ci się?

– Jesteś piękną dziewczyną, ale nie, nie pociągasz mnie.

Rozległ się mechaniczny głos nawigacji. Pokierował nimi, zakręcił za zakrętem, przez niewielką miejscowość i wyprowadził na drogę, która za dnia musiała wyglądać pięknie.

– Jesteś gejem? – spytała w końcu Neeva.

Munroe zerknęła w lusterko wsteczne.

– Nie – odparła. – Nie jestem gejem.

Neeva wyciągnęła do niej rękę i delikatnie przesunęła palcem wskazującym po wierzchu jej dłoni. Munroe w pierwszym odruchu miała chęć ją uderzyć, ale zdołała nad sobą zapanować.

– Daj spokój – powiedziała z zaciętym wyrazem twarzy. – Naprawdę mnie nie interesujesz.

Neeva zatrzepotała rzęsami, robiąc minę pokrzywdzonego dziecka, a kiedy Munroe nie zwróciła na to uwagi, naburmuszona zapadła się w fotel i głośno sapnęła. Ręce ciasno skrzyżowała na piersi i obróciła głowę do okna.

– Co ci się we mnie nie podoba? – spytała po chwili.

Munroe z trudem powstrzymała się od śmiechu. Naprawdę wolała nie obdarzać tej dziewczyny sympatią. Chciała widzieć w niej słabą i głupią istotę, bo wtedy niechęć byłaby emocjonalnie strawniejsza – tyle że nie potrafiła.

– Po prostu nie jesteś w moim typie.

– Pierwszy raz słyszę to od faceta – oznajmiła nadąsana Neeva. – A jaki jest twój typ?

– Wysoki, ciemnowłosy i przystojny – odparła Munroe i na moment oderwała wzrok od drogi, żeby spojrzeć na zagniewaną minę dziewczyny.

– Mówiłeś, że nie jesteś gejem.

– Bo nie jestem – potwierdziła Munroe. W jej uśmiechu czaiła się wredna satysfakcja. – Jestem kobietą i lubię facetów.

Ręce dziewczyny opadły na kolana. Ze zdumienia rozdziawiła usta, a wyraz jej oczu zupełnie się zmienił. Tak jak wąż, który rozwija sploty, rozluźniła się – niemal wbrew sobie. Nie potrafiła traktować kobiety jak wroga, tak jakby ta świadomość zmieniała *wszystko*. Z powodu tej jednej informacji uszła z niej cała wola walki.

Kilkanaście kilometrów przejechały w ciszy.

– Dlaczego? – przerwała w końcu milczenie Neeva.

– Co dlaczego?

– Dlaczego to wszystko.

– Nie mam cierpliwości do gier – ostrzegła ją Munroe. – Mów konkretnie, a najlepiej w ogóle się nie odzywaj. Lubię ciszę.

– Po co ten męski strój? – spytała dziewczyna. – Dlaczego zachowujesz się... – Umilkła niepewna. – Dlaczego zachowujesz się jak oni? – Jej głos zabrzmiał wyzywająco i oskarżycielsko. – Jak *tamci* – dodała. – Dla nich kobiety nie są ludźmi, tylko rzeczami, zwykłymi przedmiotami. – Kciukiem dźgnęła w stronę tylnej szyby, ku jednemu z oprychów Lalkarza, który śledził je w mroku. – Już oni pokażą każdej, co to znaczy prawdziwy mężczyzna.

Zrobią z ciebie kobietę. Będą cię pieprzyć. Mocno. Bo podobno ty tak chcesz, choć to, czego chcesz naprawdę, w ogóle nie ma znaczenia. Liczy się tylko ich własne ego. Tacy są. – Neeva przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. Chciwie łyknęła potężny haust powietrza. – Dlaczego? Przecież jako *kobieta* – niemal wypluła z siebie to słowo – powinnaś rozumieć, jak to jest, gdy oni nazywają cię pizdą, suką i kurwą, bo masz odwagę wyrazić własne zdanie. Kiedy mówią ci, że jesteś gruba i brzydka, żeby odebrać twoim argumentom wartość. A jeśli się nimi brzydzisz, to

słyszysz, że jesteś nadęta albo że ukrywasz swoje prawdziwe uczucia. Dlaczego udajesz jednego z nich? Co z tobą jest nie tak?

Słowa Neevy dołożyły kolejny ciężar do blizn, o których dziewczyna nigdy nie miała się dowiedzieć. Raniły głęboko, przecinając czas i kontynenty, ciągnąc Munroe w stronę, w którą nie miała ochoty podążyć. Kiedy nie odpowiedziała, Neeva odwróciła się do okna.

Michael odezwała się dopiero po kilku kilometrach.

– Nie jestem jedną z nich. Nigdy nie byłam i nie będę. Jestem tu po to, żeby uratować komuś życie.

– A co z moim?

– Trudna sprawa – stwierdziła Munroe i natychmiast zmieniła temat, aby rozmowa nie zeszła na tory, które przybliżyły ją do tamtego uśpionego miejsca, gdzie zacierały się granice między pragnieniem zemsty a okrucieństwem. – Spróbuj teraz się zdrzemnąć.

Neeva nie dawała za wygraną.

– Ale po co ten męski strój?

– Mężczyzna i kobieta podróżujący razem przyciągają mniejszą uwagę niż dwie kobiety. Jako mężczyzna sprawiam, że mniej rzucamy się w oczy.

Dziewczyna udała, że się śmieje, i skrzyżowała dłonie na kolanach. Głowę wciąż trzymała odwróconą do szyby.

– W takim razie dlaczego nie wysłali ze mną mężczyzny?

Munroe się uśmiechnęła. Do siebie. Rozbawiona. Zasepiona. Chęć przetrwania i instynkt uczyniły ją tym, kim była, a niezwykle umiejętności – niektóre wrodzone, inne wyuczone – stały się dla niej błogosławieństwem i zarazem niemal zniszczyły jej życie.

– Bo żaden z ich ludzi nie potrafi tego co ja – powiedziała.

Rozdział 21

Na zachód od Werony, Włochy

W świetle jarzeniówek pod wiatą stacji benzynowej Munroe napełniła bak opla. Właściciel stał z założonymi rękami za szybą niewielkiego sklepiku i nie spuszczał z niej wzroku, tak jakby był strażnikiem, a ona jedynym więźniem na tej pustej stacji.

Nie miała gotówki ani karty kredytowej, nic, czym mogłaby zapłacić za paliwo – tylko słowo Lumaniego i instrukcje, które przekazał jej telefonicznie. Trzymała się ich co do joty. Od momentu, kiedy dotarła pod wskazany adres i przytknęła końcówkę węża dystrybutora do wlewu baku, czuła, że chłoptaş jest w pobliżu i zacząony w mroku śledzi ją przez celownik snajperki.

Przeniosła wzrok z właściciela na dystrybutor. Bezmyślnie gapiała się na przeskakujące cyferki. Neeva zasnęła prawie godzinę wcześniej i nie zbudziła się, kiedy wjechały na stację. Munroe mogła spokojnie zatankować, bez obawy, że dojdzie do kolejnego nieprzyjemnego incydentu. Dziewczyna sporo spała od nieudanej próby wyrwania się na wolność i przy odrobinie szczęścia nieprędko miała się obudzić.

Zadziałał zawór odcinający, sygnalizując, że zbiornik jest pełen. Munroe odwiesiła wąż na miejsce.

Właściciel stacji wciąż patrzył na nią przez okno. Zakrećiła korek i odwzajemniła jego spojrzenie. Rozplótl ręce i gestem dał jej znak, żeby już jechała. Znała ten wyraz twarzy. Nie chciał jej tutaj, nie chciał ryzyka, jakie niosła jakakolwiek rozmowa czy pytania. Wolał, żeby jak najszybciej stąd zniknęła. Był uwikłany w machinę grózb i szantażu, zastraszone i zmuszony do posłuszeństwa, tak jak ona.

Otworzyła drzwi po stronie kierowcy i po raz kolejny zamieniła chłodne, świeże powietrze z posmakiem wolności na zatęchłe więzienie na czterech kółkach. Znowu przekrećiła kluczyk w stacyjce – nie budząc

Neevy – i wróciła w mrok, na drogę, do hipnotycznego szumu kół o asfalt.

Przemierzała puste kilometry, od jednego adresu do kolejnego, przez pogrążone we śnie miejscowości, i myślała o Neevie.

O jej wybuchu na temat *tamtych*.

O zachowaniu, które świadczyło, że przeszła szkolenie samoobrony.

O zaciekłości i nieustępliwości, nawet gdy przeciwnik był od niej o wiele silniejszy.

O ogromnej zmianie, jaka zaszła w niej, gdy pojęła, że ma do czynienia z kobietą.

To wszystko składało się na historię, o której Tisdale'owie nie wspomnieli ani słowem w materiałach przesłanych do firmy Bradforda. Munroe nie miała pojęcia, czy wydarzyła się, kiedy dziewczyna była jeszcze Grace Tisdale, czy gdy stała się Neevą Eckridge.

Odsunęła od siebie te myśli. Nie chciała wiedzieć. Wolała, żeby jej to nie obchodziło.

Dziki instynkt, który kazał jej walczyć, zwyciężyć i przetrwać, był tak samo silny jak zawsze, ale powoli zaczynała się budzić jej mroczna strona. Już zahaczała o skraj jej duszy, gotowa ocknąć się zupełnie i włączyć do gry.

Naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciała się przejmować losem dziewczyny.

Kipiel emocji i bez tego była wystarczająco mętna.

Munroe sięgnęła po telefon Lalkarza, włączyła wyświetlacz, sprawdziła, czy nie ma wiadomości, i ponownie go wyłączyła.

Nadal nic.

Przez kilka godzin, które upłynęły, odkąd Neeva wbiegła do tamtej restauracji, Lumani przekazał Munroe jedynie instrukcje, gdzie ma zatankować paliwo, i choć próbowała wyczytać z jego tonu, jakiego

rodzaju odwetu może się spodziewać, nie usłyszała żadnej podpowiedzi.

I w końcu stało się. Nie była to wiadomość przekazana w rozmowie telefonicznej, tylko przesłane na komórkę zdjęcie. Obwieścił je sygnał tak przenikliwy, że nawet Neevę wyrwał ze snu. Munroe oderwała wzrok od drogi na długo – o wiele dłużej niż powinna – zdjęła nogę z gazu i spojrzała na wyświetlacz, który nagle rozbłysł. Neeva ziewnęła i zmieniła pozycję. Zerknęła na twarz Munroe, a potem popatrzyła w tę samą stronę co ona, na niewielki ekran. Munroe sięgnęła po wibrujący telefon, w duchu przygotowując się na karę, jaka dosięgła Logana.

Utkwiła wzrok w obrazie, w oczach bez życia. Dwa strzały w głowę. Dwa maleńkie, czerwone pączki róż, oddalone jeden od drugiego o cal – kwiaty śmierci, które się nie rozwinęły, tylko spłynęły smugami koloru w dół zastygłej twarzy.

Czas implodował.

Stanął w miejscu.

Wszystko spowiła czerń.

Powietrze zadrgało.

Rozdarło się.

Wewnętrzne głosy – symbole okrutnej przeszłości, które przez prawie dwa lata milczały – znowu zabrzmiały obłąkanym chórem. Brutalna moc, która tkwiła uwieczona głęboko, przerwała tamę i rozlała się powodzią szaleństwa. W oddali światła samochodu przeszyły mrok. Obok siebie usłyszała wrzask. Głośny i dziki. Miała wrażenie, że jej prawe ramię szarpią kocie pazury.

A potem wszystko zamarło.

Na oślep próbowała namacać klamkę i wreszcie bariera drzwi ustąpiła, wpuszczając do środka chłód nocy. Munroe prawie wypadła z wozu na asfalt. Chwiejnie okrążyła samochód. Na poboczu kolana się pod nią ugięły. Poczowała szarpnięcie w żołądku. Był pusty, więc

zwymiotowała jedynie żółcią. Słowa – wyrazy bez znaczenia – wirowały i zderzały się w jej myślach, dopóki nie zdołała nadać im kształtu, porządku i sensu.

Odda każdemu według uczynków jego.

Za nią rozległ się odgłos otwieranych drzwi samochodu.

Nie rozwarła zaciśniętych powiek. Usłyszała kroczy Neevy i nawet tak daleka od pełni świadomości poznała, że dziewczyna wciąż ma związane nogi.

W jej duszy szalały mroczne wiry. Z zamkniętymi oczami zdołała obrócić twarz mniej więcej w stronę samochodu, żeby dziewczyna lepiej ją usłyszała.

– Zabiję cię, jeśli spróbujesz uciec.

Neeva nie odpowiedziała. Jej sukienka zaszeleściła i po chwili dłonie dziewczyny dotknęły ziemi obok stóp Munroe.

Nie znają drogi pokoju, prawości nie ma w ich postępowaniu.

Neeva usiadła. Jej oddech brzmiał płytko. Na skórze miała woń strachu. Munroe na moment uniosła powieki. Zobaczyła telefon w dłoni dziewczyny i jej wzrok utkwiony w wyświetlonym na ekranie zdjęciu. Ponownie zamknęła oczy.

– Tym ci grozili? – spytała Neeva drżącym głosem, tak jakby mimo tego, co przeszła, dopiero teraz zaczynała pojmować, jak mocno Lalkarz pociągał za sznurki życia. – Tym szantażowali?

Z dłońmi opartymi o uda i twarzą skierowaną ku ziemi, Munroe pokręciła głową. Nie. Tej śmierci się nie spodziewała. Nie mogła jej przewidzieć ani nawet przeczuć, kiedy rozważała, jakimi pionkami zagra jej przeciwnik w tej obłąkanej partii.

Noah Johnson. Urodzony w Maroku Amerykanin. Kochanek, z którym nie miała żadnego kontaktu od dziewięciu miesięcy. Ich przypadkowe spotkanie przed dwoma laty przerodziło się w związek, który trwał pół roku i do końca był pełen czułości. Na tę śmierć – tak

daleką od jej obecnego życia – nie mogła się przygotować, tak jak na śmierć Logana, Bradforda lub kogoś z jej rodziny.

Uczynili krętymi własne swoje ścieżki. Kto nimi chodzi, nie zazna spokoju.

Niewypowiedziany ból.

Dlatego prawo jest od nas dalekie i sprawiedliwość do nas nie dociera.

– Kim jest ten mężczyzna? – wyszeptała Neeva.

– Był moim przyjacielem. – Munroe rękawem wytarła usta. – Kochałam go.

Noah miał wady, ale był dobrym człowiekiem i kochał ją równie mocno jak ona jego. Odeszła, żeby chronić go przed sobą. Pogodził się z tym, znalazł nową miłość. A teraz nie żył.

Nie mogła się otrząsnąć z szoku. Nie pojmowała, że to się dzieje naprawdę.

Z trudem wstała. Neeva również się podniosła.

W pełni sił jesteśmy jakby umarli.

Munroe wyjęła telefon z dłoni Neevy.

Spodziewaliśmy się prawa, ale go nie ma.

Wyłączyła go i oddała dziewczynie.

– Dlaczego go zabili? – spytała Neeva.

Wyryty w pamięci obraz: dwa strzały w głowę. Strużki krwi płynące z ran. Ciało porzucone na chodniku.

– Żeby mnie zmusić do uległości – odparła.

Jeszcze nie mogli zabić Logana, bo zależało im na dostarczeniu przesyłki. Ale i tak wiedzieli, jak zadać jej ból, aby ją ukarać i nakłonić do posłuszeństwa. Wzięli na cel innych, których kochała – ludzi, którzy byli dla niej ważni.

Niewinnych.

Kogo jeszcze zdołali namierzyć?

Jeśli to Kate Breeden pomogła wyznaczyć ten kurs, jeśli nadal była informatorką tych ludzi, mogli znaleźć całą jej rodzinę, choć zawsze tak

bardzo uważała, aby chronić bliskich.

Czyny ich to czyny niegodziwe, dzieło krzywdy jest w ich rękach.

Mogli odszukać wszystkich, którzy się dla niej liczyli, zaczynając od tych, których kochała najbardziej. Kiedyś uważała Kate za przyjaciółkę. Teraz żałowała, że nie wpakowała jej kulki między oczy, kiedy miała taką możliwość.

Bradford nie odpowiadał na jej zakodowane wiadomości i dotąd brała jego milczenie za dobrą monetę. Ale teraz jej spokój wyparły śmierć i chłód, i potworny lęk przed nieznanym. Może jego też dopadli? Strach sprawił, że ciemność otaczająca jej myśli zgęstniała w dławiący całun. Munroe oplotła ramieniem szyję Neevy i przyciągnęła dziewczynę bliżej. Pocałowała ją w czoło.

– Wybacz mi – wyszeptała i zanim Neeva zdążyła zareagować, szarpnęła ją za sobą.

W czarnej czeluści, gdzieś poza rozsądkiem, wściekłość i adrenalina zmieniły palce Munroe w kleszcze, a jej ciało w maszynę kontrolowaną przez potwory, które tkwiły w jej głowie. Nie poczuła paznokci Neevy na skórze ani nie zwróciła uwagi na paniczny wrzask. Pociągnęła dziewczynę z piaszczystego pobocza, po asfalcie, na środek drogi.

Tam przystanęła i wysoko podniosła rękę Neevy. Z kieszeni wydobyła kawałek metalu – prowizoryczny nóż, którym nastolatka próbowała zaatakować ją w podziemiach – i przytknęła go do przedramienia dziewczyny.

W mrok, gdzie Lumani zaczęli się i nasłuchiwać, Munroe wykrzyczała swoje żądanie. Chciała zobaczyć dowód, że Logan wciąż żyje.

– Pokażcie mi go – wrzeszczała – bo przysięgam Bogu, że pokroję waszą cenną przesyłkę i pozwolę jej się wykrwawić.

Światła samochodu, który zatrzymał się w pewnej odległości za nimi, błysnęły i zgasły. Tylko raz. Po chwili telefon, który Neeva ścisnęła w dłoni – tej samej, którą szarpnęła w górę Munroe – zadzwonił. Nie

rozluźniając uścisku, wyjęła komórkę z palców dziewczyny i przytknęła ją do ucha. Dopiero teraz dotarło do niej, że już nie czuje drapiących ją paznokci ani okładającej pięści. Tylko łzy Neevy wciąż płynęły. Dziewczyna cała się trzęsła.

– Logan żyje – oświadczył Lumani. – Zapewniam cię, że nikt inny nie zginął. Wracaj do samochodu i ruszaj dalej.

– Najpierw chcę zobaczyć dowód życia. Żadnych wyjątków, żadnych wymówek.

Rozłączyła się, zanim zdążył jej odpowiedzieć. Po chwili telefon znowu zadzwonił. Schowała go do kieszeni. Zdławiony szloch Neevy i jej rozdygotane ciało ściągnęły Munroe w rzeczywistość. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, z jaką siłą ściska wąty nadgarstek. W pełni świadomie i z niemal nabożną delikatnością rozluźniła palce.

– Przepraszam – wyszeptała, pocałowała dłoń dziewczyny i puściła ją.

Neeva próbowała się cofnąć, mimo krępujących ją więzów, ale straciła równowagę. Munroe ją złapała. Łagodnie przytrzymała dziewczynę za łokieć.

– Przepraszam – powtórzyła.

Stojąc tak na środku drogi, wpatrzona w gładką skórę dziewczyny, mlecznobiałą w świetle księżyca, prześledziła wzrokiem długą kreskę, wzdłuż której zamierzała ciąć, aby upuścić życiodajną czerwień i zostawić w jej miejsce śmierć. Tyle cierpienia i bólu, tyle udręki. Żałowała, że wbrew idiotycznym zasadom i wymaganiom klienta, na przekór horrorowi, z jakim wiązała się ta przeprawa, nie mogła odurzyć Neevy i oszczędzić im obu tej gehenny.

I właśnie wtedy zakwitła w niej myśl. Pojawiła się nagle, między kolejnymi uderzeniami serca – jak olśnienie w chwili, gdy poddała się ciemności. Patrząc na delikatną skórę Neevy, czując zapach strachu w

jej oddechu i widząc paniczny lęk w oczach, wreszcie zrozumiała żądania klienta.

Żadnych środków odurzających. Żadnych śladów.

Ogarnęła ją kolejna fala mdłości.

Ktoś, kto chciał tylko pojąć dziewczynę taką jak Neeva, zgodziłby się, żeby ją związano i otumaniono, byle szybciej ją dostać. Nie miały nic przeciwko temu, gdyby po drodze przesyłka została trochę poobijana – przynajmniej spokorniałyby, nim do niego dotrze. Takim wykolejńcom siniaki nie przeszkadzały. W końcu przecież znikają.

Nie, takie zasady mogły się zrodzić tylko w głowie kogoś, kto miał wiele wspólnego z człowiekiem, którego Munroe kiedyś знаła. Wypływały z takich samych psychopatycznych skłonności, przez które jej dręczyciel stopniowo ją odczłowieczał i zmieniał w drapieżnika – wiecznie polującego, obojętnego i odciętego od reszty rodzaju ludzkiego, uczulonego na niemal każdy dotyk innego człowieka.

Nieprawdopodobne decyzje. Nieprawdopodobny ciężar.

Żadnych siniaków. Żadnych środków odurzających.

Teraz już znała powód tych wymagań i rozumiała, co determinowało każdy etap dotychczasowej podróży. Klienta podniecał strach. Chciał, żeby Neeva wiedziała, że jej życie należy do niego, i dlatego żądał, aby była w pełni świadoma. Zależało mu na czystym i nienaruszonym materiale, bo jego narzędzia miały rzeźbić w nim jako pierwsze – i jedyne.

Munroe spojrzała w niebo. Przeklinała własną słabość. Nie potrafiła z pełną świadomością oddać niewinnej istoty w takie samo piekło, z jakiego się narodziła. W tym decydującym momencie skazała na śmierć jedyne go człowieka, dla którego skłonna była poświęcić wszystko. W mroku wyszeptała słowa pożegnania. Otworzyła bramy Gehenny – siedziby potępionych, nikczemnych i martwych – i tu, na tym pustkowiu, pogrzebała swoją duszę.

Zaprowadziła Neewę z powrotem do samochodu, zaczekała, aż dziewczyna się usadowi, a potem przecięła więzy wokół jej kostek. Zgniotła taśmę w lepką kulę i cisnęła ją w mrok. Potem wsiadła za kierownicę, opuściła oparcie fotela i odrobinę uchyliła szyby, żeby wpuścić do środka świeże powietrze.

– Kiedy to się stało? – szeptem spytała Neewę.

– Kiedy co się stało?

– Wiesz, co mam na myśli.

Neeva wlepiła wzrok w swoje dłonie. Kciukiem rozcierała nadgarstek, który wcześniej ścisnęła Munroe.

– Gdy ktoś wygląda tak jak ja, facetów czasem ogarnia obsesja – powiedziała. – Są przekonani, że coś was łączy... dostrzegają rzeczy, których nie ma... przypisują znaczenie nieistotnym gestom... wmawiają sobie, że ty czujesz to samo, i oczekują dowodów. A jeśli nie odwzajemnisz ich uczuć, biorą to do siebie i wpadają we wściekłość.

– Ile miałaś lat, kiedy do tego doszło?

Neeva długo milczała.

– Czternaście – odparła w końcu.

– Twoi rodzice wiedzą?

– Tak – wyszeptała. – Zawsze byliśmy sobie bliscy. Nie bałam się im powiedzieć, nawet kiedy zagroził, że mnie zabije, jeśli to zrobię.

Czternaście lat. Munroe była w tym samym wieku, kiedy trafiła pod skrzydła przemytnika broni i wprawiła w ruch spiralę wydarzeń, które jak rzeka wyparta z pierwotnego koryta na zawsze zmieniły sposób, w jaki postrzegała świat, i uczyniły z niej łowcę – drapieżnika.

– Rodzice... – podjęła Neeva, ale Munroe jej przerwała, podnosząc rękę.

Zwróciła uwagę na hałas i ruch za samochodem, ale wyczuła znacznie więcej, niż zdołała usłyszeć przez lekko opuszczone szyby. Jej

intuicję ukształtowały lata polowań w dżungli, podczas których czasem była myśliwym, a czasem ofiarą.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem nagle twarz Arbena przycisnęła się do okna po stronie pasażera i Neeva krzyknęła ze strachu. Bydlak zaśmiał się złośliwie i gestem dał znak, żeby opuściła szybę.

Munroe pogładziła tępą stronę niewielkiego ostrza, które zaciskała w palcach.

– Tylko trochę – rzuciła do dziewczyny.

Neeva posłuchała.

Arben czekał. Dał znak, żeby opuściła szybę niżej, ale dziewczyna pokręciła głową. Wsunął rękę do środka i rzucił jej na kolana płaską paczkę i kosmetyczkę: nowe rajstopy i mały zestaw do makijażu.

– *Szed össze magad* – powiedział i się roześmiał.

„Doprowadź się do porządku, żeby nie wyglądać jak świnia w tak ważnym dniu”.

Po raz pierwszy odezwał się w obecności Munroe i zrozumiała wreszcie, dlaczego z tylu języków właśnie węgierski wybrano do immersji językowej. Jego słowa miały sprowokować w niej reakcję, ale to Neeva odpowiedziała, tak jakby go zrozumiała. Pokazała Arbenowi środkowy palec.

– Goń się, kutasie – rzuciła i sięgnęła do korby, żeby zakręcić szybę.

Arben jeszcze nie wycofał ręki. Zaatakował szybko. Złapał garść włosów Neevy w mięsiste łapsko, zanim zdążyła zareagować, i szarpnął ku sobie. Jej głowa głucho uderzyła o okno.

Nawet jeśli dziewczyna krzyknęła, Munroe już tego nie usłyszała. W jej uszach zatętniła krew, zagłuszając wszystko wkoło. Ból, cierpienie i chęć rozładowania napięcia przelały się przez pękniętą tamę, która dotychczas je powstrzymywała.

Wyskoczyła z samochodu, przeleciała nad maską i dopadła do Arbena, zanim zdążył puścić Neewę. Wpadła na niego w chwili, gdy zaczynał się cofać od drzwi. Wściekłość i szal, które kipiały w jej głowie, błyskawicznie zawładnęły jej ciałem.

Arben był wielki. Silny. Uzbrojony. I wszystkie jego mocne strony były zarazem największymi słabościami. Brutalna siła i wymuszanie posłuszeństwa rozleniwiwały mężczyzn. Stawali się zbyt pewni siebie. Za wolni.

Oczywiście nie miała szans prześcignąć pocisku, ale w bezpośredniej walce zawsze była szybsza od ręki sięgającej po broń. Szybkość oznaczała życie. Szybkość pozwalała przetrwać. Szybkość zrodzona z woli walki i konieczności przechytrzenia przeciwnika została wryta w jej duszy cięciami noża sadysty. Co jej nie zabiło, uczyniło ją szybszą.

Skóra do skóry. Pięść Munroe dosięgła gardła Arbena. Odpowiedzią był błysk bólu z boku czaszki, ale wraz z nim pojawiła się ulga. Katharsis. Śmiech.

Cios za cios. Tym razem nie kierowała nią pałaca, niezaspokojona żądza mordy, która przed wieloma laty noc w noc przesądzała o tym, czy wykrwawi się na śmierć, czy przetrwa do kolejnego świtu. Zależało jej jedynie, żeby cierpieć. Dlatego musiał żyć – tak jak oni chcieli, żeby żyła Neeva.

Teren po drugiej stronie drogi opadał stromo. Instynkt i słuch podpowiedziały jej to, czego nie mogła zobaczyć. Zrobiła krok do przodu, potem w bok. Wykorzystywała chwile, kiedy odsłaniał swoje najsłabsze punkty: szczękę, kolana, oczy, krocze. Każdy jej ruch napędzała nienawiść do trucizny, jaką był Arben.

Uderzył ją w pierś. Odrzuciło ją kilka kroków do tyłu. Gdy poczuła ból i zabrakło jej powietrza, znowu się roześmiała. Odskoczyła, zanim

zdążył zadać kolejny cios. Nasłuchując w ciemnościach jego oddechu i odgłosu kroków, namacała prowizoryczne ostrze.

Szyderczo i przeciągle zwróciła się do Arbena słowami, które wcześniej skierował do niej.

– *Gyere ide* – zawołała. – No dalej. Pokaż, że jesteś mężczyzną.

Gwałtownie obrócił się w stronę, z której dochodził jej głos. Uderzył. Jego pięść zderzyła się z jej kością policzkową w tym samym momencie, gdy jej ostrze zahaczyło o jego przedramię, zostawiając w nim długą, nierówną linię. Zadzwońło jej w czaszce.

Arben ryknął. Jego wściekły głos niósł się daleko. Rzucił się na nią, wymachując pięściami, ale trafił jedynie w powietrze. Doświadczenie kazało jej unieszkodliwić go za wszelką cenę, zmusić do obrony.

Ponownie się zamachnął. W tym momencie powinna go powalić, złamać mu łokieć, ale cofnęła się i cięła drugie przedramię.

Okręcił się, żeby stanąć naprzeciwko niej, zaklął i sięgnął po broń, choć wiedział, czym to grozi. Munroe błyskawicznie do niego przypadła, ale zanim cofnął rękę i zanim ona zdążyła przytknąć ostrze do gardła bydlaka, w mroku rozległ się huk wystrzału snajperki Lumaniego, przerywając walkę, która jeszcze się na dobre nie zaczęła.

Rozdział 22

Irving, Teksas

Bradford jechał do Veers Transport absolutnie skoncentrowany. W jego głowie plan przeistaczał się w działanie.

Isuzu trooper z Jahanem i Walker trzymał się kilka przecznic za nim. Jako zespół nie wiedzieli więcej niż w chwili, gdy Bradford poderwał się z kanapy i na białej tablicy prześledził niewyraźny logiczny ciąg od placu firmy transportowej, przez kamery bezpieczeństwa, do ciężarówek.

Nie została im już żadna inna opcja.

Obmyślili strategię, naciągnęli możliwości i w końcu, przygotowani na najgorsze, wyruszyli z siedziby Capstone na kaskaderską misję. Na każdej decyzji, każdym posunięciu ciążyła świadomość, że ich klęska będzie równoznaczna z końcem Logana, a w następstwie także Munroe.

Pomarańczowe światła ulicznych latarni odbijały się w asfaltowej nawierzchni, wciąż mokrej po ulewie, która przeszła nad miastem, tak jak zwykle w Teksasie – pojawiła się i znikła. Tylko ślady, jakie po niej zostały, świadczyły, że w ogóle tu była. Bradford planował tej nocy osiągnąć to samo.

Kolejne skrzyżowanie. Wiedział, że za nim firma Veers Transport będzie już widoczna. I wreszcie ją zobaczył, po prawej stronie, z jaskrawo oświetlonym placem – nie tak jak poprzednio. Mniejsze wozy dostawcze poprzestawiano, robiąc pośrodku miejsce ciężarówce z naczepą. Dwaj mężczyźni szli właśnie od niej w stronę magazynu. Jeden przodem, a drugi potulnie za nim, jak wygłodniały pies. Za ogonem ciężarówki Bradford dostrzegł jeszcze dwie pary nóg.

Przestawił się na strategię bojową. Pamięć ciała włączyła się automatycznie.

Jeśli fortuna im sprzyjała, mieli znaleźć Logana żywego i bezpiecznie go stąd wywieźć, zostawiając po sobie chaos zniszczenia,

bez żadnych śladów, kto tego dokonał.

Pojawić się i zniknąć – tak jak ulewa.

Bradford minął firmę przewozową i zatrzymał samochód przed sąsiednim kompleksem biurowym. Zaparkował w miejscu, którego nie dosięgało światło latarni, wyłączył silnik, chwycił wypakowany plecak i wysiadł prosto w mrok.

Strategia sprowadzała się do dwóch bardzo ogólnych scenariuszy. Jeśliby na terenie firmy nikogo nie zastali, planowali ciąć opony, wyważać drzwi i pruć karoserie ciężarówek, dopóki nie znajdą tego, czego szukają. Gdyby natomiast w Veers Transport coś się działo, zamierzali wziąć na cel najbardziej strzeżony obiekt.

Czyli osiemnastokółowca.

Bradford niepostrzeżenie zmierzał w jego kierunku, przemykając między budynkami i kierując się na tyły kompleksu, do miejsca, w którym jeden z ciągów biur graniczył z najmniej oświetloną częścią placu. Przecinaki do drutu pomogły pokonać siatkowe ogrodzenie.

We własnym kraju mniej się obawiał bandytów oraz ryzyka, że plan nie wypali, niż tego, że zostanie pogrzebany przez służby, z którymi współpracował. Jego rodacy ukamienowaliby go, gdyby wyszło na jaw, że miał coś wspólnego z wydarzeniami tej nocy, a mimo to bez skrępowań brał sprawę porwania Logana w swoje ręce. Lata lawirowania między przeszkodami w najbardziej beznadziejnych sytuacjach, lata spędzone w otoczeniu biedy i korupcji w krajach, w których o życiu lub śmierci decydowało prawo silniejszego, a sprawiedliwość była w najlepszym wypadku arbitralna, lata działania ze świadomością, że może to już ostatni dzień życia, potrafiły zmienić sposób, w jaki człowiek patrzył na świat.

Zatrzymał się. Chwilę nasłuchiwał. Ruszył dalej.

Przywarł do ślepej ściany magazynu i zaczął się przesuwając wzdłuż niej w kierunku biura z prefabrykatów, odmierzając kroki. W pewnym

momencie ukląkł i wyciągnął z plecaka jedną z paczek C4. Uformował plastik na elewacji i wcisnął w środek spłonkę. Miał za mało przewodu, żeby opasać halę, musiał więc się zadowolić zdalnymi detonatorami, które zabrał ze składu broni.

To Walker zaproponowała, żeby wzięli plastik. On sam nie planował nic wysadzać, żeby nie narysować sobie nad głową wielkiej strzałki z napisem: „Hej, wy tam, ludzie, którzy możecie wysłać mnie do pierdła, tu jestem!”. Teraz jednak żałował, że nie zabrał więcej wszystkiego: więcej plastiku, więcej spłonki, więcej odpalaczy, żeby porządnie wszystko rozpieprzyć, a nie tylko odwrócić uwagę.

W słuchawce usłyszał głos Walker:

- Jak tam Wielki, daleko jesteś?
- Już na imprezie.
- Skrzydłowy na miejscu – zakomunikował Jahan.
- Muzyka gotowa – powiadomiła ich Walker.

Bradford podkraść się jeszcze kilkanaście jardów i przytwierdził kolejną porcję plastiku do ściany. Bez względu na to, co miało się wydarzyć tej nocy, zamierzał odpalić ładunki. Niewielki pożegnalny prezent w stylu „pierdolcie się” dla dupków, którzy poczuli się zbyt pewnie na amerykańskiej ziemi i nie przemyśleli konsekwencji okradania grupy uzbrojonych po zęby speców wpadających w lekką depresję, kiedy za długo nie skakała im adrenalina.

Oczywiście nie wykluczał, że Lalkarz miał taki sam plan: zwabić i zniszczyć.

Osiemnastokółowiec mógł równie dobrze być pułapką, jak celem – a wtedy mieliby do czynienia z zupełnie inną grą. No ale tylko w jeden sposób mogli sprawdzić, czy jest tu Logan – musieli połknąć haczyk.

Następne kilkanaście jardów i ostatni ładunek.

- Wygląda na to, że silnik pracuje – powiadomiła go Walker.
- Skrzydłowy? – spytał Bradford.

- Dwie minuty – odparł Jahan.

Dwie minuty do wyłączenia telefonów i Internetu. Walker miała się zająć reflektorami na terenie posesji i latarniami przy ulicy. Gdyby była możliwość dotarcia do skrzynki przyłączy bez ściągnięcia na siebie uwagi, odcięliby elektryczność, oszczędzając sobie tylu kłopotów, ale w tej kwestii nie mieli szczęścia.

Bradford przyspieszył. Jeśli silnik ciężarówki był na chodzie, to, co wiozła na naczepie, wkrótce miało opuścić bazę. Dotarł do narożnika magazynu i właśnie miał wyjść na plac, kiedy Jahan oznajmił:

- Gotowy do zabawy.

Niemal natychmiast rozległ się charakterystyczny odgłos strzału snajperki i rozpoczęła się rzeź. Kamery na magazynie poszły na pierwszy ogień. Rozpadły się w minieksplozjach metalu i szkła, które sypnęło wokół połyskliwym confetti. Zaraz po nich zgasły halogenowe reflektory, a na koniec, jedna po drugiej, uliczne latarnie, pogrążając cały plac we względnych ciemnościach.

Reakcja Veers była błyskawiczna. Mężczyźni za osiemnastokołowcem, usłyszawszy wystrzały, odruchowo przypadli do ziemi i sięgnęli po broń. Rozglądali się wkoło, próbując ustalić, skąd strzelano. Nie zachowywali się jak ludzie zaskoczeni nalotem, ale też nie zajęli z góry ustalonych pozycji, jak przy planowanej zasadzce. Wszystko wskazywało raczej na to, że ostrzegano ich przed potencjalnym atakiem, tyle że nie do końca w to wierzyli i byli niezbyt dobrze przygotowani.

Gdy zgasła ostatnia latarnia, na moment zapadła kompletna cisza. Żadnych wystrzałów. Żadnych nawoływań. Żadnych pojazdów na ulicy. W ogóle żadnego ruchu – tak jakby atak zmusił obecnych do przegrupowania sił. W końcu otworzyły się drzwi magazynu i pojawił się w nich jeden z mężczyzn, którzy chwilę wcześniej zniknęli w środku – tak jakby biedak wyciągnął krótką zapałkę. Dość tęgi i ubrany w

zwykłe dzinsy i koszulkę, wyglądał na trzydzieści parę lat. Tylko on nie miał broni i Bradford podejrzewał, że jest kierowcą kolosa.

W mroku dał się słyszeć syk. Z opon pojazdów na obrzeżach placu zaczęło schodzić powietrze. Kolejne zamieniały się we flaki w tym samym rytmie, w jakim wcześniej gasły światła. Bradford przemknął za zasłonę kolejnej ciężarówki, krótkimi zrywami kierując się w stronę osiemnastokołowca.

Cienie na ziemi za naczepą zaczęły coś wołać z ciężkim, obcym akcentem do mężczyzny przed magazynem. Miał natychmiast wracać do wozu. Ciężarówka musiała jak najszybciej opuścić plac.

W przedniej części magazynu częściowo podniosła się brama rampy przeładunkowej. Dwaj mężczyźni wytoczyli się spod niej i zeskoczyli z platformy na ziemię. Nikłe światło z wnętrza wydłużyło ich cienie, wyławiając oprócz kończyn i zniekształconych głów zarysy karabinów.

– Wielki, masz gości na dziewiątej.

Ulokowany na dachu snajper z celownikiem noktowizyjnym mógł w kilka minut zakończyć zabawę, ale sprawiedliwość wymagała odróżnienia zwykłych pracowników od bandziorów. Cel mieli jeden – wyciągnąć stąd Logana, nie zabijając niewinnych ludzi. Nie chcieli do swoich problemów dokładać zarzutów morderstwa. Zemsta mogła poczekać.

W końcu placu mężczyźni przy naczepie ciągle krzyczeli coś do kierowcy, ale Walker strzelała w ziemię tuż pod jego stopy za każdym razem, gdy próbował zrobić krok. Na lewo od Bradforda dwaj z karabinami przekradli się do granicy posesji i znikli mu z oczu. Podejrzewał, że kierują się w stronę, z której padały strzały snajperki.

Pięciu przeciwników na placu oznaczało, że przy próbie dotarcia do osiemnastokołowca nie mogło się obejść bez hałasu i ryzyka, ale to, co znajdowało się na naczepie, wyraźnie miało dla Veers ogromną wartość

i nawet jeśli nie było tam Logana, Bradford mógł wykorzystać ciężarówkę jako kartę przetargową.

Determinacja, z jaką ludzie Lalkarza starali się wyprawić stąd osiemnastokołowca, sprawiła, że błyskawicznie zmienił plan i powiadomił kompanów o nowej strategii w związłych komendach.

Strzały snajperki umilkły.

Kierowca nadal tkwił w miejscu. Obawiał się ruszyć i nie reagował na nawoływania towarzyszy, więc zaczęli strzelać w jego kierunku, aby wymusić posłuszeństwo.

Bradford na czworakach okrążył ostatni wóz dostawczy. Między nim a osiemnastokołowcem została już tylko wolna przestrzeń. Powoli zaczął sunąć w tamtą stronę, ale ogień z karabinu rozpruł nocną ciszę. Przednia szyba pojazdu za nim roztrzaskała się w drobny mak, a bok karoserii zadzwonił serią metalicznych dźwięków.

Ignorując instynkt, który nakazywał mu znaleźć jakąś zasłonę, popędził do szoferki.

Każdemu krokowi towarzyszyły nowe trzaski strzałów. W jego kierunku mknęły krótkie serie pocisków. W pewnym momencie ktoś krzyknął. Na chwilę zapadła cisza, a potem ostrzał rozpoczął się na nowo, ale tym razem celem była sąsiednia nieruchomość.

Ogień z automatów zmylił leżących na ziemi przy naczepie. Bradford to wykorzystał. Błyskawicznie dopadł do szoferki i jednym susem pokonał stopnie. Szarpnął klamkę i rzucił się do środka.

Na jego widok kierowca ciężarówki zamarł w otwartych drzwiach naprzeciwko.

Bradford wycelował w niego broń.

– W tej chwili jestem twoim najlepszym przyjacielem – oznajmił. – Siadaj za kółko i wyjeżdżaj stąd, a przysięgam, że nic ci nie zrobię.

Kierowca rozdziawił usta, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale nie ruszył się z miejsca.

Rozdział 23

Okolice Montebruno, Włochy

Neeva patrzyła przez boczną szybę. Z trudem rozróżniała ruchome cienie. Ręce, zamachy, ciosy – wszystko zlewało się ze sobą, jednocześnie oddalając coraz bardziej od samochodu. W końcu nie widziała już, kto jest kim i co jest czym.

Dłonie miała wilgotne, a skóra głowy piekła ją w miejscu, gdzie ten bydlak szarpnął ją za włosy.

Wszystko wydarzyło się tak szybko. Zdumiona gwałtownością przemocy, jeszcze przez chwilę wpatrywała się w mrok, a potem, w przypiływie paniki, zamknęła szyby i zablokowała zamki. Sprawdziła stacyjkę, licząc, że może jakimś cudem Michael w pośpiechu zostawiła kluczyki.

Niestety.

Przerażona zmarnowała zbyt wiele czasu i teraz jej serce waliło jak oszalałe. Instynkt kazał jej uciekać pieszo. Tylko strach trzymał ją jeszcze w miejscu. Ze wszystkich stron otaczały ją ciemności z rzadka nakrapiane punkcikami światła – tak jakby wybrano to miejsce na postój właśnie dlatego, że znajdowało się daleko od ludzi. Neeva miała wrażenie, że po raz pierwszy od początku podróży trafiła na takie pustkowia – w dodatku gdzieś tam czaił się ten bydlak z celi.

Nie miała pojęcia, w którą stronę uciekać, żeby jej nie dogonił. Znała ten typ. Takim jak on frajdę sprawiało zadawanie innym bólu. Nie wiadomo, co by jej zrobił, gdyby ją znalazł. Oczami wyobraźni widziała potworne obrazy – scenariusz krwawego horroru. Jednocześnie nie mogła zapomnieć zdjęcia tamtego zastrzelonego mężczyzny i widoku wymiotującej Munroe. Jej strach rósł.

Tamten człowiek zginął, bo próbowała uciec. A gdyby jej się udało? Co by zrobili? Na pewno zabiliby kogoś, kogo kochała. Możliwe, że już się tak stało.

Bolała ją głowa.

Bolał ją brzuch.

Przełknęła gulę lęku i wyteńczyła wzrok, jeszcze raz próbując dojrzeć coś w mroku. Zobaczyła jedynie czerń, a potem jakiś niewyraźny ruch. Musiała uciekać. Drżącymi dłońmi sięgnęła do światła nad głową i przestawiła przełącznik, aby nie włączyło się, gdy otworzy drzwi. Potem przesunęła się z miejsca pasażera na stronę kierowcy, nisko pochylając głowę i na wszelki wypadek poruszając się powoli. Ktoś na zewnątrz krzyknął.

Neeva drgnęła.

Odgłos wystrzału strzaskał ciszę i dziewczyna w panice namacała blokadę drzwi.

Tylko Michael nie miała broni, więc tylko ją mogli zastrzelić, a to oznaczało, że nie żyje i teraz ten psychol może się dostać do Neevy.

Odblokowała zamek i sięgnęła do klamki. Nie trafiła, ale jak za sprawą magii drzwi się otworzyły.

Zdusiła okrzyk.

Wzrokiem powiodła od ziemi w górę, próbując dojrzeć twarz tego, kto stał na zewnątrz. Zjawa Michael zamajaczyła w mroku.

– Złaz z mojego miejsca – nakazała.

Strach, ulga, napięcie i gniew połączyły się w tak potężny koktajl emocji, że Neeva się roześmiała. Nerwowo. Śmiechem szaleńca.

Michael pochyliła się tak, że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Nawet przy zgaszonym świetle dziewczyna dostrzegła wyraz jej oczu i sposób, w jaki na nią patrzyły, tak jakby szukały śladów ataku. Zauważyła również, że warga Michael jest spuchnięta i pęknięta, a rozcięcie na lewym policzku krwawi.

– Nie zabili cię – stwierdziła. Miała wrażenie, że jej usta wypełnia wata.

– Nie zabili – potwierdziła Michael i sięgnęła do włosów Neevy.

Dziewczyna drgnęła i odtrąciła rękę. Dopiero po chwili z przerażeniem pojęła, co zrobiła, i skuliła się w oczekiwaniu na cios.

– Nic ci nie zrobię – zapewniła Michael. – Możesz zapalić światło?
Neeva się zawahała.

To nie była ta sama Michael co przed tamtą wiadomością ze zdjęciem zastrzelonego mężczyzny, i na pewno nie ta sama, która pomimo krzyków i protestów wyciągnęła ją na środek drogi. Jej głos brzmiał monotonicznie i spokojnie, ale zaszła w niej jakaś straszna zmiana. Neeva nieufnie nie spuszczała z niej wzroku. Sięgnęła nad głowę, namacała przełącznik i przestawiła go. Przyćmione światło rozproszyło mrok, boleśnie rażąc oczy.

Tym razem na widok ręki zbliżającej się do jej twarzy dziewczyna się nie cofnęła. Pozwoliła, aby Michael odgarnęła jej włosy i przyjrzała się miejscu, którym bydlak uderzył o szybę.

– Boli cię? – spytała.

– Nie – szeptem odparła Neeva. Napięta wpatrywała się w oczy Michael, desperacko próbując wyczytać z nich, co się zmieniło – coś w jej twarzy, we wzroku, dziwna szklistość, a może pustka, tak jakby patrzyła, nie widząc. Na zewnątrz była żywa, ale w środku martwa.

Michael delikatnie puściła włosy i dotknęła ramienia dziewczyny.

– Przesuń się – powiedziała i Neeva, wążąc w duchu ryzyko, jakim byli dla niej kobieta, którą miała przed sobą, i bydlak, który czekał gdzieś w ciemnościach, cofnęła się z powrotem na miejsce pasażera.

– Jeśli ty żyjesz – powiedziała – to znaczy, że on zginął?

– Jeszcze nie – odparła Michael i z tylnej kanapy wzięła koc.

– Czyli że wciąż żyje? Wciąż tam jest?

– Na razie.

– Słyszałam wystrzał.

Michael przytaknęła i starła krew, która spływała jej pod brodę.

– Tylko ostrzeżenie – wyjaśniła i usiadła za kierownicą. Zatrzasnęła drzwi i światło zgasło. Potem opuściła oparcie fotela najdalej jak się dało i zamknęła oczy.

– I co teraz? – spytała Neeva.

– Czekamy.

– Na co?

– Chcę mieć pewność, że mój przyjaciel żyje – powiedziała Munroe.

Jej słowa sprawiły, że Neewę zapiekł kark. Ów *przyjaciel* był powodem, dla którego Michael się tu znalazła, i nawet głupiec rozumiałby, że jeśli on wciąż żyje... Woląta nie kończyć tej myśli.

Michael odwróciła twarz do Neevy i jej oczy, otwarte i nieruchome, wpatrzyły się w dziewczynę z tym samym przerażająco martwym spojrzeniem, jakby chciały wyrazić doświadczenia gromadzone przez cały wiek, tylko zabrakło życia, aby to zrobić.

– Myślałam, że może... – zaczęła Neeva. – Sądziłam, że skoro jesteś kobietą, to nie...

– Nie chcę tego robić – przyznała Michael. – Jestem zmuszona wybierać. Nie wiem, ile osób zginie, jeśli nie wykonam zadania. – Ponownie obróciła twarz do sufitu i zamknęła oczy. – Nie mówię wyłącznie o moich bliskich. Nie rozumiem, dlaczego nie grozili ci, że zabiją twoją rodzinę.

– Grozili – przyznała Neeva – ale im nie wierzyłam.

– Nie sprawiasz wrażenia głupiej.

– Moi rodzice są wpływowymi osobami. Mają dobrą ochronę. I jestem pewna, że mnie szukają.

– Masz rację – potwierdziła Michael – a ci ludzie – zakreśliła palcem krąg w powietrzu – już o tym wiedzą. Wątpię, czy zdawali sobie z tego sprawę od początku, bo dlatego ja tu jestem. – Umilkła i otworzyła oczy. Spojrzała prosto na Neewę. – Wykreśliłaś światu niezły numer, zmieniając nazwisko i ukrywając przeszłość. Prawdopodobnie właśnie

to cię uratowało. Wszyscy się zastanawiają, dlaczego to zrobiłaś, tylko że teraz nie ma to już wielkiego znaczenia. Jeżeli nie będziesz posłuszna, zabiją kogoś z twoich bliskich. Może nie mamę ani nie tatę, ale rodzeństwo albo kuzynów.

Neeva starała się odsunąć od siebie koszarne wizje, szaleństwo, chaos i słowa, które nie miały sensu.

– To mnie uratowało? – zdziwiła się. – *Uratowało?* – powtórzyła o ton wyżej, a potem dodała: – To ty wiesz o mojej rodzinie?

– Zapewniam cię, że skoro ja wiem, to oni też – powiedziała Michael z westchnieniem. – W ogóle nie masz pojęcia, co się działo przez ostatnie tygodnie?

Tygodnie.

Neeva bezgłośnie powtórzyła to słowo. Przycisnęła dłonie do głowy i próbowała odepchnąć mury, które otaczały jej myśli coraz ciaśniejszym kręgiem. W zimnym, kamiennym więzieniu straciła rachubę czasu. Nie miała pojęcia, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Długie godziny mogła odmierzać jedynie porami snu, posiłkami i zmianami strażników – no i odwiedzinami, podczas których te dupki próbowały ją poniżyć. Skradziono jej tyle cennego czasu.

Tygodnie.

Brakowało jej słów, głosu, siły, aby wyrazić paraliżujący lęk. Rodzice mogli myśleć, że nie żyje, nic nie wiedzieli i być może nigdy nie mieli poznać prawdy – nie mogli się pożegnać, po raz ostatni powiedzieć, że ją kochają. Wieczna niepewność. Porwana, więziona i odcięta od świata, nie miała jak ich zawiadomić, że walczy, aby do nich wrócić. Nie była w stanie spokojnie odpowiedzieć na pytanie Michael, stwierdziła więc tylko:

– Byłam zamknięta. Skąd miałam wiedzieć, co się dzieje.

Upływały kolejne minuty. Im dłużej trwała cisza, tym bardziej rósł niepokój Neevy. Nie miała pojęcia, o co pytać, jak daleko może się posunąć, żeby nie wróciła poprzednia, okrutna Michael.

– A co się działo? – wyszeptała w końcu.

Michael tylko pokręciła głową.

– Lepiej włóż nowe rajstopy i doprowadź do porządku twarz. Nie dawaj mu powodów, żeby musiał wrócić.

Neeva ze złością zrzuciła buty – tylko tak śmiała dać upust frustracji. Sięgnęła po opakowanie, które upadło wcześniej na podłogę, i rozerwała plastik.

– Ale ja naprawdę chciałabym wiedzieć – powiedziała.

– To i tak nie ma znaczenia – oznajmiła Michael i położyła palec na ustach, a potem wycelowwała w deskę rozdzielczą, ponownie zakreśliła krąg w powietrzu i pokazała na ucho.

Neeva pojęła, że przez cały czas ktoś nie tylko je śledził, ale także słuchał wszystkiego, co mówiły.

Munroe drzemała niespokojnie przez godzinę, może dwie. Cisza, postój i spadek napięcia sprawiły, że prawie zdołała zdusić w sobie lęk przed zemstą, przestać myśleć o tym, kto spośród kilku osób, które kochała, jest następnym na liście Lalkarza – udać, że wyrwana z pierwszej prawdziwie spokojnej przystani, jaką znalazła w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nie trafiła z powrotem nad krawędź otchłani i obłędu, przed którym od dawna uciekała.

Walka z Arbenem i fizyczny ból zadziały jak wentyl bezpieczeństwa. Na jakiś czas zmniejszyły ciśnienie, uspokoiły kipiel przemocy i uciszyły głosy, ale te szybko wróciły, karmione jej wściekłością, zdecydowane i nieustępliwe.

Przenikliwy sygnał telefonu przerwał ciszę. Neeva drgnęła.

– Nie, tylko nie to – wymamrotała.

Munroe wzięła komórkę, zerknęła na wyświetlacz i w odpowiedzi na paniczny wyraz wytrzeszczonych oczu Neevy, wyszeptała:

– Na razie chyba nie musimy się obawiać.

Numer, który pokazał się na ekranie, nie był numerem Lumaniego, a to oznaczało, że dzwonić mógł tylko Lalkarz. O ile wydarzenia ostatnich dni były jakąś wskazówką, nawet jeśli ten telefon zwiastował następną bitwę, raczej nie spodziewała się informacji o śmierci kolejnej osoby, bo Lalkarz wolał złe wieści przekazywać przez podwładnych i szeregowców.

Munroe odebrała połączenie, ale nic nie powiedziała.

– Moja droga – odezwał się Lalkarz po długiej chwili – domyślam się, że tam jesteś. – Jego głos wydawał się ciepły, przyjazny i przesycony wypaczonym poczuciem rzeczywistości, które towarzyszyło każdemu jego ruchowi w gabinecie pełnym lalek.

– Słucham – powiedziała.

– Nie mogę spełnić pani prośby.

– W takim razie nie widzę powodu, aby jechać dalej.

– Na pewno pani rozumie, że problemem jest tutaj czas. Pani przyjaciel żyje, zapewniam, tylko dostarczenie dowodu zbyt długo potrwa. Proszę, kontynuujcie podróż. Na kolejnym etapie, nieco dalej, dostanie pani to, o co prosi.

– Zabiliście człowieka z jakichś wydumanych powodów – stwierdziła. – Nic nie straciliście, a mimo to odebraliście mu życie.

– Słowa takie jak *wydumany* nie mają znaczenia – odparł. – Na pani spoczywa odpowiedzialność dotrzymania każdego warunku umowy. Bez względu na rodzaj błędu, cenę za niego płaci właśnie pani. Od początku wyraźnie uprzedzałem.

Błąd.

Ucieczka Neevy.

Życie Noaha za porwane rajstopy i rozmazany tusz do rzęs.

– Jaki błąd popełnił człowiek, który zginął? – spytała.

– To pani popełniła błąd i panią spotkała kara. Nie wykonała pani zadania tak, jak należało. Ceną za to jest cierpienie. Teraz może pani to

naprawić i uniknąć dalszych przykrości.

Przepaść myśli. Ona mówiła o wartości ludzkiego życia, on o zniszczonym stroju.

– Wspominał pan, że podejmując się tego zadania, spłacam dług. Już i tak wziął pan Logana jako zakładnika. Dlaczego odebrał pan życie komuś, kto nie ma z tą sprawą nic wspólnego?

– To rzeczywiście niefortunny obrót wydarzeń – przyznał. – Teraz jednak musicie ruszać dalej.

Munroe wzięła głęboki wdech. Wewnątrz jej czaszki zadudniły bębny.

– Skoro nie może mi pan udowodnić, że Logan wciąż żyje, nie mam nic do stracenia – stwierdziła – więc nie zamierzam nigdzie jechać. Najpierw chcę zobaczyć dowód życia.

– Są jeszcze inni – zauważył Lalkarz. – Ludzie, którzy są dla pani ważni, dlatego radziłbym wykonać plan, aby uniknąć kolejnych błędów.

Usłyszała w jego głosie szydercze zadowolenie i triumf. Jego groźba była jak uderzenie pięścią w głowę.

Szarpnęła nią.

Strategia powoli nabierała kształtów, jeszcze mglista i nieuchwytna.

Rzeczywiście byli inni – tak jak mówił – i na pewno zamierzał ich wykorzystać, aby nią manipulować aż do końca. Nic nie mogło go powstrzymać przed osiągnięciem zamierzonego celu. Po jego zwycięstwie ona miała zginąć, podobnie jak Logan, a w końcu także Neeva – i Bóg tylko wiedział, kto jeszcze.

Głosy zabrzmiały wyraźniej. Monotonnie skandowały. Nawoływały.

A dzień ten jest dniem odwetu, by się pomścić nad swymi wrogami.

Bez względu na to, ile ruchów naprzód wybiegała, wynik za każdym razem był ten sam – śmierć. Pokonując przeszkody, jakie ustawił jej na drodze, poświęcając jedną figurę, aby ocalić inną, w końcu i tak miała stracić wszystko. To on kontrolował poszczególne elementy i całą szachownicę – to on miał władzę. Był tylko jeden sposób zakończenia

tego szaleństwa. Musiała zmienić zasady, odwrócić planszę i pozwolić figurom spaść.

– Nie mam nic do stracenia – powtórzyła. – I nie boję się tego, co mi pan odbierze ani co ze mną zrobi. I tak już jestem martwa.

– Ucierpią niewinni.

– Niech cierpią – powiedziała i się rozłączyła.

Rozdział 24

Irving, Teksas

Kierowca ciężarówki stał nieruchomo w otwartych drzwiach szoferki z wypisanym na twarzy dylematem. Nie wiedział, czy ma zeskoczyć do ludzi na ziemi, ryzykując, że go zastrzelą, czy stawić czoło wycelowanej w niego broni i obcemu, który mógł go zabić później.

Bradford jeszcze raz powtórzył polecenie. Powoli i wyraźnie nakazał kierowcy wsiaść za kierownicę i ruszyć. Mijały kolejne długie sekundy. Widząc, że mężczyzna wciąż się waha, zapewnił go ponownie:

– To najlepsze, co cię mogło spotkać.

Kierowca zerknął w bok. Nieznacznie obrócił głowę, tak jakby szykował się do skoku, więc Bradford przestał do niego celować. Nie spuszczać mężczyzny z oczu, sięgnął pod kamizelkę, wyciągnął stamtąd zdalny zapalnik i uruchomił detonatory.

Eksplozje rozdarły noc z hukiem, któremu ogień z pistoletów maszynowych nie mógł dorównać. Ziemia zadrżała tak, że nawet w wysokiej szoferce Bradford poczuł wstrząsy. Jeśli do tego momentu kierowca nie był pewien, co ma robić, potężny hałas i błyski zmusiły go do podjęcia błyskawicznej decyzji. Wepchnął się do szoferki i zatrzaskał drzwi za sobą z prędkością, o jaką Bradford nie posądzał człowieka jego tuszy.

Gdy tylko usiadł za kierownicą, natychmiast zwolnił hamulec i osiemnastokołowiec potoczył się naprzód w kierunku zamkniętej siatkowej bramy. Mężczyźni z bronią zostali za ciężarówką. Bradford widział ich w bocznym lusterku. Rozpłaszczeni na ziemi czekali na kolejną eksplozję w magazynie.

– Zapal światła – powiedział – i nie zatrzymuj się przy bramie.

Kierowca bez słowa włączył reflektory. Nie zahamował, nawet gdy maskownica dotknęła bramy. Wewnątrz szoferki Bradford usłyszał i

poczuł zgrzyt metalu wyginającego się pod naporem. Jeszcze chwila i ciężarówka pokonała barierę. Wyjechali na drogę.

– Kieruj się na północ – polecił Bradford i pojazd skręcił szerokim łukiem, z nieznośną ślamazarnością charakterystyczną dla wszystkich potężnych samochodów ciężarowych. Przy tak żółtym tempie wydawało się, że brną w głębokim błocie. Bradford czuł się jak cel na strzelnicy.

W oddali mignęły niebieskie, czerwone i białe światła – nie słyszał syren i jeszcze nie widział wozów policyjnych, ale miał pewność, że jadą na miejsce eksplozji.

– Tatuś w drodze. Koniec imprezy – powiedział do mikrofonu.

Kierowca obrócił się w jego stronę i przez chwilę mu się przyglądał.

– Dokąd, szefie? – spytał w końcu.

No właśnie: *dokąd*. Irving znajdowało się dokładnie w połowie odległości między Dallas i Forth Worth. Ze wszystkich stron mieli gęsto zabudowane dzielnice, więc nie mogli liczyć, że uda im się szybko wydostać z miasta, bez względu na kierunek. Chyba najlepszą opcją była droga na północ, ale Bradford nie chciał marnować czasu i toczyć się aż za miasto, nie mając pewności, że w naczepie jest Logan.

– Jedź na międzystanową I-35 w kierunku Denton – polecił – i na razie trzymaj się tej trasy.

Kierowca przytaknął i zmienił bieg. Osiemnastokołowiec zaczął nabierać prędkości.

Obok nich przemknęły trzy wozy patrolowe na sygnale. W lusterku Bradford widział, jak zatrzymują się przed ogrodzeniem i drzwi otwierają się szeroko. Jahan i Walker utrzymywali ciszę na łączach. Wszystko szło zgodnie z planem. Mieli się odzywać wyłącznie w razie kłopotów. Gdyby zdołali bez przeszkód się wydostać, następne informacje spodziewał się otrzymać przez telefon.

– Co jest na naczepie? – spytał kierowcę.

– Listy przewozowe są podczepione do tamtej podkładki, można sprawdzić.

– Nie o to pytałem.

Mężczyzna niepewnie zerknął na Bradforda. Dopiero po chwili pojął, o co chodzi.

– Że niby wiozę coś, czego nie ma w papierach?

– Właśnie.

Kierowca przez chwilę milczał.

– Czyli co? Narkotyki?

– Ludzi.

Krótki śmiech mężczyzny był raczej spontanicznym wyrazem ulgi niż rozbawienia.

– E tam. Niemożliwa sprawa – stwierdził. – Nie mamy transportów z Meksyku. Czasem wozimy tam jakieś towary, ale wracamy na pusto.

– Nie chodzi o nielegalnych imigrantów.

Bradford nie zamierzał ciągnąć tej rozmowy. Jakakolwiek dyskusja z szeregowym pracownikiem nie miała sensu.

– Znasz jakieś odosobnione miejsce, w którym można się zatrzymać? – spytał. – Najlepiej nie za daleko. Gdzieś, gdzie nie będziemy na widoku?

– Może i tak – odparł kierowca – ale ty i ta pukawka działacie mi na nerwy. Jaką mam gwarancję, że jej nie użyjesz?

– Gdybym planował kogokolwiek zabić, zacząłbym od tamtych z bronią na placu.

Kierowca ponownie zmienił biegi.

– Niby tak – przyznał, ale jego postawa wciąż zdradzała zdenerwowanie, jakby nie wiedział, czy ma walczyć, czy uciekać.

– Dokąd miałeś jechać z tym ładunkiem? – spytał Bradford.

– Do Houston, jak zawsze.

– Jak zawsze? – powtórzył Bradford. – To jedyne miejsce, do którego jeździcie?

– Mniejsze mobile rozwożą towary po całym kraju, ale osiemnastka zawsze jeździ tylko do Houston. Zanim mnie zatrudnili, przed Katrina, jeździła do Nowego Orleanu.

– I to cię nigdy nie zastanowiło?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Robię, co do mnie należy, i o nic nie pytam.

– Jak się nazywasz?

– Dave Lockreed.

– W takim razie posłuchaj mnie, Dave. W tej chwili chcę jedynie dostać się na tył tej ciężarówki. Nie zamierzam nikogo krzywdzić ani tym bardziej zabijać czy okradać. Jestem przekonany, że z tyłu znajduje się człowiek, i tylko o niego mi chodzi. Chcę to załatwić jak najszybciej, dlatego proszę cię, żebyś nie utrudniał mi zadania. Mogę na to liczyć?

Znajdowali się tuż za Lewisville, kiedy zadzwonił Jahan. Szybka wymiana komunikatów upewniła Bradforda, że jego zespół jest bezpieczny. Podał im proponowane miejsce spotkania. Przez resztę drogi – na północ od Dallas i Fort Worth – ciągnął kierowcę za język, w mało dyskretny sposób próbując uzupełnić luki w informacjach.

Lockreed rozkręcał się powoli i początkowo był oszczędny w słowach, ale nerwy zrobiły swoje i w rozwlekłych, przetykanych chwilami milczenia odpowiedziach wyjawiał więcej, niż Bradford miał nadzieję usłyszeć. Okazało się, że Veers ma drugą bazę w Houston, na którą w ogóle nie natrafili podczas przekopywania się przez dokumenty i dane w centrali. Z wyjaśnień Dave'a wynikało, że tamta siedziba jest mniejsza i obsługuje import oraz eksport, co doskonale wpasowywało się w teorię Bradforda na temat metod działania spółki. Ponieważ Houston miało port i lotnisko, podejrzewał, że właśnie tamta mniejsza i

utajona baza organizacji Lalkarza jest główną furtką, przez którą transporty przierzucane są przez granice kraju.

Punkt, w którym umówił się z Jahanem i Walker, znajdował się przy zjeździe z autostrady międzystanowej zaraz za Denton. Drzewa, trawa, boiska do baseballu i piłki nożnej oraz pusty parking w spokojnej i słabo zaludnionej okolicy.

Hamulce zasyczały charakterystycznie. Bradford wysiadł z szoferki i przeszedł na tył ciężarówki. Lockreed poszedł za jego przykładem i obaj stanęli przed drzwiami zamkniętymi na dwa rygle zabezpieczone kłódkami.

– Masz klucze, żeby to otworzyć? – spytał Bradford.

– Zwykle tak, ale tym razem nie zdążyłem ich zabrać, zanim zaczęła się strzelanina.

– I nie masz pojęcia, co jest w środku?

Kierowca pokręcił głową.

– Wiem tylko, co jest na liście przewozowym.

– A co robisz, jak dojeżdżasz do Houston?

– Tyłem wjeżdżam na plac, oddaję papiery i klucze, każę pokwitować odbiór i się zbieram.

– Dokąd? Czym?

– Zwykle podstawiają firmowy samochód. Noc spędzam w pobliskim motelu, a rano tam wracam i ruszam ciężarówką z powrotem do Dallas. Czasami wiozę jakiś towar, a czasem jadę na pusto.

– Ale zawsze z tą samą naczepą?

Lockreed przytaknął.

– I nigdy nie wzbudziło to twoich podejrzeń?

Kierowca się przygarbił.

– Robota jak robota – stwierdził. – Jakoś trzeba zarobić na życie.

Przez kilka minut czekali w milczeniu. W końcu na parking wjechał terenowiec Walker, a zaraz za nim ford Jahana, który trzymał się o kilka

długości wozu za nią.

Oboje wyłączyli reflektory, ale zostawili silniki na chodzie i dołączyli do Bradforda.

Wskazał na zamki.

– Kierowca nie ma kluczy. Komuś został PETN?

Jahan wyciągnął z plecaka lont, oplótł nim obie kłódki i odwinął jeszcze kawałek. Wszyscy czworo cofnęli się kilka kroków. Materiał wybuchowy przeciął metal jak nóż masło. Kawałki poleciały na ziemię. Bradford odgarnął je butem, odsunął rygle i szarpnięciem otworzył drzwi. Snop światła latarki omiótł wnętrze. Wszyscy zajrzeli do mrocznego kontenera wypełnionego dużymi pudłami niemal pod sam sufit.

Walker westchnęła.

– Nie mogliby nam choć trochę tego ułatwić?

Bradford wspiął się na tył ciężarówki i po chwili Samantha do niego dołączyła.

– Mam skuć cywila? – spytał Jahan.

– Nie trzeba. Dokąd miałby pójść? – stwierdził Bradford. – Hej, Dave – zwrócił się do kierowcy – włącz tu i pomóż nam opróżnić przyczepę.

– W tym musi być jakaś metoda – głośno myślała Walker. – Jakiś sposób, aby dostać się do tego, co jest w środku. Przecież nie miałoby to żadnego sensu, gdyby za każdym razem musieli wszystko rozładowywać, a potem z powrotem ładować.

– Może i tak. Widzisz jakieś rozwiązanie? – spytał Bradford.

Pokręciła głową.

– A ty, Irek?

– Widzę tylko ścianę tektury, a na plecach mam wymalowaną wielką tarczę. Możemy brać się do roboty?

Bradford chwycił jedno z pudeł i pchnął je w stronę kierowcy. Sporo ważyło jak na zwykły rekwizyt.

- Sprawdź, co jest w środku - rzucił. - Porównaj to z listem przewozowym.

Według dokumentów na przyczepie znajdowały się dziecięce meble. Ciężkie i nieporęczne pudła zawierały drewniane elementy zabezpieczone specjalnymi wypełniaczami - wszelkie pozory prawdziwego ładunku, być może naprawdę przeznaczonego na eksport. We czworo dźwigali kolejne kartony w milczeniu. Usunęli część, żeby w środku zrobić trochę przestrzeni i resztę pudeł przesuwać tylko z miejsca na miejsce. Nie wiedzieli, czego dokładnie szukają, ale mieli pewność, że tego nie przegapią.

Bradford znajdował się mniej więcej w połowie długości przyczepy, kiedy po raz pierwszy jego uwagę zwróciło ledwie słyszalne pukanie. Podniósł rękę, żeby pozostali nie przeszkadzali, i gdy zapadła cisza, oni także to usłyszeli. Nie dało się określić, skąd dochodziło, i było tak ciche, że mogli się zastanawiać, czy przypadkiem wyobraźnia nie płata im figla.

Hałas - jeśli można go było tak nazwać - brzmiał najgłośniejszy w przedniej części przyczepy, więc Bradford przestał przesuwać pudła z boku na bok i skoncentrował się na utworzeniu przejścia na sam przód. Gdy wreszcie tam dotarł, zobaczył jedynie zwykłą ścianę kontenera.

Pukanie zabrzmiało ponownie, nieco donośniej niż wcześniej, ale wciąż nie miał pojęcia, z której strony dochodzi. Jahan precyzyjnie się wąskim przejściem obok niego, przyklęknął i przyłożył dłoń oraz ucho do ściany. Zaczekał na kolejne stukanie, a gdy się rozległo, pokręcił głową - nie wyczuwał wibracji.

W przykrew ciszy każdy wdech i wydech wydawał się zbyt głośny. Obawiali się, że zagłuszą ten nikły odgłos nadziei, ale pukanie zabrzmiało ponownie, tym razem głośniejsze i jednoznaczne - sygnał SOS, który dochodził zewsząd i zarazem znikąd.

W końcu Lockreed na głos powiedział coś, co dla wszystkich było oczywiste:

– To nie dochodzi z żadnego pudła. Nie są dość duże, żeby pomieścić człowieka.

– Podwójna ściana, podłoga, albo dach – stwierdziła Walker. – To jedyna możliwość.

Nikt nic nie powiedział, tylko wszyscy zaczęli znowu przestawiać ładunek, szybciej i mniej ostrożnie niż wcześniej. Spychali pudła na tył przyczepy i zrzucali na ziemię, nie przejmując się pękającymi kartonami i rozsypującą się zawartością. Do działania pchało ich przeświadczenie, że gdzieś w tej ciężarówce jest to, czego szukają.

W końcu kontener był pusty, a pudła piętrzyły się na zewnątrz.

Bradford omiótł latarką wewnątrz, przyglądając się każdemu narożnikowi, każdej spoinie. Jahan systematycznie opukiwał ściany i podłogę, szukając odmiennego tonu, który wskazałby kryjówkę.

Sygnał SOS odezwał się znowu i wszyscy czworo jednocześnie spojrzeli na sufit, w kierunku, skąd najwyraźniej dochodził.

– To nie może być tam – szepnęła Walker. – Musi być od frontu.

Wyżebrała od Bradforda latarkę i przyświecając sobie, zaczęła przesuwać palcami wzdłuż przedniego narożnika od podłogi po sufit. Pokręciła głową, cofnęła się i po chwili spróbowała ponownie. W końcu oznajmiła:

– Chyba coś mam. Irek, pomóż mi. – Pokazała mu punkt odległy o trzy stopy. – Naciśnij tam – powiedziała.

Kiedy oboje przycisnęli blachę jednocześnie, panel kliknął, zagłębił się o cal i odsunął na bok.

W przyczepie zapadła absolutna cisza, tak jakby próżnia zastąpiła powietrze.

Bradford zapanował nad chęcią przepchnięcia się naprzód. Pozwolił Walker na chwilę jak najbardziej zasłużonego triumfu. Przyglądał się jej

twarży, gdy zaświeciła latarką do wnętrza otworu, i poczuł lekkie rozczarowanie, gdy zamiast kryjówki, światło wyłowiło z mroku kolejną ścianę, w której widniały wąskie drzwi. Odrębne pomieszczenie od boków i podłogi kontenera oddzielała gruba warstwa materiału izolacyjnego.

Walker wskazała zamknięcie.

– Znowu lontem? – spytała Jahana i usunęła się z drogi.

Wysadził kłódkę tak samo jak tamte na zewnątrz.

Kawałki poleciały na podłogę. Walker otworzyła wąskie drzwi i skierowała światło latarki do wnętrza. Jej mina powiedziała Bradfordowi wszystko, co chciał wiedzieć. Zabrakło mu tchu.

Walker wsunęła się głębiej. Lockreed wepchnął się przed Jahana, ale natychmiast zawrócił i popędził na tył ciężarówki.

Wystawił głowę poza krawędź przyczepy i zwymiotował.

Jahan zajrzał w ślad za Walker, a potem rzucił Bradfordowi niespokojne spojrzenie i odsunął się, żeby go przepuścić do pomieszczenia, które miało szerokość ciężarówki i niespełna trzy stopy głębokości – ledwie dość miejsca, żeby się wczołgać do środka. Otwory wentylacyjne prowadziły od sufitu tej klatki na dach kontenera, ale nawet przy lekkim przewiewie wewnątrz wypełniał odrażający smród odchodów i gnijących tkanek.

Walker skierowała latarkę na ciało skulone na macie i wykręcone w nienaturalny dla człowieka sposób. W byle jak owiązane rany wdało się zakażenie. Sączyła się z nich ropa.

– Jezu – wyszeptała. Żadne inne słowa nie mogły oddać tego, co miała przed sobą. Oczy Logana były szkliste i otepiały od środków odurzających. Oparty o ścianę, gapił się przed siebie nieprzytomnie. Głowę miał owiązaną brudnymi bandażami. Odginał rękę w nadgarstku, żeby knykциями dosięgać do ściany, i wciąż od nowa wystukiwał ten sam rozpaczliwy sygnał SOS, który zwrócił ich uwagę.

Euforię, jaką wywołała świadomość, że znaleźli go żywego – choć ledwie – szybko wyparło przerażenie, bo musieli wykombinować, jak bezpiecznie go przetransportować. Trzeba go było natychmiast przewieźć do szpitala, i to z dobrą urazówką, który mógł pomóc pacjentowi z tak licznymi obrażeniami. Zważywszy na to, co się wydarzyło w siedzibie firmy przewozowej, nie mogli podjechać ciężarówką pod wejście szpitalnego oddziału ratunkowego.

Powstrzymując odruch wymiotny, omijając ślady moczu, kału, krwi i wymiocin, Bradford wsunął się za Logana i ukląkł, opierając jego głowę o swoją pierś. Zaczął cicho szeptać słowa pocieszenia, jakimi rodzic zwykle uspokaja dziecko, które ocknęło się z koszmarnego snu. Obiecywał, że go stąd wyciągną, że wszystko będzie dobrze – bo musiało być.

Wykorzystali brudną matę, na której leżał Logan.

Ani razu nie jęknął. W ogóle się nie odezwał, ale gdy powoli wyciągali go z tej małej klatki – cal po calu sunąc go po podłodze i starając się robić to jak najdelikatniej – w szklanym wzroku pojawiła się mieszanka bólu i wdzięczności. Słowa nie były potrzebne.

Wolniuteńko zdołali wyciągnąć matę i poharatane ciało Logana przez wąskie przejście do kontenera, gdzie wreszcie mogli odetchnąć. Tam na moment przystanęli, aby ustalić plan działania. Pochylili się ku sobie, żeby Lockreed nie mógł ich słyszeć, ale prawdę mówiąc, nie było to konieczne. Po tym, jak wepchnął się do klatki i zobaczył żywy ładunek, wypadł z przyczepy i trzymał się z daleka od nich.

W tajemnicy przed nim szeptem nakreślili strategię.

Bradford zeskoczył z ciężarówki i tyłem podjechał fordem jak najbliżej naczepy, aby łatwiej móc przenieść Logana. Walker przełożyła cały zapas broni do isuzu. Miała wrócić do Capstone i czekać w biurze, natomiast Bradford i Jahan planowali przewieźć Logana przez granicę stanową, do szpitala w Oklahoma City, do którego mieli niewiele dalej

niż do Dallas, a wiedzieli, że tam trudniej będzie powiązać go z wydarzeniami w Teksasie. Nie planowali zostawać z nim długo, zwłaszcza że zostało jeszcze sporo niedokończonych spraw.

Z koców, które były w fordzie, z pudeł i piankowych wypełniaczy Jahan uformował coś na kształt wyściełanego podwyższenia z tyłu wozu i razem z Walker ułożyli tam Logana. Tymczasem Bradford wziął Lockreeda na stronę. Musiał spróbować jakoś pozacierać ślady.

Kierowca powoli chodził wzdłuż ciężarówki, kilka kroków tam i z powrotem. Ręce trzymał w kieszeniach i raz po raz zadawał sobie to samo pytanie:

– Co teraz robić? Co robić?

Bradford nie potrafił na nie odpowiedzieć, więc pozwolił mu jeszcze przez jakiś czas tak krążyć, w końcu jednak zdenerwował go ten niedorzeczny dramat.

– Posłuchaj, raczej nie masz wielu możliwości – stwierdził.

Lockreed przystanął i odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos.

– Po pierwsze, byłeś świadkiem strzelaniny. Po drugie, widziałeś to... to, co przewoziłeś. Twoi pracodawcy na pewno się dowiedzą i dojdą do wniosku, że trzeba cię usunąć. Co gorsza, nawet jeśli oni cię nie zabiją, policja prawdopodobnie uzna cię za współwinnego. – Bradford na moment umilkł. – Chyba najlepszym wyjściem jest dobrowolnie oddać się w ręce władz. Miej to z głowy, opowiedz im dokładnie, co się wydarzyło.

Lockreed wyciągnął ręce z kieszeni, a potem wepchnął je tam z powrotem.

– A jak mnie pytają o was? Kim jesteście i co się z wami stało? Nie będziecie chcieli mnie zabić, jak im powiem?

Bradford pokręcił głową.

– Na pewno nikt z nas nie będzie cię prześladował – obiecał. – Powiedz policji prawdę. – Wyprostował się i ruszył do forda. – Powiedz

im, że nie masz pojęcia, kim jesteśmy – rzucił na odchodne.

Rozdział 25

Okolice Montebruno, Włochy

Dowód życia dostarczono w ten sam sposób co wiadomość o śmierci. Ostry dźwięk zakłócił ciszę, a wyświetlacz błysnął powiadomieniem, kłując w oczy. Munroe utkwiała w telefonie nieruchome spojrzenie i długo siedziała jak skamieniała. Lalkarz wykonał swój ruch, teraz przysłała kolej na nią.

Sygnał był słaby i strona, do której Lumani przysłał link, ładowała się wolno, niewielkimi porcjami. Kółko obracało się bez końca, a przez cały czas w piersi Munroe zaciskała się twarda pięść, palcami oplatając kręgosłup i miażdżąc serce, tak że z bólu nie mogła oddychać. Głosy – nieodłączni towarzysze – skandowały wraz z jej tętnem, budziły w niej przemoc. Aż w końcu plik wideo był gotowy. Zamrożony na pierwszej klatce, czekał na odtworzenie.

Logan.

Żywy.

Nagranie trwało zaledwie minutę, ale przynajmniej miała pewność, że on żyje – a przynajmniej żył, kiedy rejestrowano ten materiał. Był okropnie pobity – zaschnięta krew w jasnych włosach, opuchnięta i posiniaczona twarz, zielone oczy jak oliwki w sosie pomidorowym – ale wciąż oddychał. Filmowano go pod takim kątem, że nie widziała pomieszczenia, tylko matę, na której leżał. Domyślała się jednak, że było wąskie, a ściany – jeśli wierzyć zarejestrowanym dźwiękom – dość wysokie i na pewno nie z gipsowych płyt.

Logan był dziwnie wykręcony i twarzą zwrócony do kamery, ale patrzył gdzieś poza nią.

– Michael – zaczął i umilkł, z trudem łykając powietrze. Dopiero po chwili znowu się odezwał, tak jakby coś sobie przypomniał. – Mam dla ciebie wiadomość. – Mówił niewyraźnie, bełkotliwie, a zła jakość transmisji jeszcze bardziej utrudniała zrozumienie. – Powiedzieli mi, że

jesteś we Włoszech, nie w Dallas – ciągnął. – Że jesteś w samochodzie na jakiejś wiejskiej drodze, że walczyłaś z mężczyzną i że on wygląda gorzej od ciebie. Jest z tobą dziewczyna. Podobno te szczegóły będą dla ciebie dowodem, jakiego żądasz.

Ponownie umilkł. Miał otępiąły wzrok człowieka odurzonego farmaceutykami. Pamiętała taki wyraz jego oczu z przeszłości. Przekręcił głowę i zapatrzył się na coś poza zasięgiem obiektywu. Dopiero jakiś hałas – prawdopodobnie czyjeś słowa – ściągnął go z powrotem do rzeczywistości. Znowu zaczął mówić:

– Oni twierdzą, że będą zabijali kolejnych, jeśli nie spełnisz ich żądań. – Z wysiłkiem obrócił twarz do kamery i zdołał spojrzeć prosto w obiektyw. – Posłuchaj, Michael – powiedział. – Zrób to, co musisz.

Nagranie dobiegło końca i po chwili znowu pojawiła się nieruchoma klatka ze strzałką do ponownego odtworzenia – jedyna więź z Loganem. Munroe jeszcze przez jakiś czas wpatrywała się w telefon. W końcu zapiekły ją oczy, więc wyłączyła wyświetlacz i zamknęła powieki. Wezbrała w niej gwałtowna fala emocji: nienawiści, żalu, bólu i miłości.

Nawet torturowany i świadomy, że koniec jest blisko, Logan rozumiał.

Zrób to, co musisz.

Determinacja zaczęła się kruszyć i pękać. Jeszcze chwila i mogła zupełnie się załamać.

Logan wciąż żył.

Nadal mogła dokończyć zadanie – dostarczyć przesyłkę i ocalić brata.

Nie. Jeśli jeszcze istniała szansa uwolnienia Logana, musiał to zrobić Bradford – jeśli nie zabili go wcześniej. Zwolniła bieg myśli, odsunęła od siebie ból. Wiedziała, że kiedy ten koszmar się skończy, będzie miała dość czasu na żal.

Zrób to, co musisz.

Powolny wydech i jeszcze jeden wdech. Zatrzymywała powietrze w płucach na długo. Z każdym oddechem zacierała kolejną porcję terażniejszości, wypełniając miejsce po niej absolutnym skupieniem na zadaniu. Skoro musiała poświęcić Logana, żeby uratować Neewę, nie zamierzała się zadowolić ocaleniem tylko *jednej* dziewczyny. Na każdą Neewę, córkę wpływowych rodziców, za którą węszyła sfera medialnych ogarów, przypadała setka tysięcy dziewcząt i kobiet – ofiar handlu ludźmi, które świat, przez niewiedzę lub obojętność, spisywał na straty, zupełnie o nich zapominając. Nie! Jeśli ceną był Logan, jego krew musiała kupić więcej niż jedno życie. Do diabła z poświęceniem! Zamierzała wytrwać jak najdłużej, dotrzeć jak najbliżej klienta i dopiero wtedy zaryzykować.

Ulice Genui o piątej rano wyglądały tak samo jak ulice wielu miast przed świtem – spokojne i niemal zupełnie puste. Wyznaczona przez Lumaniego trasa poprowadziła je z bocznych szlaków prosto na gęsto zaludnione obszary i w końcu na szosę, która biegła równolegle do morza. Nie wybrał szybszej autostrady, wiodącej tunelami przez góry, prosto do francuskiej granicy, tylko spokojniejszą, regionalną drogę wzdłuż wybrzeża, bez opłat za przejazd.

Przed nimi i za nimi na brzegu lśniły świetlne punkty. Morze wcinało się w ziemię portami i zatoczkami, w których jachty, od tych najmniejszych po nieprzyzwoicie wielkie, mogły na jakiś czas przystanąć. Elementy strategicznej układanki znowu zmieniły miejsce. Wystarczyło ukryć Neewę w bebechach którejś łodzi, a słuch by po niej zaginął.

Świt wstał, akurat gdy przejeżdżały przez Ventimiglię. Słońce wyłoniło się z za horyzontu i granica między niebieskim morzem a niebem stała się wyraźna. Na ulicach wciąż panował spokój, ale już wkrótce miasto miało się obudzić. Całe szczęście, że Neeva znowu zapadła w sen.

Ostatni adres w serii tekstowych wiadomości znajdował się w Menton, kilka kilometrów za francuską granicą.

Munroe dotarła do punktu kontrolnego. Wyglądał podobnie jak przejście graniczne między Chorwacją a Słowenią – budka z zadaszaniem. Zwolniła. W rękę trzymała dokumenty od Lumaniego, na wypadek gdyby musiały się zatrzymać, ale posterunki na wyjeździe i wjeździe były puste. Przekroczenie granicy z Francją okazało się równie ekscytujące jak przejście przez ulicę.

Telefon na desce rozdzielczej zaczął wibrować. Podniosła go i otworzyła wiadomość. Długo przypatrywała się najnowszemu wskazówkom. Zdjęła nogę z gazu, zmieniła bieg, zwolniła i wyszukała puste miejsce przy krawężniku. Zaciągnęła ręczny hamulec i wyłączyła silnik. Neeva wciąż spała, więc Munroe wyjęła kluczyk ze stacyjki i wysiadła z samochodu.

Czując narastający bunt, zadzwoniła do Lumaniego. Odebrał po drugim dzwonku. Nie pozdrowiła go ani nie przywitała. Nie spytała również, czy przypadkiem nie zwariował. Zamiast tego powiedziała:

– Zabieranie jej tam nie ma sensu. Jaka jest logika takiego posunięcia?

– Twoja opinia nie ma znaczenia – odparł. – Masz do wykonania zadanie. Musisz przestrzegać instrukcji. To wszystko.

Głęboko wciągnęła powietrze i ścisnęła palcami nasadę nosa, żeby się skupić, pokonać zmęczenie i wyciszyć natłok emocji. Przy tak ograniczonym kontakcie z Lumanim liczyła się każda sekunda.

Wczuła się w jego psychikę, wciągnęła go do płuc.

– Masz rację – powiedziała ze skrucą. – Masz rację i zgadzam się z tobą... Muszę wykonać zadanie. Podobnie jak ty chcę, żeby to się jak najszybciej skończyło. Ale powiedz, Valonie, jako zawodowiec, uważasz, że to w porządku? Dotarliśmy tak daleko, a teraz, dosłownie w ostatniej chwili, mamy ryzykować, że wszystko pójdzie na marne?

- Sytuacja nie jest idealna - przyznał.

Munroe pochyliła się, żeby sprawdzić, czy Neeva wciąż śpi.

- Ty też nie masz wyboru, tak? - spytała.

- Zawsze musimy przestrzegać zasad klienta - odparł Lumani. - Nie mam ci nic więcej do przekazania, prócz tego adresu. Kiedy dotrzecie na miejsce, otrzymasz dalsze instrukcje.

- Ale karę za błędy ponosisz ty.

- Tak - potwierdził tonem niemal tak cichym jak szept.

Wchłonęła w siebie jego myśli, własną pierś wypełniła jego uczuciami.

- Wszystko przez tamto opóźnienie, prawda?

- Raczej przez to, że już jest dzień - odparł.

- Ponośzę winę za to, co się stało. Jeśli popełnimy jakiś błąd, bo przesyłkę trzeba dostarczyć za dnia, ty za niego zapłacisz.

- I ty - dodał.

- Człowiek jest potwornie sfrustrowany, kiedy musi ponieść konsekwencje decyzji, które podjął kto inny - stwierdziła. - Przykro mi, że przeze mnie masz kłopoty. Dużo stracisz, jeśli nie zdołamy dostarczyć przesyłki?

Odpowiedziało jej długie milczenie, a potem Lumani się rozłączył.

Munroe wlepiła wzrok w ziemię, myśląc intensywnie. Wyjawił jej to, co chciała wiedzieć, a w dodatku zdołała zasiać niepewność, z której mogło nic nie wynikać, ale liczyła, że przy odrobinie szczęścia zakiełkuje i przebije stwardniałą skorupę, która trzymała go w roli wykonawcy woli Lalkarza.

W zamyśleniu zaczęła stukać palcami w maskę samochodu. Zmierzają do Księstwa Monako, drugiego pod względem powierzchni najmniejszego państwa na świecie. Niecałe dwa kilometry kwadratowe i największa gęstość zaludnienia. Raj podatkowy i plac zabaw dla bogaczy, najbardziej znany z dzielnicy Monte Carlo i wyścigów Formuły

1. Dwa kilometry kwadratowe górskich zboczy, wąskich, krętych i zatłoczonych dróg, podziemnych parkingów i ciasno upakowanych wieżowców – a wszystko to zaledwie dwadzieścia minut od miejsca, gdzie się znajdowały.

Pod osłoną ciemności przekazanie przesyłki być może miałyby sens, ale wwiezienie Neevy do serca tego miasta-państwa wczesnym rankiem musiało zwrócić uwagę ludzi i zamieniało w miarę proste zadanie – wymianę towaru na pieniądze – w przysłowiową misję samobójczą.

Monako.

Obłąd.

Nawet ktoś, kto w wieku kilkunastu lat nie przerzucał broni i narkotyków przez granice, mógł się domyślić, że planu nie przygotowała osoba lub organizacja, której zależało na gwarantowanym powodzeniu misji. Ostatnim posunięciem próbowano sprowokować władze, rzucić im wyzwanie.

Wymagania klienta.

Wszystko jasne.

Znudzony, inteligentny, sadystyczny i bardzo bogaty klient, zdenerwowany opóźnieniem, postanowił dać handlarzom nauczkę, zagrać z nimi. Podbić stawkę. Zwiększyć prawdopodobieństwo ich klęski.

Przesyłka miała zostać przekazana w pobliżu Port Hercule – przystani, która była domem lub częstym miejscem odwiedzin wielu największych prywatnych jachtów. Człowiek o skrajnie rozdętym ego nie mógłby znaleźć lepszego miejsca na rozegranie ostatniej partii i zadrwienie z rządów całego świata. Zachowywał się jak lis, który bezczelnie wchodzi do kurnika, nic sobie nie robiąc z właściciela. Żądał, aby porwaną dziewczynę, o której gazety pisały na pierwszych stronach, wwieziono do kraju o najniższej przestępczości i największej

liczbie policjantów na jednego mieszkańca. W biały dzień. Potem zamierzał dyskretnie się z nią ulotnić.

Munroe wyciągnęła z kieszeni skradziony telefon. Miała gotowy plan działania, ale liczyła na jakieś wieści z Dallas. Chciała uciszyć wewnętrzne głosy i całkowicie poświęcić się zadaniu.

Włączyła wyświetlacz i się skrzywiła. Bateria – ledwie jedna kreska – ale brak zasięgu. Niewiedza sprawiała jej fizyczny ból. Wewnętrzne głosy prowadziły monotony dialog. Wyłączyła telefon zupełnie. Musiała jakoś wytrzymać, przynajmniej do momentu otrzymania ostatecznych instrukcji, które miały doprowadzić ją do klienta.

Wróciła do samochodu. Rozruch silnika zabrzmiał głośno i Neeva otworzyła oczy. Stopniowo przytomniała. Zanim Munroe do połowy wyjechała z miejsca parkingowego, dziewczyna wpadła w panikę. Przeniosła wzrok z Munroe na drogę, na chodnik i znowu na drogę, tak jakby przez całe godziny planowała w myślach ucieczkę, a teraz obudziła się i stwierdziła, że szansa przepadła. Wciąż nie do końca rozbudzona, szarpnęła za pas i jednocześnie sięgnęła do klamki. Cała się naprężyła, gotowa do ucieczki.

Munroe chwyciła ją za przedramię.

– Przestań – powiedziała, a gdy Neeva spojrzała na nią dzikim wzrokiem i próbowała ją odepchnąć, mocniej zacisnęła palce i szarpnęła dziewczynę ku sobie. – Nie rób tego. Znajdę sposób, żeby ci pomóc – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Nie miała pojęcia, czy Neeva pojęła znaczenie tych słów, bo nastolatka szarpnęła się mocno w tył, złapała wolną ręką za klamkę i pociągnęła. Drzwi otworzyły się o cal. Munroe nie mogła jednocześnie trzymać kierownicy i Neevy. Zdecydowała, że najpierw musi zapanować nad dziewczyną. Złapała ją oburącz, ale to nie wystarczyło.

Puściła sprzęgło i hamulec.

Samochód szarpnął się lekko do przodu i dotknął zderzaka wozu przed nim.

Munroe wykręciła rękę Neevy. Drugą dłoń zacisnęła na przeciwległym barku dziewczyny, wyciągnęła nogę spod kierownicy i kolanem kopnęła ją w miednicę. Miała fizyczną przewagę nad drobną nastolatką, ale to jej nie powstrzymało. Rzuciła się, kopała, drapała i gryzła, a w końcu zaczęła przerażająco wrzeszczeć.

Na ulicy było niewielu pieszych, ale wystarczyło, aby jedna osoba zwróciła na nie uwagę. Otwarte okna mieszkań, uchylone drzwi balkonów. Jeden ciekawski przechodzień i byłoby po wszystkim. Decydując się na posunięcie, które ktoś mógł przypłacić życiem, Munroe plasnęła Neewę w twarz otwartą dłonią.

Uderzenie zaskoczyło dziewczynę. Wytrzeszczyła oczy, rozdziawiła usta i zamilkła.

– Zamknij się – syknęła Munroe. – I przestań się szarpać. Coś wymyślę, rozumiesz?

Rozdział 26

Granicę Monako przekroczyły w najdalej na północ wysuniętej części księstwa. O tym, że znalazły się w innym państwie, świadczyły jedynie odmienne tablice informacyjne i nagłe zacieśnienie zabudowy.

Nawigacja prowadziła je na południe, wzdłuż wybrzeża, nieskazitelnie czystymi ulicami, przy których rosły drzewa i piękne kompozycje roślin. Ruch na drogach powoli gęstniał. Minęły Plage du Larvotto, mnóstwo okazałych budowli i mieszkalne wieżowce, które wysokością nadrabiały brak miejsca. Jechały śledzone oczami niezliczonych kamer miejskich, kierując się w stronę Ogrodu Japońskiego, a dokładnie na podziemny parking niedaleko celu ich podróży.

Lumani na pewno długo się wahał, zanim zdecydował, że muszą zjechać do podziemi – nawet jeśli miał odpowiednie znajomości i dojście do tego, co rejestrowały kamery monitoringu. Tyle tu było zatoczek, filarów i samochodów, które umożliwiały zabawę w chowanego z jego nerwami. W tym mieście-państwie każdy metr kwadratowy kosztował fortunę i prawie niemożliwe było znalezienie miejsca przy ulicy. Tylko w ten sposób można było się pozbyć samochodu i dostarczyć przesyłkę.

Munroe zatrzymała się przy wjeździe, wzięła bilet parkingowy i gdy barierka się podniosła, ruszyła do wydartego morzu podziemnego świata – dobrze oświetlonego i jeszcze niezapełnionego dziennym ładunkiem metalu.

W tym samym momencie sygnał telefonu obwieścił kolejną wiadomość.

Przemknęła po niej wzrokiem i odłożyła aparat na kolana. Minęła długie rzędy w większości wolnych miejsc, kierując się na niższy poziom. Tu też przejechała obok wielu pustych ciągów, oddalając się jak najbardziej od strefy parkingu, która miała się zapełnić jako pierwsza.

Obiektywy kamer czuwały nad wszystkim, podobnie jak na ulicach. Munroe toczyła się przed siebie w żółtym tempie, szukając martwych punktów. W końcu wybrała – najlepiej jak mogła w tych okolicznościach – i zaparkowała opla obok mitsubishi pajero. Przynajmniej wysoki wóz miał co nieco zasłonić.

Wyłączyła silnik. Tu podróż się kończyła.

Resztę drogi musiały pokonać pieszo – przejść przez miasto, pośród ludzi. Munroe zostawiła bilet parkingowy w schowku, a kluczyki na osłonie przeciwsłonecznej nad przednią szybą, zgodnie z instrukcjami. Potem wzięła plecak z tylnej kanapy i włożyła do niego urządzenie GPS, które zdjęła z uchwytu na desce rozdzielczej. Neeva przez cały czas śledziła ją wzrokiem, czekając na jakieś polecenia. Munroe na moment przerwała przygotowania i spojrzała na nią.

Dziewczyna zmieniła porwane rajstopy, jeszcze zanim dotarły do Genui, i choć miała trochę opuchnięte i podkrążone oczy, od nowa umalowana prezentowała się nieźle – na pewno miała przyciągać spojrzenia. Bynajmniej nie wyglądała jak ofiara przemocy domowej. Munroe chciała poprawić jej włosy, ale zatrzymała się w pół ruchu, kiedy nastolatka zerknęła na nią niepewnie.

– Mogę? – spytała.

Neeva zastygła.

Munroe uniosła loki i rozplątała kilka pasm. Poza tym fryzura wciąż wyglądała idealnie, tak jak nylonowe włosy lalki. Strój Neevy na pewno miał budzić ciekawość ludzi, ale jednocześnie odwracać ich uwagę. Taka już była ludzka natura. Munroe podejrzewała, że gapie będą się zastanawiali, po co to przebranie, zamiast zwracać uwagę na osobę, która miała je na sobie.

– Dobrze wyglądasz – oceniła, a Neeva przewróciła oczami.

Munroe sięgnęła do dźwigni, otworzyła maskę opla i jednocześnie pod fotelem namacała klucz do kół, który upchnęła tam przed wieloma

godzinami. Zostawiła go na podłodze między stopami. Potem z rozmysłem i bardzo powoli, aby zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, umieściła telefon Lumaniego na desce rozdzielczej, otworzyła drzwi samochodu i zakomunikowała:

– Ruszamy.

Zanim Neeva zdążyła wysiąść, Munroe okrążyła samochód, wzięła dziewczynę za rękę, odsunęła ją od drzwi i zatrzasnęła je. Potem objęła nastolatkę i odprowadziła ją kilka kroków dalej.

– Nie mam czasu na długie wyjaśnienia, dlatego proszę cię, słuchaj mnie uważnie – powiedziała. – Nie jestem jedną z nich. Znajdę sposób, żeby wyplątać nas z tego koszmaru, ale musisz robić dokładnie to, co powiem. Nie próbuj uciekać, bo cię wytropią, a ja nie będę w stanie ci pomóc, rozumiesz?

– Ale co z twoim przyjacielem? Zabiją go?

– To już mój problem. – Munroe mówiła szeptem i błyskawicznie, starając się wtłoczyć w pięćdziesiąt sekund to, co w normalnym tempie zabrałoby o wiele dłużej. – Teraz skupmy się na tym, żeby przeżyć. Wyciągnę nas stąd, pod warunkiem że zrobisz to, co każę.

Neeva kiwnęła głową – tylko raz.

– Snajper jest gdzieś na zewnątrz i nas obserwuje. Śledzi nas też tamten bydlak, który zeszłej nocy cię uderzył. Najpierw muszę się upewnić, gdzie on jest, zanim cokolwiek zrobimy. Weźmiesz telefon, moje buty i plecak. Masz ruszyć, kiedy ci to wszystko dam.

Obróciła Neewę w kierunku, który wyczytała z nawigacji, zanim schowała ją do plecaka.

– Tam są schody. Wydostaniesz się nimi na zewnątrz. Wyjście prowadzi prosto na ulicę, którą dojdiesz na wał nadmorski. Dalej masz iść równoległe do wybrzeża. Zobaczysz wielki hotel i tunel, który biegnie pod nim. Za każdym razem, gdy ścieżka będzie się rozgałęziała,

trzymaj się tej po lewej stronie, jak najbliżej morza. Zawsze trzymaj się morza. Idź powoli i nie zatrzymuj się, dopóki cię nie dogonię.

– A jeśli się nie zjawisz?

– To będzie znaczyło, że nie żyję. Idź spokojnie. Z nikim nie rozmawiaj, na nikogo nie patrz, a jeśli ktoś cię rozpozna, udawaj, że jesteś sobowtórem.

Kolejne kiwnięcie głową.

– Ja naprawdę nie żartuję, Neevo. Jeśli zaczniesz biec albo spróbujesz przede mną uciec, wyświadczysz mi przysługę, bo będę mogła przestać się tobą przejmować. Pamiętaj jednak, że tamci znowu cię złapią. Nie proś nikogo o pomoc, bo zginą niewinni ludzie. Nie jesteś od nich sprytniejsza. Ani szybsza. Ani silniejsza. Tylko ja mogę cię ocalić. Rozumiesz?

– Tak – potwierdziła Neeva.

Munroe na moment, który zdawał się trwać wieki, obróciła dziewczynę ku sobie. Spojrzała jej w oczy, przyjrzała się twarzy, przeanalizowała mowę ciała. Próbowwała odczytać, co kryje się pod maską. W końcu puściła Neewę, zdjęła buty, włożyła je do plecaka i podała jej. Jeżeli Neeva nadal zamierzała uciec, musiała to zrobić w pełni świadoma konsekwencji. Munroe miała czyste sumienie.

– Jeśli nie znajdę cię w ciągu piętnastu minut, jesteś zdana na siebie – oświadczyła.

Neeva spojrzała na skarpety Munroe, a potem na jej twarz.

– Dziękuję – powiedziała.

Munroe zawróciła do samochodu, podniosła przednią klapę, aby wyciągnąć spod niej kawałek szmaty, którym wcześniej wycierała olej z bagnetu, a potem delikatnie i po cichu ją zamknęła. Otworzyła drzwi po stronie kierowcy i sięgnęła na deskę rozdzielczą po telefon, który już dzwonił.

Odebrała połączenie i zanim Lumani zdążył się odezwać, powiedziała:

- To było niechcący. Już go więcej nie zapomnę.
- Musicie się zbierać - oznajmił.

To, czego nie zawarł w tych trzech słowach, sprawiło, że odetchnęła z ulgą. Nie widział ich i nie miał pojęcia, co przed chwilą zrobiła. Wiedziała, że zaraz zjawi się tu Arben albo jakiś inny bydlak.

- Już idziemy - powiedziała, celowo zrobiła pauzę, a potem zniżyła głos niemal do konspiracyjnego szeptu. - Valonie, czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? Nie jestem głupia. Wiem, że sprawy nie idą zgodnie z twoim planem. Jeśli istnieje jakiekolwiek ryzyko, że ktoś próbuje cię oszukać - albo wystawić mnie do wiatru - daj mi znać, a razem coś wymyślimy.

Tak jak przy wszystkich poprzednich rozmowach, Lumani długo zwlekał z odpowiedzią, ale się nie rozłączył.

- Nie mogę - powiedział w końcu. - To niemożliwe.

Tym razem to ona zakończyła rozmowę.

Zanim po raz ostatni zatrzasnęła drzwi, z podłogi wzięła klucz do kół. Wsunęła go pod podwozie i obróciła się do Neevy, która czekała w milczeniu. Włożyła dziewczynie w rękę telefon i przytknęła palec do ust. W końcu pokazała na oko, a potem na wyjście i zdawkowym machnięciem ręki dała znak, że ma już iść.

Neeva z wahaniem zrobiła kilka kroków. Minęła puste miejsce, potem zaparkowany samochód i odwróciła się, tak jakby chciała się upewnić, czy dobrze robi.

Munroe gestem nakazała jej iść dalej.

Neeva kiwnęła głową i udała, że saltuje na znak solidarności - a może był to objaw syndromu sztokholmskiego. Munroe nie miała już żadnego wpływu na to, co się działo w głowie dziewczyny. Jej instynkt się buntował, mówił jej, że nie powinna puszczać Neevy samej, mimo to

nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła na tył kostiumu, gdy nastolatka szła przez parking do wyjścia, kołysząc biodrami. Miała wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, ale w końcu Neeva zniknęła jej z oczu.

Munroe odwróciła się do zaparkowanego obok mitsubishi i wsunęła się pod spód. Jej myśli ogarnął chłód skupienia. Łokcie oparła o ziemię. Jej głowa znajdowała się przy tylnej oponie. Napięta i gotowa, czekała.

Arben zjawił się minutę później, czarnym passatem. Munroe po raz pierwszy zobaczyła jego wóz. Koła przetoczyły się obok niej powoli. Widoczna przez boczną szybę głowa kręciła się na boki, tak jakby się rozglądał. W końcu zauważył swój cel, zahamował, cofnął się trochę i zaparkował po drugiej stronie opla.

Otworzył drzwi. Ze swego miejsca Munroe widziała jedynie jego nogi. Gdyby był przezorny i nie lekceważył zadania, gdyby wierzył choć w połowę rzeczy, które Kate Breeden na pewno opowiedziała Lalkarzowi, pochyliłby się, żeby zajrzeć pod podwozie. Wtedy przynajmniej miałby jakąś szansę.

On jednak wysiadł z wozu i okrążył opla. Otworzył drzwi po stronie kierowcy i – sądząc po odgłosach – odchylił osłonę i chwycił kluczyki. Prawdopodobnie zabrał także bilet parkingowy. Na chwilę zapadła cisza i Munroe podejrzewała, że upchnął rzeczy w kieszeni albo włożył do jakiejś saszetki. Następnie zatrzasnął drzwi i wrócił do passata.

Munroe wysunęła się spod mitsubishi i przyczała między tylnymi osiami samochodów. Zasłaniały ją opony i bagażnik. Wychyliła się tylko odrobinę, żeby obserwować go przez szyby. Siedział za kierownicą i rozmawiał przez telefon, a właściwie słuchał tego, co ktoś do niego mówił.

Przywarła dłońmi do betonu jak biegacz na linii startu i zamknęła oczy. Arben miał ruszyć za nimi pieszo, ale zakładał, że Neeva idzie powoli, i że są razem, dlatego zwlekał. Nie musiał się spieszyć. Chłód

wkradł się w jej ręce, wywabiając ducha łowcy. Głosy, które przez ostatnie godziny nieustannie brzmiały w tle, umilkły wyczekująco.

Drzwi passata się otworzyły.

Munroe wzięła klucz do kół i szmatę.

Buty Arbena zachrzęściły o beton.

Ona podniosła się do półprzysiadu.

On dźwignął się z fotela i odwrócił tyłem, by zamknąć samochód.

Ona wstała.

Błyskawicznie znalazła się tuż za nim. Zaczął się obracać – może kierował się instynktem, a może usłyszał szelest jej ubrania albo ciche stąpanie.

Ale był martwy, odkąd wjechał na ten parking.

Odkąd uderzył Neewę.

Odkąd po raz pierwszy dotknął Munroe.

Całą wściekłość, cały gniew, całą nienawiść do wszystkiego, co reprezentował sobą Lalkarz, cały ból, jaki czuła po śmierci Noaha i stracie Logana, włożyła w pierwszy i jedyny cios.

Końcówka klucza trafiła w skroń Arbena w tej samej chwili, w której obrócił twarz w kierunku Munroe. Siła zamachu i twardy metal sprawiły, że jego głowa przekrzywiła się pod nienaturalnym kątem, a cielsko, które właśnie zaczęło się okręcać wokół własnej osi, na moment zamarło, jak na stop-klatce, a potem walnęło o karoserię i osunęło na ziemię.

Nawet nie zwracała sobie głowy sprawdzaniem, czy naprawdę nie żyje. Zginął natychmiast – tępy uraz głowy – prawie bezkrwawo. Tylko to miało znaczenie. Upuściła klucz na beton, oburącz chwyciła za kołnierz Arbena, podciągnęła go pod same drzwi i zdjęła z niego kurtkę. Namacała broń i wyjęła ją z kabury. Sprawdziła magazynek, sprawdziła tłumik na lufie. Upchnęła pistolet za pasek. Znalazła jego telefon, kluczyki do opla i bilet parkingowy. Schowała je do własnej kieszeni.

Przeszukała portfel Arbena i wyjęła z niego siedemdziesiąt euro w gotówce. Niewiele, ale lepsze to niż nic. Na koniec wzięła kluczyki do passata, odblokowała drzwi i otworzyła je szeroko.

Opuściła oparcie fotela niemal do poziomu. Nie podnosząc się z przysiadu, podciągnęła Arbena za pachy do otwartych drzwi i oparła o próg. Kurtkę, klucz do kół i szmatę wrzuciła do wnętrza wozu i sama weszła do środka. Pół klęcząc, pół kucając na fotelu, ponownie wsunęła dłonie pod pachy mężczyzny. Cal po calu zaczęła wciągać go do wozu, zmagając się z ciężarem i nieustannie myśląc o uciekającym czasie. Z niepokojem zastanawiała się, jak daleko zdołała dotrzeć Neeva i ile jeszcze zostało do zrobienia.

Rozdział 27

Munroe wciągnęła tułów Arbena do passata, przesunęła jego nogi pod kierownicę, zamknęła drzwi i ułożyła go na odchylonym fotelu. Jego głowę przekrzywiła w stronę bocznej szyby. Włożyła mu pistolet w rękę i przytknęła lufę do skroni, w którą wcześniej uderzyła. Zasłaniając szmatą wszystko, czego dotykała, nacisnęła na spust.

Stłumiony wystrzał, krew i fragmenty kości – tak jak po trzaśnięciu gumowej opaski o nadgarstek, poczuła szokującą ulgę.

Nie traciła czasu na ocenę scenografii. Zostawiła broń i tymczasową iluzję samobójstwa, która przy odrobinie szczęścia miała dać jej trochę czasu. Zabrała kurtkę Arbena i dwa dowody zbrodni. Wysunęła się z wozu drzwiami po stronie pasażera i dopiero wtedy dotarło do niej, jaki będzie emocjonalny koszt tego, co właśnie zrobiła.

Wciąż nisko pochylona, podeszła do opla, otworzyła odblokowane drzwi, wytarła klucz do kół, usuwając odciski, wsunęła narzędzie pod fotel i zamknęła wóz. Jeśli kamery w Monako miały zapobiegać zbrodniom, tym razem miasto poniosło klęskę na całej linii. Pozostawało tylko pytanie, czy ktoś obserwował zabójstwo w czasie rzeczywistym. Odpowiedź mogła przesądzić o tym, jak bardzo Munroe zdoła się oddalić, zanim ten podziemny świat eksploduje hałasem syren.

W myślach stawiała strategię przeciwko strategii, decydując, co jest najważniejsze. Wyjęła telefon Arbena. Przejrzała aplikacje, z których ostatnio korzystał. Wśród gier znalazła to, czego szukała. Uruchomiła program. Czerwona, mrugająca kropka Neevy przesuwawała się po szczegółowej mapie – bezosobowy odpowiednik celu w snajperskiej grze. Równie dobrze mogłaby się nad nią unosić metka z ceną w dolarach.

Obrawszy kurs, wciąż nabuzowana adrenaliną, skierowała się do wyjścia, unikając kamer i przemykając między samochodami tam, gdzie

było to możliwe. Gdy wydostała się na ulicę, ruszyła śladem Neevy – mniej więcej – sądząc po pozycji pulsującego czerwonego światła. Szła energicznym krokiem, ale nie za szybko. Nie chciała, aby młody mężczyzna w spodniach i skórzanej kurtce, z posiniaczoną twarzą i bez butów, wzbudzał jeszcze większe zainteresowanie.

Wzdłuż nadbrzeża trakt łagodnym łukiem poprowadził ją w kierunku portu, w którym na niewielkiej przestrzeni zebrala się najdroższa kolekcja pływających jednostek. Zwolniła dopiero, gdy zobaczyła kostium Neevy i nie musiała już śledzić dziewczyny oczami lokalizatora.

O tej porze turystów było niewielu i choć ulicami jechały sznury samochodów, widziała zaledwie kilku pieszych. Nie tylko Neeva w swoim stroju rzucała się w oczy. Wyróżniał się także mężczyzna siedzący na murku jakieś pięćdziesiąt metrów dalej – w miejscu, do którego Lumani w ostatniej wiadomości polecił dostarczyć przesyłkę.

Neeva dobrze się spisała, jak najwolniej pokonując dystans. Nawet teraz szła w spacerowym tempie, od czasu do czasu przystawała i spoglądała na morze, tak jakby zaliczała się do tych szczęśliwców, którzy mają apartament w okolicy albo przyplłynęli jednym z jachtów cumujących w zatoce. Mężczyzna na murku powoli obracał głowę, rozglądając się to w jedną, to w drugą stronę. W końcu zauważył kostium i utkwiał spojrzenie w Neevie.

Nieświadoma tego dziewczyna szła przed siebie.

Mężczyzna był w średnim wieku. Niepewny. Wystraszony.

Kolejny pionek.

Munroe przyspieszyła kroku. Wodziła wzrokiem po balkonach i nadjeżdżających samochodach, to wydłużając, to znów skracając odległość, jaka dzieliła ją od Neevy. Jakikolwiek miejsce wybrał sobie Lumani, musiało się znajdować na zachód od morza i słońce, które

dopiero wspinało się łukiem po niebie, na pewno utrudniało mu obserwację.

Munroe rejestrowała wszystkie szczegóły i odliczała sekundy. Już za chwilę miała wejść w strefę przejęcia – i pod celownik snajperki Lumaniego.

Chciała najpierw zobaczyć klienta. Przyjrzeć mu się. Zapamiętać.

Na pewno tu był.

Blisko.

Człowiek, który wprowadził w ruch taką machinę wydarzeń, nie pozwoliłby, aby ostatnie elementy układanki trafiły na miejsce bez niego. Na pewno chciał przy tym być, wszystko widzieć, upajać się własnym geniuszem i triumfować – przy tak niesprzyjających okolicznościach miał wreszcie pojmać swoją zdobycz – pewny, że sam wyjdzie z tego zwycięsko, bo obmyślił wszystko tak, aby to inni ponieśli konsekwencje.

Neeva szła spokojnie. Munroe musiała ją dogonić, zanim dziewczyna dotrze do mężczyzny na murku i trafi w pułapkę, jaka tam na nią czekała. Już miała przyspieszyć kroku, kiedy coś zwróciło jej uwagę i się zawahała.

Był tu.

Pożądanie we wzroku, żeglarskie mokasyny i sweter. Ubrany swobodnie, ale z klasą. Zbliżał się od strony ulicy, która odchodziła w bok pod lekkim kątem. Szedł w kierunku Neevy, prowadząc małego pieska na smyczy. Gdyby chciał, mógłby podejść do niej bardzo blisko, przeciąć jej drogę. Mężczyzna na murku drgnął na widok przybysza i zaczął się podnosić, ale potem wykonał nerwowy ruch, tak jakby uświadomił sobie, że popełnił faux pas. Równie dobrze mógłby wskazać swojego szefa palcem. Z powrotem usiadł i skupił się na Neevie.

Właściciel pieska nie wyróżniał się niczym szczególnym: po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, wysportowany, tak jak wielu

zamożnych ludzi. Proste blond lub siwe włosy strzygł krótko. Skórę miał opaloną i pokrytą piegami. Nie zdradziła go sama obecność w tym miejscu – mimo że niewiele osób spacerowało nad morzem o tej porze – ani nawet to, że przyglądał się Neevie ze znaczącym uśmiechem – bo każdy przechodzień mógł tak zareagować na jej widok. Nie wydała go też postawa ani krok. Wskazówką, subtelną, ale oczywistą, była mina, która wyraźnie świadczyła, że rozpoznał dziewczynę.

Jego obraz wrył się w pamięć Munroe: sylwetka, chód, proporcje kończyn w stosunku do tułowia. Zarejestrowała wszystko w archiwum myśli. Świadomie spojrzała prosto w jego oczy i wreszcie on zauważył, że mu się przygląda. Odwrócił wzrok, ale mowa ciała przejęła narrację. Jego wargi skrzywiły się w szyderczym uśmiechu, tak jakby mówił: *Wiem, kim jesteś, zwyciężyłem – gra skończona.*

Jego postawa i jawne lekceważenie sprawiły, że zapragnęła znowu poczuć euforię, zaspokoić głód kolejnym zabójstwem. Ujarzmione i pokonane demony powstały z martwych. Wszystko wokół przybrało kolory szarości, na których tle cel odznaczał się jaskrawą barwą. Głosy zaczęły skandować, a serce zabiło szybciej w takt wojennych bębnow. Nieodparte pragnienie pchało ją na łowy. Żądza krwi sprowadziła ją nad samą krawędź. Gdyby przekroczyła tę granicę, już nie mogłaby się cofnąć przed morderstwem. Zaczęła głęboko oddychać, aby zmniejszyć napięcie. Przycisnęła dłonie do skroni i siłą woli zdusiła żądze.

Logika wbrew pragnieniu.

Plan przed działaniem.

Gdyby uległa teraz i zabiła go pod baczynym okiem miejskich kamer, przypieczętowałyby także własny los. Klient minął ją, patrząc jej prosto w oczy. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy. Mina dopowiedziała resztę. Znał ją. Nie miała pojęcia skąd, ale ją znał.

Dogoniła Neewę, w duchu wciąż walcząc z pragnieniem zemsty, i troskliwie objęła dziewczynę w talii. Nastolatka wyciągnęła do niej

telefon i zrobiła wielkie oczy, tak jakby chciała powiedzieć: *Dzwonił, kiedy ciebie nie było.*

Munroe kiwnęła głową na znak, że rozumie. Puściła dziewczynę, wzięła komórkę i z całą skumulowaną energią emocji, których nie wykorzystwała przeciwko klientowi, cisnęła telefonem w kierunku morza.

Potem zdjęła plecak z ramion Neevy i podała jej kurtkę Arbena.

– Dobrze się spisałaś – powiedziała. – Włóż to. Nie będziesz się tak rzucać w oczy.

Neeva zmarszczyła nos.

– Wątpię – stwierdziła, ale posłusznie wzięła kurtkę i gdy Munroe wkładała buty, wsunęła ręce w za długie rękawy. Rozmiar dodawał komizmu całemu strojowi, ale monotony granat zasłonił niemal całą sukienkę i ukrył soczystą zieleń.

Mężczyzna na murku zaczął się podnosić, ale zmienił zdanie i ponownie usiadł, wyraźnie zdumiony takim obrotem spraw. Nie tego się spodziewał.

Zadzwoił telefon Arbena.

Munroe zignorowała ostry sygnał i ustawiła się między Neewą a murkiem. Chciała mieć cel na oku, widzieć jego reakcję, gdy się obejrzy, aby śledzić przekazanie przesyłki, a zamiast tego odkryje, że plany uległy zmianie. Objęła dziewczynę i właśnie miały przejść przez ulicę, kiedy przyszła ta chwila.

Klient przystanął i się odwrócił. Przez jego twarz przemknęło zdumienie, które szybko ustąpiło miejsca wrogości. Munroe zaczęła na przerwę w strumieniu samochodów. Uśmiechnęła się błogo, choć wewnętrzne głosy i pragnienie zemsty pchały ją ku temu człowiekowi. Chciała, żeby się zbliżył, błagała w duchu o jakiś pretekst i szansę na upozorowanie wypadku, bo tylko to wchodziło w grę z uwagi na

kamery i przejeżdżających tędy ludzi. Gdyby zginął, wreszcie mogłaby odetchnąć swobodnie, zaspokoić żądzę krwi.

Ale on się nie ruszył. Nie mógł. Sam wybrał to miejsce, tak odkryte i śledzone oczami tylu kamer. Zamierzał zadrwić z władz i być może ujawnić organizację Lalkarza. Teraz jednak ta decyzja mogła zgubić jego samego. Spojrzał na nią nienawistnie i zagryzł wargi. Dłoń zacisnął na smyczy tak mocno, że zbiełały mu kłykcie.

Telefon Arbena zadzwonił ponownie, przypominając, że Lumani gdzieś tam jest i ma świadomość, że przesyłka nie została dostarczona zgodnie z planem. Z jakiegoś powodu jeszcze nie oddał strzału.

– Musimy stąd iść – powiedziała Munroe. – Trzymaj się mnie.

Razem zeszyły z chodnika na ulicę. Munroe poprowadziła dziewczynę, wykorzystując przerwy w ruchu. Po raz trzeci zadzwonił telefon. Tym razem również nie zareagowała.

Z przeciwległej strony ulicy uśmiechnęła się do klienta i ponownie zapisała w pamięci jego twarz. Miał umrzeć. Mogła zagwarantować to własnym życiem. Zamierzała dopilnować, aby zginął, ale na razie odebrała mu tylko jego nagrodę.

Odwróciła się do niego tyłem i skierowała Neewę do tunelu dla pieszych. Podziemnym przejściem ruszyły z powrotem.

Przy wejściu na parking Munroe rozejrzała się wkoło i przez chwilę nasłuchiwała. Spodziewała się wycia syren policyjnych. Próbowwała wypatrzyć Lumaniego lub kogoś innego, bo alarm intuicji ostrzegał ją, że nie są same. Przez kilkanaście minut na niższym poziomie przybyło sporo samochodów. Ignorowała ciekawskie spojrzenia przypadkowych ludzi. Obejmując Neewę w pasie, doprowadziła ją do opla.

Szybko wycofała wóz z szeregu zaparkowanych aut i łukami ramp dotarła do wyjazdu. Na poziomie ulicy usłyszała pierwsze dźwięki syren. Policja zjawiałaby się szybciej, gdyby kamery pozwoliły wykryć morderstwo, a na pewno nikt jeszcze nie odkrył ciała Arbena.

Bilet w parkomat, gotówka w parkomat, barierka w niebo.

Cenne sekundy umykały, a syreny wyły coraz bliżej.

Munroe zapanowała nad chęcią ucieczki. Monako w najdłuższym odcinku miało niecałe pięć kilometrów, a one już znajdowały się w połowie drogi. W niecałe dziesięć minut mogły opuścić oficjalne granice księstwa. Domyślała się, że tutejsze władze zawiadomią francuską policję, ale poza miastem, w którym każdy metr kwadratowy był ciasno zabudowany, istniała większa szansa znalezienia kryjówki.

– Te syreny to z naszego powodu? – spytała Neeva.

Munroe przytaknęła.

– O Boże! Michael, stój! Zatrzymaj samochód. Oni nam pomogą – zawołała dziewczyna.

Munroe nie odpowiedziała, tylko zerknęła w lusterka i wyprzedziła wolniej jadący wóz, Neeva chwyciła ją za przedramię.

Reakcja na fizyczny kontakt była natychmiastowa i brutalna. Munroe zaatakowała odruchowo. Dosłownie w ostatnim momencie zatrzymała rękę. Neeva wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się w dłoń zastygłą na wysokości jej gardła.

– Musisz bardziej uważać z tym szarpaniem – ostrzegła ją Munroe. Na moment oderwała wzrok od drogi i zerknęła na dziewczynę. – Nie bierz tego do siebie.

– Proszę cię, zatrzymaj samochód – ponowiła próbę Neeva. – Dlaczego nie hamujesz?

– W tej chwili policja nie jest naszym przyjacielem.

– Mylisz się. – Ton Neevy z panicznego przeszedł w błagalny. – Na pewno mnie rozpoznają. Będę mogła wrócić do domu.

We wstecznym lusterku Munroe zobaczyła migające światła.

Auta zaczęły hamować i robić miejsce.

– Przysłał ich snajper – powiedziała.

Samochód przed nimi zwolnił i zjechał na bok. Munroe wykorzystowała to, żeby śmignąć do przodu.

Tak jak człowiek biegnący przez tłum w centrum handlowym, zwróciła na siebie uwagę pościgu. No ale teraz miała wolną drogę. Wcisnęła pedał gazu do końca i opel opornie zaczął przyspieszać.

Lumani na pewno zdawał sobie sprawę, że mając przy sobie porwaną dziewczynę, a za plecami trupa, będzie wolała uniknąć przedstawicieli prawa. Zmuszał ją, aby dokonała wyboru między złem a złem. Mogła dać się złapać i stracić całe lata życia, czekając, aż władze w końcu wyjaśnią, co naprawdę się wydarzyło, a tymczasem Neeva zostałaby ponownie porwana i dostarczona klientowi. Mogła też pozwolić, aby wykurzył ją z kryjówki prosto w zastawioną sieć.

Raz jeszcze zerknęła we wsteczne lusterko.

Sprawdziła, czy Neeva porządnie zapięła pas. Do diabła z ciasnotą i ulicami. Z miasta można było się wydostać różnymi drogami.

Rozdział 28

Każdy jego ruch był dokładnym przeciwieństwem frustracji i rosnącego niepokoju. Z wprawą zdemontował celownik.

Przekręć. Odetchnij. Zapakuj. Pomyśl.

W tej chwili naprawdę nienawidził wuja. Nienawidził go absolutnie. Prawie się udało. Jeszcze minuta i byłoby po wszystkim, ale właśnie w tej jednej minucie wszystko się popsuło. *Analiza sytuacji jest niepodważalna, Valonie, plan jest idealny. Jakikolwiek niepowodzenie może wynikać wyłącznie ze złego wykonania.*

Wuj planował, Lumani realizował.

Jak widać, plan wcale *nie był* idealny, bo dostarczycielka właśnie zrobiła to, co wuj uważał za niemożliwe.

Lumani opuścił swoje stanowisko.

Od początku nie chciał tego zadania. Próbował się od niego wymigać.

Kazano mu sprowadzić dostarczycielkę – w porządku. Mimo ryzyka zdołał przetransportować ją do Zagrzebia i przekazać wujowi. Ale obowiązek przekazania towaru kupcowi? Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Już przy poprzednich dostawach nie brakowało komplikacji, bo klient drażnił się ze współsprawcami i mierzył na spryt z wujem, co dwukrotnie niemal doprowadziło do katastrofy.

Trzeci raz zakończył się klęską.

Daj mi chociaż dwóch dodatkowych ludzi, wuju. I jeszcze jeden samochód.

Nie. Odpowiedź była odmowna, a sytuacja stała się jeszcze gorsza, bo prośba Lumaniego podważyła nieomyślność wuja, zdradziła zwątpienie w to, że znakomity nestor potrafi wybiec myślą daleko naprzód i przewidzieć wszystkie ruchy. Wuj zawsze miał rację.

Zawsze. Aż do tej chwili.

Lumani nie mógł odmówić udziału w przedsięwzięciu.

Wuj nie zamierzał słuchać żadnych logicznych argumentów – kiepskich wymówek, jak je określił – i mimo sprzeciwu siostrzeńca ciężar zadania, w którym cena za niepowodzenie miała być ogromna, złożył właśnie na jego barki.

– Jesteś słabym ogniwem – powiedział mu. Drwiące słowa cięły jak kawałki szkła. Tak brzydził się jedynie gnijącymi odpadkami. – Taka jest prawda, Valonie. Nigdy o tym nie zapominaj – dodał, a Lumani miał wrażenie, że ostre odłamki wchodzą głęboko w jego ciało. – Zrób to, a w zamian zyskasz wolność. Będziesz mógł zabrać swoje pieniądze i prowadzić takie życie, jakie zechcesz, wrócić do swoich rozrywek i dziwek. Tylko nie sądz, że cię oszczędzę, jeśli mi odmówisz.

Niechęć paliła go coraz bardziej, nienawiść dotrzymywała tempa wprawnym ruchom, idealnym ruchom – ostrożnym, ale zarazem pewnym. Lumani zbiegł po schodach do samochodu.

Jeszcze raz zadzwonił do Arbena i po raz trzeci telefon pozostał bez odpowiedzi. To oznaczało, że pomocnik nie żyje. Ta świadomość nie wywołała w Lumanim żadnych uczuć. Arben był zbyt pewny siebie i arogancki, nie słuchał ostrzeżeń i sam był sobie winien. Lumani zostawił wiadomość tej całej Michael, licząc, że może postanowi ją odsłuchać. Pilotem otworzył samochód i wrzucił neseser do bagażnika.

Bez względu na słowa wuja tym razem to nie wykonanie było złe, tylko sam plan – brak zrozumienia, błędne przewidywania. *Nie potrzebujesz dodatkowych ludzi ani samochodów, Valonie. Jedynie zaciśnięta na jej szyi pętla zmusza ją do posłuszeństwa.* Tak, tyle że dosłownie chwilę przed przekazaniem przesyłki ta cała Michael zrobiła coś, czego wuj nie przewidział – zbojkotowała plan.

Ta porażka nie powinna zostać policzona na konto Lumaniego.

Wsiadł za kierownicę, przygazował i wycofał się z miejsca parkingowego, robiąc za dużo hałasu.

Musiał się uspokoić. Pomyśleć.

Może ona wiedziała o odbiciu Logana? Nie. Niemożliwe. Przez cały czas czuwał, szukał czegokolwiek, co by świadczyło, że znalazła sposób na skontaktowanie się ze swoimi. Czekał na jakikolwiek sygnał, który by ją zdradził, ale nic nie usłyszał ani nie zobaczył. Nie mogła wiedzieć... chyba. Sam już sobie nie ufał. Nie wierzył we własną ocenę sytuacji. Wątpił w swoje zdolności.

W myślach słyszał głos wuja: *Jesteś najstarszy z nich, Valonie.*

Kiedy tamci uwalniali Logana, tutaj była noc i Michael stała na poboczu wiejskiej drogi. Czekąca całe dwie godziny na nagranie – na szczęście zdążyli je przygotować, zanim najemnicy wkroczyli do akcji. Potem trzeba było jeszcze załadować filmik na stronę, a to trochę trwało. Jeśli już wtedy wiedziała, że jej przyjaciel jest bezpieczny, jeśli od początku planowała uciec, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?

Lumani włączył się do ruchu. Z oddali dobiegło wycie policyjnych syren i ten dźwięk sprawił mu przyjemność. Ta część planu – błyskawiczna decyzja – była jego dziełem i miał pewność, że da lepsze rezultaty niż wujowska zdolność przewidywania. Zakładał, że policja wykurzy opla z kryjówki. Planował czekać na zewnątrz, gotowy do akcji.

To, że w ogóle musiał urządzić zasadzkę, bo dostarczycielka wciąż żyła, było niewybaczalnym błędem. Powinien był zastrzelić ją w odwecie, ale w decydującej sekundzie zrezygnował. Ruch na ulicy i piesi, których zaledwie godzinę wcześniej tam nie było, utrudniali oddanie czystego strzału. Nie mógł sobie pozwolić na margines błędu.

Wymówki – tak nazwałby to wuj. W niekończącym się labiryncie zarzutów i przeskakiwania z jednego toru rozumowania na inny logika zmieniała się w absurd, a winę zawsze ponosił Lumani.

Niesprawiedliwość bolała. Paliła wściekle.

Nawet gdyby udało mu się teraz wszystko naprawić, i tak musiał ponieść konsekwencje – na niego spadłaby odpowiedzialność za

niepowodzenie, do którego się nie przyczynił, za decyzje, których nie podjął, za działania, z którymi nie miał nic wspólnego.

Wybrał numer Tamása. Wyszczekał rozkaz. Rozłączył się.

Sprawdzianem siły mężczyzny była siła jego wroga. Zamierzał sam sobie udowodnić, że nie da się pokonać.

Do diabła z wujem.

Tablet na fotelu pasażera błysnął czerwonymi punktami – lokalizator opla, lokalizator lalki, lokalizator dostarczycielki – sunęły wszystkie razem, jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Lumani zanotował w pamięci odległość i czas.

Aż do tej pory nasłuch milczał, ale teraz w słuchawce rozległy się dźwięki z wnętrza opla.

– Wiem, że mnie słyszysz, Valonie. Wiem, że słuchasz.

Gwałtownie odbił w bok, żeby uniknąć samochodu, który próbując włączyć się do ruchu, wyjechał za daleko z bocznej ulicy. Granice miasta były blisko. Wyprzedzał Michael o spory kawałek.

– Znam twoje plany, bo jestem tobą – powiedziała. – Tkwię w twojej głowie. Myślisz, że wiesz, co mnie napędza, ale się mylisz. Nie zdołasz mnie przechytrzyć, ale ja na pewno zdołam cię ominąć.

Uśmiechnął się z satysfakcją. *Siłę mężczyzny determinuje siła jego przeciwnika.* Zerknął na tablet. Tamás zbliżał się z przeciwległego krańca miasta. Ona znajdowała się między nimi, jechała w jego stronę. Nieoczekiwanie jednak zmieniła kierunek. W górę. Między wzgórzami. Nie tak, jak planował – jakby go przejrzała. Teraz miała do wyboru wiele dróg, a jemu brakowało ludzi, żeby ją osaczyć.

Postanowił pozwolić jej uciec – niech się zmęczy i zwolni. W końcu miała poczuć się bezpieczniej, a wtedy on mógł ją dopaść.

Dallas, Teksas

Bradford włączył ponowne wybieranie numeru. Próbował się do niej dodzwonić chyba piętnasty raz w ciągu czterech godzin. Nie miało

to sensu, ale nie rezygnował, bo jakimś cudem czuł się dzięki temu lepiej.

Pierwszy raz zadzwonił zaraz po tym, jak wsiadł do forda i zostawił ciężarówkę na parkingu. Od razu połączył się z pocztą głosową.

Zostawiał wiadomości i wysyłał esemesy, ale wszystkie pozostały bez odpowiedzi. Mimo to wciąż próbował. W końcu usłyszał mechaniczny komunikat, którego nie musiał rozumieć, aby się domyślić, że numer jest nieaktywny.

Munroe mogła działać swobodnie, tylko nie miał jak jej o tym zawiadomić. Nie wiedział nawet, czy ona nadal żyje i czy jego wysiłki nie przyniosły wyników trochę za późno.

Odsunął od siebie tę myśl. Logan był bezpieczny. Powinien to docenić, bez względu na wszystko, co jeszcze miało się wydarzyć. Ta niewiadoma budziła jego niepokój, ale o tym także starał się nie myśleć.

Jeśli Munroe wciąż żyła, najbardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że zdobędzie gdzieś następny telefon i znowu zadzwoni na jedną ze skrzynek. Dlatego często kontaktował się z Walker, ale na razie nie było żadnych wieści.

Dochodziła czwarta rano, gdy zaparkował wóz na miejscu obok isuzu. Obaj z Jahanem zdrzemnęli się w szpitalnej izbie przyjęć. Kiedy zapewniono ich, że stan Logana jest stabilny, wyruszyli w trzygodzinną trasę z powrotem do Dallas. Przez całą drogę prowadził Bradford. Dlatego teraz szedł do firmy, ledwo patrząc na oczy.

Recepcja Capstone była pusta i dyskretnie oświetlona. Zepchnięty na bok stos przesyłek z trzech dni psuł wygląd pomieszczenia, które zwykle prezentowało się nienagannie.

Jahan przesunął kartą przez czytnik i otworzył panel w ścianie. Walker czekała w centrum dowodzenia. Przecząco pokręciła głową, zanim Bradford zdążył zadać pytanie. Wciąż nie miała żadnych informacji z Europy.

– Jakieś wieści od Adamsa? Albo Gonzaleza? – spytał.
– Podobno wyznaczono datę rozprawy, ale poza tym żadnych zmian.
– Adams nadal jest w Houston?
– Siedzi tam, nabija koszty i czuje się bezużyteczny.
– Kate Breeden w końcu wykona jakiś ruch – stwierdził Bradford. –
Uwierz mi, ten splot okoliczności nie jest przypadkowy... A co u Alexis?
I u Tabithy? – spytał po krótkim wahaniu. – Sprawdziałaś może?

– Do jednej zapukałam, udając, że trafiłam pod zły adres. Do drugiej zadzwoniłam z taką samą historyjką. Dwie godziny później Alexis skontaktowała się z firmą. Wszystko jest w porządku.

– Nie podoba mi się to.

– Lepiej idź się przespać – poradziła mu Walker. – Na tablicy dopisaliśmy kilka drobnych rzeczy, ale nie musisz teraz zawracać sobie nimi głowy. Na razie nie możemy zrobić nic więcej. Zaczekajmy na jakąś wiadomość.

Bradford przytaknął i ruszył do swojego biura, do śpiwora, żeby zdrzemnąć się, dopóki panował względny spokój, bo chociaż Logana wywieźli do innego stanu i na razie był bezpieczny, to jednak problemy jeszcze się nie skończyły. Daleko im było do końca.

Pod biurkiem odwrócił się plecami do świata i natychmiast zasnął. Znikł niepokój i wrażenie wypalenia, gdy sen wciągnął go głęboko w nieprzejrzystą czerń, jeszcze zanim zdążył się porządnie wyciągnąć. Otoczył go kokon ciszy i zapomnienia.

Obudził się tak samo szybko. Na polu walki. Wybuch, wstrząsy i huk, dźwięk tłukącego się szkła, chrzęst metalu i ten zapach – niezatarta, drażniąca woń gwałtownej śmierci.

Instynkt przetrwania, dzięki któremu przeżył więcej ostrzałów, niż potrafił zliczyć, kazał mu przeczołgać się na korytarz. W każdej chwili spodziewał się kolejnej eksplozji, ale uparcie parł w kierunku, z którego dobiegało wołanie o pomoc – krzyki, które zawsze towarzyszyły

walkom, jęki okaleczonych i krwawiących. Z komórki zadzwonił po pogotowie, bo w połowie korytarza dotarło do niego, gdzie się znajduje. Nie był w strefie walk, tylko w siedzibie Capstone, a pomieszczenia zalewało światło dnia.

Po wybuchu zapadła cisza – czarna jak otchłań, która wciąga i połyka wszystko. Bradford zawołał Jahana. Potem Walker. Usłyszał jakiś żałosny jęk, błaganie o pomoc. Skierował się w stronę, skąd dochodził, ku ruchomemu panelowi prowadzącemu do recepcji, który siłą wybuchu pchnęła do środka. Ściany były podziurawione i wypaczone. Musiał uważać na strzaskane szkło wewnętrznych przepierzeń, które zasypało wykładzinę.

Gdzieś z oddali dobiegł dźwięk syren.

Znowu usłyszał błagalny głos Walker. Omijając odłamki i ogień, mozolnie dotarł do progu recepcji i znalazł ją tuż przy wyjściu z wewnętrznej strefy. Leżała na podłodze z głową opartą o bok biurka.

Krew, dużo krwi.

Dobrnął do niej na kolanach. Ogarnięty paniką, jak najdelikatniej próbował znaleźć źródło krwawienia.

– FedEx. Przesyłka – wyszeptała.

– Ciii – uspokoił ją.

Rozerwał jej bluzkę. Wytrzeszczył oczy i upchnął materiał w największą z ran.

Bezradny. Czuł się bezradny.

Skórę miała wilgotną w dotyku. Ujął jej nadgarstek, sprawdził puls.

– FedEx. Przesyłka – powtórzyła.

Ostrożnie przesunął ją, tak, żeby leżała zupełnie płasko. Nie miał nic, co mógł podłożyć jej pod stopy.

– Wytrzymaj – powiedział. – Pomoc już jest w drodze.

Podczołgał się dalej, zajrzał za biurko, szukając Jahana. Cofnął się jednak na widok scen z innego świata, innego życia, które zalały go

gwałtowną falą. Obrazy i przeżycia nie do opisanie, ciała zwęglone i rozczłonkowane, wspomnienia z walk upchnięte głęboko, po to, żeby o nich nie myśleć. Pot i emocje oblepiły mu skórę. Jahan – a raczej to, co z niego zostało – nie do rozpoznania dla tych, którzy nie znali koszmaru wojny, trzymał straż przed biurkiem.

Smród. Krew. Wnętrza.

Wybuch dosięgnął go z pełną mocą. Zginął natychmiast.

Bradford ściągnął bluzę i przykrył nią pierś Walker. Poluzował pasek jej bojówek. Krew zabarwiła jego dłonie, jego spodnie. Oczy miała zamknięte. Poklepał ją lekko po policzku, przytrzymał jej brodę, obrócił jej twarz ku sobie. W duchu wył i wrzeszczał, ale jego głos w realnym świecie zabrzmiał poważnie i bez nuty grozy.

– Samantho.

Powoli podniosła powieki.

– Posłuchaj – nakazał jej.

Odpowiedziała mu kolejnym mrugnięciem.

– Pogotowie już jest blisko. Słyszysz sygnał? Posłuchaj!

Musieli już tu być. Na pewno.

Pomoc była blisko. Czuł to.

– Tutaj – wyszeptała Sam, dzwoniąc zębami.

– Błagam cię. Oni już tu są. Wytrzymaj.

– Irek... – powiedziała. – Przesyłka...

– Nic nie mów – poprosił.

Nagle od wejścia dobiegł grzmot. Kątem oka Bradford dostrzegł jakiś kolor. Tupot butów zmącił ciszę. Pomoc.

Czyjeś ręce odciągnęły go od Walker. Próbował im się opierać.

– Dokumenty! – wrzasnął. – Pokażcie mi jakieś dokumenty!

Słowne zapewnienia nie satysfakcjonowały go, ale wystarczyły, żeby się cofnął i pozwolił tym ludziom działać. Jak ogłuszony patrzył na ręce,

nogi i ciała układające się w dziwne wzory. Po chwili Walker trafiła na nosze.

Bradford ruszył za nimi. Siedział przy niej w ambulansie, tylko częściowo świadomy, że sanitariusze pracują nad nią szybko i metodycznie, że walczą, aby utrzymać ją przy życiu. Towarzyszył jej w drodze z karetki na oddział ratunkowy i dopiero tam nowe ręce znów go odciągnęły. Zastygł, wpatrzony w próg, którego nie mógł przekroczyć. Był jak ślepiec. Ktoś zaprowadził go do tej samej poczekalni, do której trafili z Walker cztery dni wcześniej, szukając Munroe.

Nie było to najgorsze doświadczenie w jego życiu. Logicznie rzecz biorąc, to, co zobaczył i czego doświadczył w firmie, nie mogło się równać ze zbiorowymi mogiłami pełnymi rozkładających się trupów, z okaleczonymi ciałami dzieci i z transporterami przewożącymi ofiary wybuchów IED. Tyle że tym razem chodziło o ludzi, których kochał i u których boku walczył. Tu była jego ojczyzna, Capstone traktował jak swój drugi dom, a ofiary nie były obcymi ludźmi. Nie znajdował się na froncie.

Znalazł wolne krzesło i opadł na nie ciężko. Wzrok wlepił w podłogę i powoli, małymi porcjami wciągał do płuc powietrze. Nie zamierzał wracać do biura, tam czekał na niego jedynie obraz rzezi. Na razie mógł tylko tutaj siedzieć. Już nie miał dokąd pójść, nie została mu żadna misja do wykonania. Ostatnie cztery dni odebrały mu wszystkich towarzyszy. Zostały po nich tylko ziejące dziury, które powoli wypełniało odrętwienie.

Musiał jakoś się ratować przed implozją, wrócić do garażu i przestawić gdzieś isuzu ze skrzynią pełną broni, zanim dochodzeniówka zapędzi się za daleko w poszukiwaniu tego, co miała nadzieję odkryć.

Krok za krokiem, nie do końca świadomy tego, co robi, opuścił poczekalnię i wyszedł ze szpitala na zewnątrz. Wezwał taksówkę i jeszcze raz spróbował połączyć się z Munroe. Rozpaczliwie pragnął usłyszeć jej głos, zobaczyć jeden promyk słońca w ciemnościach, choć nie wiedział, co powie, jeśli ona odbierze. Bał się sam siebie i wewnętrznej martwoty, która była o wiele bardziej niebezpieczna niż wściekłość, jaką dotąd czuł.

Rozdział 29

Okolice Le Gayan i Peille, Francja

Opuściły Monako, jadąc w kierunku wzgórz. Od ronda do ronda, stopniowo oddalały się od wybrzeża. We wstecznym lusterku Munroe nie widziała Lumaniego, ale i tak zdawała sobie sprawę, że jak cień podąża śladem pulsującego punktu na mapie. Niczym żądny krwi rekin zataczał kręgi wokół upatrzonej ofiary. Dopóki jechały, nic im nie groziło. Tylko postój wiązał się z niebezpieczeństwem, a w końcu musiały się gdzieś zatrzymać.

Liczyła, że znajdą jakieś bezpieczne miejsce, jeśli zdołają przez jakiś czas utrzymać przewagę nad Lumanim. W Nicei, najbliższym dużym mieście na trasie od Monako, znajdował się amerykański konsul. Nie miał wprawdzie takiej ochrony jak strzeżona przez marines ambasada – suwerenne terytorium na obcej ziemi – ale oferował przynajmniej jakieś bezpieczeństwo.

Z Nicei Neeva mogła skontaktować się rodzicami i z tymczasowym paszportem wrócić do domu. Z Nicei Munroe mogła zadzwonić do Bradforda. Dowiedzieć się, co z Loganem. Przygotować nowy plan. Pomyśleć. Odpocząć. Boże, jak bardzo potrzebowała snu. W Nicei czekało na nią schronienie, miejsce, w którym na jakiś czas mogła przestać uciekać. Wiedziała jednak, że oplem tam nie dotrze. Zwłaszcza z dowodami, które wiązały ją z morderstwem w Monako, a nie zamierzała do końca życia ukrywać się z tego powodu.

Przez cały czas rozglądała się uważnie po okolicy, wypatrywała okazji. W myślach automatycznie odmierzała czas. Na każdym zakręcie, każdym skrzyżowaniu wybierała drogowskazy prowadzące coraz głębiej na prowincję i kierowała się na coraz węższe drogi, aż wreszcie znalazły się na wsi. Pola uprawne unosiły się i opadały wraz ze wzgórzami i dolinami. Gospodarstwa przylegały do dróg. Rzadko ktoś wtedy przejeżdżał.

W pewnym momencie jej uwagę przyciągnął błysk czerwieni. Skręciła z drogi w piętnastometrowy, żwirowy dojazd. Minęła pranie rozwieszane na sznurach, zadbane warzywniak i rabaty kwiatowe, które znajdowały się w zwykłym, wczesnowiosennym stadium, i wjechała na podwórze między dwupiętrowy dom mieszkalny a budynek stodoły albo obory. Zatrzymała się przy motorze, który wcześniej zwrócił jej uwagę – plama koloru na tle białej ściany.

Wyłączyła silnik. Zaczekała chwilę na jakiś znak, że w domu ktoś jest, ale kiedy nie poruszyła się żadna zasłona i żadna twarz nie pojawiła się w którymś z okien ani w drzwiach, wysiadła z opla.

Odgłosy przyrody zastępowały tu szum pojazdów. W pobliskich zaroślach darły się ptaki, obwieszczając granice swojego terytorium. W tej względnie spokojnej okolicy nadjeżdżający samochód słychać było z daleka. To oznaczało, że sąsiedzi, którzy usłyszeli silnik opla, na pewno wyjrżeli z okien, sprawdź, kto się zbliża. Wprawdzie teraz budynki zasłaniały ją od drogi, ale ktoś na pewno widział, że tu wjechała, i był ciekawy.

Miała pięć minut, żeby wszystko załatwić i wrócić na trasę. Musiała tylko znaleźć potrzebne rzeczy.

Nachyliła się do szyby samochodu, położyła palec na ustach i dała Neevie znak, żeby do niej dołączyła. Pewnym krokiem przeszła przez żwirową część podwórza i po schodkach wspięła się do drzwi.

Zajrzała przez szybę, zastukała w drewnianą ramę. Odpowiedziała jej cisza.

Przewidywalność ludzkiej natury kazała jej przypuszczać, że kluczyki do motoru znajdzie w środku. Na pewno miały swoje stałe miejsce, na przykład na biurku, w kuchennej szufladzie, na wieszaku albo w jakiejś ozdobnej misie – aby właściciele nie musieli za każdym razem ich szukać.

Nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się do wewnątrz, więc weszła. Gestem nakazała Neevie zaczekać. Chciała mieć wolną drogę, a poza tym wolała, żeby dziewczyna niczego nie dotykała i nie pętała się pod nogami.

Boczne wejście prowadziło do długiego korytarza z boazerią na ścianach i chodnikiem na podłodze. W środku unosiła się mieszanka zapachów wosku i kurzu. Munroe zajrzała tam i od razu zauważyła kilka kompletów kluczy na wieszaku. Podeszła do nich, miękko stąpając po chodniku, zabrała wszystkie, a potem skierowała się do kuchni. Sprawdzała zawartość szafek i półek, świadoma każdej zmarnowanej sekundy. Po kolei zbierała wszystko, czego potrzebowała: miotłę na długim kiju, butelkę wódki, butelkę koniaku, spory pojemnik mąki, pudełko zapalek i nóż.

Obładowana wycofała się do wyjścia. Neeva stała na schodach i przyglądała się jej niepewnie. Munroe kiwnęła na nią, żeby usunęła się z drogi, i zrzuciła cały łup na ziemię obok opla.

– Zaczekaj tu – powiedziała i skierowała się do sznurów z bielizną. Ściągnęła jedno suche prześcieradło i wróciła z nim do Neevy. Butem podsunęła dziewczynie nóż. – Potnij to na pasy – nakazała – przez całą długość. Jak najszybciej.

Neeva zabrała się do pracy, nie pytając, po co to robi. Munroe tymczasem obejrzała motor. Sprawdziła opony. Przejrzała kluczyki i znalazła ten, który ożywił maszynę. Zanotowała w myślach poziom paliwa i zgasiła silnik. Resztę kluczy rzuciła na ziemię, tam gdzie były widoczne. Wiedziała już, jak wybrnąć z sytuacji – znalazła kompromis. Wprawdzie straciła trochę czasu, ale mogła się pozbyć dowodów.

Wróciła do opla. Opróżniła butelki alkoholu na fotele i wzięła trzy pasy, które zdążyła przygotować Neeva. Zaczęła je zaplatać. Czas był szybszy niż jej palce, ale w końcu z materiału powstał warkocz.

Przez chwilę nasłuchiwała. Nie, nie zbliżał się żaden samochód. Ani śladu Lumaniego. Przynajmniej na razie. Pięć minut, które dawała sobie na początku, już dawno minęło. Wprawdzie znała jego myśli, jego strategię, i wiedziała że celowo pozwolił jej uciec, zdawała sobie jednak sprawę, że straciły przewagę. Zabójca mógł wkrótce dopaść swoje ofiary.

Odkręciła w oplu zbiornik z paliwem i kijem miotły wepchnęła do środka większą część zaplecionych pasów prześcieradła. Kiedy warkocz nasiąkł benzyną, wyciągnęła go, zanurzyła drugi koniec i zostawiła go w baku. Wzięła ze środka plecak i rzuciła go Neevie. Opuściła tylną szybę tylko tyle, żeby zmieścić się w niej zaimprovizowany knot, i wsunęła go do środka, zanurzając końcówkę w kałuży alkoholu. Potem przeszła na przód.

Od strony drzwi kierowcy zaczęła rozsypywać mąkę. Drobiniki wypełniły powietrze. Obsypała również szyby i deskę rozdzielczą – w sumie zużyła kilka kilogramów. Wnętrze zrobiło się białe od mącznego pyłu. Pojemnik odrzuciła na bok i zatrzasnęła drzwi.

– Odsuń się trochę – powiedziała, i gdy Neeva spełniła polecenie, zapaliła zapałkę i przytknęła ją do warkocza w połowie długości.

Potem chwyciła Neewę za łokieć i pociągnęła w stronę motoru.

Płomienie pomknęły w obu kierunkach. Eksplozji pyłu we wnętrzu samochodu towarzyszył jaśniejszy błysk i większy huk niż wolniej płonącej benzynie w baku. W sumie nie mogło to zupełnie zniszczyć samochodu ani zamienić go w kulę ognia, ale wystarczyło. Jakiegokolwiek włókna i włosy spłonęły, a paliwo miało jeszcze przez jakiś czas podsycać ogień, podnosząc temperaturę wewnątrz wozu dostatecznie, aby odkształcić wszystkie plastikowe elementy i usunąć odciski.

Neeva gapiła się na opla z rozdziawionymi ustami.

– Z mąki można zrobić coś takiego? – zdumiała się.

Munroe popchnęła ją lekko.

– Nie mamy czasu – powiedziała. – Musimy jechać dalej.

Dwukołowe pojazdy nie są sobie równe. Czerwonemu motorowi bliżej było do skutera niż do motocykla z prawdziwego zdarzenia. Wielka przepaść dzieliła go od ducati w Dallas – czarno-czarnej bestii, która miała niesamowite przyspieszenie i dawała niezły zastrzyk adrenaliny. W tej chwili jednak umożliwiał im ucieczkę i zbliżał do końca koszmaru – przez co wydawał się równie piękny.

Nad oplem unosiły się kłęby czarnego dymu. Munroe ruszyła, plując zwirem spod opon. Jej instynkt błyskawicznie dostosił się do różnic między mocą, do jakiej przywykła, a tą słabszą maszyną.

Neeva złapała się jej mocno i przycisnęła głowę do jej ramienia.

Kiedy wyjechały na asfalt, Munroe zaczęła przyspieszać. Motor lepiej się trzymał takiej nawierzchni. Na drodze, spory kawałek za nimi, w kierunku, z którego przyjechały, coś się zaczęło dziać. Pojawiły się błyskające światła. Podejrzewała, że tym razem to nie Lumani zawiadomił policję, tylko sąsiedzi zaniepokojeni hałasem i dymem. Ostro weszła w zakręt i Neeva krzyknęła. Szybko oddalały się od zamieszania.

Bez nawigacji nie mogły się rozeznać w miejscowych szlakach, które skręcały to w jedną, to w drugą stronę, pozornie bez celu. Tablice z nazwami maleńkich, obcych miejscowości nic im nie mówiły, więc zapuszczały się coraz głębiej, na sam skraj zagubienia, aż wreszcie wyjechały na szersze drogi i zobaczyły drogowskazy prowadzące do upragnionego azylu Nicei. To, co już prawie wydawało się mirażem, znowu zmieniło się w realny cel podróży.

Docierały do kolejnych miasteczek jednopasmówkami, które biegły przez serce każdej miejscowości, pokonywały odcinki od jednego ronda lub skrzyżowania do następnego. Droga wiła się wokół pasm gór lub wiodła tunelami pod nimi. Za wolniej jadącymi pojazdami tworzyły się długie korki. Neeva ani razu nie oderwała czoła od ramienia, do którego

przywarła na samym początku. Ścisnęła Munroe mocniej za każdym razem, gdy motocykl wysuwał się z szeregu sunącego w ślimaczym tempie i ruszał środkiem, klucząc między samochodami w sposób, który w Stanach sprowokowałby agresję, ale tutaj niczym nie odbiegał od tego, jak jeździli inni właściciele jednośladów.

Nie mogły osiągnąć takiej prędkości jak Lumani, zwłaszcza jeśli miał samochód dorównujący klasą passatowi Arbena, ale manewrując i omijając zatory, mogły zyskać przewagę, jakiej nie dałyby im żadne cztery kółka.

Kolejny zjazd i zaraz potem podjazd. Munroe odrabiała minuty, kupowała życie Neevy na raty. W końcu droga prowadziła już tylko w dół łagodnymi zakolami. Wjechały do miasta. Znowu znajdowały się blisko wybrzeża i powietrze było podobnie przesycone wilgocią i słono pachnącą bryzą jak w Monako.

Przybrzeżną aleję Nicei otaczały szpalery palm, tak jak w San Diego i South Beach. Do wakacji było jeszcze daleko, ale okolica roiała się od turystów i miejscowych. Rowerzyści, piesi i deskorolkarze wypełniali popularne szlaki. Tutaj Munroe nie potrzebowała wskazówek. Bez trudu znalazła drogę do budynku, do którego trudno byłoby trafić komuś, kto nigdy tam nie był.

Znajdował się dosłownie o rzut kamieniem od plaży, niemal drzwi w drzwi z komisariatem, który zajmował róg budynku. W tej odległości od oceanu ludzi było znacznie mniej. Konsulat znajdował się na trzecim piętrze zwyczajnego biurowca. Tylko niewielka, prostokątna blaszka obok interkomu informowała o jego istnieniu. Żadnej flagi. Żadnego znaku. Zupełnie nic.

Munroe wprowadziła motor na chodnik i kciukiem wcisnęła guzik interkomu, zanim wyłączyła silnik.

– Złaż – szepnęła do Neevy, a kiedy głośnik zatrzeszczał, powiedziała: – Amerykanki, kłopoty z paszportem.

Po chwili rozległ się brzęczyk i Munroe błyskawicznie wychyliła się w bok i chwyciła za klamkę.

– Przytrzymaj drzwi – nakazała Neevie, która właśnie zsuwała się z siedzenia. Dziewczyna stanęła w progu.

Munroe kopniakiem rozłożyła podpórkę i zostawiła kluczyk w stacyjce. Po cichu liczyła, że pomimo bliskości komisariatu ktoś poślakami się na motor. Wzięła Neewę pod rękę, wprowadziła ją do środka i puściła drzwi.

Zamknęły się z głuchym odgłosem, odgradzając je od miasta. W cichym i chłodnym holu miały do towarzystwa jedynie skrzynki pocztowe i windę – jeden świat się kończył, a drugi zaczynał. Munroe oparła się o ścianę i po raz pierwszy od chwili, gdy w Dallas poczuła ukłucie w udo, zdołała odetchnąć pełną piersią.

Udało jej się doprowadzić Neewę w bezpieczne miejsce. Dopiero teraz dotarło to do niej. Przy ścianie, przyciskając kciukiem nos u nasady, pozwoliła pierwszej fali ulgi wkraść się do środka. Tutaj mogła zostawić swoją podopieczną i zastanowić się, co dalej.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Neeva – równie wykończona – przygląda się jej uważnie. Munroe oderwała się od ściany i kiwnęła głową w stronę windy.

– No to na górę – oznajmiła.

Z windy wychodziło się do ciasnego korytarza z drzwiami po obu stronach. Jedne prowadziły na klatkę schodową, a drugie, wzmocnione metalem i strzeżone przez kamerę, wiodły do konsulatu.

Gdy wjechały na górę, czekała tam na nie umundurowana strażniczka.

Poprosiła o paszporty. Munroe przedstawiła jej zmodyfikowaną wersję prawdy i oznajmiła, że przyprowadziła Neewę Eckridge.

Strażniczka zostawiła je i zniknęła za metalowymi drzwiami. Kilka chwil później wróciła i otworzyła je na oścież. Z niewielkiego holu

weszły do jeszcze mniejszego przejścia, w którym przestrzeń dodatkowo ograniczały prześwietlarka rentgenowska i detektor metalu. Zanim wpuszczono je dalej, strażniczka prześwietliła plecak i poprosiła, aby zostawiły u niej cały sprzęt elektroniczny.

– Proszę zatrzymać wszystko – powiedziała Munroe, oddając jej bagaż. – Zabiorę to, gdy będę wychodziła.

Konsulat zajmował całe piętro wąskiego budynku i w zasadzie stanowił jedno duże pomieszczenie poprzedzielane przepierzeniami i przeszklonymi boksami, dzięki czemu osoby w poczekalni widziały – choć nie słyszały – większość z tego, co się działo poza ogólnie dostępną strefą.

Na jednej z kanap siedziała para młodych ludzi. Zachowywali się jak świeżo upieczeni małżonkowie. Ich miny świadczyły, że rozpoznali Neewę. Munroe gotowa była się założyć, że gdyby strażniczka przy wejściu nie zabrała im telefonów komórkowych, zdjęcia dziewczyny w trzydzieści sekund trafiłyby na portale społecznościowe.

Jedna z pracownic konsulatu poprosiła Neewę do okienka, przez chwilę cicho rozmawiały, a potem pokazała dziewczynie, że ma się cofnąć do strzeżonej strefy, skąd innymi drzwiami mogła zostać wpuszczona dalej.

Neeva zawróciła od okienka i urzędniczki, w stronę, gdzie ją skierowano. Po drodze zerknęła na Munroe, upewniając się, czy dobrze robi.

Munroe skinieniem głowy dała znak, że wszystko jest w porządku.

Koła maszyny zostały wprowadzone w ruch, telefony zaczęły dzwonić. Ludzie na stanowiskach mogli pomóc dziewczynie wydostać się stąd. Dla siebie Munroe chciała jedynie dostępu do telefonu, z którego dało się zadzwonić za granicę, skontaktować z Bradfordem. W konsulacie na pewno mogła na to liczyć, ale wolała o nic nie prosić, dopóki personel

nie zweryfikuje jej tożsamości, a kwestia Neevy nie zostanie wyjaśniona do końca.

Sukienka dziewczyny zniknęła za załomem ściany. Munroe czuła się potwornie wyczerpana. Teraz mogła już tylko czekać i pozwolić innym działać. Skierowała się na mniejszą kanapę. Ignorując oskarżycielskie spojrzenia pary i dezaprobatę strażniczki, ułożyła się z głową na poręczy, nogi przewiesiła przez drugą i zapadła się w nicość.

Para wyszła. Jej miejsce zajęli inni, którzy także wkrótce załatwili swoje sprawy. Pojawiła się nowa pracownica konsulatu, aby zająć się wyłącznie Neewą. Munroe unosiła się na krawędzi snu.

Miała świadomość tego, co się dzieje wokół, ale wołała jeszcze przez jakiś czas nie myśleć, tkwić w ciemności bez snów i pozwolić czasowi płynąć. W końcu wszyscy interesanci wyszli i zapadła cisza.

Dopiero teraz poprosiła o skorzystanie z telefonu. Urzędniczka konsulatu podała jej słuchawkę pod szklaną przegrodą i sama wybrała numer komórki Bradforda, który Munroe wyrecytowała z pamięci. Kiedy w słuchawce rozległ się sygnał, Munroe podziękowała kobiecie skinieniem głowy. Czekając, aż Bradford odbierze, czuła, jak lęk miesza się w niej z tęsknotą. Miała wrażenie, że zamienia się w tygiel sprzecznych emocji.

Przede wszystkim pragnęła usłyszeć jego kojący głos, zapomnieć o napięciu i bólu, o śmierci i poszatkwanej rzeczywistości – odzyskać spokój i cofnąć się do tego, co czuła, kiedy była z nim, co mieli, zanim zaczął się ten koszmar. Tylko że ten telefon miał również przynieść wieści o Loganie, słowa, które bała się usłyszeć, choć wiedziała, że to nieuniknione.

Dzwoniła za ocean, ale Bradford odebrał błyskawicznie.

– Michael?

To jedno słowo, jej imię na jego ustach, jak ogień skradło jej tlen, zdusiło adrenalinę podsycaną gniewem i bólem, uciszyło głosy i

dudnienie bębnow w tle. W jednej chwili zapadła się w próżnię.

– To ja – wyszeptała.

– Hej – odpowiedział również szeptem.

Ze słuchawką przyciśniętą do ucha, maksymalnie napinając sznur, osunęła się przy ścianie i usiadła na podłodze.

– Dostałeś moje wiadomości? – spytała. – Udało ci się znaleźć Logana?

– Dostaliśmy je i znaleźliśmy go.

Miała wrażenie, że uszło z niej całe powietrze. Zamknęła oczy, chłonąc jego słowa. Wcześniej bała się, że nigdy ich nie usłyszy.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję – wyszeptała jeszcze raz po krótkiej pauzie. – Na nagraniu wyglądał strasznie. Co z nim? – spytała, a kiedy Bradford zwlekał z odpowiedzią, ponagliła go: – Błagam cię, powiedz.

– Mocno go poharatali – przyznał. – Jest w szpitalu... na razie podają mu silne środki znieczulające. Prawdopodobnie czeka go kilka operacji. Trudno mi się czegokolwiek dowiedzieć, bo nie jestem członkiem rodziny.

Chciwie łykała powietrze długimi haustami.

Zeszło z niej napięcie.

Logan był bezpieczny i z tego powodu ogarnęła ją niesamowita radość.

Spisała go na straty, żeby zrobić to, co musiała. Jakimś cudem, mimo tylu przeciwności, uciekając na ślepo i nie mając żadnych realnych szans, zdołała przywieźć Neewę w bezpieczne miejsce, a Logan wciąż żył.

Był w ciężkim stanie, ale żył. Niesamowite.

Miała ochotę krzyknąć. Tańczyć. Wrzasnąć „Pierdol się!” do Lumaniego, który pewnie już znalazł sobie kryjówkę, z której mógł wziąć na cel wejście do konsulatu. Mimo to zachowała spokój. Nawet

nie podniosła się z podłogi. Wolną dłoń położyła na wykładzinie i zaczęła skubać włókna.

– Skontaktuj się z Charity, może ona coś poradzi – powiedziała. – Jest jego pełnomocnikiem medycznym.

Charity była strażniczką tajemnic przeszłości Logana i matką jego córki – dziecka, które Munroe uratowała, ryzykując własne życie.

– A jak ty się czujesz? – spytał Bradford.

– W porządku – odparła. – Ciągle w jednym kawałku, niepodziurawiona. Jestem w konsulacie w Nicei. Przywiozłam tu Neewę Eckridge.

Bradford chwilę odczekał, a potem powtórzył:

– Ale jak się czujesz?

Miał prawo się martwić. Niepokój w jego głosie sprawił, że jej uśmiech zbladł. Przez chwilę szukała właściwych słów, aby odpowiednio oddać znaczenie i kontekst tego, co naprawdę chciał wiedzieć.

– Zabili Noaha – powiedziała i usłyszała, jak Bradford klnie niezrozumiale. Zniżyła głos do szeptu: – Prawdę mówiąc, nie najlepiej ze mną.

Oboje wiedzieli, że nie mówiła o żałobie.

– Tak jak w Afryce? – spytał.

– Nie aż tak – odparła i na moment umilkła. – Miles, nic mi nie będzie, obiecuję. Jak tylko pozałatwiam tutaj sprawy, poczuję się lepiej.

– Tak jak w Argentynie? – nie dawał za wygraną.

Westchnęła i uśmiechnęła się blado. Nie zdołała go nakłonić, aby zostawił ten temat w spokoju.

– Jeszcze nie ma koszmarów – przyznała. – Tylko ciemność, ale szybko znika.

– Martwię się o ciebie.

– Wiem – wyszeptała.

– Mam ci pomóc wrócić do domu?

– Niedługo. Zostało mi jeszcze kilka niedokończonych spraw, tyle że chyba rozesłano za mną listy gończe. Może Irek mógłby to sprawdzić? Zobaczyć, co na mnie mają?

Bradford długo milczał. Takiej przerwy nie dało się uzasadnić opóźnieniami na łączach, nawet przy najgorszej jakości połączenia.

– Irek nie żyje – powiedział w końcu.

Spodziewała się tego typu wieści i próbowała na nie przygotować, ale wszystko jedno, wiadomość była ciosem, który zupełnie ją obezwładnił. Ból wydawał się tym bardziej nieznośny, że Bradford tak bardzo martwił się o nią i ani słowem nie wspomniał o gehennie, którą sam przechodził.

– Jak to się stało? – spytała szeptem.

– Wybuch w firmie.

– A Samantha?

– OIOM. Stan ciężki.

– O Boże. Miles, tak mi przykro.

– Oboje mamy niedokończone sprawy – stwierdził, a jego głos zabrzmiał twardo. Ton z emocjonalnego przeszedł w zawodowy, niemal tak, jakby Bradford wytarł oczy i wyprężył grzbiet. – Czego potrzebujesz?

Zawahała się. Musiała uważać na słowa. Znajdowała się w amerykańskim konsulacie i korzystała z ich łącz. Nawet jeśli telefon nie był na podsłuchu, sytuacja raczej nie sprzyjała rozmowie o podrabianych dokumentach i broni.

– Wszystkiego – odparła w końcu. – Znasz tu kogoś?

– Jesteś w Nicei?

– Aha. Możesz korzystać z moich rezerw. Weź nawet wszystko, jeżeli będzie trzeba. Na co mi to, jeśli nie przeżyję. Myślisz, że uda ci się coś zorganizować?

– Zadzwoń za godzinę – poprosił. – Dam ci znać, na co możesz liczyć.

Munroe kiwnęła głową, choć nie mógł tego widzieć. Bardzo nie chciała się rozłączać, znowu zostać bez niego. Ponad wszystko pragnęła ukryć się w jego ramionach, poczuć spokój i zapomnieć o całym świecie.

– Za godzinę – potwierdziła. – Kocham cię – wyszeptała, żałując, że nie powiedziała mu tego przed porwaniem.

– Ja też cię kocham – odparł. – Bardzo – dodał i się rozłączył.

Nie wstała z podłogi, tylko wyciągnęła rękę i po omacku odszukała prześwit pod szkłem. Wepchnęła tamtędy słuchawkę i dopiero potem powoli się podniosła. Musiała na moment wyjść, pobyć sama ze sobą.

Z niewielkiego pomieszczenia ochrony zabrała swoje rzeczy.

– Wyjdę tylko na korytarz – zakomunikowała. – Wrócę za dziesięć minut.

Strażniczka kiwnęła głową.

Munroe obróciła się i w tym samym momencie otworzyły się drugie drzwi. Stała w nich Neeva, wciąż w stroju lalki i w kurtce. Złączyła stopy i splotła dłonie. Wyglądała jeszcze gorzej, niż kiedy tu przyjechały.

– Pewnie potrzebujesz chwili spokoju – powiedziała – ale czy mogłabyś mi poświęcić kilka minut?

Munroe krótko się wahała, a potem przepuściła dziewczynę przodem.

Metalowe drzwi zamknęły się za nimi.

– To był twój chłopak? – spytała Neeva i Munroe przytaknęła. Nie chciała się wdawać w żadne szczegóły ani wyjaśnienia. W ogóle nie miała ochoty rozmawiać.

Neeva ponownie splotła dłonie i po chwili je rozłączyła. Przystąpiła z nogi na nogę. Munroe wiedziała, co znaczą te gesty. Spędziła z dziewczyną niemal dwadzieścia cztery godziny – większość w klatce

samochodu – i to, co razem przeszły, sprawiało, że trudno było się pożegnać. Niemal tak, jakby tę chwilę należało uczcić jakąś oficjalną ceremonią.

– Udało ci się porozmawiać z rodzicami? – spytała.

Neeva uśmiechnęła się.

– Prawie przez cały czas płakali – powiedziała. – Ja zresztą też. Wszyscy twierdzą, że miałam dużo szczęścia. Mówią o tobie jak o bohaterce, ale jednocześnie dają do zrozumienia, że możesz mieć kłopoty.

– Pewnie mają rację – stwierdziła Munroe. – No to jak? Co teraz z tobą będzie?

Neeva obejrzała się na metalowe drzwi.

– Wezwali już FBI. I załatwiają mi paszport w konsulacie w Marsylii. Potem podróż i przeloty.

– Pamiętaj, że chłoptaş wciąż na ciebie poluje – zauważyła Munroe.

– Już o tym wiedzą. Obiecują, że zapewnią mi bezpieczeństwo i odstawią do domu. – Westchnęła. – Mój tato mówi, że zastosują wobec mnie areszt prewencyjny, ale nie wiem, czy to wystarczy.

Munroe wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. – Oparła się o ścianę, zsunęła w dół i wyprostowała nogi. Zadarła głowę, żeby spojrzeć na dziewczynę. – Na pewno utrudni porywaczom zadanie, a to już coś.

– A co będzie z tobą? – spytała Neeva.

– Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Ktoś musi posprzątać ten bajzel. Tam, gdzie się wybieram, ochrona, o jakiej mówisz, nic by mi nie pomogła.

– Dziękuję ci – powiedziała dziewczyna.

– Nie robię tego tylko dla ciebie – stwierdziła Munroe.

Metalowe drzwi otworzyły się i strażniczka poprosiła Neewę do środka. Ktoś chciał z nią rozmawiać.

Telefon Arbena, który wciąż tkwił w plecaku, sygnałem obwieścił wiadomość. Neeva, która już ruszyła do drzwi, zamarła w pół kroku. Zbladła. Przerażona odszukała oczy Munroe. Obie wiedziały, że ten dźwięk zwiastuje złe wieści.

– Proszę dać mi minutę – powiedziała do strażniczki.

Munroe nie wykonała najmniejszego ruchu.

– Nie sprawdzisz, o co chodzi tym razem? – spytała dziewczyna.

Munroe wyciągnęła telefon z plecaka i włączyła wyświetlacz. Wiadomość przysłało z numeru Lumaniego. Jej żołądek skurczył się odruchowo. Nie chciała sprawdzać, co przyszło. Nie chciała już cierpieć. Wolała zapomnieć o tej wiadomości aż do chwili, gdy przestanie ona mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Przypomniała sobie szydercze słowa Lalkarza: „Są jeszcze inni, na których pani zależy”.

W jej myślach obudził się chór głosów: *Gdybyście ich żywych puścili, nie zabiłbym was.*

Zagłuszyła w sobie słowa Pisma.

Otworzyła wiadomość. Obraz się załadował. Na widok kolejnego życia, jakie jej odbierano, poczuła palącą kulę w gardle. Zapięły ją oczy.

Neeva nie ruszyła się z miejsca. Jej mina zdradzała przerażenie.

– Kto tym razem? – wyszeptała.

Munroe, zamiast odpowiedzieć, zdjęła tylną osłonę telefonu i wyjęła baterię.

– Czego oni chcą? – spytała dziewczyna.

Munroe wrzuciła rozmontowaną komórkę z powrotem do plecaka i spojrzała na Neewę.

– Ciebie – odparła szeptem. – Ciągłe ciebie.

Rozdział 30

Poczekalnia konsulatu już od jakiegoś czasu była pusta i Munroe bez skrępowania wyciągnęła się na większej kanapie, z jedną ręką na twarzy, a drugą przy boku. Godzina do kontaktu z Bradfordem. Godzina z myślami o ostatnim popisie Lalkarza – podstępnie, który sprawiał, że przewracały się w niej wnętrzności, i podsycał zżerający ją ogień nienawiści.

Unosiła się nad otchłanią. Przed upadkiem chroniła ją tylko siła woli. Odcięła się od świata, pogrążając w ciemności – jedynie w ten sposób mogła wytrzymać w takim bezruchu. Czekala, aż minie wyznaczony czas, aż będzie mogła wziąć sprawy w swoje ręce i na zawsze przerwać to pasmo cierpienia. Wiedziała, że aby tak się stało, musi znowu zabić albo sama zginąć.

Za ścianą Neeva rozmawiała z personelem konsulatu, który poświęcał jej teraz całą uwagę. Do Munroe docierały jedynie niezrozumiałe pomruki. Wyobrażała sobie krążące e-maile. Ktoś się komuś zwierzył, ten przesłał wiadomość dalej i nagle, nie wiadomo jak, wieść o tym, że Neeva się odnalazła, trafiła do sieci i na portalach zawrzało od plotek. Każdy, kto miał jakąś opinię, natychmiast stawał się ekspertem. Dziewczyna mogła wrócić do dawnego życia i do jakiejś normalności. Tym razem jednak miała jej towarzyszyć rzesza reporterów, windując ją na kolejny poziom popularności.

Munroe cieszyła się z tego. Przynajmniej historia Neevy miała szczęśliwe zakończenie. Wreszcie mogła zamknąć ten rozdział i skupić się na tym, co jeszcze musiała zrobić. Gdy upłynęła godzina – co do minuty – wstała z kanapy, podeszła do szklanej przegrody i zapukała, żeby zwrócić uwagę którejś z urzędniczek. Ponownie poprosiła o możliwość skorzystania z telefonu. Kobieta w okienku – uprzejma i profesjonalna – spełniła jej prośbę, ale Munroe wyczuwała, że jej obecność jest dla konsulatu niewygodna.

Nie musiała słyszeć szeptów ani widzieć ukradkowych spojrzeń, i tak wiedziała, że jej rola w wydarzeniach budzi wątpliwości, których nikt nie potrafił wyjaśnić. Personel konsulatu nie miał upoważnienia, aby ją zatrzymać i przesłuchać, dlatego wszyscy skupili się na Neevie, a ją zostawili w spokoju. Ograniczali się do zapewniania jej tego, o co prosiła.

Kobieta w okienku podała jej słuchawkę pod szklaną przegrodą i wybrała numer.

Tym razem Bradford nie odebrał od razu. Liczyła dzwonki. Wewnętrzne napięcie, nad którym dotąd panowała, łagodząc je kolejnymi porcjami tlenu, rosło w postępie geometrycznym wraz z każdym długim sygnałem – lęk przed utratą jeszcze jednej ważnej części życia – rytmiczne dudnienie, które narastało do szaleńczej prędkości – dowód, jeśli w ogóle takiego potrzebowała, że nadal stąpała po ostrej jak brzytwa krawędzi zdrowych zmysłów. W końcu się połączyła.

– Już jestem – wysapał Bradford, tak jakby biegł do telefonu.

Wewnętrzna presja ustąpiła, zapadła się w tymczasowy spokój.

– Wszystko załatwione – dodał – ale nie znalazłem nic bliżej niż w Mediolanie. Możesz się dostać do Włoch?

Munroe zamknęła oczy i westchnęła. Kolejna trasa. Znów zmarnowany czas.

– Tak – powiedziała. – Dam radę.

– Jeszcze nie znalazłem żadnych oficjalnych ostrzeżeń na twój temat – przyznał. – Oczywiście to nie znaczy, że cię nie szukają. Po prostu ja na nic nie natrafiłem. Masz dostęp do e-maila?

W poczekalni był komputer. Konsulat na pewno podłączyłby go do Internetu, gdyby o to poprosiła.

– Mogłabym zajrzeć na moje konto w „Race or Die” – powiedziała.

– Wyślę ci ogólne wskazówki. Będziesz miała od czego zacząć. Zadzwoń do mnie z Włoch, to podam ci dokładny adres. Wybacz, że nie od razu. – Na moment przerwał. – Masz jakieś pieniądze? – spytał.

– Niecałe siedemdziesiąt euro – odparła. – Wystarczy, żeby dotrzeć do Mediolanu... Miles, oni mają Alexis – dodała po chwili wahania.

Bradford milczał przez długą sekundę.

– Obawiałem się, że do tego dojdzie – przyznał. – Próbowałem ją chronić. Kiedy zniknęłaś, zaczęliśmy kopać w poszukiwaniu informacji i natknęliśmy się na trop w tamtych materiałach Burbanka. Pojechałem do Kate, licząc, że może ona wie, o co chodzi. Wiesz, Michael, że ona wciąż się bawi w pośredniczenie? Nawet zza krat? Tylko że teraz nie działa w twoim imieniu, ale przeciwko tobie. Traktuje to jak swoje magnum opus. Porachunki, tak powiedziała. Złożyła w sądzie apelację. Następna rozprawa ma się odbyć za kilka dni. Chyba nie spodziewa się, że przetrwasz grę, którą ustawiła, ale podejrzewam, że bez względu na wynik planuje zniknąć. Mam tam chłopaków, którzy pilnują rozwoju sytuacji. Nie chcę stracić jej z radaru.

Munroe zapisała w pamięci każde jego słowo, przedarła się przez gąszcz prawdopodobnych scenariuszy i w końcu powiedziała:

– Grożą, że oddadzą klientowi Alexis, jeśli nie zwrócę im Neevy... ale to nie wszystko...

W skrócie nakreśliła sens całego układu, swoje obawy na temat klienta i tego, jaki los czekał dziewczynę, która wpadłaby w jego łapy. Kiedy skończyła, zacisnęła powieki, próbując odsunąć od siebie gorzkie myśli.

– Zmuszają mnie, żebym zadecydowała, kto ma umrzeć, a kto żyć – powiedziała. – Jeśli tego nie zrobię, i tak będzie to równoznaczne z podjęciem decyzji.

– Co zamierzasz?

– Trzymać się planu. Jeśli nie Neeva i nie Alexis, następna będzie Tabitha, ty albo jeszcze ktoś inny. Ten koszmar nigdy się nie skończy, chyba że ktoś go przerwie. – Odetchnęła głęboko. – Zdjęcie, które mi przysłali, zostało zrobione przed jej domem, w biały dzień. Znajdź ją dla mnie, proszę cię, Miles. Jeśli tylko zdołasz. Wiem, to nie fair, że zrzucam na ciebie taki ciężar. Przykro mi. Tylko w ten sposób dam radę o tym nie myśleć. Uwolnij mnie, żebym mogła zrobić to, co muszę.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – obiecał. – Mój przyjaciel będzie miał dla ciebie telefon. Masz do mnie zadzwonić. – Zrozumiała to, czego nie dopowiedział. Miała do niego zadzwonić, żeby mogli swobodnie porozmawiać.

– Obiecuję.

– Kocham cię – powiedział.

– Bardzo – wyszeptała.

Oddała słuchawkę urzędnicze i przez chwilę siedziała bez ruchu, myśląc o tym, jak bardzo starała się chronić Alexis przez te wszystkie lata. Wszystko na marne. Na palcach jednej ręki mogła policzyć ludzi, przed którymi tak się otworzyła: Logan, Bradford. Kate Breeden i jeszcze dwóch mężczyzn – dawno zapomnianych – których przyprowadzała kiedyś do domu swojej siostry, Tabithy, żeby ją szokować. W tamtym okresie nie umiała się przystosować do życia na amerykańskim przedmieściu.

Pierwsze lata w Stanach okazały się wyjątkowo trudne.

Nie była wyczekiwany dzieckiem. Sprawiała niespodziankę rodzicom – misjonarzom – którzy sądzili, że etap wychowywania dzieci mają już za sobą. Kiedy skończyła sześć lat, najbliższy wiekiem brat, który opiekował się nią bardziej jak ojciec, osiągnął pełnoletność i wyjechał z Afryki do ojczyzny. Były jeszcze dwie starsze od niego siostry, które zostały w Dallas, kiedy matka i ojciec postanowili się przenieść do Kamerunu. Zanim Munroe, tuż przed osiemnastymi

urodzinami, pojawiła się bez uprzedzenia na progu Tabithy, wszelkie kontakty rodzinne ograniczały się do sporadycznych listów i fotografii, które otrzymywała do czternastego roku życia, kiedy to na dobre wyprowadziła się z domu.

Była nie tyle czarną owcą, ile wymazanym z albumu dzieckiem. Zrezygnowała z prób podtrzymywania więzi z siostrami, których nigdy nie spotkała, i bratem, który ją opuścił. Przestało jej również zależeć na aprobacie rodziców. Wolała szukać sobie własnego miejsca na kameruńskiej ziemi, ale w końcu musiała uciekać przed przemocą i w wieku siedemnastu lat wylądowała w kraju, z którym nie wiązało jej nic, prócz paszportu i obcych ludzi, nazywanych przez nią rodziną.

Wprowadziła się wtedy do Tabithy. Zamieszkała z kobietą, która mogłaby być jej matką i która przyjęła ją serdecznie z uwagi na pokrewieństwo, ale nie umiała jej szczerze zaakceptować. Najstarsza córka Tabithy, Alexis, zastąpiła Munroe prawdziwe rodzeństwo. A teraz miał ją Lalkarz.

Wstała. Tak jak wcześniej nie mogła sama uratować Logana, tak teraz musiała zapomnieć o innej ważnej osobie, aby skupić się na tym, co należało zrobić. Postanowiła nie zawracać sobie głowy odbieraniem maila od Bradforda. Wiedziała, dokąd ma jechać. Nawet gdyby skorzystała z Internetu tutaj, w konsulacie, szczegóły i tak miała poznać dopiero we Włoszech.

Gdyby Neeva była samą, Munroe zajrzałyby do niej, żeby się pożegnać, ale w tej sytuacji wolała nie zwracać na siebie więcej uwagi. Z pierwszego pomieszczenia zabrała plecak z mapami, taśmą, nawigacją, kawałkami telefonu Arbena i wszystkim, co wrzuciła do środka, zanim podpaliła opla. Ponownie przeszła przez detektor metalu – jedyną drogę do wyjścia z konsulatu – ale zanim wydostała się na korytarz, boczne drzwi się otworzyły i stanęła w nich Neeva.

Dziewczyna ruszyła za Munroe do windy.

– Już wyjeżdżasz? – spytała.

– Aha – potwierdziła Munroe i zamiast czekać na windę, skrzyła na schody.

Neeva nie zrezygnowała.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.

– To niezbyt dobry moment, Neevo.

Dziewczyna zeszła za nią na półpiętro.

– Chodzi o ważną sprawę.

Munroe przystanęła na podeście drugiego piętra. Odwróciła się przodem do dziewczyny, która znajdowała się kilka kroków za nią.

– Wracaj na górę – powiedziała. – Napiszę do ciebie. Znajdziemy jeszcze okazję, żeby pogadać.

Neeva zrównała się z nią.

– Chcę jechać z tobą.

Munroe zastygła w pół kroku. Słowa dziewczyny zabrzmiały jak ogłuszający brzdęk talerzy perkusji. Ich wibrujące dzwonienie rozeszło się wokół i zagłuszyło inne dźwięki.

– Zwariowałaś? – syknęła Munroe. Zaczęła schodzić po dwa stopnie naraz, ale znowu się zatrzymała. – Ryzykowałam własne życie i życie ludzi, których kocham, żeby odstawić cię w bezpieczne miejsce. Zostaw mnie. Masz szansę być wolna. Wracaj do domu.

Piętro wyżej otworzyły się drzwi klatki schodowej i strażniczka, która wyszła w ślad za Neewą, przechyliła się przez barierkę. Na widok ich min zbiegła kilkanaście stopni w dół.

– Neevo? – zawołała do dziewczyny. – Wszystko w porządku?

Jej głos brzmiał przyjaźnie, ale wyraz twarzy i postawa zdradzały niechęć, którą Munroe czuła, odkąd się tu zjawiła. Neeva odwróciła się do strażniczki, a Munroe wykorzystała to i znowu zaczęła zbiegać po dwa stopnie. Wolała nie przedłużać tak absurdalnej rozmowy.

Neeva, zamiast odpowiedzieć na pytanie, ruszyła za nią.

Na parterze Munroe pchnęła drzwi do holu i była w połowie drogi do głównego wyjścia, kiedy usłyszała za sobą głos dziewczyny.

– Michael, proszę, pozwól mi jechać z tobą.

– Wracaj na górę – rzuciła do niej.

Neeva przyspieszyła kroku, żeby ją dogonić.

– Nie wrócę – zaproponowała z tym swoim przeklętym uporem i zaciekłością, które ściągnęły na nie tyle kłopotów na pierwszym odcinku podróży z Zagrzebia.

Munroe odwróciła się gwałtownie i niemal zderzyła z dziewczyną.

– Co się z tobą dzieje, do cholery? Masz pojęcie, ile ryzykowałam, żeby cię tu przywieźć? Przez ciebie zginęli ludzie. Masz szansę wyrwać się z tego bagna. Idź. Wracaj do domu. Bądź wolna. Żyj swoim życiem.

Neeva stanęła z założonymi rękami.

– Nie.

– Wracaj, do cholery, na górę, bo jak nie, to zaciągnę cię tam za włosy.

– Nie zrobisz tego. – Dziewczyna bezczelnie wysunęła podbródek. – Tamci w konsulacie i tak już ci nie ufają. Po cichu zastanawiają się, czy miałaś coś wspólnego z porwaniem. Nie będziesz ryzykowała. Jesteś na to za inteligentna.

– Pieprz się. Nie zamierzam dłużej odpowiadać za twoje życie. – Munroe odwróciła się do dziewczyny plecami i wyszła z chłodnego, cichego korytarza na hałaśliwą i ruchliwą ulicę.

Neeva zrobiła to samo. Dudnienie w piersi Munroe zabrzmiało w zawrotnym tempie. Zginął Noah i ryzykowała życie Logana, żeby uwolnić Neewę od Lalkarza. Przywiozła ją w bezpieczne miejsce, licząc, że pozbędzie się odpowiedzialności za dziewczynę, przetnie sznurki, które sterowały nią jak marionetką, i zakończy to szaleństwo.

Obłąd.

Lumani był gdzieś tu... prawdopodobnie nie sam. Jeśli miał w okolicy swoich ludzi, na pewno ściągnął posiłki w ciągu tych kilku godzin, które spędziły w konsulacie. Teraz tylko czekał i obserwował. Tymczasem ona znowu znajdowała się na ulicy – migający punkt, nad którym unosiła się chmurka z napisem: „Złap mnie, jeśli potrafisz” – a obok siebie miała Neewę, tak jakby koszmar ostatnich dwudziestu czterech godzin, ofiary i cierpienie, poszły na marne.

Wlepiała wzrok w puste miejsce po motorze. Ktoś go ukradł albo zabrała go policja – mogła się jedynie domyślać. Poczowała mrowienie na karku, nieomyślne przeczucie, że jest obserwowana. Przeniosła spojrzenie na niewielki park po przeciwnej stronie ulicy, a stamtąd na okoliczne budynki. Pewnym krokiem zaczęła się oddalać od konsulatu w kierunku przeciwnym do morza. Na pierwszym skrzyżowaniu niespodziewanie skręciła, na kolejnym również. Za każdym razem robiła to dosłownie w ostatniej chwili, tak jakby w myślach rzucała monetą. Jednocześnie przez cały czas przyglądała się dachom, balkonom, oknom i chodnikom, szukając czegoś, co zdradziłoby strzelca.

Bez względu na tempo dziewczyna trzymała się w takiej samej odległości – nie obok i nie tuż za nią jak cień, ale kilka kroków z tyłu, tak że nie dało się jej dostrzec kątem oka. Szła, odpowiednio dopasowując tempo. Munroe nie odwracała głowy ani się nie zatrzymywała, aby ocenić dystans, ale czuła obecność Neevy, tak jakby dziewczyna napinała struny jej świadomości.

Zmierzały prostą drogą do obłędu, do śmierci. To nie miało żadnego sensu, nie służyło żadnemu celowi. Burzyło jej poczucie sprawiedliwości. Szydziło z życia, którym okupiła bezpieczeństwo nastolatki, i z wyborów, jakich dokonała. Minęła pustą wnękę z drzwiami, do których prowadziło kilka stopni. Niespodziewanie się

cofnęła i chwyciła Neewę. Pchnęła ją na schodki. Chwyciła za kurtkę pod samym gardłem dziewczyny.

– Oni cię zamordują – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Neeva znowu wysunęła podbródek.

– Każdego czeka śmierć – oznajmiła, nawiązując do tego, co Munroe powiedziała po walce z Arbenem. – Pozostaje tylko pytanie, jaki będzie ostateczny cios.

– Nie! – Munroe jeszcze mocniej zacisnęła kurtkę i napała na dziewczynę tak, że głowa Neevy uderzyła o mur. – Nic nie rozumiesz. Pamiętasz tamtego gościa z pieskiem? W Monako? To psychopatyczny sadysta. Najpierw porznie cię na kawałki, powolutku, bo będzie mu to sprawiało wielką frajdę. Zanim cię zabije, będzie cię torturował dla własnej przyjemności, będzie się podniecał, patrząc, jak krwawisz i cierpisz. Jesteś w stanie to pojąć? – Pchnęła dziewczynę jeszcze raz. Mocno. Ze złością. – To, że teraz tu stoję i prowadzę z tobą tę kretyńską rozmowę, zwiększa ryzyko, że ktoś inny zginie właśnie w ten sposób.

Neeva wparła się w nią dłońmi.

– To ty nic nie rozumiesz. Wiem coś, czego ty nie widzisz.

Munroe rzuciła plecak na ziemię i kopniakiem strąciła go ze stopni.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – spytała przyciszonym głosem.

– Nie jestem głupią, w czepku urodzoną, zepsutą gówniarą, za jaką mnie uważasz. – Neeva również zniżyła głos. Przestała stawiać opór, gdy poczuła, że Michael rozluźniła uścisk. Osunęła się nieco w dół i stanęła na własnych nogach. – Wiem, że mnie nie lubisz – powiedziała szeptem, wyrzucając z siebie słowa w pośpiechu, tak jakby się bała, że nie starczy jej czasu na wyjaśnienie tego, po co przeszła taki kawał. – Myślisz, że nie rozumiem, jaką cenę zapłaciłaś za to, żeby mnie uratować. Wydaje ci się, że marnuję szansę na życie. Ale ja nie jestem głupia ani niewdzięczna. Zdaję sobie sprawę, co dla mnie zrobiłaś i że z tego powodu zginęli ludzie. Nie wiem, dlaczego tym bydlakom aż tak

bardzo na mnie zależy, ale widziałam twoją twarz, kiedy odebrałaś ostatnią wiadomość. Nie musisz nic mówić, i tak rozumiem. Ktoś znowu przeze mnie zginął albo zginie. Ilu jeszcze zabiją? – Głos Neevy się załamał. Spojrzała prosto na Munroe. – To niesprawiedliwe... jedno życie za tyle.

Obraz Noaha jak miraż na pustyni – jego ciało na ziemi, ciemne ślady na skroni – zatańczył przed oczami Munroe. Zaciśnęła zęby.

– Szkoda, że nie doszłaś do tego wniosku dwadzieścia piekielnych godzin wcześniej.

– Wtedy jeszcze nie rozumiałam. Nie docierało do mnie, co się dzieje... zorientowałam się dopiero w konsulacie, kiedy zaczęli mi mówić o tym, co już wcześniej wiedzieli. A potem przysłała ta wiadomość i zobaczyłam twoją twarz i... – Neeva umilkła. – Skąd miałam wiedzieć? – spytała błagalnym tonem.

Munroe przełknęła wściekłość i jad. Propozycja Neevy była jak chleb dla głodnego – bardzo chciała na nią przystać, ale nie mogła.

– Zjadłaś walczyłaś, a teraz tak po prostu zamierzasz się poddać? – powiedziała. – Przecież wiem, że chcesz żyć.

Do oczu Neevy napłynęły łzy.

– Tak – wyszeptała. – Bardzo chcę... niczego tak nie pragnę jak szansy na życie.

– Więc dlaczego zmieniłaś zdanie? Odstawiłam cię w bezpieczne miejsce – powiedziała. – Zdołałam to, kurwa, zrobić – dodała szeptem – wbrew wszystkiemu, czego chciałam, wbrew wszystkiemu, czym jestem. Poświęciłam wszystko, żeby cię tu przywieźć, a teraz ty chcesz to zmarnować?

– Ja naprawdę nie wiedziałam – powtórzyła dziewczyna. – Nie miałam pojęcia, ile cię to kosztowało. Myślałam, że jesteś taka jak oni... ci, którzy mnie porwali.

– I teraz dobrowolnie pchasz się w łapy tych samych ludzi... tamtego *zwrodnialca*? – Munroe wypluła z siebie ostatnie słowo.

Policzki Neevy zaczerwieniły się i dziewczyna pokręciła głową.

– N-nie... To nie tak. Wiem, że coś planujesz. Chcesz się na nich zemścić. Tamtym ciągle na mnie zależy, więc pomyślałam, że może ci się przydam... do zasadzki albo jako karta przetargowa... coś w rodzaju przynęty.

Munroe puściła kurtkę Neevy.

– Boże, jaka ty jesteś naiwna. I z *tego* powodu opuściłaś bezpieczny konsulat? Jesteś młoda, głupia i nic nie rozumiesz. Nie cierpię tego w tobie i jednocześnie uwielbiam.

– Ale to możliwe, prawda? Możesz potraktować mnie jako przynętę? Przydam ci się?

Munroe rozejrzała się wokół. Stanowczo za długo tutaj stały. Musiały ruszać. Zamknęła palce wokół bicepsu Neevy i pociągnęła ją na chodnik.

– Chyba wiesz, co się dzieje z przynętą, kiedy zarzucasz wędkę?

Neeva spojrzała na nią zdziwiona.

Munroe westchnęła i podniosła plecak.

– To nie Hollywood, Neevo. I nie plan filmowy. W prawdziwym życiu przynęta ginie.

– Nie wydaje ci się, że to wszystko jest zupełnie pochchrzanione? Dlaczego oni mogą bezkarnie porywać kobiety i sprzedawać je... robią, co chcą, biorą, co chcą, i nikt im nie przeszkadza. Ale ty jesteś inna. Masz plan. Naprawdę chcesz coś zrobić. Wiem, że oni są niebezpieczni, i nienawidzę ich, ale mam szansę, żeby coś zmienić. Mogę ci pomóc.

Munroe przez chwilę przyglądała się dziewczynie, marnując cenne sekundy, próbując zrozumieć, co kazało Neevie za nią iść. Chciała pojąć, na czym tak naprawdę zależało dziewczynie, ale w jej twarzy nie znalazła odpowiedzi, więc ruszyła dalej w milczeniu. Neeva szła obok,

szybko przebierając nogami, żeby dotrzymać tempa długim krokom towarzyszki.

Teraz już nie miało znaczenia, czy Munroe chciała zabrać ją ze sobą. Nie miała czasu ani chęci, żeby odprowadzić dziewczynę do konsulatu, a nie mogła pozwolić, żeby wróciła tam sama, bo Lumani mógł ją zgarnąć po drodze.

– Musimy załatwić ci jakiś kapelusz – stwierdziła – i inne ciuchy. – Ponownie zniżyła głos do szeptu. – I nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa. Mam teraz inne priorytety.

– Sama podjęłam decyzję – odpowiedziała Neeva również szeptem – i sama będę za siebie odpowiadała. – Umilkła niepewnie. – Ale mogę na ciebie liczyć, prawda?

– Tak. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nic ci się nie stało, ale lepiej, żebyś się bała.

– Przecież się boję.

– To dobrze. Przynajmniej nie jesteś zupełnie szalona. Musisz zdawać sobie sprawę, że jutro pewnie obie będziemy pokarmem dla rybek. Szanse na to są ogromne.

Michael obejrzała się przez ramię. Sprawdziła ulicę w obu kierunkach. Przeszła z Neewą na drugą stronę.

– Przecież nie podjęłabyś się tego, gdybyś nie wierzyła, że ci się uda – stwierdziła dziewczyna.

Munroe zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na nią twardo.

– Mylisz się – oznajmiła. – Podejmuję się tego, bo nie mam innego wyboru. Jeśliby wszystko poszło zgodnie z ich planem i dostarczyłabym cię klientowi, tak jak tego żądali, bliscy mi ludzie i tak nie byłiby bezpieczni, dopóki ja żyję. Nawet gdybym teraz oddała cię tamtym, i tak by mnie zabili. Tak czy siak, jestem martwa.

Rozdział 31

Munroe polowała na jakiś środek transportu, wędrując bocznymi uliczkami Nicei. Tutaj pieszych nie było aż tak wielu i mniej osób zwracało na nie uwagę, choć nawet z dala od głównych ulic i zatłoczonych chodników od czasu do czasu jakiś przechodzień oglądał się za Neevą i jej dziwnym strojem, który wprawdzie odwracał uwagę od jej twarzy i służył za skuteczne przebranie, ale jednocześnie przyciągał wzrok.

Neeva chyba nie rozumiała, jakim ciężarem jest dla towarzyszki, bo szła wyprostowana, z podniesioną głową. Zirytowana tym Munroe szturchnęła ją łokciem.

– Broda do dołu, oczy w chodnik – nakazała. – Chyba że chcesz zostać rozpoznana i zatrzymana.

Dziewczyna pochyliła głowę, a Munroe pociągnęła ją za kolejny róg, w nową uliczkę. Pilnowała, aby ich trasa biegła jak najbardziej przypadkowym i najmniej przewidywalnym torem, żeby Lumani był zmuszony podążać ich śladem i nie mógł – nawet mając posiłki – przygotować zasadzki.

Kolejna przecznica, kolejny zakręt i wreszcie na wąskiej uliczce, której całą jedną stronę zajmowały samochody zaparkowane przy samym krawężniku, żeby drugi pas zostawić przejeżdżającym w obu kierunkach pojazdom, Munroe znalazła to, czego szukała – auto na tyle zwyczajne, że nie rzucało się w oczy, dostatecznie nowe, żeby nie martwić się jego stanem, a zarazem dość stare, żeby je odpalić „na krótko”.

W dodatku nie było zamknięte.

Z plecaka wyciągnęła taśmę, oderwała kawałek zębami i rzuciła resztę rolki oraz plecak do Neevy.

– Wsiadaj do tyłu – powiedziała. – I bądź czujna. Daj mi znać, jak zobaczysz, że zbliża się ktoś ciekawski albo wkurzony.

– Kradniemy samochód tak z ulicy?

Munroe otworzyła przednie drzwi po stronie pasażera i głową kiwnęła w stronę przecznicy.

– Konsulat masz mniej więcej kilometr w tamtą stronę. Droga wolna. Chłoptaş pewnie zaraz cię dogoni i zaproponuje podwiezienie.

Neeva wsiadła na tylną kanapę.

Munroe sprawdziła ręczny hamulec i wrzuciła luz. Położyła się na podłodze w poprzek samochodu i wsunęła głowę pod kierownicę. Zdjęła plastikową osłonę kolumny i odszukała właściwe przewody.

– Rozumiesz, że właśnie stałaś się współodpowiedzialna? Już nie jesteś niewinną ofiarą. Ludzie w konsulacie widzieli, że wyszłaś za mną z własnej woli. Do niczego cię nie zmuszałam.

– Dlaczego próbujesz mnie nastraszyć? Doskonale zdaję sobie sprawę z konsekwencji.

Munroe pociągnęła kable do siebie.

– Tylko sprawdzam, czy nie zmieniłaś zdania. Musisz wiedzieć, że wciąż masz wybór między śmiercią a wolnością, która zresztą może się okazać daleka od marzeń.

Neeva w odpowiedzi prychnęła. Munroe z kawałkiem taśmy przyklejonym do czoła paznokciami i zębami zdarła izolację z przewodów. Poszłoby jej szybciej, gdyby miała wprawę, ale sporo czasu minęło, odkąd razem z Loganem bawili się w anarchistów, kradnąc cudze samochody. Oboje byli wtedy głupimi małolatami.

Silnik zaskoczył. Munroe owinęła taśmą nagie przewody, wysunęła spod deski rozdzielczej i usiadła za kierownicą. Sprawdziła poziom paliwa. Trzy czwarte baku. Pochyliła się do drzwi pasażera i zatrzasnęła je, a potem wrzuciła bieg. Liczyła, że nie będą musiały się zatrzymywać aż do samego Mediolanu. Wolała nie powtarzać całego procesu jeszcze raz, a ponieważ autostradą mogły dotrzeć do granicy w czterdzieści minut – bo tym razem wiedziała, że Neeva nie zacznie walić w szyby ani

wołać o pomoc do mijających ich kierowców i ludzi w punktach pobierania opłat na autostradzie – szansa, że znajdą się we Włoszech, zanim ktoś zgłosi kradzież samochodu, była spora.

Munroe sprawdziła, czy nikt nie nadjeżdża, i włączyła się do ruchu.

– Jeśli wrzucisz plecak na tył, możesz przejść do przodu – powiedziała do Neevy.

Dziewczyna przerzuciła bagaż za tylną kanapę i przecisnęła się między przednimi fotelami, walcząc z kurtką i sukienką, które ograniczały jej ruchy.

– Nowe ubranie bardzo by mi się przydało – stwierdziła i zapięła pas. – Dlaczego cały czas unikasz plecaka?

Munroe spojrzała we wsteczne lusterko. Wiedziała, że Lumani gdzieś tam jest – i wiedziała, że on wie, że ona wie. To, że wciąż jeszcze się nie ujawnił, wzmagало jej niepokój. Skręciła w główną ulicę. Instynkt doprowadził ją do znaków, a one z kolei wskazały, którądy dojedzie do autostrady. Zerknęła na Neevę i zobaczyła, że dziewczyna patrzy na nią wyczekująco.

– Co jest?

– Pytałam o plecak. Dlaczego go unikasz?

– W telefonie jest namierzacz i pluskwa. Wprawdzie wyjęłam baterię, ale wolę nie ryzykować.

Neeva zmarszczyła czoło. Ta sama dziewczyna, która, świadoma tego, że śledzą ją zabójcy i porywacze, paradowała ulicami Nicei z wysoko podniesioną głową, spojrzała na Munroe z wyrzutem, tak jakby poczuła się zdradzona.

– Dlaczego go nie wyrzuciłaś?

– Ha! Znalazła się specjalistka.

Neeva splotła przed sobą ręce i wlepiła wzrok we własne kolana.

– Tylko w ten sposób mogę się z nimi skontaktować – wyjaśniła Munroe. – Muszę jeszcze załatwić kilka rzeczy, zanim się go pozbędę.

Posłuchaj, sama zdecydowałaś, że jedziesz ze mną.

Nikt cię nie prosił. Jeśli chcesz mi towarzyszyć, siedź cicho i nie zapomnij, że masz mnie we wszystkim słuchać. Przestań na każdym kroku kwestionować moje decyzje, bo słowo daję, oddam cię, żebyś nie zawracała mi więcej głowy. Teraz masz być cicho.

– Ale ja tylko zadałam pytanie – zaproponowała Neeva.

– Działasz mi na nerwy. Nie jestem twoją przyjaciółką. To, że ocalałam ci życie, nie oznacza, że jestem dobra. Nie zrobiłam tego dla ciebie, miałam własne powody... podobnie jak ty nie jesteś tu ze względu na mnie, tylko na siebie. Na razie jesteśmy skazane na ten telefon. Musimy działać szybko, stale wyprzedzać ich o krok i nie mówić nic, co mogłoby im dać przewagę. Rozumiesz?

Neeva kiwnęła głową.

– Nie jestem idiotką – oznajmiła i Munroe uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Całe szczęście – stwierdziła. – Kiedy zdobędziemy porządny telefon, musisz zadzwonić do rodziców.

– I co niby mam im powiedzieć?

– Na początek może to, że nie zostałam znowu porwana, bo cholernie ułatwi mi to życie. Lepiej, żeby mojej gęby nie pokazywano w wiadomościach na co drugim kanale, zaraz obok twojej. A skoro nie skorzystasz z lotu, który dla ciebie zarezerwowali, powinni chyba wiedzieć dlaczego.

Neeva westchnęła.

– To nie będzie przyjemna rozmowa.

– Witaj w świecie trudnych wyborów. Zdecydowałaś się na bardzo odważną rzecz, ale zostanie ona doceniona, pod warunkiem że twoi bliscy będą wiedzieli, że robisz to z własnej woli.

Autostrada z Nicei wiodła od wybrzeża nieco dalej w głąb lądu niż drogi regionalne. Malowniczym szlakiem prowadziła prosto do Włoch,

omijała kontrolę graniczną, przecinała góry tunelami, obiegała miasta obwodnicami i drwiła z czasu, jaki zabrało im pokonanie tej samej trasy w przeciwną stronę.

Munroe trzymała się jej, dopóki nie minęły Genui. Dalej piękno i majestat wybrzeża, gór i tuneli ustępowały nijakim krajobrazom przemysłowym. Pieniędzmi Arbena zapłaciła za przejazd i zjechała z autostrady. Węższe drogi oznaczały mniejszą prędkość, ale na takich szlakach sama moc silnika nie wystarczyłaby, żeby je wyprzedzić – bez względu na to, jakim wozem jechał Lumani.

– Co się stało z tamtym facetem z blizną? – spytała Neeva, przerywając ciszę.

Munroe zerknęła na nią, ale nie odpowiedziała.

– W konsulacie wspomniałaś, że chłoptaś ciągle kręci się w pobliżu. A potem mówiłaś tylko „on” albo „jego”, tak jakby został tylko jeden. Co się stało z tym drugim? Przyjechał za nami na tamten parking?

– Niektórych tematów lepiej nie poruszać – stwierdziła Munroe.

Neeva wlepiła wzrok w swoje dłonie.

– Jestem tu z własnej woli, więc chyba zasługuję, żeby wiedzieć.

– Nie żyje – poinformowała Munroe, a dziewczyna z zadowoleniem kiwnęła głową.

Do Mediolanu wjechały od południa, kierując się według drogowskazów do centrum. Kiedy zanurzyły się zupełnie w miejskiej cywilizacji, Munroe zaczęła się rozglądać za metrem. Przejechała przez osiedle bloków mieszkalnych i dotarła do stacji Famagosta, przy której znajdował się dworzec autobusowy i parkingi. Wjechała po rampie na pierwszy z brzegu. Znalazła puste miejsce, wyłączyła silnik i zostawiła samochód.

Stacja metra, na którą zjechały długimi, ruchomymi schodami, była czysta i dobrze oświetlona. Pociągi często kursowały stąd do centrum Mediolanu. Munroe kupiła bilety w automacie. Cena – jedno euro za

podróż – wydawała się szokująco niska. Z tunelu co chwila buchały poddmuchy gorącego powietrza, przynosząc ze sobą duszny zapach metalu, płynu hydraulicznego i oleju maszynowego – charakterystyczną woń podziemnych przejazdów, którymi biegly tory. Przez cały czas szła z Neevą za rękę – chłopak i dziewczyna. I tak jak w Monako oraz w Nicei od czasu do czasu przechodnie przystawali albo oglądali się za dziwnym ubiorem, ale tym razem Neeva trzymała spuszczoną głowę, a uśmiechy i zupełnie jawna ciekawość świadczyły, że ludzie za bardzo skupiają się na samym przebraniu, nie zauważając, kto je ma na sobie.

– On nie przyjdzie tu za nami? – spytała szeptem Neeva.

Munroe pokręciła głową. Lumani byłby idiotą, gdyby próbował śledzić je w metrze. W takich miejscach jest mnóstwo kamer i ochrony, a poza tym mógł zwyczajnie przegapić pociąg, do którego wsiadły.

– Zaczeka, aż znowu wyjdziemy na powierzchnię.

Metrem dotarły do głównej stacji Mediolanu. Zbliżała się pora, o której ludzie kończyli pracę, i budynek zaczynały wypełniać pierwsze rzuty dojeżdżających. Munroe i Neeva wjechały o poziom wyżej, potem kolejny, do głównej hali zwieńczonej łukowym sklepieniem. Po jednej stronie znajdowały się wejścia na perony pociągów dalekobieżnych, po drugiej – drzwi na zewnątrz. Właśnie wtedy przetaczały się fale miejscowych i zagranicznych podróżnych, setki tysięcy osób każdego dnia.

Neeva okręciła się wokół własnej osi i zadarła głowę, z zachwytem podziwiając halę, którą wielu uważało za najpiękniejszy dworzec na świecie. Potknęła się. Munroe ją złapała.

– Zwiedzanie może się źle dla ciebie skończyć, jasne? Skup się.

Ulice na zewnątrz były zaśmiecone, wąskie i tłoczne. Munroe omiotła wzrokiem witryny sklepowe, szukając tego, co musiało się znajdować gdzieś w pobliżu stacji. W końcu dostrzegła niewielki lokal wciśnięty w szereg małych sklepików. Jego okna były niemal zupełnie

zaklejone kolorowymi reklamami kart telefonicznych i podróży, zachwalającymi najniższe ceny do większości popularnych miejsc w krajach Trzeciego Świata. Biuro oferowało również tanie międzynarodowe rozmowy i Internet na minuty.

Weszły do środka. Munroe posadziła Neewę blisko wyjścia, skąd dziewczyna mogła obserwować ulicę przez szpary między plakatami na szybach. Wręczyła jej plecak.

– Jeśli kogoś rozpoznasz – powiedziała – nie zgrywaj odważnej. To może głupio zabrzmieć, bo w końcu będę tuż obok, ale oni potrafią działać szybko. Na całe gardło wrzeszcz *fuoco* i rób jak najwięcej hałasu.

Neeva bezgłośnie powtórzyła słowo i przytaknęła.

– I nie stawaj w otwartych drzwiach. Jeśli on nas obserwuje, mógłby cię trafić nabojem usypiającym i błyskawicznie stąd wynieść.

Kolejne skinienie.

Munroe odwróciła się do lady. Starszy mężczyzna – chyba jedyny pracownik – wziął od niej pieniądze, jednocześnie zerkając na dziewczynę.

Automat telefoniczny najbliższej Neevy był zajęty, więc Munroe musiała skorzystać z dalszej budki. Starła się mieć dziewczynę na oku, jednocześnie wystukując na klawiaturze niekończący się szereg cyfr i kodów, żeby dodzwonić się do Bradforda. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Hej. Gdzie jesteś? – spytał.

– W Mediolanie.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale muszę się spieszyć, bo mam nie tylko ogon. Jest ze mną Neeva.

– Co?

– Wyjaśnię wszystko, jak będę miała więcej czasu.

– Skąd dzwonisz? Podaj mi adres – poprosił i Munroe odczytała nazwę i numer ulicy z paragonu.

Rzeczowym tonem, bez emocji, które towarzyszyły ich poprzednim rozmowom, Bradford tłumaczył jej, dokąd ma iść, a ona wszystko notowała. Wolała nie wpisywać adresu w przeglądarkę telefonu ani do nawigacji, na wypadek gdyby Lumani miał dostęp do obu tych urządzeń.

– Twój przyjaciel musi wiedzieć, że mam ogon – ostrzegła.

– Nie uwolnisz się?

– Oni są jak pluskwy, trudno się ich pozbyć.

– Uprzedzę go – powiedział Bradford. Munroe usłyszała w jego głosie uśmiech. – Pilnuj się.

– Będę się starała – odparła.

Kiedy skończyła rozmowę, Neeva nadal wyglądała przez okno, a stary za kontuarem nie spuszczał jej z oczu.

– Zauważyłaś coś? – spytała Munroe.

Dziewczyna pokręciła głową.

Trzy witryny w kierunku stacji okno sklepiku z odzieżą obwieszcało wyprzedaż. Weszły do środka. Przeliczyły pieniądze Arbena, znalazły luźną koszulę z długim rękawem, którą Neeva mogła włożyć na sukienkę zamiast kurtki, i stylowy kapelusz, żeby upchnąć pod nim loki.

Nowe dodatki niezupełnie zaradziły śmieszności całego stroju, ale przynajmniej teraz dziewczyna wyglądała tak, jakby celowo się w ten sposób ubrała – dzięki czemu nie zwracała aż takiej uwagi.

– Później znajdziemy ci coś lepszego – obiecała Munroe. – Na razie na więcej nas nie stać.

– Jest w porządku – oceniła Neeva.

Wróciły na stację i Munroe rozejrzała się w poszukiwaniu schowków bagażowych. Nie było ich w pobliżu, więc według znaków

skierowała się do *Deposito bagagli*, przechowalni bagażu, gdzie za odpowiednią kwotę można było zostawić uprzednio prześwietlony bagaż. Zatrzymała się na widok pięciosobowej kolejki. Powoli okręciła się wokół własnej osi, lustrując sklepiki i ludzi, sprawdzając, czy nikt nie przypatruje im się ze zbyt dużym zainteresowaniem. Zsunęła z ramienia plecak. Szybko wyciągnęła ze środka taśmę, telefon i dokumenty. Upchnęła wszystko – łącznie z rolką taśmy – w kieszenie kurtki, jeszcze raz dyskretnie się rozejrzała i wsadziła plecak z resztą zawartości do kosza na śmieci.

Neeva otworzyła usta, tak jakby chciała o coś spytać, ale się powstrzymała. Munroe ujęła dziewczynę pod rękę i skierowała na ruchome schody.

– Nie zatrzymuj się – rzuciła.

Gdyby mogła, zostawiłaby Neewę na stacji i wróciła po nią po skończonej robocie. Partnerzy zwykle potęgowali komplikacje. Przeważnie trzeba było na nich uważać i często po prostu zawadzali. Z uwagi na okoliczności, brak doświadczenia i niemal dziecięcą ufność Neeva stanowiła wyjątkowy ciężar.

Munroe jednak wolała się nie rozdzielać. Nie chciała ryzykować.

Mimo podstępu, do jakiego się uciekła.

Wiedziała, że jeśli Lumani jest choć w połowie takim drapieżnikiem i choć w ułamku takim strategiem, za jakiego go uważała, od razu się zorientuje, że ten postój na stacji, a potem nagły ruch drugiego lokalizatora, to zwykła próba zmylenia przeciwnika. Oczywiście na wszelki wypadek musiał sprawdzić każdy sygnał, a to mogło trochę potrwać. Właśnie dlatego zostawiła plecak i sprzęt – chciała zyskać na czasie.

Prowadziła dziewczynę szybko, klucząc między ludźmi. Ruchomymi schodami dostały się na ten sam peron, na którym wcześniej wysiadły. Musiały się cofnąć o kilka stacji. Gdy wreszcie przystanęły, Neeva

osunęła się po wykładanej płytkami ścianie, dysząc z wysiłku. Munroe rozglądała się po twarzach, czekając na automatyczną zapowiedź i charakterystyczny szum na torach. W końcu wagony z hałasem wtoczyły się na peron i zatrzymały z piskiem hamulców – szansa na kolejną przejażdżkę i chwilę wolności.

Oczekujący zbliżyli się do drzwi. Munroe pokierowała Neevą tak, aby dziewczyna znalazła się w samym środku sporej grupy, która odsunęła się na bok, robiąc miejsce wysiadającym. Obok schodów na sąsiednim peronie po raz pierwszy dostrzegła znajome rysy. Jej uwagę zwróciła plama koloru i błysk – tak jakby światło odbiło się w metalowej powłoce dużego nesesera.

Munroe wsiadła do wagonu i trzymając dłoń na ramieniu Neevy, ustawiła dziewczynę za innymi pasażerami, ale ten manewr i tak nie miał znaczenia. Lumani patrzył na nią z triumfalnym uśmiechem. Pociąg ruszył. Lumani dotknął palcem wskazującym czoła i potem skierował go w jej stronę.

– To był on? – spytała Neeva.

Munroe przytaknęła. Z kieszeni wyciągnęła elementy telefonu Arbena, włożyła baterię i włączyła urządzenie.

– Denerwujesz się?

– Jeszcze nie – wyszeptała Munroe, a dziewczyna pojęła aluzję i zamilkła.

Kiedy komórka wreszcie złapała zasięg, czekała na nie kolejna wiadomość. Nowe zdjęcie Alexis, tym razem nagiej, z zawiązanymi oczami, leżącej na betonowej podłodze z rozpostartymi rękami i nogami. Munroe zacisnęła zęby i wykasowała obraz. Musiała się skupić na zadaniu. Dekoncentracja prowadziła do błędów, a one do śmierci. Gdyby zginęła, wiele dziewcząt mogł spotkać ten sam los co Neevę i Alexis. Nie mogła zbaczać z obranego kursu.

Dłoń Neevy, ciepła i nieproszona, dotknęła jej ramienia.

Munroe stężała.

Neeva cofnęła rękę.

- Przepraszam. Zapomniałam.

Munroe kiwnęła głową i posłała Neevie wymuszony uśmiech na znak, że rozumie. W telefonie odszukała listę kontaktów, wzięła długopis i papier, które zabrała spod automatu telefonicznego, i zanotowała numery Lumaniego oraz Lalkarza. Potem dyskretnie wsunęła włączony telefon do kieszeni kurtki kobiety, która stała obok.

Rozdział 32

W milczeniu dotarły do stacji Cadorny i wyszły na otwarty plac, czysty i kolorowy, z autobusami, tramwajami i barwnymi rzeźbami. Po lewej stronie potężne mury Castello Sforzesco zapraszały turystów. Munroe, klucząc wśród pieszych, ruszyła w przeciwnym kierunku według wskazówek, jakie przekazał jej Bradford. Kilkanaście minut szły ulicą obsadzoną szpalerem drzew, których młode listki miały barwę jasnej zieleni.

Munroe ponownie sprawdziła zapisany na kartce adres i zatrzymała się przy lodziarni, która minimalistycznym, nowoczesnym wystrojem kontrastowała z okazałą, zabytkową budowlą, w jakiej się mieściła. Wewnątrz wybrała Neevie miejsce i dla zachowania pozorów normalności oraz dlatego, że ją samą nękał głód, wyciągnęła z kieszeni ostatnie euro, żeby kupić dziewczynie coś do jedzenia. Mężczyzna przy kasie przyglądał się jej uważnie.

Wydawał się bardzo młody, choć oceniała, że miał trzydzieści kilka lat. Był drobny i żyłasty. Gdyby kierowała się stereotypami, nie tak wyobraziłaby sobie znajomego Bradforda. Przyglądał się jej, nie odwracając wzroku. Tak jawne zainteresowanie oznaczało, że rozpoznał ją – albo Neewę – gdy tylko weszły do lodziarni.

Nie odrywając oczu od nowego wielbiciela, Munroe wręczyła Neevie gotówkę.

– Kup sobie coś, jeśli jesteś głodna – powiedziała – tylko się stąd nie ruszaj. Jeśli zobaczysz chłoptasia albo kogoś, kto wyda ci się znajomy, trzymaj się tych samych instrukcji co wcześniej.

Dziewczyna przytaknęła. Munroe ruszyła w stronę kasy. Mężczyzna w fartuchu wezwał jednego z pracowników, aby go zastąpił, i wyszedł zza lady. Przypadkowy świadek nie zorientowałby się, o co chodzi. Neeva również w niczym się nie połapała. Z pieniędzmi w dłoni

skierowała się do witryn z lodami. Tylko Munroe pojęła, że została zaproszona do środka.

Mężczyzna przeszedł na zaplecze przez wahadłowe drzwi niedaleko kasy. Munroe ruszyła za nim. Tylko raz zerknął za siebie, żeby się upewnić, czy go zrozumiała. Poprowadził ją wąskim korytarzem w kształcie litery L, obok chłodni i niewielkiej kuchni do drzwi, które jako jedyne miały cyfrową klawiaturę i skaner biometryczny. Przytknął kciuk do czytnika i drzwi się otworzyły z cichym kliknięciem.

Pomieszczenie miało rozmiary garderoby – gołe ściany i biurko. Drzwi zamknęły się za Munroe i mężczyzna w fartuchu odwrócił się do niej przodem.

– Podobno masz ogon – powiedział z charakterystycznym teksaskim akcentem.

– Zgadza się – odparła i z przyzwyczajenia rozejrzała się po ścianach i kątach, rejestrując w myślach wymiary pokoju i kalkulując, gdzie kończą się fałszywe przepierzenia, a zaczyna prawdziwy magazyn. – Mamy przewagę mniej więcej pięciu minut. Po drodze wpadniemy jeszcze w kilka miejsc dla zachowania pozorów.

Sięgnął za proste, metalowe biurko. Podniósł neseser, położył go płasko na blacie, otworzył i odwrócił w jej stronę.

Przejrzała zawartość. Dwa izraelskie pistolety Jericho, kaliber 9 mm. Dwa zapasowe magazynki. Osiem pudełek amunicji, w każdym po pięćdziesiąt sztuk. Koperta. Sześć paczek banknotów – dolarów i euro – związanych i ułożonych jedne na drugich. Telefon komórkowy. Ładowarka. Scyzoryk. Paralizator.

Uwielbiała Bradforda. Tylko on mógł przewidzieć jej plan, choć nic mu nie wyjaśniła. Z kieszeni kurtki wyjęła taśmę i dokumenty od Lumaniego i dorzuciła je do reszty rzeczy.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że mężczyzna w fartuchu przygląda się jej uważnie, tak jak ona wcześniej lustrowała pomieszczenie.

– Nie wiem, kim jesteś – powiedział – ale Miles wyprosił ogromną przysługę w twoim imieniu... lepiej, żeby się co do ciebie nie mylił.

– Zapewniam, że nie bez powodu mi ufa – powiedziała, a bezimienny mężczyzna opuścił wieko nesesera i przesunął go do niej.

– Masz może jakąś torbę? – spytała. – Coś, co łatwiej nieść i nie zwraca takiej uwagi?

– Przyszłyście pieszo?

Przytaknęła.

– W służbowym – powiedział, kiwnięciem głowy wskazując kierunek. Wyszła za nim do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie z szafki wyciągnął torbę na ramię i wysypał jej zawartość na podłogę. – Mam tylko to... – Obrzucił ją badawczym spojrzeniem – ...chyba że wolisz damską torebkę.

– Ta mi wystarczy – odparła.

Przytrzymał torbę, a ona przełożyła do środka rzeczy z nesesera.

– Miles mówił o tobie „ona” – przyznał mężczyzna.

Munroe wepchnęła komórkę do kieszeni kurtki. Wyciągnęła jeden z pistoletów, wysunęła magazynek, sprawdziła dźwignię zaczepu zamka i z trzaskiem włożyła magazynek z powrotem na miejsce. Przy najbliższej okazji musiała rozebrać broń na części, złożyć ją na nowo i samodzielnie załadować, ale na razie nie miała wyboru.

– Bo jestem „nią” – przyznała.

Wsunęła pistolet z tyłu, za pasek, chowając go pod kurtką.

Mężczyzna w fartuchu wskazał drzwi.

– Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej, ale nie ma czasu – powiedział.

Wyszła za nim.

– Gdzie znajdę jakiś sklep odzieżowy? – spytała. – Coś dalej od metra... nie musi być duży.

Przez wahadłowe drzwi wrócili do lodziarni.

– Skręćcie w prawo i dalej idźcie cały czas prosto.

– Podejrzewam, że ktoś tu przyjdzie moim tropem – powiedziała. – Naprawdę mi przykro.

Uśmiechnął się – była to jego pierwsza spontaniczna reakcja.

– O to się nie martwię. Może nawet dobrze się stanie.

W salce od frontu Neeva siedziała przy jednym ze stolików nad dużym pucharem lodów czekoladowych. Opróżniła go dopiero do połowy. Przerwała jedzenie, gdy Munroe do niej podeszła.

– Weź to ze sobą. Nie możemy zostać.

Neeva wzięła naczynie i już miała wstać, ale się zawahała.

– Nie jest jednorazowego użytku – zauważyła.

Munroe wzięła ją za rękę i pociągnęła w górę, tak że dziewczyna musiała się podnieść.

– Nie szkodzi, musimy iść.

Neeva odstawiła szklany puchar, zwiesiła głowę i bez protestów wyszła za towarzyszką na ulicę. Munroe dyskretnie rozejrzała się w obie strony, a potem włączyła w strumień przechodniów.

– Po co tam poszliśmy? – spytała Neeva. – Bo na pewno nie żeby zjeść.

– Po pieniądze – odparła Munroe. – I możliwości. – Więcej nie zamierzała wyjaśniać.

Ten przystanek miał być tylko jednym z wielu. Lumani, świadomy, że jego przeciwniczka realizuje jakiś plan, musiał sprawdzać po kolei każdy trop, próbując poskładać elementy w całość i domyślić się, o co chodzi, żeby ją wyprzedzić.

Po kolejnych kilkunastu minutach marszu Munroe zauważyła sklep odzieżowy. Może nie ten, o którym wspomniał mężczyzna w fartuchu, ale to nie miało znaczenia.

W środku kolejno zdejmowała z wieszaków elementy garderoby, przykładała je do Neevy, sprawdzając, czy będą pasowały, i

przewieszała przez wyciągniętą rękę dziewczyny, dopóki nie skompletowała dwóch zestawów – dla niej i dla siebie. Zaniósł wszystko do kasy. Nie zawracały sobie głowy mierzeniem, nie miały na to czasu, ale gdy zapłacili, Munroe zerwała metki z części rzeczy i posłała Neevę do przebieralni.

– Ściągaj to, co masz na sobie – poleciła jej. – Biustonosz i majtki też. Nie zostawiaj nic, co dostałaś od tamtych ludzi. Wszystko mi oddaj. Będzie mi potrzebne.

Neeva skrzywiła twarz.

– Majtki też? Noszę je już dwa dni.

– Wszystko – powtórzyła Munroe.

– A buty?

– To będzie nasz następny przystanek.

Praca, która wymagała wtapiania się w różne środowiska, nauczyła Munroe sztuki dobierania ubrań. Ludzie nie zwracali uwagi na to, co było im znajome, dlatego, aby stać się niewidzialną w jakimkolwiek mieście, wystarczyło kupić i włożyć rzeczy dostępne na miejscu.

Neeva wyszła z przebieralni z kolorowym tłumokiem zwiniętych rzeczy. Munroe upchnęła je do reklamówki. Nowy strój, kapelusz i okulary przeciwsłoneczne skutecznie upodobniły dziewczynę do innych nastolatek w tłumie. Munroe z aprobatą pokiwała głową.

– A ty? – spytała Neeva.

– Teraz nie ma czasu, musimy już iść.

– Sądziłam, że pozbyliśmy się namierzacza.

– Tylko jednego z nich. – Munroe wzięła dziewczynę pod rękę i poprowadziła ją do wyjścia.

– To znaczy, że oni ciągle nas śledzą?

– Mam taką nadzieję.

Wrażenie gorąca na karku – jak czyjś oddech na jej skórze – i wyjątkowo wrażliwy wewnętrzny radar, doskonalony przez lata łowów

i ukrywania się, mówiły Munroe, że Lumani jest blisko.

To nie była tylko wyobraźnia, naprawdę czuła, że je obserwuje, depta im po piętach.

Wyszły ze sklepu i Munroe pociągnęła Neevę w boczną uliczkę. Przywarła do ściany. Jej serce zwolniło do niemal gadziego rytmu. W skupieniu czekała, obserwując ruch na ulicy. W końcu jej uwagę zwrócił samochód. Był jednym z wielu, ale jechał w żółtym tempie.

Twarzy nie widziała, jedynie zarysy dwóch sylwetek z przodu. Nie miała pojęcia, czy samochód należy do Lumaniego, czy do któregoś z jego ludzi. Wiedziała tylko to, co podpowiadała jej intuicja. Doświadczenia i próby, jakie przeszła, nauczyły ją ufać instynktowi i pozwalać, aby wewnętrzne wyczucie prowadziło ją tam, gdzie zawodził rozum.

Znalazły sklep obuwniczy i znowu uporały się z zakupami w kilka minut, nie dając sobie czasu na marudzenie. Sprzedawczynię poprosiły, aby wskazała im drogę do najbliższego spożywczego. Tam, wędrując między rzędami półek dziesięć razy mniejszych od tych, do jakich przywykła w Dallas, Munroe na chybił trafił napełniła koszyk paczkowaną żywnością i butelkami napojów.

Na zewnątrz oddała dwie torby Neevie.

– Wiem, że jesteś zmęczona, ale musisz mi pomóc nieść część rzeczy – powiedziała. – Odwiedzimy jeszcze tylko kilka miejsc, a potem będziemy mogły odpocząć.

Na samym końcu wstąpiły do drogerii. Munroe odszukała coś, co przypominało wosk do układania włosów, konturówkę do oczu i błyszczyki do ust, dodała do tego wodę utlenioną, lakier do paznokci i tusz do rzęs, a z obrotowego stojaka wzięła plecak. Tak błyskawiczne zakupy wprawiłyby w dumę każdego mężczyznę – rzeczy zgromadzone sprawnie i obojętnie. Neeva wzięła mydło, piankę do golenia i paczkę

jednorazowych golarek. Pokazała je Munroe i dopiero potem dorzuciła do koszyka.

Z drogerii Munroe zygżakiem poprowadziła dziewczynę do najbliższej linii tramwajowej. Weszły na platformę wielkości przystanku autobusowego dokładnie w chwili, gdy zatrzymał się przy niej tramwaj. Nie miało znaczenia, dokąd jechał. Ważne było tylko to, że mogły się oddalić od tego miejsca szybciej niż na piechotę.

Drzwi wagonu zamknęły się z sykiem. Munroe przez okna przyglądała się przechodniom na ulicy. Zauważyła znajomą postać – nie Lumaniego, tylko Arbena numer dwa, bezimiennego, milczącego mężczyznę, którego pamiętała z podziemi. Teraz biegł – głupio biegł. Równie dobrze mógłby wołać do niej: „Hej! Tu jestem”.

Nie widział ich. Zmierzał w kierunku przystanku, jakby prowadziła go tam jakaś mapa – jakby wiedział, gdzie ich szukać. Tramwaj umknął mu, więc zawrócił na ulicę i samochód, który Munroe wcześniej zauważyła, zwolnił na moment, aby mężczyzna mógł wsiąść od strony pasażera.

Rozdział 33

Tramwaj zatrzymał się na światłach. Lumani jechał w przeciwnym kierunku i nie miał jak zawrócić. Korzystając z telefonu Bradforda, Munroe weszła do planów dostępnych w sieci i wyszukała pobliskie hotele.

Nieustannie śledząc ruch na ulicy, odczekała jeszcze jeden przystanek, a potem – dosłownie w ostatniej chwili – pchnęła Neevę do wyjścia. Wsiadły z tramwaju jako ostatnie. Buty, które dziewczyna wcześniej miała na sobie, zostały pod nogami starszego mężczyzny. Nawet jeśli ktoś widział, jak Munroe dyskretnie wsuwa je pod siedzenie, nikt nic nie powiedział.

W sumie przejechały tylko cztery przystanki, ale przebieg trasy tramwaju oraz światła, które w dużym stopniu spowalniały ruch samochodów, dały Munroe więcej czasu. Dalej ruszyły pieszo, według planu w telefonie. Ulice powoli szarzały. Latarnie zapalały się z ociąganiem, aby sztucznym blaskiem zastąpić blaknący dzień.

Wybrany hotel okazał się niewielki, nowoczesny, czysty i ekskluzywny. Właściciel chętnie przyjął zapłatę gotówką – od mężczyzny w fartuchu – i dokumenty – od Lumaniego. Nie zdziwił go brak bagażu. Zaprowadził je na piętro i dalej, krótkim korytarzem, do ich pokoju. Uprzejmie otworzył przed nimi drzwi. Neeva weszła do środka, a Munroe na chwilę się zatrzymała, żeby dać mężczyźnie napiwek, ale przede wszystkim, żeby go ostrzec. Nie chciała swoją obecnością przyczynić się do śmierci niewinnej osoby. Przestrzegła go przed ludźmi, którzy na pewno mieli tu przyjść jej tropem. Mężczyzna obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem i odszedł.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Neeva spojrzała na nią i uniosła brwi, tak jakby chciała spytać; „I co teraz?“, ale zamiast tego powiedziała:

– Znasz sporo języków.

– Aha – przytaknęła Munroe. Położyła zakupy na łóżku i wysypała na pościel zawartość torby na ramię.

Neeva rozdziawiła usta, a Michael podniosła jeden z pistoletów.

– Umiesz się tym posługiwać?

Dziewczyna kiwnęła głową. Munroe wyjęła magazynek i sprawdziła komorę. Rzuciła pusty magazynek do Neevy, a potem podała jej broń.

– Pokaż. Nie chcę skończyć z kulką w potylicy.

Neeva załadowała magazynek na miejsce i zwolniła zamek, potem stanęła w lekkim rozkroku, ujęła broń oburącz – jak ktoś, kto spędził dużo czasu na strzelnicy – wycelowała w okno i nacisnęła spust.

Munroe podała jej pudełko amunicji, a potem odwróciła się do jedyne go okna, które znajdowało się naprzeciwko wejścia. Podeszła do niego z boku, wyjrzała i natychmiast się cofnęła. W mgnieniu oka oceniła potencjalne zagrożenia. Pokój znajdował się na piętrze. Z tej strony do hotelu przylegał niewielki ogródek, a dalej biegła ulica, za którą wznosiły się trzy- i czteropiętrowe kamienice. Niewiele kryjówek dla snajpera, ale Lumani na pewno umiałyby znaleźć odpowiednią.

Trzymając się jak najdalej od okna, Munroe zaciągnęła zasłony. W pokoju zrobiło się ciemno i Neeva zapaliła światło.

– Zgaś to – nakazała jej Munroe. – Nie mogą zobaczyć naszych cieni.

– Przeszłaś jakieś szkolenie CIA albo jednostek specjalnych?

Munroe się uśmiechnęła.

– Nie.

Wzięła drugi pusty magazynek i dopóki jej wzrok nie przyzwyczaił się do ciemności, ładowała naboje na wyczucie.

– Skąd znasz tyle języków i wiesz to wszystko? I skąd wzięłaś te... rzeczy?

Munroe lekko postukała palcem w magazynek, żeby naboje dobrze się ułożyły, i zastąpiła nim ten, który siedział w broni.

– Musiałabym długo wyjaśniać – powiedziała. Resztę rozsypanych rzeczy schowała z powrotem do torby i przeniosła wszystko na podłogę.

Pokój miał tylko jedno łóżko, za to ogromne i kuszące. Jego bliskość i panująca wokół ciemność sprawiały, że czuła, jak bardzo potrzebuje snu. Ściągnęła pościel, zepchnęła materac z ramy i oparła go o ścianę obok drzwi do łazienki.

– Pomóż mi przesunąć biurko – powiedziała do Neevy.

Kalkulując trajektorię i obmyślając strategię, Munroe pokazywała wszystko po kolei palcami, żeby dziewczyna zrozumiała, o co jej chodzi. Wspólnymi siłami poprzestawiały meble.

– Przyjdą tu? – spytała Neeva.

– Muszą. Za każdym razem, gdy zmienialiśmy kierunek, pozbywałyśmy się kolejnego lokalizatora. Wiedzą, że wiemy, że jesteśmy śledzone, więc będą podejrzewali, że ten przystanek to kolejna zmyłka. Mogą myśleć, że próbujemy ich wywieść w pole i tylko pozornie się tu zasyłyśmy, podczas gdy w rzeczywistości pozbyłyśmy się reszty pluskiew i się rozdzieliłyśmy, ale nie mają pewności. Dlatego muszą tu przyjść i to sprawdzić.

– To znaczy, że chcesz, żeby przyszli?

– Tak.

– I co wtedy?

Munroe zignorowała pytanie. Z reklamówki wyciągnęła zwiniętą sukienkę i resztę rzeczy dziewczyny. Strzepnęła aksamitny strój i rozłożyła go na ramie łóżka.

– Co robisz? – spytała Neeva.

– Zamierzam z nich zażartować.

Palcami zaczęła przesuwać między fałdami i wzdłuż szwów, szukając niewielkiego urządzenia. Wiedziała, że w końcu na nie trafi. Uśmiechnęła się cierpko, gdy namacała cienki plastik. Zębami

przerwała nici, które przytrzymały go między warstwami sukienki. Gdy się z tym uporała, podała pluskwę Neevie.

– To coś wysyła sygnał, który pozwala im cię namierzyć.

Neeva oddała jej miniaturowy lokalizator. Munroe zabrała go do łazienki, wrzuciła do toalety i spuściła wodę.

Teraz mogły już tylko czekać. Może trzydzieści minut, może trzydzieści godzin. Przyszła kolej na ruch Lumaniego i Munroe z niechęcią myślała o przewodze, jaką mu to dawało. Była myśliwym, a nie zwierzyną, drapieżnikiem, a nie ofiarą. To ona powinna szukać, węszyc, zbierać informacje i kontrolować wszystkie elementy gry.

Nie siedzieć i czekać.

Nie miała jednak innego wyjścia.

W łazience nie było okna. Wykręciła tam wszystkie żarówki oprócz jednej. Takie światło musiało im wystarczyć. Wolała nie zamykać drzwi, na wypadek gdyby atak nastąpił wcześniej, niż się spodziewała. Nie chciała zostać odcięta od pokoju. Ściągnęła z siebie rzeczy od Lalkarza: koszulę z zapinanym na guziki kołnierzykiem i podkoszulek. Neeva przyglądała się jej w sposób, który przeczył wszelkim zasadom dobrego wychowania. W końcu się odwróciła.

Spod ciasnego, sportowego biustonosza Munroe zaczęła wyciągać elastyczny bandaż. Kiedy pozbyła się całego, zwinęła go w kulkę i wyrzuciła do kosza. W zlewie odkręciła zimną wodę. Hotelowym mydłem i małym ręcznikiem do rąk obmyła tułów, ręce, twarz, szyję i włosy.

Chciała wziąć prysznic. Bardzo. Obawiała się jednak, że gdyby akurat wtedy zjawili się łowcy, byłaby na straconej pozycji. Igrała z ogniem, pozwalając sobie nawet na taką szybką toaletę.

Wyszła z łazienki z ręcznikiem na szyi i Neeva rozdziawiła usta. Munroe nie musiała zgadywać, jaki widok wywołał taką reakcję. Blizny

wyglądały okropnie i było ich tak wiele. Zawsze prowokowały pytania, na które rzadko udzielała prawdziwych odpowiedzi.

– Jeżeli zamierzasz korzystać z łazienki, najlepiej zrób to teraz – powiedziała. – Nie wiem, jak długo będziemy czekały, więc jeśli jesteś głodna, weź sobie coś.

Neeva kiwnęła głową. Na razie wolała milczenie od rozmowy, uniki od pytań. Zanurkowała do toreb z zakupami i wyłowiła kilka rzeczy. Idąc przez pokój do łazienki, oszołomiona nie odrywała wzroku od tułowia Munroe. Przyglądała się jej równie bezceremonialnie jak wcześniej.

– To może chwilę potrwać – oznajmiła w końcu, ale Munroe zbyła ją machnięciem ręki.

Dziewczyna w końcu zamknęła za sobą drzwi i Munroe pozbyła się ciekawskiej widowni – oraz jedyne źródła światła. Zdjęła z siebie resztę rzeczy, które dostała od Lalkarza, tak jak wcześniej kazała postąpić Neevie w przebieralni sklepu. Potem włożyła nowe ubranie: buty, czarne spodnie bojówki i czarną koszulkę bez rękawów. Na wierzch włożyła kurtkę, którą miała jeszcze z Dallas. Z zapiętym zamkiem całość wyglądała może nie do końca androginicznie, ale też nie wskazywała wyraźnie na płeć, dzięki czemu Munroe zostawiała sobie otwartą furtkę, aby później móc zmienić wygląd. Na razie uznała, że powinna na jakiś czas znowu stać się kobietą, ponieważ wszystkie obrazy z kamer zarejestrowane w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin pokazywały ją jako mężczyznę.

Strój, włosy, buty i dodatki były jak rekwizyty – widoczne wskazówki, z których ludzie korzystali, filtrując informacje i dokonując błyskawicznej oceny na podstawie przypadkowych skojarzeń. W ten sposób kategoryzowali i wartościowali osoby, które wkraczały w ich świat. Do wyglądu zewnętrznego dochodziły jeszcze zapach i głos oraz to coś nieuchwytnego, co pozwalało rozumieć niuanse mowy ciała i

interpretować bodźce, których zmysły nie potrafiły wychwycić wprost. Wszystkie te informacje składały się na obraz, który odpowiadał percepcji zdeterminowanej przez z góry przyjęte założenia. Wystarczyło, żeby Munroe dokonała niewielkich zmian, oszukując odzwierciedlenia ludzkiego umysłu, a mogła stać się tym, kim akurat musiała.

Woda w łazience długo szumiała i zza drzwi dochodziły odgłosy towarzyszące kąpieli. Munroe wyciągnęła z torby składany nóż, przysiadła na ramie łóżka, otworzyła ostrze i przyjrzała się swoim dłoniom. W jej rękach każdy ostry kawałek metalu ożywał. Kiedy budziły się w niej głosy, a ciemność zaczynała nadgryzać brzegi zdrowego rozsądku, każde ostrze błagało, aby go użyła. To również. Nie do majstrowania przy podeszwach butów – tak jak teraz – ale przeciwko prześladowcom. Chciała ranić, tak jak ją raniono, chciała zadawać ból tym, przez których cierpieli inni.

Złożyła nóż i schowała go do kieszeni.

W wydrążonym wnętrzu obcasów znalazła jeszcze dwa lokalizatory. Wyciągnęła je i zważyła w dłoni. Z biurka wzięła kartkę papieru i zrobiła z niej prowizoryczną kopertę. Wrzuciła do środka pluskwę i schowała całość do kieszeni. Te były ostatnie. Wiedziała, że gdy się ich pozbędzie, ona i Neeva będą mogły zniknąć. Lumani na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Musiał czuć rosnące napięcie. Nawet jeśli zakładał, że ten postój w hotelu jest jedynie fintą – szachowym podstępem na planszy jej myśli, ruchem, który miał za zadanie sprawić, że przeciwnik znajdzie się w niekorzystnym położeniu – i tak musiał to sprawdzić, nie miał wyboru.

Pozostawało jedynie pytanie, kiedy się zjawi, bo tego, że przyjdzie, była pewna.

Woda w łazience wciąż płynęła, więc Munroe położyła się na podłodze, obok opartego o ścianę materaca. Ta pozycja sprawiła, że

zmęczenie przygniotło ją jak gruby koc, grożąc, że pokona ją wbrew jej woli.

Wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer Bradforda. Tak jak obiecała. W ciągu tych kilku sekund, zanim się połączyła, jej powieki same opadły i opornie się podniosły, kiedy odebrał.

– Jak tam? – spytał, a w jego głosie usłyszała takie samo zmęczenie, jakie czuła ona.

– W porządku – odparła.

Chciała zapytać o Alexis, Logana i Samanthę, ale wiedziała, że Bradfordowi i tak jest ciężko, więc przemilczała pytania.

– Przesłali mi nowe zdjęcie – poinformowała. – Betonowa podłoga i spora hala.

– Jak dawno temu?

– Mniej więcej dwie godziny, ale kto wie, kiedy zostało zrobione.

– Znajdę ją – obiecał. – Teraz idzie mi wolniej. Mam pomoc, ale niewielką. Poza tym muszę uważnie zacierać za sobą ślady, żeby... – na moment umilkł – ...uniknąć komplikacji na miejscu.

Ale wiem, gdzie ją trzymają.

W jej myśli wkradła się euforia. Munroe usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

– Mów, co u ciebie – poprosił Bradford. – Wspomniałaś, że jesteś z Neevą. Masz zamiar użyć jej jako przynęty?

– Brzmi to okropnie, ale tak – przyznała – do tego się to sprowadza.

Wyjaśniła mu, jak to się stało, że Neeva trafiła z powrotem pod jej skrzydła. Opowiedziała o propozycji dziewczyny, o podstępach, które pozwoliły im do tej pory unikać Lumaniego, i dlaczego teraz czekała, aż ją znajdzie. Kiedy umilkła, zapadła cisza. W końcu Bradford westchnął, a ona usłyszała w tym przestrożę, której nigdy nie wyraziłby słowami. Zamiast tego poruszył temat, wokół którego oboje od jakiegoś czasu krążyli – jej mrocznych nastrojów.

– Wszystko mam pod kontrolą – zapewniła. – Uwierz mi. Nie jest tak jak w Afryce. Kusi mnie, i to bardzo, żeby go odszukać i zemścić się za to, co zrobił Loganowi i mi. Może to zrobię. Ale na własnych warunkach. W pełni świadoma.

– Co wiesz o kliencie? – spytał.

– To bogaty i stały klient. Od tej siatki handlarzy kupił już kilka dziewczyn, ale nie tylko oni działają na tym rynku, więc podejrzewam, że ofiar jest więcej... mniej znanych, tańszych... sam wiesz. Niewykluczone, że ma jakieś miejsce, albo nawet kilka, gdzie lokuje swoje zdobycze na dłużej, ale bardziej prawdopodobne jest to, że każda nowa zastępuje poprzednią.

– Myślisz, że się nad nimi znęca?

– Nie jestem stuprocentowo pewna – przyznała. – Ale tylko takie wytłumaczenie ma sens. Biorąc pod uwagę zasady, których musiałam przestrzegać, i sposób, w jaki prowadzi grę z handlarzami... pasuje mi do profilu. Oczywiście mogę się mylić. Nie wiem, czy nie patrzę na to przez pryzmat własnej przeszłości, tyle że to i tak niczego nie zmienia. Nawet jeśli nie znęca się nad nimi, tylko jest alfonsem albo kolekcjonuje je i trzyma gdzieś pod kluczem, z własnej woli nie przestanie tego robić. Jeżeli rozwalę całą organizację, kawałek po kawałku, taki jak on znajdzie sobie inne źródło.

Z łazienki już od jakiegoś czasu nie dochodził szum wody, ale Neeva wciąż nie wychodziła i zachowywała się podejrzanie cicho. Munroe wstała i zapukała do drzwi.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Potrzebuję jeszcze kilku minut – odpowiedziała dziewczyna.

Bradford chwilę milczał, a potem wrócił do przerwanej rozmowy.

– Na pewno nie tylko twój klient zaopatruje się u tych ludzi.

– Nie, ale o nim akurat wiem i będę umiała go odszukać.

– Mogę cię jakoś przekonać, żebyś trochę zaczekała? Potrzebuję czasu, żeby dotrzeć do Alexis. Potem możemy się zastanowić, co dalej, ale najpierw spróbujmy złapać chwilę oddechu.

– Nawet gdyby sprawa nie miała żadnego związku ze mną ani z tobą, skoro jestem tak blisko i wiem to, co wiem... – Umilkła, ale Bradford dokończył za nią.

– Nie możesz tego tak po prostu zostawić – powiedział. – Nie gniewaj się, ale musiałem zapytać.

– Rozumiem – wyszeptała. – Dokończę to, co mam do zrobienia, i jakoś przetrwam.

– Nie składaj takich obietnic. Lepiej nie kusić losu. – Bradford powiedział to tak, jakby już się pogodził z jej decyzją. – Nieważne, co się wydarzy, wiem, dlaczego to robisz – przyznał w końcu.

– Dziękuję ci.

Munroe długo patrzyła na telefon, zanim go schowała. Bała się, że jeśli przyłoży gdzieś głowę, zaśnie głęboko, więc wyciągnęła wosk do włosów i z wprawą wtarła go w krótkie kosmyki, przekształcając chłopięcą fryzurę w coś, co mogło pasować i mężczyźnie, i kobiecie. Bez lusterka podkreśliła oczy kreskami i wytuszcowała rzęsy. Właśnie malowała krótkie paznokcie czarnym lakierem, kiedy Neeva wreszcie wyszła z łazienki.

Rozdział 34

W słabym świetle przyglądały się sobie nawzajem. Neeva patrzyła na to, czego przybyło, a Munroe na to, czego ubyło.

– Inaczej wyglądasz – stwierdziła dziewczyna.

– Ty też.

Nastolatka wydawała się młodsza. Bardziej bezradna. Drobniejsza – jeśli to w ogóle było możliwe.

– Próbowałam wymyć włosy, żeby się pozbyć tych loczków, ale potem wyglądałam jak w peruce klauna – wyjaśniła. – Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Wolę nie myśleć o tamtych ludziach za każdym razem, kiedy patrzę w lustro. Jak ci się podoba?

– Przypominasz więźniarkę obozu koncentracyjnego – przyznała Munroe. – Albo pacjentkę po chemii.

Neeva zdobyła się na półuśmiech. Jej policzki się zarumieniły.

– W pewnym sensie to przebranie.

Munroe wstała, zatknęła broń za pasek i przesunęła dłonią po ogolonej głowie dziewczyny.

– Chodź, w paru miejscach trzeba poprawić – powiedziała.

W łazience pochyliła głowę Neevy nad umywalką i przejechała golarką tam, gdzie zostały króciutkie włoski.

– Dlaczego zmieniłaś tożsamość, zanim wyjechałaś do Hollywood? – spytała. – Z rodzicami masz dobre relacje, więc na pewno nie była to próba ucieczki od przeszłości.

Zakręciła wodę i podała Neevie ręcznik. Dziewczyna potarła dłonią głowę.

– Gładka – stwierdziła z uśmiechem, ale po chwili wyraz jej twarzy się zmienił. – Moja mama zawsze bardzo strzegła naszej prywatności. Wyznawała zasadę, że dzieci nie muszą ponosić konsekwencji jej kariery politycznej. – Neeva wrzuciła ręcznik do umywalki. – Nie uczestniczyliśmy w całej tej szopce, nie zarabialiśmy dla niej

dodatkowych głosów obrazkami zgodnej rodziny, ale i tak widziałam, co się dzieje, kiedy ludzie znają twoje imię i twoją twarz. Ciągłe przekręcali słowa mamy, opinie i plotki podawali jako prawdę, a już najgorsze było to, że tak samo traktowali członków rodziny, którzy nie mieli z tym nic wspólnego. – Dziewczyna zjechała plecami po ścianie i wyprostowała nogi tak, że stopami prawie dotknęła butów Munroe. – Nauczyłam się, że nie istnieje coś takiego jak prawda – przyznała. – Są tylko opinie, które ludzie przedstawiają jako prawdę, i chcą, żebyśmy w to wierzyli. – Ponownie przesunęła dłonią po głowie i się uśmiechnęła. – Wiedziałam, że jak zacznę pracować w Hollywood, wszystko, co mnie dotyczy, stanie się publiczną własnością i będę musiała się zmierzyć z tym samym problemem. Nie chciałam, żeby filmy i grane przeze mnie role rzutowały na karierę mamy. Wolałam się nie martwić, że ludzie zaczną wiązać moją niewyparzoną gębę i nocne imprezowanie z jej poglądami politycznymi albo że mój talent zginie w jej cieniu. Chciałam po prostu być sobą, bez żadnego bagażu, dlatego zmieniłam imię, wymyśliłam sobie przeszłość i zaczęłam od nowa.

– Ta decyzja w pewnym sensie sprawiła, że koło się zamknęło.

– Jak to?

Munroe wyciągnęła rękę do Neevy i pomogła jej wstać. Wyszły z łazienki, w której trudno było śledzić dźwięki z korytarza i ulicy. Przez chwilę nasłuchiwała, a gdy upewniła się, że nic się nie zmieniło, powiedziała:

– „Bagaż”, którego chciałaś oszczędzić sobie i rodzinie, w zasadzie cię uratował. Zainteresowanie mediów, spekulacje, twoja twarz na ekranach wszystkich telewizorów na świecie.

Neeva usiadła na podłodze obok materaca.

– Może i tak – przyznała.

Munroe rzuciła jej paczkę ciastek i butelkę soku.

– Dlaczego to tu stoi? – Neeva dotknęła materaca.

– Bo jak zaczniesz się strzelanina i wepchnę cię do łazienki, zastawię tym drzwi, żebyś miała dodatkową osłonę.

– Myślałam, że mam pomagać.

– Martwa mi nie pomożesz.

– A ty?

Munroe również usiadła na podłodze. Wybrała miejsce naprzeciwko okna i jednocześnie odgrodziła Neewę od wyjścia na korytarz. W amerykańskim budownictwie wnętrza dzielono ścianami z płyty gipsowej, a drzwi często były w środku puste, ale ten hotel był europejski i stary – a to oznaczało kamienne mury i pełne drewno. Jeśli Lumani, Arben numer dwa lub jeszcze ktoś inny nie zamierzał wysadzić całego budynku, podejrzewała, że będzie próbował dostać się do środka albo oknem, albo drzwiami.

Położyła obok siebie jericho i poczęstowała się ciastkiem z paczki Neevy.

– Już ci mówiłam, nawet jeśli nie załatwię ich pierwsza, i tak już jestem martwa, więc nie ma znaczenia, co się ze mną stanie.

– Kto ci to zrobił? – Neeva wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć brzucha Munroe, ale zatrzymała dłoń w pewnej odległości od jej kurtki.

Ci, którzy mieli odwagę zagadnąć ją o bliźny, zwykle ograniczali się do pytań „co” i „jak”, ale Neeva od razu przeszła do sedna. Munroe spojrzała na nią – jedna ofiara przemocy na drugą. Dziewczyna cofnęła dłoń i z miną obrażonego dziecka zajęła się ciastkami.

– To działo się dawno temu i trwało kilka lat, a załatwił mnie tak mężczyzna podobny do tego, który oferował za ciebie wysoką cenę.

– Myślałaś, żeby się kiedyś na nim zemścić?

– On już nie żyje.

Neeva przestała przeżuwać i bardzo powoli przełknęła.

– Ty go zabiłaś?

– Tak. – Munroe sparodiowała sposób, w jaki dziewczyna wycedziła te słowa. – Ja go zabiłam.

– I cię nie złapali?

Munroe odwróciła się i ramieniem oparła o ścianę, tak że siedziała teraz przodem do Neevy. Niespiesznie, ważąc słowa, powiedziała:

– To się wydarzyło dawno, w miejscu, o którego istnieniu wie niewielu ludzi. Dlaczego pytasz?

Neeva wzruszyła ramionami.

– Czasem się zastanawiam, jakie to byłoby uczucie.

– Zemstę najlepiej zostawić w sferze fantazji – stwierdziła Munroe. – Tam zawsze daje większą satysfakcję. W realnym świecie w końcu uczymy się żyć z bólem i traumą, jakoś dajemy sobie radę, wiesz? Śmierci nie da się cofnąć i nawet jeśli uważasz, że ktoś sobie na nią zasłużył, zabicie go nie sprawi, że twój ból zniknie, za to zepchnie cię na grząski grunt, który w każdej chwili może się pod tobą zapaść.

– Ty zabiłaś.

Munroe spojrzała na Neewę przeciągle. W głowie miała kłębowisko myśli, które podsumować mogła jednym słowem: *Właśnie*. Zamiast tego powiedziała jednak:

– Tak. Zrobiłam to z zemsty oraz dlatego, że chciałam uratować siebie i oszczędzić takiego losu innym, ale nawet gdybym zabiła go jedynie po to, żeby wyrównać rachunki, tym bardziej powinnaś mi wierzyć, bo kto inny może wiedzieć to lepiej niż ja.

Neeva skubała ciastko, unikając wzroku Munroe.

– Cofnęłabyś to, gdybyś mogła?

– Nie, ale to nie znaczy, że nie poniosłam konsekwencji.

Neeva prychnęła.

– A ja i tak uważam, że ludzie tacy jak tamten od lalek i jego chłoptaś nigdy się nie zmienią ani nie przestaną robić tego, co robią, jeśli ktoś ich

nie powstrzyma. Trzeba zwalczać ogień ogniem. Ktoś musi im dać nauzkę.

– Kiedy zwalczasz ogień ogniem, możesz się poparzyć, stać się taka jak oni.

– Tak jest z tobą?

– Czasami – przyznała Munroe. Ponownie zmieniła pozycję i przywarła plecami do ściany, a przedramiona oparła na ugiętych kolanach. Wzrok utkwiała w zasłoniętym oknie.

Neeva przechyliła się i oparła głowę na jej ramieniu.

– Lubię cię, Michael – przyznała – nawet jeśli ty czasem nie lubisz sama siebie.

Munroe się uśmiechnęła i pocałowała gładką głowę dziewczyny.

– Dziękuję ci, Neev. – Powiedz mi, co się stało z mężczyzną, który cię skrzywdził – odezwała się po krótkiej pauzie.

– Nikt nie wie. Nigdy go nie znaleziono.

Wreszcie stało się jasne, co pchnęło Neewę do opuszczenia bezpiecznego konsulatu. zaproponowała, że będzie przynętą, nie tylko po to, aby w zamian za jedno życie uratować wiele.

To była decyzja kogoś, kto przeżył koszmar i nie chciał znowu stać się ofiarą. Dziewczyna traktowała to jako swego rodzaju zastępczą zemstę, chciała mieć czynny udział w tym, co miało się wydarzyć. Munroe oparła policzek w miejscu, które chwilę wcześniej pocałowała.

– Jak rozpoznałaś tamtego faceta z pieskiem? – spytała po chwili Neeva. – Skąd wiedziałaś, kim jest i co planuje?

– Nie wiem, kim jest – sprostowała Michael – ale znam ten typ.

– Czyli że zgadujesz?

Munroe ruchem ramienia dała dziewczynie znak, aby cofnęła głowę, a potem przyłożyła dłonie do brzucha, rozpościerając palce.

– Mam powody. Tamten z pieskiem jest po prostu inną wersją psychopaty, który tak mnie pociął. – Spojrzała na Neewę. – Zapłacił

innym, żeby cię porwali, bo chciał cię mieć jako niewolnicę. Nie wiem, czy takie szczegóły, jak „dlaczego” i „co” mają znaczenie.

– Raczej nie – zgodziła się Neeva. – W pewnym sensie. No może jeśli chodzi o fizyczny ból i samo morderstwo, to mają. Ale ludzie tacy jak tamten od lalek, który sprzedaje dziewczyny, i ten z pieskiem, który je kupuje, a także inni, którzy gwałcą kobiety albo nie posuwają się do brutalnej przemocy, za to traktują je jak przedmioty... jasne, że możemy mówić o różnej skali przestępstw, tyle że wszystko i tak sprowadza się do jednego. Kobiety są dla takich bydlaków jak płótno, na które oni wychlapują cały swój emocjonalny bagaż – w stylu Jacksona Pollocka.

– Bardzo poważne przemyślenia jak na tak młodą osobkę.

Neeva się nachmurzyła. Zagryzła wargi.

– To miał być żart? – spytała w końcu.

Munroe dała jej lekkiego prztyczka w nos.

– To się nazywa ironia. Powinnaś jej czasem spróbować.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Przygarbiona oparła się o ścianę.

– Ta cała sytuacja z facetem od lalek jest ekstremalną parodią mojej codzienności – stwierdziła. – Mężczyznom wydaje się, że pragnę tego samego co oni. Przenoszą na mnie swoje oczekiwania, a potem obwiniają mnie i wyzywają, kiedy nie reaguję tak, jak w ich fantazjach. Odbierają to jak osobisty atak z mojej strony... tak jakby mieli do mnie prawo albo coś w tym rodzaju. Tamten od lalek, tamten z pieskiem i ten, który mnie zgwałcił... ci najbardziej niebezpieczni posuwają się o krok dalej i po prostu biorą sobie to, czego chcą. Potem winią ciebie i to, jak wyglądasz. A najgorsze, że często całe społeczeństwo też zrzuca winę na ciebie.

Munroe otoczyła Neewę ręką i przyciągnęła do siebie, tak że dziewczyna znowu oparła głowę o jej ramię.

– Jesteś młoda i niewinna. Wolałabym, żebyś nie musiała myśleć o takich rzeczach.

– Nie jestem aż taka niewinna, jak ci się wydaje.

– I chyba nie aż tak naiwna, co?

Neeva oderwała głowę od ramienia Munroe i usiadła na piętach, opierając dłonie o uda. Uradowana spojrzała na towarzyszkę, a potem uśmiechnęła się szeroko i triumfalnie podniosła do góry pięść, szepcząc: „Hurra!”.

Jej radość była tak zaraźliwa, że mimo sytuacji Munroe nie zdołała zachować poważnej miny – ale uśmiech szybko znikł, gdy usłyszała nikły odgłos. Drzwi się nie poruszyły, tylko rozległ się cichy dźwięk zapadki zamka, tak jakby lekko się przesunęła w otworze, gdy ktoś delikatnie dotknął klamki.

Ręka Munroe automatycznie sięgnęła po leżącą obok broń. Gdyby uległa pierwszemu odruchowi, wyładowałaby cały magazynek w drzwi i dopadła myśliwego, ale to samo drewno i kamień, które chroniły ją, osłaniały również jego.

Ani na moment nie odrywała wzroku od wyjścia. Obróciła się tylko nieznacznie, aby jej wargi znalazły się tuż przy uchu Neevy, i wyszeptała:

– Idź do łazienki. Zamknij się od środka. Bez względu na to, co usłyszysz albo co ci się będzie wydawało, nie wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Neeva, która do tego momentu nie miała pojęcia, co się dzieje, powiodła wzrokiem w tę samą stronę co Munroe i wytrzeszczyła oczy.

– Już tu są? – spytała szeptem. – Chcę pomóc.

– Jesteś tu. To jest twoja pomoc. Potrzebuję cię żywej. Weź swój pistolet. Idź już. Neeva sięgnęła po broń, która leżała między materacem a ścianą, i na czworakach przeszła do łazienki. Zamknęła drzwi, zabierając ze sobą światło, i niemal bezgłośnie przekręciła zamek. Munroe zamknęła oczy. Innymi zmysłami wychwytywała to,

czego nie mógł jej powiedzieć wzrok. Powoli przesunęła materac tak, że zasłonił drzwi do łazienki.

Rozdział 35

Klamka poruszyła się jeszcze raz. Niemal niezauważalnie. Munroe usłyszała to jedynie dlatego, że czekała na ten ruch. Wycelowwała jericho tam, gdzie powinien się znajdować napastnik, zatknęła za pasek dwa dodatkowe magazynki i przeszła kilka kroków do biurka. Mebel stał odwrócony zabudowaną częścią tak, aby dać jak najlepszą zasłonę przed atakiem od strony drzwi. Przyklęła za nim na jedno kolano, a dłonie oparła o blat dla lepszej kontroli.

Cisza tykała miarowo. W końcu ponownie zabrzmiało nikłe skrobnięcie zapadki o metal.

Drzwi wciąż się nie otwierały. Nawet ktoś niedoświadczony powinien już sobie poradzić z zamkiem. Munroe wychyliła się zza biurka i przyjrzała podłozie. Gdyby to ona znajdowała się po drugiej stronie i miała odpowiedni sprzęt, wsunęłaby pod drzwi kamerę, żeby sprawdzić, gdzie są lokatorki. Bez sprzętu pewnie zaczekałaby na środek nocy, porę, kiedy ludzie śpią najmocniej, i dopiero wtedy zakradła się do środka i szybko pozbyła problemu. Gdy żaden cieniutki drucik nie wsunął się w jasną szczelinę pod drzwiami, przygotowała się na eksplozję. Tyle że w dalszym ciągu nic się nie działo.

Usłyszała jeszcze jeden nikły dźwięk, a niecałą minutę później kolejny, nieco głośniejszy i jednoznaczny. Każdy odgłos, każde tajemnicze drapanie, miały zaintrygować, nakłonić ciekawską osobę, żeby podeszła bliżej i sprawdziła, co się dzieje – szczeniacki trik, którym próbowano sprawić, że strateg przekombinuje i popełni błąd. Łowca liczył, że skrobaniem zwabi kogoś takiego jak Neeva bliżej, ale Neeva nie była sama, a Munroe nie była głupia – Lumani zdawał sobie z tego sprawę.

Jeszcze jedno skrobnięcie.

Chłoptaş wysłał szeregowca, żeby ją stąd wykurzył.

W myślach Munroe zaczęła układać odpowiedź na jego plan. Wyobraziła sobie, że znajduje się po drugiej stronie, że stoi na hotelowym korytarzu, oddzielona od tropionej zwierzyny barierą drzwi. Z tak bliska czuła zapach upatrzonych ofiar. Liczyła, że coś usłyszy, że jakimś nieostrożnym dźwiękiem zdradzą, gdzie się znajdują, aby łowca nie wszedł im prosto pod lufę. Każda upływająca sekunda potęgowała irytację. Myśliwy samym pojawieniem się tutaj zwrócił uwagę. Nie mógł czekać pod drzwiami w nieskończoność.

Ha! Już wiedziała, co robić. Sięgnęła w bok, po torbę z jedzeniem i przyciągnęła ją do siebie.

Wyjęła z niej małe butelki soku. Prawą rękę z bronią niezmiennie trzymała na blacie biurka. Lewą zaczęła rzucać butelki, jedną po drugiej, w równomiernych odstępach, w kierunku drzwi – tylko tak mogła na poczekaniu naśladować odgłos kroków.

Nie miała pojęcia, na co czekał łowca – hałas, ruch, cień – ale jej trik zadziałał. Drzwi poleciały do wewnątrz. Eksplozja nie była ani mała, ani kontrolowana. Światło z korytarza zalało pokój. Tumany kurzu i dymu wypełniły dziurę wejścia.

Czas zwolnił. Jej mózg rejestrował wszystko ciągami elementów. Drzwi rozleciały się na trzy części. Jedna oparła się o łóżko, dwie upadły na podłogę. Dzwoniło jej w uszach i piekły ją oczy, ale błyskawicznie opróżniła pół magazynku, celując po przekątnej, w punkt przy framudze. Zakładała, że tam właśnie znajduje się przeciwnik, którego nie widziała. Grzmoty wystrzałów zagłuszyły trzask serii odpowiedzi, która nadeszła nie z kierunku, jaki miałby sens, gdyby przeciwnik stał, tylko znad podłogi, rozłupując bok biurka i posyłając drzazgi w powietrze.

Wróg się przetoczył. Podczołgał w jej stronę.

Poderwała się z ziemi, uciekając mu z linii ognia. Z wyciągniętą przed siebie bronią jechała po blacie, licząc oddane strzały, rezygnując z

precyzji, żeby chronić głowę. Miała nadzieję, że trafi go w nogi, krocze, twarz, coś nieosłoniętego, bo pociski, które dosięgały jego piersi, nie powstrzymały go.

Za nią rozprysł się fragment ściany, plując wkoło odłamkami.

Pod nią od biurka oderwał się kawał drewna.

Nadal sunęła po blacie, jak na zwolnionym filmie z towarzyszeniem huku i rozpryskujących się odłamków. Wylądowała na podłodze za celem, jednocześnie ładując nowy magazynek. Frustrująca zmiana skradła cenne sekundy i spowolniła ją, ale gdyby nie wprawa, nie zdołałaby się z tym uporać tak błyskawicznie.

Ponownie zaczęła strzelać, aż usłyszała pusty odgłos.

Czołgając się, zwolniła drugi magazynek i załadowała zapas, świadoma, że czas ucieka. Przekosiła lufę i – niech się dzieje, co chce – znowu wyciągnęła jericho przed siebie. Dopiero po kolejnych sześciu pociskach dotarło do niej, że broń przeciwnika umilkła.

Zamarła. W pokoju zapadła ogłuszająca cisza. Na uszach na razie nie mogła polegać.

Ze swojej pozycji widziała podeszwę wroga.

Strzeliła w nią.

Brak reakcji.

Podniosła się na kolana i cal po calu przesunęła w kierunku pustej framugi drzwi.

Wysunęła za nią głowę i błyskawicznie się cofnęła.

Brak reakcji.

Jeszcze raz.

Brak reakcji.

Wstała i wyszła na korytarz.

Sąsiednie drzwi się otworzyły. Nabuzowana adrenaliną omal nie strzeliła. Wytrzeszczone oczy w pomarszczonej twarzy dostrzegły ją, a może broń.

Drzwi się zatrzasnęły.

Idioci. Ludzie to idioci. Po co? Po co tak ryzykować z ciekawości?

Munroe okręciła się na pięcie. Wciąż nic nie słyszała. Oczy piekły ją potwornie.

Wiedziała, że Lumani zaczął się gdzieś blisko. Może nie w hotelowym korytarzu, ale blisko.

Skoro przysłał Arbena numer dwa, żeby ją wykurzył, na pewno tu był. Z jakiejś kryjówki obserwował wejście do hotelu.

Cofnęła się z powrotem do pokoju. Szła pochylona, żeby jej cień nie padł na zasłony w oknie. W drodze do łazienki zatrzymała się przy trupie.

Trafiła go kilka razy. Dwa pociski utknęły w kamizelce, jeden w łydce. Może właśnie dlatego upadł. Ale zabił go zupełnie przypadkowy strzał – pewnie jeden z tych, które oddała z podłogi. Wszedł pod brodą, a wyszedł bokiem czaszki. Mężczyzna nie miał oka i części twarzy.

Munroe przyklękała i przyjrzała się jego broni. H&K USP .45. Pistolet bojowy z tłumikiem. Miała ochotę go zabrać, ale się powstrzymała. Chciała też wziąć jego kamizelkę, tyle że zdjęcie jej pochłonęłoby zbyt wiele czasu i wysiłku. Odsunęła materac i zastukała do drzwi łazienki.

– Neevo, wychodź – powiedziała. – Musimy natychmiast iść.

Drzwi uchyliły się odrobinę i dziewczyna wyjrzała przez szparę.

– Zbieramy się – zakomunikowała Munroe, sięgając po torby leżące przy łóżku.

– Trafił cię. – Neeva pokazała na udo Michael. W rozdarciach widać było zakrwawioną skórę, a materiał wokół przesiąkł na wylot, przybierając ciemniejszą barwę.

Munroe zerknęła w dół i po raz pierwszy poczuła to, na co wcześniej, pod wpływem adrenaliny, w ogóle nie zwróciła uwagi. Krople krwi spływały po nodze na podłogę.

– I w twarz też – zauważyła dziewczyna.

Michael wolną ręką przesunęła po czole i policzku. Cofnęła ją i zobaczyła czerwień.

– Daj mi sekundę – rzuciła.

Wyminęła Neewę i weszła do łazienki. Nie miała czasu na babranie się z tym. Musiały stąd zniknąć, zanim zjawi się Lumani. No ale jaki sens miałyby ucieczka z hotelu, gdyby kwadrans później się wykrwawiła.

Nie przejmując się obecnością Neevy, rozpięła rozporek i spuściła spodnie.

– W jednej z toreb jest butelka wody utlenionej i rolka taśmy – powiedziała. Wody użyłaby do rozjaśnienia włosów, gdyby dziewczyna nie siedziała w łazience tak cholernie długo. – Możesz mi je dać? Tylko się pospiesz. Już powinniśmy stąd zniknąć.

Neeva drgnęła jak wyrwana z transu, obróciła się do bagaży i przeszukała torbę z drogerii. Tymczasem Munroe zbadała rany: dwa rozcięcia od kamiennych odprysków, zatopiony w ciele ostry fragment drewna, który równie dobrze mógłby być nożem, i draśnięcie od pocisku, który tylko otarł się o jej udo. Zacisnęła zęby i wyciągnęła największą zadrę znad kolana. Zmoczyła wodą ręcznik i obmyła rany najlepiej jak mogła w tak krótkim czasie, a potem przycisnęła mokry materiał jak kompres, aby zatamować krwawienie.

Mijały sekundy.

Neeva postawiła wodę utlenioną i taśmę na zamkniętej desce sedesowej. Munroe rozdarła tekturowe pudełko.

– Otwórz mi to – poprosiła, a kiedy Neeva podała jej odkręconą butelkę, polała zawartością otwarte rany. Suchą bawełnianą myjkę przyłożyła w miejscu, które najbardziej krwawiło, i zabezpieczyła całość srebrną taśmą. To musiało na razie wystarczyć. Później mogła lepiej opatrzyć obrażenia.

Z bólem umiała sobie radzić, to akurat było łatwe. W jej przypadku ta umiejętność nie miała nic wspólnego z wytrzymałością ani

odpornością, za to wiele z nocami spędzonymi w dżungli i nożem, który raz po raz ją dźgał.

Wytrzymaj. Pokonaj. A potem zabij.

Munroe odrzuciła taśmę do dziewczyny.

– Spakuj to i ruszamy.

Przeciwnik trafił ją także w pierś i brzuch – te strzały były jak potężne uderzenia pięścią, od których zabrakło jej tchu. Wiedziała, że nie obejdzie się bez sińców. Przez jakiś czas musiało boleć. Normalnie takie trafienia podziurawiłyby jej tułów, powodując potworne obrażenia. Ale na tym właśnie polegała jej przewaga. Ona mogła się domyślać, że myśliwy będzie ubrany w kamizelkę kuloodporną, więc celowała w nieosłonięte partie ciała. On natomiast nie miał o niczym pojęcia.

Nie zawracała sobie głowy szukaniem pocisków. Wiedziała, że czekają wciśnięte między zewnętrzną skórę i kuloodporną podszewkę, na tyle mocną, aby ochronić narządy wewnętrzne przed strzałami z karabinku szturmowego. Miguell Caballero – Armani wśród pancerzy. Głupio zrobili, pozwalając jej zatrzymać kurtkę. Teraz musieli za tę głupotę płacić.

Munroe z powrotem podciągnęła spodnie, zapięła je i wyszła z łazienki. Z pokoju zabrała torbę na ramię. Reklamówki oddała Neevie i pierwsza ruszyła na korytarz. Prowizoryczne opatrzenie ran skradło im dwie minuty.

Przystanąła w pustej framudze. Z daleka dobiegał już dźwięk syren policyjnych. Tego należało się spodziewać. Gdyby Lumani znajdował się w hotelu, wkroczyłby do akcji po tamtej strzelaninie, wykorzystałby jej słabość, zanim zdołała się pozbierać. Mimo to wolała zachować ostrożność. Dyskretnie wyjrzała na korytarz, błyskawicznie zerknęła w jedną i w drugą stronę.

Na parterze hotel miał dwa wyjścia – jedno od strony ulicy, którym dostały się tu wcześniej, i drugie, dokładnie naprzeciwko. Długi korytarz prowadził do sali restauracyjnej, z której wychodziło się do otoczonego murami ogrodu. Taki układ był beznadziejny i w zwykłych okolicznościach nie ułatwiłby ucieczki, ale tym razem działał na ich korzyść. Z budynku dało się wyjść tylko od frontu. Lumani był tego świadomy i na pewno zasadził się gdzieś ze snajperką, zanim puścił swojego pachołka do środka w pojedynkę.

Munroe skierowała Neevę na schody. Zeszły na półpiętro i przystanąły. Munroe włączyła telefon i odszukała wcześniej zapisany numer Lumaniego.

Włączyła wybieranie.

Mechaniczny kobiecy głos wygłosił informację po francusku, a potem rozległ się sygnał, po którym należało nagrać wiadomość. Rozłączyła się i powtórnie wybrała numer.

– Szykuj się do płaczu – rzuciła do Neevy.

– Co? – zdziwiła się dziewczyna.

– Tamten gość próbował cię zabić. Jesteś aktorką, udaj atak hysterii... tylko zaczekaj, aż zaczniemy schodzić. Dasz radę?

Neeva przytaknęła.

Munroe zadzwoniła ponownie. Francuski.

Rozłączyła się i spróbowała jeszcze raz.

I znowu.

Przy piątym podejściu Lumani odebrał telefon.

– Słyszałeś strzały? – zagadnęła po angielsku.

Nawet nie spytał, kto mówi. Nie był ani zaskoczony, ani rozczarowany tym, że się odezwała.

– Słyszałem – potwierdził. – Ponieważ dzwonisz, domyślam się, że Tamás nie żyje.

A więc tak miał na imię Arben numer dwa.

– Nie wydajesz się z tego powodu zły.

Miała wrażenie, że wzruszył ramionami.

– Będę miał przez niego kłopoty. Jego niekompetencja zostanie uznana za mój błąd.

– Twój problem, twoja odpowiedzialność – powiedziała, parafrazując słowa Lalkarza.

– Owszem. – W jego ton wkradł się jad. – Nieraz płaciłem za jego pomyłki. Na pewno nie zamierzam go opłakiwać.

– Widzisz wozy policyjne? Daleko są?

– Na drodze jest spory ruch. Masz może dwie minuty.

– Wykrwawiam się – przyznała.

– Przykro mi to słyszeć.

– Wątpię. Przynajmniej jeden kłopot będziesz miał z głowy. Wiem, że od początku planowałeś mnie zabić po dostarczeniu przesyłki.

Syreny brzmiały coraz bliżej. Policja wkrótce miała dotrzeć do hotelu.

– Domyślam się, że czekasz na mnie na zewnątrz... ty i twoja snajperka – dodała. – Jesteś tu po to, żeby mnie zabić czy żeby odzyskać towar?

– Jedno i drugie – powiedział. – Wiedziałaś o Loganie? – spytał po krótkiej pauzie. – Wiedziałaś o nim, zanim postanowiłaś uciec?

– Nie.

– Czyli że on nic dla ciebie nie znaczy?

W jego głosie usłyszała rozczarowanie.

– Jest dla mnie wszystkim – przyznała. – Ale popełniliście błąd, uznając, że nie zniosę tego, co według was jest niemożliwe. W moim przypadku nie ma mowy o zwycięstwie, bez względu na to, co zrobię.

– To nie moja wina. Nie ja podejmowałem decyzje. Muszę trzymać się zasad, tak jak ty.

Syreny wyły już pod samymi oknami hotelu.

– Nie, nie jak ja – zaprzeczyła. – Każdy ma wybór. Nawet kiedy ktoś przystawia ci pistolet do głowy, nadal możesz decydować. Ja już wybrałam, Valonie, a ty... ty nie masz lufy przytkniętej do skroni.

Rozłączyła się. Spojrzała na Neewę. Dziewczyna miała zaczerwienioną twarz i opuchnięte oczy. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Teraz możesz zacząć krzyczeć – wyszeptała Munroe.

Resztę schodów pokonały biegiem, kierując się do frontowych drzwi. Neeva szlochała histerycznie. Niemal wpadły na pierwszego policjanta, który ostrożnie wszedł do hotelowego holu.

– Na górze! – wrzasnęła Munroe. Najpierw po angielsku. Potem po włosku. – Na górze, na górze! Tamten z bronią jest na górze.

Rozdział 36

Z okiem przy celowniku Lumani włożył telefon z powrotem do kieszeni i odetchnął głęboko, próbując odsunąć od siebie jadowne myśli. Nie powinien się przejmować tym, co mówiła.

Wystarczyło dowieść, że jest silniejszy i sprytniejszy. Odzyskać przesyłkę. Usunąć przeszkodę, która stała mu na drodze. Wykonać zadanie. Tylko to się liczyło. Ona, ze swoimi słowami i strategią, była jedynie problemem i wyzwaniem. Zwierzyną łowną. Nieprzeciętnie inteligentną i przebiegłą – ale i tak miał ją dopaść. To, że tak dobrze mu się z nią rozmawiało, było dla niego zagadką. Może tak jak kot bawił się myszą – chwila na harce przed ucztą – tyle że mysz właśnie go ugryzła, i to mu się nie podobało.

Leżał na brzuchu, na drewnianej ławie, którą wcześniej przyciągnął z drugiego pokoju, zrzuciwszy z niej poduszki. Karabin oparł na dwójnogu. Tylko celownik i lufa wystawały spomiędzy zwiewnych firanek zasłaniających otwarte drzwi balkonowe na czwartym piętrze budynku, który stał ukośnie do hotelu. Z tego miejsca miał wolną linię strzału do wejścia – jedyne, którym jego zdobycz mogła się wydostać na ulicę. Byłaby głupia, gdyby czekała w środku na policję.

Oczywiście nie mógł wykluczyć, że zostawiła ostatnie pluskwy w pokoju, a sama przeskoczyła przez mur na tyłach albo wydostała się przez jakieś okno, podczas gdy on jak głupiec czekał na nią od frontu. Ale instynkt drapieżnika mówił mu, że ona wciąż jest w hotelu.

Przeczuwał zasadzkę, dlatego posłał tam Tamása. Teraz Tamás nie żył, a on, nie dość, że nie wykurzył zwierzyny z nory, to jeszcze gubił się w domysłach, patrząc, jak na miejsce docierają kolejne wozy policyjne. Nie miał wyjścia, musiał czekać w swojej kryjówce. Żeby się tu dostać, obezwładnił staruszkę, która otworzyła drzwi, gdy zapukał.

Teraz siedziała w kuchni przywiązana do krzesła własną serwetą i zakneblowana czystą ścierką.

Jeszcze nie zdecydował, co z nią zrobi – zabije czy nie.

Nie był prostakiem tak jak pozostali – zwykle bydlaki, które nie potrafiły się adaptować do zmieniającej się sytuacji. Nie był bezużytecznym mięśniakiem, którego rajcują krzyki, płacz i strach, bo czuje się mężczyzną, tylko gdy inni się go boją – albo w ogóle nic nie czuje. Jego zadanie polegało na pojmaniu zdobyczy. Zabijanie traktował jako część pracy, nieprzyjemny, ale czasem konieczny obowiązek, który wolał wypełniać na odległość, schowany za celownikiem karabinu, kiedy mógł uniknąć kontaktu z trupami.

Przed hotelem wyły syreny – cztery wozy z włączonymi silnikami i migającymi światłami. Na miejscu mundurowych zachowałyby większą ostrożność, zbliżając się do drzwi. Ona musiała wkrótce wyjść na zewnątrz, chyba że planowała zostać aresztowana w związku ze śmiercią Tamása.

Szykując się do strzału, Lumani oparł palec wskazujący na oślonie spustu. Świadomie kontrolował oddech, aby nie czuć pulsowania w palcach, dłoniach i ramieniu. Precyzja wymagała absolutnego bezruchu.

Policyjne syreny przyciągały ludzi tak, jak zapach krwi wabił zombi. Gapie wylegli z mieszkań i sklepów. Głupcy nagrywali wszystko swoimi komórkami, czekali, aż coś się zacznie dziać, żeby potem wysłać filmiki przyjaciom albo wrzucić je do sieci. Mieli szczęście, bo Tamás poszedł tam wysadzić tylko drzwi, a nie cały budynek.

Syreny. Policja. Tłumy. Jego zdobycz wciąż się nie pokazywała.

Pytania i wątpliwości powoli łączyły się w mieszaną wybuchową.

Nie mógł sobie pozwolić na kolejny błąd.

W jego głowie pojawiły się drażniące iskry zimnych ogni. Upadek był tuż-tuż, niemal w zasięgu zmysłów. Podkradał się coraz bliżej. Zmęczenie i brak sukcesów robiły swoje. Jeszcze tylko trochę. Już wkrótce miał się zamknąć w hotelowym pokoju i całymi dniami pompować w siebie toksyny i chemię, aby uwolnić się od napięcia, jakie

towarzyszyło nieustannemu dążeniu do perfekcji, aby zapomnieć o cierpieniu odrzucenia i niebytu.

Ale jeszcze nie teraz.

Oderwał oko od celownika.

Kolejna szansa właśnie uciekała. Zostając tu dłużej, ryzykował, że utknie w strefie, którą policjanci otoczą kordonem, albo przypadkiem znajdzie się na jakimś zdjęciu, które trafi do Internetu i stanie się dowodem na to, że był na miejscu zdarzenia, gdyby policja szukała później naocznych świadków.

Już miał się wycofać i wciągnąć za sobą snajperkę do środka, ale zamarł.

Jego zdobycz i przesyłka wypadły z hotelu, przytulone do siebie, całe w pyłe, jakby ocalały z wybuchu. Lumani ponownie spojrzął przez celownik, śledząc je w powiększeniu. Michael rzeczywiście była ranna, tak jak mówiła. Widział krew na jej twarzy i nogach. Kulała i krzyczała coś o strzelcu perfekcyjną angielszczyzną i łamanym włoskim. Wyczytał to z ruchu jej warg. Inaczej wyglądała. Wszystko było inne. A przesyłka – dobry Boże! – bezwartościowa, wychudzona i bez włosów.

Policjanci, którzy jeszcze nie weszli do budynku, odprowadzili kobiety na bok – zabrali ofiary tam, gdzie było bezpieczniej. Gdy się oddaliły, tłum żądnych sensacji gapiów zwarł szeregi. Głowa Michael to znikająca, to znów pojawiająca się między innymi, utrudniając oddanie strzału.

Wargi Lumaniego wygięły się w szyderczym uśmiechu. Specjalnie zaczekała, żeby wykorzystać policję i ciekawskich jako zasłonę. Chciała utrudnić mu zadanie. Zaplanowała wszystko tak, żeby jak najbardziej mu przeszkodzić. Prychnął pogardliwie. Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Najechał na nią krzyżem siatki. Chwilę kalkulował i mierzył, a potem odpowiednio wyprzedził cel. Powoli i miarowo wypuścił

powietrze. Michael niespodziewanie zmieniła kierunek, pochyliła się za jakąś brązową czupryną, a potem spojrzała prosto na niego. Przekręciła dłoń kciukiem do góry i przytknęła palec wskazujący do skroni, udając, że przystawia do głowy pistolet i pociąga za wymagany spust.

Serce Lumaniego zareagowało tak, jakby ktoś go w tym momencie dotknął.

Odetchnął powoli, żeby się uspokoić, i przesunął palec wskazujący z osłony na spust. Wystarczyło lekko nacisnąć, żeby zadać śmierć. Poczł, że drży mu ręka. Tłum rozstąpił się nieco. Michael była odwrócona do niego plecami. Razem z ogoloną na zero dziewczyną powoli oddalały się od hotelu.

Lekko nacisnąć.

Mógł ją trafić.

Mógł zakończyć życie tej, która samym swoim istnieniem dowodziła, że jest bezwartościowy, która bez żadnego wysiłku zjednała sobie sympatię i aprobatę wuja.

Musiał się tylko uspokoić.

Nieposłuszne serce biło mocno. Czuł to w palcach. Ciężkiego rytmu nie mógł wyrównać miarowo wciąganyymi porcjami powietrza. Nie pomogło nawet wstrzymanie oddechu.

Zdumiony zdusił w sobie panikę wywołaną zupełnie nową niedoskonałością.

Nie.

To nie była niedoskonałość, tylko siła. Pierwszy raz nie traktował zabójstwa w kategoriach zawodowych. Odbierał to bardzo osobiście. Bijące mocno serce uświadamiało mu jedynie, że temperatura jego pasji rośnie. Nigdy wcześniej nie rozumiał, co czuje człowiek, który pragnie czyjejś śmierci.

Ulicą nadjeżdżały kolejne wozy na sygnale.

Lumani się wycofał. Rozmontował i spakował snajperkę. Wrócił do kuchni, w której ledwo mieścił się maleńki stolik i dwa krzesła – pomieszczenia zaprojektowanego dla samotnej osoby. Kobieta siedziała na środku, wciąż związana. Zdołała pozbyć się knebla, ale mimo to nie podniosła alarmu – mądra decyzja – gdyby zaczęła krzyczeć, musiałby ją uciszyć na zawsze.

Podniosła głowę, gdy stanął w progu. Wokół twarzy miała aureolę krótkich, kręconych włosów, które na pewno farbowała, żeby ukryć siwiznę. Wyobraził sobie, że ta niezależna, samotna kobieta jest czyjąś babcią. Zastanawiał się, jakie to uczucie mieć taką ciepłą i troskliwą opiekunkę, która przytuli jak matka i zawsze pochwali, bo podobno wszystkie matki takie są. Zazdrościł jej wyimaginowanym dzieciom.

Kobieta patrzyła na niego łagodnymi, załzawionymi oczami, a on zastanawiał się, czy powinien usunąć świadka, tak jak zrobiłby to zawodowiec. W końcu podszedł do niej i poklepał ją po głowie. W jego pojęciu miał to być wyraz sympatii, ale wypadł sztywno i nienaturalnie, wcale nie tak według niego powinien wyglądać serdeczny gest wobec starszej kobiety.

Wychodząc z mieszkania, przystawił drzwi, żeby się nie zamknęły. Mogła wezwać pomoc, kiedy on już zniknie. Zachował się tak jak ludzie, którzy podróżując samolotami, płacą dodatkowo za emisję CO₂... Jak oni to nazywają? Rekompensata? Tak, rekompensata. Teraz on rekompensował to, że pragnął czyjejs śmierci. Nie był taki jak Arben i Tamás, nawet jeśli w tej chwili do działania pchała go chęć patrzenia, jak ona umiera. Na dowód tego darował starszej pani życie. Teraz miał jeden cel – zabić Michael.

Rozdział 37

Munroe prowadziła Neewę przez tłum gapiów, których przyciągnęły syreny i światła. Za nimi z hotelu zaczęli wychodzić inni – pozostali goście. Gdy strzelanina umilkła i na miejsce przyjechała policja, oni również postanowili przemknąć się do wyjścia, potęgując zamieszanie i ścisk.

Stopniowo oddalały się od hotelu. Munroe w każdej chwili spodziewała się błyskawicznej śmierci, która mogła, ale nie musiała jej osiągnąć. Tak naprawdę było jej wszystko jedno. Jeden pocisk i po bólu. Nic się jednak nie stało.

Szła więc dalej, prowadząc Neewę nieco szybciej, bo minęły już policję. Jedną z przecznic zbliżały się kolejne wozy na sygnale – prawdopodobnie posiłki wezwane przez pierwszych, którzy dotarli na miejsce zdarzenia i zobaczyli wysypujących się z hotelu gości oraz właściciela leżącego na podłodze w holu. Chyba żył. Minęły go za szybko, aby Munroe mogła dokładnie ocenić jego stan – ale dla spokoju własnego sumienia miała nadzieję, że Tamás go nie zabił.

Neeva szła obok, przebierając nogami dwa razy szybciej niż ona i wciąż szlochając.

– Możesz już skończyć – powiedziała Munroe i łzy dziewczyny natychmiast przestały płynąć.

Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich godzin kluczyły ulicami, na chybił trafił wybierając drogę. Tempo ich marszu malało nie tylko ze względu na Neewę, ale też dlatego, że Munroe zaczynała słabnąć. Od czasu do czasu przystawała i pytała przechodniów, którądy najszybciej dojdzie do metra, a potem celowo zbaczała z kursu. W myślach wszystko kalkulowała. Starła się nie iść prosto do celu, ale jednocześnie wołała nie ociągać się za długo, żeby Lumani nie zdołał odgadnąć ich planów i nie dotarł na miejsce przed nimi.

Jeszcze tylko jeden etap i mogła liczyć na chwilę oddechu. Ta ostatnia rozgrywka oznaczała, że przynajmniej tej nocy mogły odpocząć od ciągłej wędrówki z miejsca na miejsce i skoków adrenaliny. Wreszcie miała się przespać.

Do metra schodziło się prosto z ulicy. Jeśli Lumani je śledził, a podejrzewała, że tak, na pewno działał metodycznie i powoli. W ciągu jednego dnia zdołała załatwić dwóch jego ludzi, dlatego wołał uniknąć strategicznych błędów. Wciąż nie rozumiała, dlaczego nie zastrzelił jej przed hotelem.

Przyjechał pociąg. Godziny szczytu już dawno minęły, więc bez trudu znalazły miejsca siedzące. Munroe zauważyła zaniepokojone spojrzenia pasażerów po drugiej stronie przejścia. Przejechała dłonią po czole. Neeva podała jej niewielki ręcznik, który zabrała z hotelu, i Munroe porządnie wytarła krew.

– Nadal zamierzasz trzymać się planu? – spytała Neevę. – Nie przeszła ci ochota na to, żeby być przynętą?

Dziewczyna nie od razu odpowiedziała, więc Munroe włączyła komórkę.

– Nie mogę zagwarantować, że nam się uda – przyznała. – Istnieje ryzyko, że coś pójdzie nie tak... że znowu trafisz w ich łapy i nie zdołam cię uwolnić. Muszę mieć pewność, że w pełni zdajesz sobie sprawę z konsekwencji, bo nie zamierzam ryzykować twojego życia bez twojej zgody.

Neeva długo wpatrywała się w podłogę, zanim podniosła wzrok.

– Rozumiem, co mi grozi – powiedziała – i jestem gotowa.

Munroe ujęła dłoń dziewczyny. Ścisnęła ją.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nic ci się nie stało – obiecała. Neeva uśmiechnęła się w odpowiedzi, a ona przeniosła wzrok na wyświetlacz telefonu i zaczęła działać tak szybko, jak pozwalał na to słaby zasięg. Korzystając z numerów kart kredytowych, które od lat

znała na pamięć, przygotowywała kolejne fazy planu na resztę nocy. –
Załatwione – wyszeptała wreszcie i wybrała numer Lumaniego.

Kiedy odebrał, powiedziała:

– Chcę zaproponować wymianę.

– Oddasz przesyłkę? – spytał po sekundzie wahania.

– Nie mogę już jej chronić – przyznała. – Straciłam za dużo krwi.

Słabnę. I tak w końcu mi ją odbierzesz. Ale w zamian macie uwolnić
tamtą dziewczynę w Stanach, tak jak obiecywaliście.

– To było, zanim zabiłaś Tamása.

– Taki jest mój warunek.

– Postaram się.

– Ale niczego nie gwarantujesz? – spytała.

– Nie mogę. Sama powiedziałaś, że w końcu i tak ci ją odbiorę.

– Dlaczego nie zdecydowałaś się strzelić?

– Nie było dobrej okazji.

– Wiem, że chcesz mojej śmierci.

– Bardzo.

– Zostawię dziewczynę w restauracji. Stamtąd ją zabierzesz –
zakomunikowała. – Mnie tam nie będzie.

– I tak cię znajdę.

– Może, ale nie dzisiaj.

– W jakiej restauracji? – spytał.

– Zadzwoń, kiedy będę wiedziała.

Zamówiona taksówka czekała przy stacji metra. Płynnie
przedostały się z peronu na schody i do samochodu. Munroe podała
kierowcy nazwę hotelu w drugim krańcu miasta, gdzie zarezerwowała
pokój, i rozsiadła się wygodnie z tyłu wozu. Czuła, że jej ciało domaga
się snu, ale jeszcze ze sobą walczyła. Neeva poddała się niemal od razu.

Budynki wyrastały przy ulicach jak niemi wartownicy. Latarnie
dekorowały ich fasady światłocieniem i zmieniały ruchliwe chodniki w

niesamowite impresje. Munroe przyglądała się knajpkom i restauracjom, szukając takiej, która nadawałaby się do ich celów. Kiedy wreszcie ją spostrzegła, poprosiła taksówkarza, żeby się zatrzymał.

Jej instrukcje były proste. Miał zrobić co najmniej jedną rundę po okolicy, a potem zaparkować gdzieś niedaleko i czekać z włączonym licznikiem.

– Kiedy wrócę, być może będę miała ze sobą dwoje śpiochów – uprzedziła go – a wtedy bardzo mi się przyda pana pomoc. – Machnęła mu przed oczami zwiłkiem banknotów. – O ile ma pan czas.

Taksówkarz uśmiechnął się szeroko i przytaknął.

– Oczywiście, że mam.

Munroe szturchnęła Neewę i dziewczyna niechętnie otworzyła oczy.

– Już czas – powiedziała do niej i nastolatka wysiadła za nią z taksówki.

Restauracja zajmowała cały róg budynku. Jasno oświetlona, od frontu wyglądała zachęcająco, ale boczna uliczka tonęła w mroku. Większość stolików pod markizami na zewnątrz była pusta.

Munroe zadzwoniła do Lumaniego. Podejrzewała, że jest niedaleko, ale i tak podała mu adres. Neewę posadziła przy narożnym stole, na krześle zwróconym oparciem do ślepej ściany restauracji. Wszystkie bagaże, oprócz torby na ramię, zostawiła na ziemi przy dziewczynie.

Z kieszeni wyciągnęła ostatnie lokalizatory w prowizorycznej kopercie z kartki papieru. Napisała na niej fałszywy adres. Neeva zdobyła się na uśmiech, ale stres i wyczerpanie sprawiły, że wypadł krzywo.

– Obiecuję – powiedziała do niej Munroe, pocałowała ją w czubek głowy i się oddaliła.

Nie odeszła daleko. Kilkanaście metrów wzdłuż budynku, żeby znaleźć się poza zasięgiem świateł restauracji – ale nie na tyle, żeby stracić z oczu głowę Neevy.

W jej kierunku szło akurat troje ludzi – dwaj mężczyźni i kobieta. Munroe zawołała ich i zaproponowała, że zapłaci im sto euro, jeśli zgodzą się wziąć kopertę i wrzucić ją do najbliższej skrzynki pocztowej.

Ich miny zdradzały nieufność i zaciekawienie, ale na szczęście najbardziej uniwersalny język świata – pieniądze – był im dobrze znany, więc wzięli kopertę i gotówkę. Jeszcze przez jakiś czas docierały do niej ich śmiechy i żartobliwe przekomarzania.

Czekała w ciemnościach, plecami przywierając do ściany. Czas maszerował powoli, a ona wodziła wzrokiem po widocznej w świetle latarni części chodnika i pieszych, którzy tamtędy spacerowali. Od czasu do czasu zerkała na Neewę.

Tym razem zamiast jericha wybrała paralizator. Sprawdziła zabezpieczenie i poziom naładowania baterii. Mijały kolejne chwile. W końcu Neeva musiała zamówić jakieś danie, żeby nie wyproszono jej z restauracji. Lumaniego wciąż nie było.

Na pewno widział krew. I to, że kulała. Wprawdzie jechał na rezerwie sił i był wyczerpany tak jak ona, ale zależało mu na przesyłce. Miała pewność, że się zjawi. Gdyby wolał zdjąć dziewczynę z daleka, potem i tak musiałby ją stąd zabrać. Nawet jeśli dla pewności najpierw przejechał tędy raz albo i dwa, aby potwierdzić, że Neeva naprawdę jest sama, Munroe powinna już go zauważyć.

Dręczona ciszą, nieobecnością Lumaniego i zmęczeniem, próbując wypatrzyć go na ulicy wśród tłumów przechodniów, niemal przegapiła sygnały, że ktoś zbliża się od tyłu. Nie słyszała go, nie widziała, jak chyłkiem przemyka w mroku, próbując zająć ją z drugiej strony. Mało brakowało.

Obróciła się i kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Pistolet.

Energia wyparła wyczerpanie. Siła zastąpiła słabość.

Znajdował się w odległości, z której równie dobrze mógł spudłować, jak trafić.

Zatrzymał się gwałtownie, gdy się odwróciła. Wycelował broń. Ona również. Wystrzelił. Pocisk trafił ją na wysokości mostka. Siła uderzenia przewróciła ją na ziemię. Kiedy się zbliżył, żeby ją dobić, najechała laserowym celownikiem paralizatora na jego szyję.

Pociągnęła za spust.

Impulsy elektryczne wstrząsnęły jego ciałem.

Obolała, z trudem chwytając powietrze, dźwignęła się z ziemi i podeszła do niego. Kopniakiem odrzuciła broń, żeby nie mógł jej dosięgnąć. Kolejny H&K USP, bojowy kompakt, identyczny jak te, których używali Tamás i Arben. Upuściła paralizator i przytknęła jericho do czoła Lumaniego.

Przygniotła butem jego pierś i wolną ręką namacała strzykawkę. Wiedziała, że Lumani ma ją przy sobie. Dziabnęła go w udo. Z lufą przy jego głowie zaczęła, aż zamknie oczy, a szczęka opadnie mu luźno. Dla pewności jeszcze zdzieliła go pięścią. Dawka środka odurzającego została obliczona dla Neevy, a dziewczyna ważyła niemal o połowę mniej od niego, ale w tym momencie jakie to, kurwa, miało znaczenie.

Grupka przechodniów po drugiej stronie ulicy przyglądała się całemu zajściu. Munroe machnięciem ręki dała im znak, żeby sobie poszli.

- Przedstawiciel prawa - poinformowała.

Nie wiedziała, czy jej uwierzyli, ale się oddalili. Ludzie z natury wybierali bierność, unikali angażowania się w cokolwiek, woleli nie mieszać się w cudze problemy. Tacy już byli.

Zawołała Neewę. Musiała powtórzyć jej imię kilkakrotnie, za każdym razem coraz głośniej, zanim została usłyszana. Dziewczyna z takim zapamiętaniem udawała, że je, i starała się zachowywać naturalnie, jednocześnie śledząc wzrokiem przechodniów, że prawie nie zwracała uwagi na to, co działo się za jej plecami. W końcu dotarło do niej, że ktoś ją woła. Zostawiła pieniądze na stoliku, zabrała torby i ruszyła do

Munroe. Kiedy zobaczyła Lumaniego na ziemi, uśmiechnęła się szeroko. Nie miała pojęcia, że z powodu chwilowej nieuwagi Michael obie przez moment znajdowały się w niebezpieczeństwie.

Michael walczyła z wyczerpaniem. Boże, jak bardzo potrzebowała odpoczynku.

Już niedługo. Jeszcze tylko trochę. Najwyżej godzina i mogła zapaść w sen.

Z wysiłkiem uśmiechnęła się do Neevy.

– Dobra robota – powiedziała i zadzwoniła po taksówkarza. Kiedy odebrał, poprosiła, żeby podjechał pod restaurację.

Na szczęście Neeva jeszcze nie padła ze zmęczenia. Munroe nie liczyła nawet, że dziewczyna wytrzyma tak długo. Wspólnymi siłami dociągnęły Lumaniego do krawężnika. Munroe przełożyła sobie jego ramię przez kark, a Neeva podpierała go z drugiej strony bardziej głową niż ramieniem. Nieliczni przechodnie przystawali i gapili się na całą trójkę.

– Za dużo wina – tłumaczyła Munroe, co niezmiennie prowokowało uśmieszki.

W taksówce wręczyła kierowcy połowę obiecaną gotówkę.

– Reszta, jak dojedziemy na miejsce – powiedziała po włosku, a potem odwróciła się do Neevy i przeszła na angielski. – Musimy go rozebrać – zakomunikowała.

Zanim dojechały do hotelu, zdołały dokonać nie lada wyczynu na niewielkiej, tylnej kanapie taksówki. Rozebrały Lumaniego i gdy Munroe upewniła się, że w koszuli i spodniach nie ma żadnych pluskiew, ubrały go z powrotem. Buty, marynarkę, pasek i resztę rzeczy, które miał na sobie, zwinęła w tłumok, poprosiła kierowcę, żeby po drodze się zatrzymał, i pozbyła się ich.

Taksówkarz otrzymał kolejną część zapłaty, więc bez pytań i protestów znosił liczne prośby o zmianę trasy i falstarty. Kluczyli bez

celu przypadkowymi ulicami. Przystawali w różnych miejscach i czekali. Wjeżdżali na parkingi i znowu czekali. Choć Munroe spodziewała się ogona, nikt ich nie śledził. Kierowca przez całą drogę milczał. Dopiero gdy w końcu zatrzymał się pod docelowym hotelem i Munroe dała mu resztę obiecaną sumy, powiedział: *Grazie*.

– Zapłacę więcej – powiedziała. – Proszę tu zaczekać. Zaraz wracam – rzuciła do Neevy.

Dyskretne wniesienie nieprzytomnego i skąpo ubranego Lumaniego do hotelu nie było może łatwe, ale miałyby o wiele trudniejsze zadanie, gdyby musiały podtrzymywać go przy załatwianiu hotelowych formalności. Ściągnęłyby na siebie uwagę wszystkich obecnych. Dlatego Munroe najpierw weszła do hotelu sama, sprawdziła główny hol i korytarz przy windach, zapamiętała rozmieszczenie kamer, a dopiero potem ruszyła do recepcji i wzięła klucze do pokoju.

Gdy już zdołała przy pomocy Neevy wyciągnąć Lumaniego z taksówki, ponownie zarzuciła sobie na kark jego rękę i przytrzymując go w ten sposób jak bezwładną kukłę, wręczyła kierowcy dodatkową kwotę.

– Proszę nie wracać po rzeczy, które wyrzuciłam – przestrzegła go. – Nawet po telefon i zegarek. Szukają tego niebezpieczni ludzie. Jeśli będzie pan miał przy sobie choćby jedną z nich, zaprosi pan do swojego domu śmierć.

Taksówkarz spojrział na nią ze zdziwieniem, więc dodała:

– Zarobił pan więcej, niż one są warte. Naprawdę lepiej po nie nie wracać. Proszę mi wierzyć na słowo.

Przytaknął.

– Zachowam pana numer – powiedziała. – Być może będę jeszcze potrzebowała pańskiej pomocy.

Uśmiechnął się i pomachał im na do widzenia. Przez chwilę patrzyła za nim. Miała nadzieję, że jej posłucha – nie dla własnego

bezpieczeństwa, tylko ze względu na nią.

W końcu oderwała wzrok od oddalających się tylnych świateł i spojrzała na jasne wejście hotelu. Razem z Neewą jakoś zdołały wtaszczyć bagaże i wprowadzić Lumaniego frontowymi drzwiami. Tym razem wzbudziły nieco większe zainteresowanie niż wtedy, gdy pakowały go do taksówki przy restauracji.

Ten hotel – w przeciwieństwie do poprzedniego ekskluzywnego hoteliku, który już spełnił swoje zadanie – był europejskim odpowiednikiem amerykańskiej sieci. Tutaj łatwiej mogły się ukryć, wtopić w tłum. Czynną przez całą dobę recepcję obsługiwało kilka zmian, a personel i goście przewijali się przez to miejsce tak licznie, że ten dziwny incydent był po prostu jednym z wielu.

Wsiadły do windy odprowadzane ciekawskimi spojrzeniami pracowników i gości. Munroe od czasu do czasu rzucała jakąś ironiczną uwagę na temat Lumaniego, wywołując śmiech. Wjechały na swoje piętro, przemierzyły korytarz i wreszcie mogły się zamknąć w pokoju.

Munroe od razu zabrała się do przestawiania mebli, a kiedy zrobiła odpowiednio dużo miejsca, ponownie rozebrała Lumaniego i posadziła go na krześle z poręczami, wciskając oparcie w kąt. Skrępowwała go taśmą – kostki, kolana, nadgarstki, łokcie, ramiona i tułów – tak że w końcu nadała mu kształt krzesła. W ten sposób nie mógł ani specjalnie, ani przypadkiem przewrócić mebla. Spodziewała się, że środek usypiający wkrótce przestanie działać, ale Lumani był tak samo zmęczony jak ona, więc liczyła, że jeszcze przez jakiś czas się nie ocknie. Nie zakleiała mu ust, żeby go przypadkiem nie udusić. Miała pewność, że jeśli spróbuje podnieść alarm, ona pierwsza go usłyszy.

Srebrna taśma. Idealna broń. Można ją było wykorzystać na tak wiele sposobów. Munroe dokończyła dzieła i rzuciła końcówkę rolki na biurko.

Westchnęła. Zerknęła na Neewę, która zasnęła zaraz po tym, jak Lumani trafił na krzesło. Munroe usiadła na brzegu jedyne go łóżka i ściągnęła buty. Położyła się i niemal natychmiast ogarnęła ją ciemność.

Ciche stukanie wyrwało ją z głębin. Delikatne, nieregularne dźwięki, które to milkły, to wracały – niecierpliwe i nerwowe – aby po chwili znowu ucichnąć. Nie poruszyła się ani nie zmieniła rytmu oddechu. Uniosła powieki tylko odrobinę i jeszcze przez niemal dwie minuty leżała spokojnie, patrząc, jak Lumani wykręca się, napina więzy i szarpie do przodu. Raz po raz udawało mu się odrobinę oderwać oparcie krzesła od ścian.

Neeva wciąż spała.

Munroe otworzyła w końcu oczy i zaczęła, aż Lumani przestanie się miotać. Uśmiechnęła się, zobaczywszy jego zszokowaną minę, kiedy spojrzał prosto na nią i uświadomił sobie, że jest obserwowany.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – spytał.

Usiadła. Przeciągnęła się. Zegar na biurku pokazywał, że upłynęło sześć godzin, odkąd zapadła się w nicość, a mrok za zasłonami mówił, że jeszcze jest noc.

Wstała. Z reklamówki z zakupami wyciągnęła ostatnią butelkę wody. Otworzyła ją, stanęła przed Lumanim i patrząc na niego, wypła spory łyk.

Wytarła dłonią usta. Butelkę odstawiła na niewielki stolik, na tyle blisko niego, że gdyby nie był związany, mógłby po nią sięgnąć.

Z torby wyjęła paralizator, zwinęła elektrody. Nie miała na to czasu, gdy wpychała Lumaniego do taksówki. Kiedy skończyła, położyła urządzenie na biurku, dokładnie naprzeciwko Lumaniego.

Przyglądał się jej uważnie.

W torbie odszukała zapasowy nabój gazowy, potrząsnęła nim celowo, a potem powoli, z rozmysłem, dla efektu przesadnie akcentując każdy ruch, wymieniła stary na nowy. Odwróciła się przodem do

Lumaniego, przysiadła na krawędzi łóżka z pudełkiem amunicji i napełniła dwa magazynki.

Wymieniła do połowy opróżniony w pistolecie na pełny. Zaczęła uzupełniać trzeci.

– Gdzie masz karabin? – spytała.

– W samochodzie.

– A samochód?

– Był niedaleko restauracji, z której miałem zgarnąć dziewczynę.

– Jakiś ty biedny – udała współczucie. – Największy uszkodzony.

– Skończyła ładować ostatni magazynek. – Nie znalazłam przy tobie kluczyków.

– Miałem kierowcę.

Uniosła brwi.

– Jeszcze jednego?

Wzruszył ramionami.

Munroe wstała. Z biurka wzięła paralizator. Obojętnie wycelowwała w jego pierś.

Rozdział 38

Po raz drugi między zachodem a wschodem słońca elektrody dokonały cudu. Lumani szarpał się i dygotał, tym razem nagi i związany, ale to, co powinno sprawić Munroe satysfakcję, zostawiło jedynie wrażenie pustki.

Kiedy prąd przestał płynąć, usunęła elektrody. Zaczekała, aż Lumani złapie oddech, i wycelowała paralizator w jego krocze.

– To będzie mój następny cel – oznajmiła.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał. Kiedy nie odpowiedziała, w przypiływie paniki zaczął napinać więzy. Krzesło się zakołysało i tylne nogi oderwały się na moment od podłogi, ale Lumani szybko stracił siły.

– Dlaczego mnie nie zabiłaś?

– Może to zrobię – powiedziała. – Ale na razie jesteś dla mnie więcej wart żywy. Nie wiem jeszcze, czy lepiej cię wymienić na tamtą dziewczynę w Stanach, czy wyciągnąć od ciebie informacje.

– Daj mi ubranie. To nieludzkie.

Munroe podeszła do niego. Uklękła, aby spojrzeć mu w oczy, i postukała taserem o swoje udo.

– Kiedy wyceluję w ciebie strumień zimnej wody, tak że nie będziesz mógł oddychać, kiedy wepchnę ci do tyłka coś wielkiego, kiedy zacznę cię katować zwanego i bezbronno albo będę stała obok i się śmiała, patrząc, jak robi to kto inny, kiedy wyrwę ci zęby i wyrnę twoich bliskich, wtedy będziemy mogli rozmawiać o tym, co jest nieludzkie.

Lumani znowu zaczął się szarpać i kołysać krzesłem. Wykręcał tułów. Napinał więzy. Krzywił się i warczał. W końcu zasapany spojrzał na nią wściekle.

– Ja nic takiego nie robię.

Munroe wstała i cofnęła się o kilka kroków. Za sobą usłyszała szelest pościeli. Nie musiała się odwracać, i tak wiedziała, że Neeva się

zbudziła i usiadła na łóżku.

– Właśnie, że robisz – powiedziała. – Za każdym razem, kiedy dostarczasz swojemu wujowi kolejną dziewczynę... Kto zabił Noaha? Ty? – spytała po krótkiej pauzie.

– Noaha?

– Marokańczyka. Za to, że Neeva uciekła.

– Nie ja – przyznał Lumani. – Mój odpowiednik.

– Jak go znaleźliście... tego Marokańczyka?

– Tak samo jak ciebie.

– Powiedziała wam o nim tamta kobieta w więzieniu?

Przytaknął.

Jego potwierdzenie było jak okrutne pchnięcie nożem i zaraz po nim zastrzyk przeciwbólowy. Odetchnęła głęboko, aby ominąć ból i dotrzeć do morfiny. Przynajmniej teraz wiedziała na pewno, że Logana nie torturowali po to, żeby wyciągnąć od niego informacje. Breeden, nawet w więzieniu, odcięta od świata, znalazła sposób, żeby kopać, jątrzyć i śledzić ruchy Munroe. Co innego mogła robić osoba, która miała czas – mnóstwo czasu – a do tego powód i chęci, żeby zaplanować zemstę?

Munroe przeklinała własną słabość. Dlaczego tego nie przewidziała? Dlaczego bardziej się nie pilnowała? Jeśli ktoś ponosił winę za to, co się stało, to właśnie ona. Powinna była dostrzec ryzyko.

Spojrzała na Lumaniego.

– Kiedy zginął Noah? Na początku? – spytała. – Jeszcze zanim mnie zgarnęliście? Zabiliście go od razu, żeby mieć zdjęcie w pogotowiu, gdyby trzeba było wyciągnąć z rękawa jakąś podłą kartę i zmusić mnie do posłuszeństwa?

Lumani podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Nie wiem – przyznał. – To możliwe, ale naprawdę nie wiem. Musiałabyś zapytać kogoś innego.

– Ilu jest takich jak ty?

– Trzech. Ale ja jestem... – zająknął się i nie dokończył zdania.

– Najlepszy? – dopowiedziała za niego Munroe. – No to możesz być z siebie dumny. – Odwróciła się do Neevy. – Chcesz się zemścić? Chcesz poznać to uczucie? Nie wolno ci go zabić, ale jeśli myślisz, że ci ulży, rań go.

Neeva błyskawicznie zsunęła się z łóżka, a Munroe wydobyła z torby nóż. Rozłożyła ostrze – cztery cale stali. Nie było wielkie, ale ciężar metalu w dłoni podziałał na nią kojąco, jak ulubiona kołysanka śmierci, która uspokajała cały świat.

– Tym? – spytała dziewczyna.

– Tak.

– A mogę użyć tasera? Albo lepiej pistoletu? Mogłabym strzelić mu w nogę.

– Nie. Jeśli naprawdę chcesz poznać, jakie to uczucie, musisz zrobić to z bliska, bezpośrednio. Inne sposoby są tylko namiastką.

Neeva wzięła nóż. Ostrożnie. Jak ktoś nieprzyzwyczajony do posługiwania się taką bronią – dwoma palcami za sam koniec, tak jakby za chwilę miał się zmienić w węża i ją ukąsić. Potem nagle podniosła głowę, stanęła prosto, mocno ujęła rękojeść i pewnie obeszała łóżko. Zatrzymała się przed Lumanim. Długo stała, spoglądając to na nóż, to na mężczyznę, jak gdyby próbowała określić, co naprawdę czuje i jak ma postąpić.

Lumani zacisnął szczęki. Jego twarz stężała. Przygotował się na ból. Był zbyt dumny, żeby błagać o litość.

– Ty mnie porwałeś, tak? – spytała dziewczyna.

Nie odpowiedział ani nie zareagował.

– Mogłabym cię ciachnąć – stwierdziła. – Nie boję się i nie obchodzi mnie, że będziesz cierpieł. Wolę jednak porozmawiać. Sam wybieraj. Mam cię czy pogadamy?

– Byłem w grupie ludzi, którzy cię uprowadzili – przyznał.

– Tym się zajmujesz? Porywasz dziewczyny? Z tego żyjesz?

Poderwał głowę i spojrzał na nią z niechęcią.

– Trudno to nazwać życiem. Spełniam jedynie żądania... poza tym nigdy nie robię dziewczynom krzywdy.

– I myślisz, że to czyni cię lepszym od tamtych? – Neeva znowu przeniosła wzrok na nóż. Obróciła ostrze w kierunku uda Lumaniego. Jej ręka zastygła. Ostry czubek ledwie dotykał jego skóry. – Kogo zabijają?

– Nie rozumiem.

– Kogo zabijają, jeśli nie spełnisz tych żądań?

Spuścił wzrok.

– Jesteś dupkiem – prychnęła dziewczyna. – Przez ciebie niewinne dziewczyny traktowane są jak bydło, a ty użalasz się nad sobą. Powinieneś się czuć odpowiedzialny, a nie tłumaczyć, że to nie twoja wina.

Dłoń Neevy zacisnęła się na rękojeści tak mocno, że aż zbielały jej kłykcie. Dźgnęła ostrzem w udo Lumaniego. Zatopiła je prawie na głębokość cala – co najmniej. Ominęło kość, przedarło się przez mięsień.

Musiało boleć.

Lumani wrzasnął i Neeva wyszarpnęła nóż. Stała i patrzyła na czerwony czubek. Rana zaczęła krwawić. Munroe podeszła do dziewczyny i powoli, niemal czule wyjęła broń z jej ręki.

– Lepiej ci?

– Trochę.

Lumani zaklął i zakołysał krzesłem, zgrzytając zębami. Zacisnął dłonie na końcach poręczy.

– Chcesz to zrobić jeszcze raz? – spytała Munroe.

– Fajniej było powiedzieć mu w twarz, że jest dupkiem.

Munroe oddała jej broń.

– Przynieś mi teraz mały ręcznik. Potem musisz umyć nóż – poinstruowała. – Zrób to dokładnie. Są na nim twoje odciski i jego krew, a jesteśmy we Włoszech, nie w Stanach.

Neeva ujęła rękojeść między palec wskazujący a kciuk i poszła do łazienki. Wróciła tylko na moment z niewielką bawełnianą myjką.

Munroe wzięła z biurka rolkę taśmy. Przyłożyła ręcznik na ranę Lumaniego i ostatnim kawałkiem taśmy umocowała go, żeby się nie przesunął. Ponownie przyklęła, żeby jej oczy znalazły się na poziomie jego twarzy.

– Chcę wiedzieć, jak nazywają się twoi odpowiednicy i jak działa twój wuj. Tutaj i w Ameryce. Jaka jest struktura jego organizacji?

Lumani oddychał płytko. Spuścił oczy i wlepił wzrok w podłogę.

Munroe wstała i wróciła na brzeg łóżka. Przyglądała mu się uważnie. Z łazienki ciągle dochodził plusk wody.

Ból, groźba śmierci, a nawet Neeva z nożem nie zdołały zachwiać jego psychiką. Nie bał się ich, więc nie mogły przeważać nad potrzebami, które były dla niego najważniejsze.

Woda w łazience przestała płynąć. Neeva wróciła do pokoju z nożem zawiniętym w ręcznik.

– Włóż go do torby – poleciła jej Munroe i wyciągnęła z kieszeni telefon. Wybrała numer Lalkarza. Włączyła tryb głośnomówiący.

Nie spodziewała się, że o szóstej rano Lalkarz szybko odbierze telefon, zwłaszcza że po raz pierwszy kontaktowała się z nim z tego numeru, ale po chwili usłyszała zaspany znajomy głos.

– *Kush?*

– Twoja zaginiona przyjaciółka – odparła po angielsku ze względu na Neewę. Nie zamierzała się silić na grzecznościowe formułki. Usłyszała szelest, który sygnalizował, że rozmówca się poruszył, zmienił pozycję.

– Spryciara – powiedział. – Miałaś zaradzić problemowi, ale tylko pogorszyłaś sytuację.

– Uznałam, że kary są nieadekwatne do win, więc wzięłam sprawy w swoje ręce.

– Wyznaję bardzo prostą filozofię – powiedział ze śpiewną intonacją. Z jego głosu zniknęła senność, pojawił się w nim ton rozbawienia. – Tego, kto ją łamie, czeka koniec.

– Ha! Gratulacje, jestem skończona – stwierdziła – i dlatego teraz walą się kolejne rzeczy. Co zrobisz? Zniszczysz cały świat?

– Zadzwońska do mnie, więc rozumiem, że masz jakąś propozycję. A może jesteś jedną z tych kobiet, które lubią marnować czas na bezsensowne paplanie?

– Proponuję wymianę Valona na dziewczynę, którą więzisz w Teksasie.

Spontaniczny wybuch śmiechu był tak głośny, że rozniósł się echem po pokoju. Lumani podniósł wzrok.

– Jeśli go masz, a jestem tego niemal pewien, ponieważ od jakiegoś czasu nie daje znaku życia, wyświadczy mi przysługę i pozbądź się go. Tamta dziewczyna w Teksasie jest coś warta, mogę za nią dostać niezłą cenę. Valon to nieudacznik, nie jest mi do niczego potrzebny.

– Jesteś absolutnie przekonany? – spytała. – Pamiętaj, że skutków tego blefu już nie cofniesz.

Sporo o mnie wiesz, więc na pewno zdajesz sobie sprawę, że bez wyrzutów sumienia i wahania zabijam ludzi takich jak ty. Przez niego miałam sporo problemów, więc jeśli nie mogę nic za niego zyskać, nie jest mi potrzebny i będę musiała go zabić.

– Jak sobie życzysz – powiedział Lalkarz.

– W takim razie jestem skłonna wymienić wartą miliony przesyłkę na dziewczynę, której nikomu nie będzie brakowało – stwierdziła. – To chyba kusząca propozycja.

– Widziałem lalkę. Jest uszkodzona. Nie ma żadnej wartości.

– Rozumiem. Wiem, komu miała zostać dostarczona. Widziałam go w Monako. Jestem ranna i potrzebuję pomocy lekarza. Logan został uwolniony, więc twoja lalka nie jest mi już potrzebna. Muszę się pozbyć wszelkich dowodów, a jestem pewna, że klient chętnie weźmie ją za odpowiednio niższą cenę. Włosy szybko odrosną. Skontaktuję się z nim sama i zatrzymam zapłatę. Rachunek jest prosty. Zostaniesz bez Valona, który pomógł ci w zdobywaniu towaru, nie otrzymasz pieniędzy – nie pokryjesz nawet poniesionych strat – i nie będziesz miał mnie. Jednym słowem tracisz, tracisz i jeszcze raz tracisz.

Lalkarz długo milczał.

– Powiedz mi, moja sprytna przyjaciółko – odezwał się w końcu – jakie korzyści płyną z tego, że zwrócisz mi lalkę?

– Mniej krwi splami moje ręce.

– Aha, czyli że jednak ich los nie jest ci obojętny. W porządku, przyjmę lalkę z powrotem i oddam ci twoją siostrzenicę. Przywieź przesyłkę do mnie.

– Potrzebuję czasu, żeby wszystko zorganizować. Chcę mieć pewność, że dotrzymasz obietnicy.

– Moje słowo jest gwarancją.

– W takim razie nie będziesz miał zastrzeżeń do moich planów. Przywiozę towar i zadzwonię, kiedy będę gotowa. A teraz powiedz szczerze, co mam zrobić z Valonem.

– Wszystko jedno. Nie jest mi potrzebny.

Munroe rozłączyła się i spojrzała na Lumaniego. Od początku domyślała się, jaki przebieg będzie miała ta rozmowa, ale nie podejrzewała, że Lalkarz posunie się aż tak daleko. Ból na twarzy Lumaniego był większy niż wtedy, gdy Neeva dźgnęła go nożem. Mimo okoliczności Munroe mu współczuła.

Wstała. Ze stolika wzięła wodę. Zdjęła nakrętkę i przytknęła plastik do ust Lumaniego. Zaczął pić i nie przestał, dopóki nie opróżnił całej butelki. Krople ściekały mu po brodzie, a kilka – choć bardzo starał się je powstrzymać – uciekło mu z oczu i spłynęło po policzkach.

Munroe ponownie usiadła na łóżku, a potem pochyliła się i spojrzała mu prosto w twarz. Nic nie mówiła; on również milczał. W pokoju zapadła absolutna cisza. W końcu Neeva podsunęła się z tyłu do Michael.

– Zabijemy go? – spytała.

– Chyba nie musimy.

Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z niewypowiedzianych myśli, które nakłoniły pozostałych dwoje do milczenia.

– Nie możemy go na nic wymienić – stwierdziła – a nie zamierza wyjawić nam tego, co chcemy wiedzieć. Narobi hałasu i ściągnie tu kogoś. To morderca i zbrodniarz. I zwykły kutas. Po co darować mu życie?

– Zaczнеш mówić? – spytała Munroe Lumaniego. – Czy on daje ci coś, czego nie możesz dostać gdzie indziej? Nigdy nie będzie cię kochał... bez względu na obietnice. Nie potrafi ofiarować ci tego, czego najbardziej pragniesz.

– Czasami potrafi.

– Dla niego to tylko gra, rozrywka, sposób, który pozwala mu ciebie kontrolować. – Lumani spuścił wzrok, a Munroe oszczędziła mu emocjonalnej zapaści, bo tym skończyłaby się próba opowiedzenia z pełną świadomością o tym, że czuje się bezwartościowy i jak bardzo się tego wstydzi. – Jakiego haka ma na ciebie? – spytała.

– Bez niego nie mam życia – odparł. – Kiedy miałem cztery lata, wziął mnie do siebie. Poświęcił mnóstwo czasu i setki tysięcy dolarów, aby mnie wyszkolić. Musiałem to potem odpracować, zwrócić mu dług, aby odzyskać wolność.

- Już dawno go spłaciłeś, ale ciągle dla niego pracujesz.
- W jakimś banku założył konto i tam trafia to, co zarabiam...
- Pieniądze mordercy - wtrąciła Neeva.

Munroe gestem ręki uciszyła dziewczynę.

- Widziałem wyciągi - przyznał Lumani. - Zebrała się spora suma. Wielokrotnie obiecywał, że mi ją odda. Zawsze mówił, że jeszcze tylko jedna robota i będę wolny. Myślę, że te pieniądze nigdy nie miały być moje. Teraz pewnie zgarnął je jako zapłatę za zgubiony towar... - Lumani umilkł na chwilę - ...i zamierza mnie zlikwidować - dodał szeptem.

- Nie potrzebujesz tych pieniędzy - powiedziała Munroe. - Jesteś młody. Dużo podróżowałeś. Znasz wiele języków. Może nie jesteś aż tak sprytny i dobry, jak ci się wydawało, ale na pewno wystarczająco bystry i całkiem niezły w tym, co robisz. Możesz zacząć od nowa w dowolnym miejscu na świecie.

- Z czym? Z moją snajperką?

- Pewnie nie - przyznała Munroe - ale każdy od czegoś zaczyna. Ja na początku nie miałam nic. Nie jest łatwo, ale to możliwe, wystarczy naprawdę chcieć.

- Ty też zabijasz ludzi - stwierdził. - Nie jesteś ode mnie lepsza.

- Nie sądziłam, że to jakiś konkurs. Słowa takie jak „lepszy” czy „gorszy” nie mają żadnego znaczenia dla ludzi takich jak my. - Drgnął, gdy dźgnęła go palcem w pierś. - Ja przynajmniej biorę odpowiedzialność za własne czyny, zamiast zwać winę na innych. Dopóki jakoś sobie tego nie poukładasz w głowie, będziesz jak głupie ciele, które podąża za stadem. Masz potencjał, Valonie. Życie przed tobą. Nie marnuj go, goniąc za jakąś iluzją. - Zrobiła pauzę dla efektu. - Byłbyś głupi, gdybyś przynajmniej nie przyjrzał się możliwościom, jakie się przed tobą otwierają.

Wzruszył ramionami. W oczach miał pustkę.

– Co chcesz wiedzieć? – spytał. – Jeśli twoje pytania będą sensowne, odpowiem na nie.

– Neevo, sprawdź, co jeszcze mamy do jedzenia – poprosiła Munroe, nie odwracając się.

Dziewczyna zaczęła szperać w torbie, a Munroe zwróciła się znowu do Lumaniego.

– Wezwałeś posiłki?

– Przybyły wczoraj wieczorem.

– Ilu ludzi?

– Dwóch.

– Przed czy po tym, jak zjawiłeś się po Neewę?

– Po – przyznał niechętnie. – Wtedy byli w drodze. Nie mogli dołączyć do mnie przed wymianą. Miałem wrócić do samochodu i czekać na nich w umówionym miejscu. Gdyby zjawili się wcześniej, nie siedzielibyśmy tutaj.

Munroe wzruszyła ramionami.

– Może tak, może nie. Szukają cię teraz?

Wlepił wzrok w podłogę. Jego mina zdradzała niepewność.

– Nie wiem – przyznał w końcu. – Jeśli mnie szukają, to tylko po to, żeby ostatecznie pozbyć się problemu. Na pewno tropią ją i ciebie. Ciebie chcą zabić.

– A co z twoim kierowcą?

– Skłamałem. Kluczyki zostawiłem w pudełku z magnezem pod podwoziem. Taki mamy zwyczaj, żeby ktoś inny mógł zabrać samochód, jeśli po niego nie wrócimy. Mój portfel został w wozie. I dokumenty.

Neeva stanęła obok Munroe i wyciągnęła do niej ostatnią paczkę krakersów. Munroe wzięła je, otworzyła i włożyła krakersa Lumaniemu do ust. Kiedy zaczął przeżuwać, wręczyła dziewczynie pieniądze.

– Mogłabyś poszukać środków przeciwbólowych w sklepie na dole? I kup jeszcze kilka butelek wody.

- Nie ma sprawy. Rozumiem, że resztę mogę wydać, na co chcę?
Munroe skinęła głową.

- Tylko włóż ciemne okulary i kapelusz - powiedziała, nie odwracając się od Lumaniego.

- Załatwione - oznajmiła dziewczyna i wyszła z pokoju.

Rozdział 39

Gdy zostali sami, Munroe przyniosła z łazienki ręcznik i zasłoniła nim nogi Lumaniego, aby nie musiał się krępować. Potem przykucnęła i spojrzała mu w oczy. Tym razem nie patrzył na nią zaczepnie ani nie odwrócił wzroku, po chwili jednak z jej twarzy przesunął go na tułów i przyjrzał się kurtce.

– Trafiłem cię – powiedział – a ty zaraz potem znowu byłaś na nogach.

Wstała, żeby kurtka się rozprostowała. Przesunęła dłońmi po skórze i zatrzymała się na niewielkim rozdarciu na wysokości serca. Pokazała mu je, a potem rozpostarła palce i przejechała nimi po całym przodzie, na moment przystając przy każdym z pocisków, którymi trafił ją Tamás.

– Modny pancerz – przyznał Lumani. – Bardzo droga rzecz.

Przytaknęła.

– Powiniennem odebrać ci kurtkę od razu na początku, razem z resztą ubrań.

– Musiałbyś mnie zabić – powiedziała. Uznała, że to koniec pokazu mody, i przyklękła. – Powiedz mi – wyszeptała – co wiesz o całej organizacji... i o kliencie, który chciał kupić Neewę.

– Mogę najpierw zjeść?

– Nie. Później. Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia, zanim wróci Neeva.

– Może wcale nie wróci – stwierdził. – Tamci już jej szukają.

– Przy tobie nie znalazłam żadnej pluskwy i nikt nas nie śledził.

Westchnął.

– Dobrze, ale w zamian mi pomożesz.

– Czego chcesz?

– Czegokolwiek. Muszę mieć jakieś miejsce... albo sposób, żeby jakoś przetrwać. Zostało mi tylko ubranie, które miałem na sobie. Nie

mam konta w banku ani domu, do którego mogę wrócić. Nic. Jestem jak uliczny żebrak.

Pokiwała głową.

– Zrobię, co będę mogła.

– I najpierw ty musisz mi coś wyjawić. Co powiedziałaś dziewczynie? Wtedy, kiedy uciekła, a ty ją dopadłaś przy tamtej restauracji. Wrzeszczała i się wyrywała, a zaraz potem umilkła. Tak łatwo nad nią zapanowałaś. Jakich słów użyłaś? Co powiedziałaś?

– Prawdę – przyznała Munroe.

Lumani spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Prawdę?

– Tak. Prawdę. Opisałam jej bardzo obrazowo, co ją spotka, jeśli zdoła się uwolnić, i wytłumaczyłam, że jestem mniejszym złem.

Lumani lekko poczerwieniał. Uśmiechnął się.

– Rozumiem – rzucił krótko i zaczął opowieść, która miała swój początek w Monrovii, stamtąd wiodła na zachód Europy, potem dalej, do Stanów Zjednoczonych, i wreszcie z powrotem. Opisał skomplikowany system tajnych baz, takich jak ta w Zagrzebiu, trasy przerzutowe i typowe rozkłady. Organizacja regularnie dostarczała dziewczyny z ubogich państw europejskich i południowoamerykańskich prosto do kupców. W tym biznesie popyt zawsze był duży, a towar tani.

Oczywiście zdarzali się także klienci z wyższej półki, obsługiwani przez Lumaniego i tych, którzy prawie mu dorównywali. Ich zadanie polegało na realizowaniu konkretnych zamówień. Tamten mężczyzna z pieskiem był tylko jednym z kilkunastu uprzywilejowanych, którzy wybierali sobie dziewczyny jak ubrania z katalogu i słono płacili za ten przywilej. Lumani nazywał go panem Hollywood – nie ze względu na wygląd, tylko z powodu upodobania do aktorek. Zamawiał dziewczyny z Bollywood, Hongkongu, no i ostatnio Neewę ze Stanów Zjednoczonych.

Zawsze wybierał młode, wschodzące gwiazdki filmowe, zmysłowe, drobne i dziecinne.

Te informacje nie dawały pełnego obrazu organizacji ani nie pozwalały ustalić, kim byli ludzie, dzięki którym Lalkarz dorobił się fortuny, ale stanowiły jakiś punkt wyjścia. Munroe notowała wszystko na hotelowym papierze listowym. Jedynie od czasu do czasu wtrącała pytania, bo Lumanie właściwie nie potrzebował zachęty. Opowiadał o wszystkim po kolei, dopóki na korytarzu nie rozległy się kroki. Munroe wstała od biurka i podeszła do drzwi. Zaczekała na pukanie. Gdy zabrzmiało w sekwencji, jakiej się spodziewała, wpuściła Neewę do pokoju.

Dziewczyna rzuciła na łóżko całe naręczce rzeczy i zerknęła na Lumaniego.

– Powiedział coś sensownego? – spytała.

– Trochę – odparła Munroe i odszukała wśród zakupów małe opakowanie paracetamolu. Wzięła też butelkę wody. Wycisnęła cztery tabletki z listka i połknęła je, popijając. Kolejne cztery wyjęła dla Lumaniego. Bez słowa otworzył usta. Podała mu paracetamol i wodę, a potem powoli karmiła go krakersami, dopóki nie opróżniła całej otwartej paczki.

W końcu spojrzała na Neewę.

– Wyjdę na kilka minut – powiedziała. – Jeśli masz coś jeszcze do załatwienia, zrób to teraz. – Kiwnęła głową w stronę Lumaniego. – Jak chcesz, to z nim gadaj, albo nie zwracaj na niego uwagi. Ale nie wolno ci do niego podchodzić, rozumiesz? I niech przypadkiem nie przyjdzie ci do głowy, żeby go zabić, bo zniknę i zostawię cię samą z tym bajzlem.

Neeva przewróciła oczami.

– Nie zabiję go – obiecała.

Munroe wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Mijała kolejne pokoje i halogenowe lampy, aż dotarła do końca korytarza. Tam oparła się

plecami o ścianę, zsunęła na podłogę, wyprostowała nogi i zadarła głowę w stronę sufitu.

Detoks.

Cisza.

Samotność.

Tylko tak mogła przetrwać, zapomnieć o męczarni, jaką było życie, i o głosach, które, choć przycichły, nie opuszczały jej od śmierci Noaha. Wiedziała, że nie zdoła opierać im się bez końca. W końcu miała poddać się ciemności, która na razie pokazywała się jedynie w krótkich błyskach, tak jak teraz, gdy pojawiła się szansa na oddech.

Logan ocalał, ale już nigdy nie miał być taki jak dawniej.

Samantha żyła... na razie.

Noah zginął.

Jahan zginął.

Alexis groziła śmierć albo niewola.

A związek z Bradfordem – w którym jakimś cudem zdołali pogodzić odmienność pracy z tym piekielnym życiem i mimo wszystko odnaleźć spokój – na dobrą sprawę był skończony. Ani on, ani ona nie ponosili winy za to, że już nigdy nie mogli wrócić do tego, co ich łączyło.

Spadło na nią tak wiele ciosów. Czuła niewypowiedziany ból i po raz pierwszy instynkt nie pchał jej do walki, tylko w odruchu samoobrony kazał wstać i iść przed siebie, dopóki nie znajdzie się w miejscu, gdzie naprawdę będzie sama, a ludzkość – z całym swoim złem – przestanie istnieć. Otoczona ciszą, w pustym korytarzu, już nie mogła dłużej odsuwać ani tłumić emocji. Musiała wreszcie poczuć ból, pozwolić, aby ją strawił, przepuścić go przez siebie.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała, oddychając, czując, po prostu trwając. Hotelowi goście pojawiali się i znikali. Od czasu do czasu ktoś oglądał się na nią. W końcu poczuła się dostatecznie silna,

aby znowu dźwignąć się z podłogi i podjąć tego, co musiała zrobić. Z kieszeni wyjęła telefon i zadzwoniła do Bradforda.

Lumani oderwał brodę od piersi, gdy Munroe wróciła do pokoju. Neeva leżała na łóżku, oglądając telewizję.

– Coś o nas? – spytała Munroe.

– Sporo o mnie, ale o tobie jeszcze nie wspomnieli – odparła dziewczyna. – Na długo zniknęłaś. Gdzie byłaś?

Munroe rzuciła jej telefon.

– Zadzwonź do rodziców. Proszę. Możesz wyjść na korytarz, jeśli wolisz pogadać z nimi bez świadków, ale masz być tuż za drzwiami, jasne?

Neeva przez chwilę wpatrywała się w komórkę. W końcu wzięła kartę-klucz z nocnego stolika i zsunęła się z łóżka. Zniknęła za drzwiami. Nie przejmując się Lumanim, Munroe rozpięła i zsunęła spodnie. Przyjrzała się najgłębszemu rozcięciu. Skóra wokół była zaczerwieniona, ale jeszcze nie wdało się poważne zakażenie. Rana powinna zostać porządnie oczyszczona i opatrzona, łącznie z założeniem szwów, ale mogła to zrobić, dopiero gdy wszystko się skończy. Tymczasem jeszcze raz przemyła obrażenia wodą utlenioną, przyłożyła czysty ręczniczek i umocowała go tym samym kawałkiem taśmy. Z powrotem wciągnęła spodnie. Minęło pięć minut, więc zastukała w drzwi na korytarz.

– Boli cię? – spytał Lumani. – Ta rana?

– A twoja? – odparła odwrócona do niego plecami.

– Tak. Ale ból fizyczny jest do zniesienia. Pozwala zapomnieć o innym.

Munroe sprawdziła poziom naładowania paralizatora i zerknęła na Lumaniego przez ramię.

– Za to ten wewnętrzny sprawia, że nie przestajesz być człowiekiem – powiedziała. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Czekając na Neewę, opróżniła i ponownie załadowała magazynki. Dokładnie sprawdziła ułożenie amunicji i na koniec upchnęła najpotrzebniejsze rzeczy i większość euro w kieszenie bojówek, żeby reszta bez trudu zmieściła się w torbie na ramię i plecaku.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk karty wkładanej w zamek i po chwili Neeva weszła do pokoju. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Oddała telefon. Munroe odczekała moment, zastanawiając się, czy będzie musiała się bawić w terapeutę, ale dziewczyna nic nie powiedziała. Michael wręczyła jej torbę.

– Daj mi jeszcze trzy minuty. Zaczekaj na zewnątrz – poprosiła.

Neeva uniosła brwi, ale powstrzymała się od pytań. Kiedy wyszła z pokoju, Munroe spojrzała na Lumaniego.

– Zostawiam ci pieniądze, ubranie, jedzenie i wodę – powiedziała. – Mam nadzieję wrócić tu w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Maksymalnie czterdziestu ośmiu. Podejrzewam jednak, że do tego czasu zdołasz się uwolnić.

– Wykorzystasz to, co ci powiedziałem, żeby zabić mojego wuja?

– Być może.

– Jeśli tego nie zrobisz, on cię zabije albo wynajmie kogoś, kto to za niego załatwi.

– Bardziej obawiam się ciebie – przyznała. – Masz powód, żeby mnie tropić?

– Tak. – Lumani wlepił wzrok w podłogę u jej stóp. – Mam powód – powiedział i spojrzał jej w oczy – tylko nie mam chęci.

– Może któregoś dnia to się zmieni – stwierdziła i przyklękła, aby lepiej widzieć jego twarz. – Nawet jeśli uda ci się mnie dopaść i zabić, nie staniesz się przez to lepszy, niż jesteś, nie zasłużysz sobie na szacunek... ani jego, ani własny.

– Nigdy go nie kochałem, nigdy nie był dla mnie wzorem – powiedział.

Wstała i ruszyła do drzwi. Zanim wyszła, jeszcze raz się obejrzała i dodała szeptem, wiedząc, że i tak ją usłyszy:

– Ja też kiedyś tańczyłam jak marionetka na sznurkach, żeby zdobyć aprobatę mężczyzny, który nie był zdolny do żadnych uczuć. Przed tobą całe życie możliwości... jeśli zdecydujesz się je wykorzystać.

Wyszła na korytarz. Na klamkę założyła wywieszkę „Nie przeszkadzać” i zamknęła drzwi, odgradzając się od Lumaniego. Nie wątpiła, że zdoła się uwolnić, zanim ona wróci. Chaos życia nie podlegał żadnym regułom. Decyzja, aby nie zabijać Valona, była jak rzut monetą. Munroe właśnie zmagiła się ze skutkami tego, że kiedyś darowała życie Kate Breeden. Zdawała sobie sprawę, że w przyszłości być może znowu znajdzie się na celowniku Lumaniego. Ale mogła jedynie wędrować wąską ścieżką między instynktem a sumieniem, licząc, że wszystko jakoś się ułoży.

Rozdział 40

Houston, Teksas

Bradford zmienił własną bluzę na koszulę pracownika serwisu – szarą, brudną i przesiąkniętą potem innego mężczyzny. Zakładał, że był to zapaszek Rogera, bo właśnie to imię wyszyto czerwonymi literami na piersi. Cudza koszula i cudze feromony – prosta iluzja do prostego planu.

Zamierzał wejść frontowymi drzwiami, zabrać dziewczynę i wyjść tą samą drogą.

Kluczyki do explorera oddał Andre Adamsowi i wziął od niego klucze do furgonetki, którą Adams zaparkował za fordem. Błyskawicznie skombinowany samochód, biały, brudny, z drabiną na dachu i – ze względu na swoją powszedniość – niemal niewidzialny, doskonale się nadawał do ich celów.

Dochodziła osiemnasta. Do wymiany ustawionej przez Munroe zostało jeszcze kilka godzin. Miało do niej dojść, gdy w Zagrzebiu będzie ósma rano, czyli o pierwszej w nocy czasu lokalnego. No ale w miejscu, gdzie nawet o północy było jasno jak podczas sylwestrowych fajerwerków, gdzie ciężarówki przyjeżdżały i odjeżdżały przez całą dobę, a kolejne zmiany robotników portowych zjawiały się o różnych porach, godzina niewiele znaczyła, a o prawdziwej nocy nie mogło być mowy.

Gdyby Bradford znajdował się w Dallas, kiedy otrzymał wiadomość, potrzebowałby całego tego czasu, żeby przygotować jakiś plan. Ale nie był w Dallas. Był w Houston.

Tym razem bez trudu przejrzał przeciwników. Ludzie Lalkarza zdawali sobie sprawę, że on żyje i nadal na nich poluje. Woleli ukryć Alexis daleko od niego i Dallas. Miał jednak do czynienia ze zwykłymi szeregowcami, którym brakowało pomysłów i środków, dlatego

podejrzewał, że ograniczyli się do tego, co było znajome i nie wymagało wielkiego wysiłku.

Kiedy Munroe poprosiła go o pomoc, zaraz po rozmowie z nią zadzwonił do Adamsa. Andre już znajdował się w Houston i beczynnie czekał na jakiś ruch Kate Breeden. Bradford kazał mu sprawdzić adres, który spisał z listów przewozowych osiemnastokółowca. Potem, pod wpływem impulsu, ściągnął Ricka Gonzaleza z Gatesville, żeby przypilnował bieżących spraw Capstone, a sam wyjechał z miasta. Był w połowie drogi do okręgu Harris, kiedy Adams przysłał mu raport z rozeznania i zdjęcia bazy w Houston.

Zanim handlarze otrzymali instrukcje od szefa, on już ich wybadał. Tym razem zjawił się na polu walki pierwszy. Tym razem wiedział, co go czeka. Tym razem nie musiał się martwić o zwykłych pracowników, bo na miejscu byli jedynie bandyci. Rozważał zawiadomienie policji i zostawienie operacji ratunkowej antyterrorystom, ale nie wiedział, czy sam zdołałby uniknąć podejrzeń. Poza tym nie mógłby dopilnować, aby akcję przeprowadzono w odpowiednim momencie, nie za wcześnie ani – broń Boże – nie za późno albo nawet wcale.

Nie. Sam musiał odbić Alexis. Zamierzał załatwić wszystko do końca. W Dallas poświęcił życie Irka, może też Samantha, a szumowiny spędziły za kratkami jeden dzień, wyszły za kaucją i zniknęły. Tym razem plan wyglądał inaczej. Gra toczyła się o inną stawkę. Jeśli chciał mieć pewność, że szansa nie zostanie zmarnowana, musiał wykonać zadanie samodzielnie.

Budynek wyglądał jak zwykły szereg połączonych magazynów, prostych brył z betonu i blachy falistej, które ciągnęły się wzdłuż całej ulicy. Spółka Veers zajmowała ostatni segment. Oprócz niej mieściły się tam różne firmy od lekkiej produkcji po usługi magazynowe. W przeciwieństwie do innych adresów ta siedziba była wynajmowana, nic

więc dziwnego, że nie natknęli się na nią podczas poszukiwań w centrali.

Na tyłach znajdował się znacznie większy od magazynu plac, ogrodzony i w sporej części zastawiony kontenerami. Właśnie tam ciężarówki ładowały i rozładowywały towary. Cała strefa przemysłowa znajdowała się na południe od autostrady I-10 i nieco na północ od portu, który zajmował dwudziestopięciomilowy pas wzdłuż głównego kanału portowego, Houston Ship Channel.

Firma przewozowa, taka jak Veers, doskonale tu pasowała – niczym się nie wyróżniała.

Bradford zaparkował furgonetkę tyłem na jednym z wolnych miejsc przed budynkiem i wysiadł prosto w ciepłe, wiosenne powietrze, ciężkie od wilgoci i przesycone wonią chemikaliów i ropy z powodu bliskości rafinerii. Minął go explorer. Adams pojechał do końca przecznicy, do bramy, która prowadziła na ogólnodostępny plac na tyłach. Tej strefy ludzie Lalkarza nie mogli zabezpieczyć, ponieważ nie należała do wynajmowanej nieruchomości. Bradford wziął z wozu worek i skrzynię z narzędziami. Pod pachę wetknął podkładkę z przyczepionymi do niej dokumentami. Do kieszeni przyczepił laminowany identyfikator z imieniem ROGER i skierował się do drzwi.

Nie musiał sprawdzać, czy są zamknięte. Wiedział, że są.

Zatrzęsły się szyby. Adams odpalił ładunki przy tylnym wejściu. Po wybuchu nastąpiła trzydziestosekundowa pauza – dość czasu, żeby obecni zareagowali, oddali pierwsze strzały – a potem wstrząs, który Bradford poczuł nawet w miejscu, gdzie stał. Ekspłodował pierwszy granat błyskawicznie, wrzucony do środka przez dziurę.

W tej dużej przestrzeni efekt nie był taki jak w zwykłym pokoju, ale jeśli Adamsowi udało się podrzucić granat blisko ludzi, czuli się teraz, jakby olbrzym wparował na halę i trzepnął ich po uszach. Huk w ich czaszkach dorównywał odgłosom potężnego karambolu.

Dezorientacja. Mdłości. Ból.

Bradford rąbnął skrzynką narzędziową w przeszklone drzwi.

Był zmęczony. Był wkurwiony. Chciał krwi.

Wszedł do środka przez dziurę w szkłe.

Odstawił skrzynkę. Z worka wyciągnął wojskową kamizelkę taktyczną i pistolet maszynowy MP5. Błyskawicznie się ubrał. Kipiąc adrenaliną, załadował stunabojowy, dwubębnowy magazynek Beta C-Mag. Poczuł wstrząs wybuchu kolejnego granatu. Nawet z tej odległości hałas był niewiarygodny. Bradford odliczał sekundy.

Jeszcze jedna eksplozja.

W pamięci przywołał obrazy z głównego magazynu. Zwyczajnym korytarzem z wykładziną na podłodze minął zwyczajne biurowe pomieszczenia ze zwyczajnym biurowym sprzętem i meblami. Kierował się do hali na tyłach. Tutaj już nic nie wyglądało zwyczajnie. Pod wysoką konstrukcją sklepienia znajdowały się trzy kabiny z prefabrykatów.

Dźwiękoszczelne i odpowiednio zaizolowane, wyglądały jak szopy bez okien i przypominały większe wersje klitki, w jakiej znaleźli Logana. Stały oparte na pustakach.

Bradford skręcił z korytarza na halę. Dwuosobowa armia w popłochu cofała się od ziejącej dziury w tylnej ścianie, próbując uciec od błysków i hałasu. Z półautomatów z tłumikami na ślepo ostrzeliwali tyły magazynu, marnując amunicję, bo zupełnie mijali się z celem. Potykając się, zmierzali do kabin. Kierowali się w stronę żywych tarcz. Właśnie tego się spodziewał.

Poczuł piekącą kulę w gardle, gdy rozpoznał twarz, w którą już raz przywalił. Kiedy robił rozpoznanie bazy, gościa tu nie było. Przypomniał sobie, co obiecał Walker – że posprzątają śmieci, kiedy już znajdą Logana. Ruszył naprzód, z palcem na spuście, posyłając staccato pocisków kontrolowanymi seriami.

Ochroniarz z magazynu i jego partner padli na ziemię. Przetoczyli się. Opróżnili w jego stronę magazynki i zapas, choć znajdował się za daleko, aby mogli mieć pewność, że go trafią. Bradford nie zatrzymał się, dopóki nie wywalił całego C-Maga. Potem w hali zapadła głucha cisza.

Nosem wciągnął zapach wojny. Dym. Strach. Śmierć.

Podziurawione ciała leżały na podłodze.

Wrogowie mieliby większe szanse na przeżycie, gdyby wykazali się sprytem, wybiegli myślą naprzód i przewidzieli, że przeciwnik może się zjawić doskonale zorientowany w ich pułapkach i broni, jakiej używali.

Zwyciężył ten, kto miał największy arsenał.

Podszedł do leżącego bliżej. Kopnął go.

Trup.

Zbliżył się do ochroniarza z magazynu. Mężczyzna dławił się własną krwią. Broń wysunęła się z jego ręki i leżała obok. Bradford butem odsunął ją dalej. Bydlak mógł sobie po nią sięgnąć, jeśli był gotowy przypłacić ten wysiłek śmiercią.

Bradford przez chwilę mierzył go wzrokiem, ale czas go naglił, więc w końcu się odwrócił i ruszył do środkowej kabiny – tej, którą obserwował podczas rozpoznania. Sprawdził drzwi, szukając przewodów lub jakichkolwiek śladów ładunków wybuchowych. Z kieszeni kamizelki wyciągnął zwinięty lont. Sposobem, który szybko stracił urok nowości, oplótł zamknięcie, zawiązał, uciął i podpalił.

Na materacu, z taśmą wokół nadgarstków i kostek, w porwanym i brudnym ubraniu, leżała Alexis Jameson – sekretarka medyczna, samotna mama dwulatka. Płakała z bólu i strachu, odwracając się od światła, tak jakby chciała przed nim uciec.

Nie pobili jej tak dotkliwie jak Logana – na pierwszy rzut oka Bradford oceniał, że nie miała połamanych kości – ale sińce i ślady świadczyły, że znęcali się nad nią w inny sposób. Ponownie włączyła się

w nim gotowość bojowa. Instynkt przetrwania zdusił emocje, odrętwienie przyniosło ulgę, bo nie musiał nic czuć.

Wszedł do środka i raptownie przystanął. Spodziewał się znaleźć Alexis, ale nie przypuszczał, że zastanie jeszcze kogoś. Patrzyła na niego z przerażeniem. Jasnowłosa i brązowooka, najwyżej szesnasto-, siedemnastoletnia – nieskrępowana więzami i w o wiele lepszym stanie niż jej towarzyszka. Oplatając rękami kolana, kołysała się w tył i w przód.

Bradford podszedł do Alexis. Jej krzyki zmieniły się w wycie. W panice próbowała odczołgać się jak najdalej, tak jakby nie widziała, kto przyszedł albo w ogóle go nie poznawała.

– Hej – wyszeptał do niej.

– Nie, nie, nie – powtarzała w kółko.

Ukląkł.

– Nic ci nie zrobię – powiedział cicho. – Obiecuję, że cię nie skrzywdzę. Jestem tu, żeby cię zabrać w bezpieczne miejsce.

Nie wiedział, na co w końcu zareagowała Alexis, na ton, słowa czy znajomą twarz. Już nie próbowała się odczołgać. Znieruchomiła.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał i przysunął się bliżej. – Teraz cię dotknę – uprzedził. – Wezmę cię pod plecy i kolana, żeby cię stąd wynieść. Nie skrzywdzę cię. Przyrzekam.

Alexis skrzywiła twarz, ale się nie opierała. Przyciągnął ją do siebie, wziął na ręce i wyniósł z kabiny. Blondynka ruszyła za nim, trajkocząc coś błagalnie w języku, którego nie rozumiał. Raz po raz ciągnęła go za rękaw, aż w końcu za pomocą gestów, łez i bardzo łamanej angielszczyzny dała mu do zrozumienia, że w pozostałych kabinach jest więcej dziewcząt.

Przystanął. Zaklął. Tego nie uwzględnił w planach.

Czas, jakiego wymagało uwolnienie reszty i znalezienie im bezpiecznej przystani, mógł przesądzić o tym, czy złapią go na gorącym

uczynku i zostanie aresztowany za morderstwo, czy może uda mu się zniknąć. Ale przecież nie mógł zostawić dziewczyn jak zbędnych rzeczy pod pojemnikiem na używaną odzież.

Zawołał Adamsa.

W wyrwie z tyłu budynku zmaterializował się były członek marines. Jego także zdziwił widok jasnowłosej nastolatki. Bradford podszedł do niego.

– Weź ją – poprosił i podał mu Alexis jak duże dziecko, z silnych ramion w jeszcze silniejsze objęcia.

Z kamizelki wyciągnął papier i zapisał nazwisko Tabithy oraz jej numer.

– To jej matka – wyjaśnił. – Zadzwoń do niej. Wszystko mi jedno, jaką historyjkę jej wciśniesz. Musi tylko wiedzieć, że córka jest w głębokim szoku. Niech ona zadecyduje, co masz dalej robić. – Umilkł na moment. – Potem daj mi znać. Nie. Wróć! To za długo. Zadzwoń, gdy tylko będziesz miał pewność, że nic wam nie grozi, a dopiero potem skontaktuj się z jej matką.

Adams skinął głową i natychmiast się oddalił.

Łącznie z blondynką w kabinach z prefabrykatów znajdowały się trzy dziewczyny – ładne, długonogie i świeże – współczesne wersje gęsi znoszących złote jaja. Wystarczyło je karmić, zapewnić im lokum i zadbać o klientelę, a potem tylko czerpać profity.

Wkrótce miały trafić na strony ogłoszeń towarzyskich jako „młode”, „nowe w mieście” i szukające dobrej zabawy – zmuszane przez właścicieli do udawania chętnych prostytutek i call girls. Wystarczyły uśmiechy, kłamstwa i opowieści o zmyślonej przeszłości.

Nie miał pojęcia, co z nimi zrobić, więc zabrał je do strefy biurowej i na migi pokazał, że mają tam poczekać. Pewny, że go zrozumiały, zawrócił do hali. Chwycił pierwszego zabitego za kołnierz i zaciągnął jak wór do środkowej kabiny.

Ten, którego pamiętał z magazynu w Irving, jeszcze żył – ledwie. Każdy charczący oddech był wysiłkiem. Bradford stanął nad nim w rozkroku i przez moment patrzył, jak mężczyzna się trzęsie. Tak samo dygotali umierający na polu walki. Ból. Szok. I w ogóle. Zaczekał, aż bydlak skupi na nim wzrok, a potem wyszczerzył zęby. Chwycił go za rękę, zaciągnął do kabiny, rozmazując krew po betonie, i tam go zostawił.

Dziewczyny czekały na Bradforda w korytarzu, skulone jak stadko przerażonych owiec. Okrągłymi oczami patrzyły, jak się zbliża. Naprawdę chciał im współczuć, ale bojowe odrętwienie, skupienie na logistyce przedsięwzięcia i frustracja tłumiły zdolność do jakichkolwiek uczuć. Był w magazynie już całe sześć minut. O wiele za długo. Minął je i skierował się do frontowych drzwi z rozbitą szybą. Kamizelkę, broń i magazynek wrzucił do worka, chwycił skrzynkę narzędziową i wyszedł na zewnątrz. Dziewczyny ruszyły za nim.

Furgonetka miała posłużyć do przewiezienia Alexis. Nie wiedział, w jakim stanie ją znajdzie, dlatego z tyłu położył materac. Właśnie na nim usiadły nastolatki i Bradford zamknął je w środku. Potem wsiadł za kierownicę i ruszył. Chciał jak najszybciej oddalić się od tego miejsca. Dopiero gdy przejechał spory kawałek i nabrał pewności, że nikt go nie śledzi, zjechał na pobocze i się zatrzymał.

Zadzwoił telefon.

Adams. Byli bezpieczni. W drodze do Dallas.

Planował ruszyć w ślad za nimi, ale najpierw musiał znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc dziewczynom, które same nie dałyby sobie rady. Nie mógł przecież wysadzić ich przy drodze i życzyć szczęścia. Wsiadł z szoferki i przeszedł do tyłu. Trochę to trwało, ale dzięki internetowym mapom w telefonie zdołał w końcu ustalić, że pochodzą z Mołdawii, z terenów, które wchodziły w skład dawnego ZSRR.

Kolejne wyszukiwanie w Internecie pozwoliło ustalić, że w najbliższej okolicy znajduje się jedynie konsulat Federacji Rosyjskiej. Nie miał pojęcia, czy zabranie ich tam nie będzie równoznaczne z podwieszeniem Amerykanina, który utknął w Tajlandii, do ambasady kanadyjskiej, ale przynajmniej istniała jakaś szansa, że w konsulacie znajdzie się ktoś, kto zna ich język, zrozumie, co je spotkało, i w ich imieniu skontaktuje się z osobami, które będą potrafiły udzielić dziewczynom pomocy. Tylko tyle mógł dla nich zrobić. Przesiadł się do przodu, wrzucił bieg i wyjechał na drogę.

Na razie mógł uznać, że ten etap wygrał.

Wiedział, że policja wkrótce zjawi się w magazynie, odkryje trupy i mnóstwo dowodów. Liczył, że szukając odpowiedzi, natrafią na te same tropy, które on i jego ludzie odkryli w centrum dowodzenia. Gdyby władze nie zdołały się dokopać do wszystkich informacji, sam zamierzał to zrobić. Teraz jednak miał inne sprawy na głowie. W imieniu Walker pozbył się śmieci i odszukał Alexis, która już niedługo miała być bezpieczna. Wreszcie mógł się skupić na Michael.

Rozdział 41

Mediolan, Włochy

Z rękami w kieszeniach Munroe wyszła z bistra i spojrzała na halę główną Milano Centrale – głównego dworca kolejowego w Mediolanie – wypatrując zagrożenia, choć nie wiedziała, pod jaką postacią się ono zjawi.

Neewę zostawiła przy stoliku w głębi bistra, odwróconą plecami do sali, aby nikt nie mógł jej rozpoznać i aby ona sama nie zdradziła się nerwowym zachowaniem lub spojrzeniem. Dwa tysiące euro, telefon i instrukcje były ubezpieczeniem dziewczyny, na wypadek gdyby Michael nie wrócił.

Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem tłumy i ruszyła schodami na dół. Przeszła przez zatłoczoną halę do kas biletowych. Z całych sił starała się nie kuleć, bo to zwracało uwagę.

Według Lumaniego – jeśli mówił prawdę – poprzedniej nocy do miasta przybyło jeszcze dwóch ludzi. Musiała zakładać, że teraz obaj jej szukają. Oczywiście nie mogła wykluczyć, że jest ich więcej albo że w ogóle nie ma żadnego. Tak czy inaczej Lalkarz wiedział, że wraca do Zagrzebia z Neewą, i nawet jeśli uważała się za maleńką igiełkę w ogromnym stogu siana, jakim był Mediolan, miała ograniczone możliwości, żeby się stąd wydostać.

Podróżując samochodem, najłatwiej mogłaby zniknąć z radaru. Gdyby była sama, po prostu zapłaciłaby przygodnemu kierowcy za podwiezienie, ale obecność Neevy wykluczała takie rozwiązanie. W ogóle nie brała pod uwagę kradzieży kolejnego auta, przejazdu przez Włochy i próby wydostania się poza granice strefy Schengen bez odpowiednich dokumentów. Przelot samolotem nie wchodził w grę, bo miały broń. Ludzie Lalkarza, jeśli byli cokolwiek warci, na pewno wzięli to wszystko pod uwagę.

Stała w kolejce. Przez cały czas spodziewała się charakterystycznego mrowienia na karku – ostrzeżenia, że jest obserwowana – ale nic takiego nie poczuła. Do następnego pociągu miały jeszcze kilka godzin, więc z biletami wróciła do Neevy.

Czekały w bistrze, prowadząc powolną, przeplataną chwilami milczenia rozmowę. Munroe siedziała plecami do ściany, a przodem do drzwi, wlewając w siebie stanowczo za dużo kofeiny, a Neeva bez entuzjazmu jadła zamówioną potrawę, udając, że ma apetyt, i uśmiechając się, żeby ukryć zmęczenie, które dokuczało jej jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. W końcu przyszła pora odjazdu i znowu musiały ruszyć się z miejsca.

Munroe zwlekała z wejściem do pociągu niemal do końca. Czekala na peronie, szukała czegoś, co nie pasowało do otoczenia: koncentracji, której ktoś wyjątkowo skupiony nie był w stanie ukryć, albo twarzy, które obracały się ku innym twarzom, zamiast studiować tablice informacyjne i sprawdzać numery wagonów. Wpatrywała ludzi, którzy samotnie wałęsali się bez wyraźnego celu. W końcu upewniła się, że nikt ich nie śledzi, i dopiero wtedy poprowadziła Neewę wzdłuż pociągu do wagonu pierwszej klasy.

Gdyby to ona kierowała polowaniem, pominęłyby ten niepewny etap i zebrała swoich ludzi w miejscu, w którym cel w końcu musiał się pokazać. Tropiony zawsze był w niekorzystnej sytuacji – wciąż musiał mieć się na baczności i szukać czających się w mroku potworów, bez możliwości odpoczynku ani pewności, z jakiej strony może się spodziewać ataku. W przedziale Munroe usiadła plecami do okna i położyła wyprostowane nogi w poprzek pustych siedzeń. Jericho trzymała w dłoni między udem a oparciem. Czas płynął. Zabójcy się nie pojawiali. Przesiadka w Wenecji odbyła się bez przygód. Stopniowo opadało z niej napięcie, aż w końcu, wbrew zasadom, zapadła w niespokojną drzemkę i ocknęła się, dopiero gdy zadzwonił Bradford.

Na chorwackiej granicy przeszły przez kontrolę paszportową. Pociąg dotarł do Zagrzebia przed świtem. Ulice tonęły jeszcze w mroku. Całe miasto spało. Kiedy wysiadały, na peronie czekało kilka osób. Zachowanie i postawa dwóch z nich obudziły czujność Munroe.

Trzymała się jak najbliżej pozostałych wysiadających, obawiając się zasadzki. Zamiast tracić czas i energię na wyjaśnianie sytuacji Neevie, po prostu pilnowała, żeby dziewczyna znajdowała się między innymi pasażerami, którzy z peronu ruszyli na Glavni kolodvor – główny dworzec kolejowy Zagrzebia. Kamuflaż w grupie.

Bryła budynku, który w porównaniu z rozmiarami i rozmachem dworca w Mediolanie wydawał się niewielki i prowincjonalny, nosiła znamiona wspaniałej architektury i przypominała czasy świetności, kiedy Zagrzeb, obok Belgradu, Pragi i Budapesztu, był jednym z przystanków na trasie Orient Expressu. Na stacji panował spokój, choć nawet o tej porze nie była zupełnie pusta. Wrażenie niebezpieczeństwa potęgowały ciemności i otwarta przestrzeń na zewnątrz.

Munroe zapanowała nad chęcią, aby puścić się przed siebie biegiem, ale lekko pchnęła Neewę i przyspieszyła kroku. Odgłosy pogoni również zabrzmiały w szybszym tempie, jednak ten, kto szedł za nimi, nie zmniejszał dystansu.

Pod dworcem czekał rząd taksówek. Obserwator trzymał się na tyle daleko, że nawet gdy Munroe ostentacyjnie się odwróciła, nie zdołała go dojrzeć.

Był tylko zwiadowcą. Nie przyszedł, żeby je zabić. Miał jedynie przekazać wieści do bazy.

Telefon Bradforda i wiadomości, jakie usłyszała od niego w podróży – potwierdzenie, że odbił Alexis – zmieniły dynamikę rozgrywki. Lalkarz na pewno zaczął się zastanawiać, czy Munroe w ogóle się zjawi, a jeśli tak, to czy będzie z nią Neeva. Chciał wiedzieć, jaką strategię obrać i jak poustawiać pionki.

No to już wiedział.

Ich hotel znajdował się kawałek od stacji. W recepcji Munroe pokazała dokumenty i wypełniła potrzebne papiery, zapłaciła gotówką i odebrała klucz do pokoju. Windą wjechały na szóste piętro, ale tam od razu zawróciły w stronę klatki schodowej. Munroe wzięła Neevę pod rękę i wyprowadziła ją bocznym wyjściem z hotelu. Nie miała żadnego konkretnego celu. Po prostu wędrowały chodnikami podobnymi do tych, jakie widziała przed siedzibą Lalkarza niecały tydzień wcześniej.

Znajdowały się na starym mieście, mniej więcej w tej samej strefie co tajna baza organizacji. Schludne uliczki układały się w siatkę przecznic, wzdłuż których wznosiły się stare trzy- i czteropiętrowe kamienice z misternymi fasadami z kamienia i zamkniętymi łukami przejść, które prowadziły na wewnętrzne dziedzińce podobne do tego, jaki miał budynek Lalkarza.

– Dlaczego tak zrobiliśmy? – spytała Neeva.

– Nie mogliśmy tam zostać, to zbyt niebezpieczne.

Lalkarz wiedział, że są w mieście, i zakładał, że muszą się gdzieś zaszyć. Na pewno znał już nazwiska z dokumentów, które przedstawiła w hotelu, a prawdopodobnie także numer rejestracyjny taksówki, którą przyjechały z dworca. Miał już coś, co mógł wykorzystać w grze – coś, co pozwalało mu planować i działać.

– No to dokąd pójdziemy?

Munroe przystanęła. Wciągnęła dziewczynę do wnęki przy jakichś drzwiach i obróciła ją przodem do siebie.

– Musimy przeczekać do rana – powiedziała. – Potem się rozstaniemy. Zaprowadzę cię do ambasady amerykańskiej, żebyś mogła wrócić do domu.

– Nie – sprzeciwiła się Neeva. – Przecież mam ci pomóc.

– Już mi pomogłaś. Ogromnie. Miałaś posłużyć jako przynęta i odegrałaś swoją rolę, ale teraz nie muszę cię na nikogo wymieniać.

- A tamta osoba z wiadomości? - Głos Neevy zabrzmiał o ton wyżej.
- Ta, której zdjęcie ci przysłali?
- Już jest bezpieczna.
- Neeva wlepiła wzrok w ziemię.
- Jasne. Rozumiem. Ale i tak chcę wziąć udział w tym, co planujesz.
- To nie ma sensu. Naraziłaś życie... podjęłaś odważną decyzję... ale nie musisz więcej ryzykować, możesz wrócić do domu i zacząć żyć.
- Potrafię strzelać. Mam oczy. Mogę ubezpieczać tyły.
- Munroe uśmiechnęła się i pokręciła głową.
- Staniesz się jeszcze jedną osobą, o którą będę się musiała martwić.
- Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi i znowu była dawną Neewą, tą, która pluła, miotała się, klęła, walczyła i uciekała - prawdziwą diabolicą w drobnym ciele dziewczynki.
- Będziesz musiała zaciągnąć mnie do ambasady siłą, wrzeszczącą i wierzgającą. Po co masz robić sobie tyle kłopotu? Nie warto.
- Daj spokój. Tyle przeszliśmy. Nie bądź wredną gówniarą. Wiem, że rozumiesz, dlaczego muszę cię tam odstawić. Może ci się to nie podoba, ale na moim miejscu zrobiłabyś tak samo.
- Ale ja nie zabrałam się z tobą *tylko* jako przynęta - oznajmiła Neeva. - To nie wszystko. - Podniosła wzrok i spojrzała Munroe prosto w oczy. - Rozumiem, że masz swoje powody, ale po tym, co razem przeszliśmy, nie masz prawa mi tego odbierać.
- Odbierać *czego*?
- Zemsty.
- Do jasnej cholery. Myślałam, że już ci przeszło.
- Zasłużyłam sobie na to - upierała się dziewczyna. - Byłam lojalna, nie kwestionowałam twoich decyzji, siedziałam cicho i robiłam wszystko, co mi kazałaś. Nie stwarzałam problemów. Mam prawo się tego domagać.
- Domagać się czego? Co, według ciebie, zamierzam zrobić?

– Zabić herszta – stwierdziła Neeva. – Wiem, że takie masz plany.

– A nawet jeśli, to co?

– Chcę przy tym być. Chcę widzieć, jak umiera.

– Nie.

– Nie możesz mi zabronić.

– Mogę i właśnie to robię.

– I tak pójdę za tobą.

– Wkurzasz mnie.

– Zrozum, całe lata czekałam, aż policja, mój terapeuta lub ktoś inny, ktokolwiek, pomoże mi znaleźć jakiś sens w tym, co się stało. Mam już dość bezradności. – Neeva na chwilę umilkła i odetchnęła głęboko. – I mam dość strachu. Albo pozwolisz mi iść z tobą, żebym mogła dowieść swojej wartości, nadal być twoją partnerką i pomóc ci tak, jak zdołam, albo będziesz musiała ze mną walczyć i niepotrzebnie zmarnujesz czas i siły.

– Mogę też od razu cię zabić i mieć to z głowy. Oszczędzić sobie kłopotów.

Neeva przewróciła oczami.

– Jasne.

– Skąd w tobie nagle taka potrzeba zemsty? Dlaczego widok jego śmierci aż tyle dla ciebie znaczy? Zrobię zdjęcie. Będziesz mogła powiesić je na suficie nad łóżkiem i co wieczór zasypiać, patrząc na nie.

– Naprawdę tego nie ogarniasz? – zdziwiła się Neeva. – Ty... z twoimi bliznami i zabijaniem... powinnaś najlepiej mnie rozumieć, ale wolisz udawać głupią. Dobrze wiesz, na czym mi zależy i dlaczego tego chcę.

– Neevo, to bez sensu. Idę tam ze świadomością, że prawdopodobnie tego nie przeżyję. Może nawet nie uda mi się do niego dotrzeć, ale muszę spróbować, nie mam wyboru. Ty masz wybór. Nie rezygnuj z życia.

– Niczego nie pragnę tak bardzo, jak tego, żeby wreszcie odpłacić się komuś, kto mnie skrzywdził.

– Co będzie, jak mnie zabiją, a ty znowu trafisz w ich łapy? Pomyślałaś o tym? Nie dość, że nie zdołasz się zemścić, to jeszcze zapłacisz za własną głupotę.

Neeva wzruszyła ramionami.

– Masz zupełnie pochrzanione priorytety – stwierdziła Munroe.

– I kto to mówi?

– Będziesz dla mnie ciężarem, Neevo. – Munroe wyprostowała się. – Gdyby cię tu teraz nie było, on prawdopodobnie już by nie żył.

Neeva wyprężyła się jak struna i stanęła na palcach, żeby wydawać się wyższa.

– Gdyby mnie tu nie było, ludzie, których kochasz, już by nie żyli.

Munroe westchnęła. Cofnęła się o krok, wychodząc z wnęki na chodnik.

– Nie mam siły na kłótnie z tobą – przyznała. Z kieszeni wyjęła telefon, obróciła się i ruszyła przed siebie. – Skoro jesteś za głupia, żeby chronić własne życie, nie zamierzam marnować mojego na przekonywanie cię, żebyś przestała się zachowywać jak idiotka.

Nie знаła adresu budynku, w którym mieściła się pracownia złotnicza, ale kiedy stamtąd wyjeżdżała, zdołała mniej więcej się rozeznać, w jakiej strefie miasta się znajduje. Wiedziała, czego szuka i dokąd w przybliżeniu powinna się kierować. Taksówkarz dobrze znał okolice, więc bez trudu trafiła z powrotem.

Niebo wciąż jeszcze było ciemne, kiedy wysiadły o jedną przecznicę od celu. Dopiero zaczynało zmieniać barwę z czarnej na fioletową. Czekaając na świt, Munroe krążyła uliczkami. Brak pośpiechu i puste chodniki dawały poczucie, że znajdują się w uroczym i bezpiecznym miasteczku.

Neeva szła obok. W ogóle o nic nie pytała. W milczeniu wędrowały tak, dopóki nie zatoczyły kręgu. Munroe zatrzymała się naprzeciwko witryn dwóch sklepów jubilerskich rozdzielonych łukiem wejścia. Właśnie tam w lusterku wstecznym widziała Lumaniego z twarzą wykrzywioną uśmiechem.

Doszła do końca ulicy i znalazła wnękę w murze, gdzie mogły zaczekać na wschód słońca. Przysiadła na schodach i Neeva zrobiła to samo.

– Kiedy ruszę – odezwała się w końcu Munroe – nie będę miała czasu niczego wyjaśniać. Możesz się mnie trzymać albo nie, ale jeśli zostaniesz, będziesz zdana wyłącznie na siebie.

– Dam sobie radę – zapewniła dziewczyna.

Munroe, skupiona całkowicie na budynku Lalkarza i oknach sklepów, nie odpowiedziała.

Kilkakrotnie podczas długiego oczekiwania skóra na karku swędziała ją i mrowiła, nieomylnie sygnalizując, że ktoś je obserwuje, ale chociaż przeszukiwała wzrokiem okna, dachy i ulice, nie dostrzegła nic, co potwierdziłoby jej przeczucie. Jeśli to był Lumani, jeśli się uwolnił i zdołał tu dotrzeć tak szybko, jeśli patrzył teraz na nią przez swój celownik, w myślach zaklinała go, żeby oddał strzał, przed którym się powstrzymał w Mediolanie, żeby zakończył ten koszmar raz na zawsze.

Słońce zdążyło się całe wychylić nad horyzont i rozpocząć wędrówkę po niebie, zanim pojawiła się pierwsza szansa przeniknięcia do twierdzy Lalkarza – kobieta w średnim wieku i praktycznym obuwiu. Początkowo była tylko jedną z coraz liczniejszych przechodniów zmierzających do pracy, ale przed pierwszym sklepem jubilerskim przystanęła i sięgnęła do torebki.

Munroe wstała i zeszła ze schodków, zanim kobieta zdążyła wyciągnąć rękę z torby, przeszła na drugą stronę ulicy, zanim w ręce

pojawiły się klucze. Znalazła się tuż za celem w chwili, gdy klucz trafił w zamek, i przytknęła jerocho do głowy kobiety, gdy drzwi się otworzyły.

Rozdział 42

Kobieta w praktycznym obuwiu otworzyła usta, żeby wrzasnąć, i w tej krótkiej przerwie między szokiem a dźwiękiem druga dłoń Munroe zasłoniła jej twarz. Nie powstrzymała krzyku, ale zabrzmiał on głucho. Kobieta wpiła się zębami w jej palce i próbowała ją podrapać, ale Munroe, znowu pobudzona adrenaliną, uderzyła ją – broń trafiła w głowę z twardym dźwiękiem.

Na moment opór zelżał i Munroe zdołała się obrócić plecami do wnętrza. Obserwując sytuację na ulicy, wciągnęła kobietę za próg. Neeva, jak gdyby nigdy nic, przeszła przez wąską drogę, zdążyła przytrzymać zamykające się drzwi i również weszła do środka. Zanim Munroe zdążyła o cokolwiek ją poprosić, dziewczyna wyjęła klucze, a potem zamknęła sklep od wewnątrz i z torby wyciągnęła drugi pistolet.

Demonstracyjnie pomachała bronią przed twarzą kobiety, która jak wiele osób pod wpływem silnego napięcia i strachu na widok dwóch przeciwniczek umilkła w odruchu samoobrony. Wybełkotała coś niezrozumiale za dłonią Munroe, a potem się zmoczyła.

Neeva wlepiła wzrok w kałużę na podłodze.

– Sprawdź, czy któryś z kluczy pasuje do tylnych drzwi – poleciała jej Munroe.

Dziewczyna zadzwoniła pękiem i wymamrotała pod nosem:

– Jednak mogę się przydać.

Munroe zignorowała ją i zaczęła szeptać do ucha kobiety w coraz to innych językach. Dopiero węgierski sprowokował reakcję. Z powodu dziwnego sposobu, w jaki ta mowa zapisała się w jej pamięci, i nagrań, których zmuszona była słuchać, miała bardzo duży zasób słów, ale ograniczoną możliwość posługiwania się potoczną węgierszczyzną. Starła się jak najlepiej wytłumaczyć, że nie ma złych zamiarów.

Kobieta gorączkowo pokiwała głową, ale Munroe na wszelki wypadek wołała nie odsłaniać jej ust. Czuła rosnącą frustrację.

Wiedziała, że jeśli daruje jej życie, będą miały z nią kłopoty.

– Znalazłam – oznajmiła Neeva z głębi sklepu.

– Jeszcze nie otwieraj. Chodź tu i pomóż mi znaleźć coś, czym będziemy ją mogły zakneblować.

– Myślałam, że pracujesz sama.

– Zamknij się i zrób, o co proszę – nakazała Munroe.

Neeva ze sztucznym uśmiechem weszła za jubilerską ladę i zaczęła przeszukiwać szuflady i półki oraz pudełka, które stały na podłodze.

Munroe gestem pokazała kobiecie, że ma przejść za drugą niską gablotę i usiąść.

– *Nem akarlak bántani* – oznajmiła – nic ci nie zrobię. Chcę, żebyś żyła.

To była prawda. Przyszła tu zabić Lalkarza, uciąć organizacji głowę, a przy okazji może również ręce i nogi. Ale ta kobieta... Munroe nie wiedziała, czy jest tylko biernym świadkiem, tak jak złotnicy z pracowni, i może nawet znajduje się tu wbrew swojej woli, czy też bierze czynny udział w grze.

– Znalazłam papiery do pakowania i jakieś gazety.

– Wystarczy.

Kobieta usiadła, tak jak jej kazano. Munroe zgmiotła papier w kulę i wepchnęła ją Węgierce do ust. W szufladzie znalazła kłębek sznurka i oplotła grubą ósemką jej nadgarstki, a potem tak samo unieruchomiła kostki. Więzy nie ograniczały ruchów całkowicie, ale pozwalały zyskać na czasie. Gdyby kobieta od razu podniosła alarm, Munroe musiałaby ją zabić, a wolała uniknąć niepotrzebnej śmierci.

Minęły cztery minuty. W sklepie nie pojawił się nikt więcej.

Munroe wyszła zza gabloty, minęła Neewę i podeszła do tylnego wyjścia. Sprawdziła wzdłuż framugi, czy nie ma żadnych zabezpieczeń – alarmu, który uruchomiłby się po otwarciu. Kiedy nic nie znalazła, przekręciła klucz w zamku, uchyliła drzwi do środka o cal i wyjrzała.

W wielkiej sali panował spokój. Jeszcze nie było pracowników, ale podejrzewała, że wkrótce się zjawią, żeby rozpocząć codzienną mrówczą pracę. Ciemne gniazdo Lalkarza wyglądało co najmniej dziwnie. Za każdym razem, kiedy tędy przechodziła, z jego gabinetu sączyło się światło, jak gdyby żył w tym pełnym lalek pokoju niczym tajemniczy pustelnik.

W przeciwległym końcu sali stalowe drzwi stały otworem, a obok nich, na rozkładanym metalowym krześle, siedział wartownik. Czuwał, ale jak ktoś, kto za długo tkwi w miejscu. Oczy miał otwarte, lecz myślami był gdzie indziej. Munroe gestem przywołała Neewę bliżej i pokazała jej, że ma przytrzymać drzwi, żeby się nie zamknęły.

Gdyby w sali nie było strażnika, zabrałaby dziewczynę do środka, szybko sprawdziła podziemie, a potem zaczęła się w gabinecie Lalkarza. Ale obecność pilnującego oznaczała, że w celach ktoś jest – niewinne ofiary, za które zło mogło wytargować sobie wolność albo co gorsza użyć ich, aby zmusić ją do kapitulacji.

Schowała pistolet i z największej kieszeni spodni wyciągnęła nóż. Dotyk metalu na skórze był ciepły jak krew świeżo upuszczona z żyły. Poczowała ulgę. Wyślizgnęła się za drzwi i nisko pochylona zaczęła się przekradać przesmykami między stanowiskami pracy. Gdzieniegdzie przystawała i sięgała ręką na stoły, szukając luźnych przedmiotów i zbierając skarby: ołówek, ceramiczny kubek, kulkę wosku. W ten sposób pokonała niemal całą salę i zatrzymała się za ścianką ze sklejki, która tworzyła niski boks. Znajdowała się na tyle blisko strażnika, że w świetle wczesnego poranka, wpadającym do środka przez okna, widziała ślady po trądziku na jego policzkach.

Rzuciła wosk w poprzek przejścia. Kulka uderzyła miękko w ścianę jednego z wygrodzonych pomieszczeń biurowych. Mężczyzna w ogóle nie zareagował na głuchy odgłos, który zwróciłby uwagę bardziej czujnego strażnika.

Spróbowała znowu, tym razem z ołówkiem. Strażnik poderwał głowę, gdy drewno stuknęło o przepierzenie. Wyprostował się. W myślach nakłaniała go, żeby ruszył się z miejsca. Nie musiał podchodzić blisko. Wystarczyło, żeby wstał z krzesła i znalazł się trochę dalej od ściany. W przeciwnym razie musiałaby się zdecydować na manewr równoznaczny z samobójczym atakiem na cel, który znajdował się w o wiele korzystniejszej pozycji.

Ale strażnik nadal tkwił na krześle i marnował jej czas.

Objęła palcami kubek. Wiedziała, że jeśli to nie poskutkuje, będzie zmuszona go zastrzelić i tym samym ściągnąć tu ludzi z całego budynku – z mieszkań na górze albo z podziemi.

Potoczyła kubek, tak jak kulę do gry w kręgle, po podłodze za sobą i tym razem strażnik wreszcie się podniósł. Zastukał w metalowe drzwi – podejrzewała, że dał znak komuś na dole.

Z wyciągniętym przed siebie pistoletem – H&K USP .45, kompaktem, jakim posługiwali się wszyscy ludzie Lalkarza – tak jakby była to broń z przydziału dla przestępców – zaczął się rozglądać w poszukiwaniu źródła hałasu. Przeszedł obok półścianki za plecami Munroe. Przyczała się pod biurkiem, mierząc dystans według dźwięków jego stąpania i oddechów.

Liczyła kroki. Zaczekała, aż ją minie, i dopiero potem, nie podnosząc się z przysiadu, obróciła się w jego kierunku. Skupienie, intensywne i okrutne, usunęło słabość współczucia. Odezwał się w niej drapieźnik. Zamknęła oczy. Oddychała powoli i miarowo, uwalniając dziką naturę, która od kilku dni błagała, aby dopuścić ją do głosu. Oddała kontrolę instynktowi, który podczas nocy spędzonych w dżungli narastał warstwa po warstwie i stawał się coraz silniejszy.

Cichy chrzęst butów na podłodze wyznaczał jego pozycję na mapie w jej wyobraźni. Krok za krokiem, zakręt za zakrętem, śledziła go myślami.

Strażnik pochylił się, żeby podnieść kubek. Nieostrożnie wyciągnął w kierunku podłogi rękę z bronią. Munroe wysunęła się spod biurka i bezgłośnie, tak jak dawniej, niczym najszybsza z węży mamba, dźgnęła go w nadgarstek. Przekręciła ostrze i rozpruła skórę, żyły i ścięgna.

Upuścił pistolet.

Otworzył usta, żeby ryknąć.

Chwyciła jego broń.

Odwrócił się w jej stronę.

Błyskawicznie wyprostowała się i nacisnęła spust.

Dwa strzały w głowę, jeden po drugim. Zduszony tłumikiem huk... zdławiony do szeptu krzyk.

Ryk umilkł, zanim na dobre się zaczął. Mężczyzna padł na podłogę. Munroe zatrzymała się tylko na moment, żeby spojrzeć w otwarte martwe oczy i na dziwnie wykręcone ciało na kamiennej posadzce, porzucone jak worek odpadków; śmieć z dwoma pękami róż na czole i kałużą krwi wokół nadgarstka – ohydna replika śmierci Noaha.

Z dołu ktoś zawołał po albańsku. Munroe obniżyła głos o oktawę i wydobywając z pamięci język, którego nauczyła się dawno temu, odkrzyknęła:

– *Minjtë!*

Zbyt wiele słów, a dialekt i akcent mogłyby ją zdradzić. Brak odpowiedzi, a zaraz miałyby na karku drugiego bydlaka.

Z dołu dobiegł rechot.

Dał się nabrać.

Z bronią trupa Munroe cofnęła się po Neewę. Pistolet trzymała oburącz, wycelowany w puste schody do podziemnego więzienia.

Kiedy zbliżyła się do dziewczyny na odległość szeptu, sykiem zwróciła jej uwagę. Pokazała, że ma przystawić czymś drzwi, żeby się nie zamknęły, i dołączyć do niej. Nie wróciła po Neewę dlatego, że była jej cokolwiek winna. Nie potrzebowała też pomocy. Po prostu nie mogła

pozwolić, aby ludzie Lalkarza je rozdzielili i wykorzystali nastolatkę przeciwko niej, tak jak mogli wykorzystać więzione w piwnicy ofiary.

Po raz trzeci Munroe przemierzyła salę – teraz szybko i bez obawy, że ktoś ją dostrzeże. Musiała zejść do podziemi, zanim ciekawość wyciągnie drugiego mężczyznę na górę. Ze względu na Neewę wybrała nieco okrężną drogę, aby ominąć trupa. Przed wejściem do piwnicy dziewczyna zamarła.

Munroe zaczęła schodzić, ale przystanęła, zauważywszy jej wahanie. Gestem przywołała Neewę. Nastolatka jednak stała jak przykuta. Zbladła i przecząco pokręciła głową. Munroe zdusiła irytację.

Ciężar.

Czasami nawet największa odwaga na świecie nie wystarcza, żeby pokonać obezwładniający strach i wspomnienia.

Ciężar.

Jak miała znowu zejść po tych schodach, wrócić do zapachów chloru i pleśni? Zanurzyć się tam ze świadomością, że na dole stanie się bezradna, że ktoś zatrzaśnie metalowe drzwi i uwięzi ją na zawsze? Munroe musiała tam iść, nawet wbrew złym przeczuciom, ale Neeva nie.

Ciężar.

Munroe dwoma palcami wycelowała w swoje oczy, a potem w salę. Zostawiała Neewę na czatach. Pokazała na broń, a potem jeszcze raz na salę.

Strzelaj tylko w obronie własnej.

Neeva kiwnęła głową.

Munroe nie miała teraz czasu na frustrację. Na gniew. Musiała się skoncentrować. Bezgłośnie pokonała kilka stopni, aby nie zwrócić uwagi strażnika na dole. Jednocześnie nasłuchiwała kroków, oddechu, szelestu ubrania, dzwonienia kluczy, ale nie dotarł do niej żaden dźwięk. I tak wiedziała, gdzie on jest. Widziała to miejsce kilkakrotnie, kiedy trzymano ją w tym piekle. Nie obawiała się, że przypadkiem trafi

niewinną osobę, bo więźniarki trzymano za kamiennymi murami i stałą.

Obróciła głowę i jeszcze raz spojrzała na Neewę. Dziewczyna stała plecami do niej, oburącz trzymając opuszczoną do dołu broń. Munroe zrobiła głęboki wdech, resztę stopni pokonała biegiem. Pierwszy strzał oddała w tym samym momencie, w którym wypadła zza załomu ściany. Licząc pociski, twardo sunęła przed siebie, dopóki nie opróżniła całego magazynka. Wyciągnęła jericho i błyskawicznie pokonała resztę odległości.

Strażnik zdążył wyjąć broń z kabury, wycelować i oddać trzy strzały, ale nie zdołał wstać z pozycji siedzącej. Nawet teraz, wciśnięty między krzesło a ścianę, nie rezygnował, próbował podnieść pistolet. Nastąpiła mu na rękę. Odebrała mu broń i płynnym ruchem przystawiła lufę do jego czoła, a potem pociągnęła za spust. Jericho schowała z powrotem za pasek i zerwała kółko z kluczami ze szlufki mężczyzny.

Rozdział 43

Z kluczami martwego strażnika Munroe podeszła do najbliższej celi podziemnego więzienia. Próbowała wszystkich po kolei, dopóki nie trafiła na właściwy. Odciągnęła rygiel. Cella była pusta. Powietrze przesycił ten sam smród co wtedy, gdy trzymano tu Neewę.

Przeszła do następnej celi. Otworzyła i odsunęła drzwi na całą szerokość. Na brudnej macie kuliło się drobne dziecko w podartym ubraniu, dziewięcio-, najwyżej dziesięcioletnie. Dziewczynka próbowała odczołgać się jak najdalej od drzwi, tak jakby jakimś cudem mogła wniknąć w ścianę.

W głowie Munroe chór głosów zerwał się z uwięzi. Niepohamowany i oślepiający gniew wydarł się z samego jądra jej duszy. Serce zadudniło ciężko, zupełnie innym rytmem niż wojenne bębny zwiastujące bitwę. Żądza krwi, głód przemocy – potworny, nie do zaspokojenia. Zabójca zupełnie się wybudził z głębokiego snu. Chór zaczął skandować głośno, rozkazująco.

Zniosłem granice ludów.

Munroe zawróciła na korytarz, znalazła klucz do trzeciej celi i ją również otworzyła.

I zrabowałem ich skarby.

W tej były jeszcze dwie dziewczyny, piętnasto-, szesnastolatki. Siedziały na brudnej gąbce, która zastępowała im materac. Patrzyły na nią okrągłymi oczami, rękami oplatając kolana.

I jak mocarz strąciłem siedzących na tronie.

Zaczęła do nich mówić, zmieniając języki, a kiedy wyczerpała cały repertuar tych, które mogły zostać zrozumiane w Europie, na migi pokazała, żeby szły za nią.

Nie ruszyły się z miejsca.

Położyła broń na podłodze i podniosła obie ręce do góry, a potem powtórzyła przyzywający gest.

Jedna z nastolatek wstała z gąbki i podeszła szybko. Munroe piętą odsunęła pistolet za drzwi.

Trzymając ręce w górze, wycofała się z celi. Dziewczyna ruszyła za nią.

Uczyliem to mocą swojej ręki.

Munroe pokazała na martwego strażnika w końcu korytarza, potem na siebie i wreszcie na broń. Na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki uśmiech. Paplając coś z ożywieniem, obróciła się do towarzyszki. Druga nastolatka wstała i niemal biegiem wypadła z celi. Munroe wskazała im sąsiednią celę, w której dziecko wciąż leżało skulone na macie. Odważniejsza z nastolatek weszła tam, przyklękła i zaczęła coś mówić do dziewczynki. Kiedy język znowu okazał się przeszkodą, próbowała wziąć małą na ręce, ale dziecko krzyknęło przeraźliwie.

W tym samym momencie Munroe usłyszała pierwszy hałas na górze – inny krzyk, głos kogoś starszego, a potem swoje imię i wystrzał. Błyskawicznie chwyciła z ziemi broń drugiego strażnika i popędziła na schody.

Krzyki. Odgłosy szamotaniny.

Zgrzyt zamykanej metalowej bariery.

Przeskakiwała po trzy stopnie naraz. Walnęła w drzwi, zanim je zatrzaśnięto. Zdołała odepchnąć je trochę, choć wspinaczka pod górę zmniejszyła jej rozpęd i siłę uderzenia. Napała na nie mocno. Ten, kto znajdował się po drugiej stronie, ustąpił i drzwi otworzyły się na oścież.

Munroe stanęła na progu – łatwy cel dla każdego, kto chciałby ją trafić. Nikt jednak nie strzelił. Lalkarz siedział rozparty na krześle przy najbliższym biurku i uśmiechał się szeroko.

Pogroził jej palcem.

– Spryciara z ciebie – zwrócił się do niej. – Dziękuję, że przywiozłaś mi prezent.

Po jej lewej stronie, obok drzwi, znajdował się mężczyzna, którego wcześniej nie widziała. Był chyba wymienną częścią maszyny Lalkarza,

tak jak Arben i Tamás. Obok samego herszta stała Neeva, a kolejny trybik maszynerii przytykał broń do głowy dziewczyny i odciągał jej rękę do tyłu.

Ciężar.

Munroe miała wrażenie, że to jakieś koszmarne *déjà vu*. Setki razy wyobrażała sobie tę scenę, odkąd Neeva wyszła za nią z konsulatu w Nicei. Tyle kłótni, tyle wysiłku włożonego w to, żeby ustrzec ją przed takim właśnie scenariuszem... wszystko na nic.

Mina dziewczyny zdradzała rozpacz i strach. Jej usta bezgłośnie mówiły: „Przepraszam”.

Munroe zrobiła krok do przodu. Nie widziała na sali więcej pachołków Lalkarza. Zresztą ta liczba miała sens – zawsze działali i podróżowali w tandemach.

Nastolatki, które zostały w pomalowanym na biało korytarzu podziemi, gdy ona pędem wydostała się na górę, teraz ostrożnie wspięły się po schodach w ślad za nią, tak jakby rozumiały, że mają tylko jedną szansę na ucieczkę i że jest nią właśnie ona. Zatrzymały się za nią.

Broń martwego strażnika trzymała w prawej ręce. Lewą sięgnęła po jericho zatknięte za pasek na plecach. Jeden pistolet wycelowała w Lalkarza, a drugi w bydlaka przy drzwiach. Przesunęła się w bok, żeby za plecami mieć ścianę.

Lalkarz kiwnął palcem na tego przy drzwiach i mężczyzna gwałtownie rzucił się do przodu, chwycił jedną z nastolatek za nadgarstek i szarpnął ku sobie. Dziewczyna wrzasnęła i zaczęła płakać. Próbowwała się wyrwać, ale przytknął jej do głowy pistolet, tak jak jego kompan Neevie, więc przerażona znieruchomiała. Szlochała, stojąc potulnie.

– Poddaj się – powiedział Lalkarz do Munroe. – Ktoś tak inteligentny jak ty na pewno zdaje sobie sprawę, że z tej sytuacji nie ma wyjścia.

– Może i nie – przyznała – ale nie muszę ginąć sama.

Wzruszył ramionami.

– Zabijesz mnie... może. I jednego z moich ludzi... też może. Za to na pewno pozbawisz życia dwie niewinne ofiary. Co zyskasz?

Munroe odsunęła się od ściany, ale cały czas miała się na baczności. Podeszła bliżej do Lalkarza, w myślach oceniając ryzyko, prędkość, szanse.

– Nie każesz ich zastrzelić – stwierdziła. – Są sporo warte, ale tylko żywe. Trudniej je zastąpić niż twoich goryli.

Na pół sekundy przeniósł wzrok na Neewę.

– Ta rzeczywiście jest cenniejsza – zgodził się. – Ale tamte i ta mała w celi są tanie. Bez trudu zdobędę nowe. Już jutro zjawią się kolejne.

Wstał z krzesła i stanął obok Neevy. Nie górował nad dziewczyną tak jak jego ochroniarz, co dodatkowo podkreślało jego niski wzrost. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a potem przez ramię rzucił do Munroe:

– Myślę, że tamte mają większą wartość dla ciebie niż dla mnie.

Kiedy stał odwrócony do niej plecami, zrobiła kolejny krok w jego stronę. Gdy tylko postawiła stopę na podłodze, Lalkarz chwycił Neewę i pociągnął ją do siebie. Od goryla wziął pistolet i przystawił go do skroni dziewczyny. Ścisnął jej policzki i obrócił jej twarz do Munroe. Neeva miała w oczach łzy i wciąż bezgłośnie powtarzała: „Przepraszam, przepraszam”.

– Żadna z nich nie będzie miała dla mnie wartości, jeśli zginę, więc zabiję nawet ją, jeśli będzie trzeba – oznajmił. – Ani kroku dalej.

Munroe znieruchomiała.

Lalkarz kiwnął na bydlaka, od którego przejął Neewę, i osiłek ruszył po drugą nastolatkę, która dotąd stała jak posąg, sparaliżowana strachem. Dziewczyna obróciła się i z krzykiem popędziła z powrotem na dół. Dogonił ją. Próbowwała stawiać opór, ale wciągnął ją po schodach

za włosy, podrapaną i zakrwawioną, bo beton i kamienie przedarły jej ubranie i poraniły skórę. Zaczął ją kopać. Skuliła się, krzycząc i błagając o litość. Starła się chronić głowę i brzuch.

Sekundy ciągnęły się coraz bardziej i w końcu czas niemal się zatrzymał. Zewnętrzne dźwięki przestały docierać do Munroe. Słyszała już tylko huk własnego serca. W tych pulsujących falach, między kolejnymi uderzeniami, pojawiały się błyski szans i strategii.

Mogła zabić kopiącego i przerwać to szaleństwo, ale musiałaby użyć lewej ręki, co dawało małe prawdopodobieństwo powodzenia.

Ruch za ruch.

Jej pierwszy strzał równał się śmierci nastolatki... może również Neevy.

Potem wzięliby ją na cel. Zginęłaby jako następna. Po niej druga nastolatka, tamta mała w celi i Bóg wie kto jeszcze.

Krew uderzyła jej do głowy. Szum doprowadzał ją do szału.

Decyzje. Wybory.

Wolałbym być uduszony i raczej ujrzeć śmierć niż moje boleści.

Przyszła tu, wiedząc, że pakuje się w pułapkę. Przyszła tu świadoma, że dobrze wykorzystała szansę na życie, i jeśli teraz miało się skończyć, była gotowa to zaakceptować.

– Dość – powiedziała.

Lalkarz się roześmiał, ale powtórzył jej polecenie po albańsku i mężczyzna przestał kopać nastolatkę. Dziewczyna leżała na podłodze, szlochając, z twarzą zakrytą splątanymi włosami. Neeva przygryzła wargę, jej spojrzenie stało się zimne, wyraz twarzy napięty i skupiony, tak jakby w myślach rozważała ten sam scenariusz, to samo prawdopodobieństwo, te same szanse, i doszła do tych samych wniosków co Munroe.

Lalkarz ponownie zarechotał triumfalnie.

– Jesteś słaba – oznajmił. – Łatwo tobą manipulować. Stanowisz zagrożenie tylko wtedy, gdy jesteś w swoim żywiole i nad wszystkim

panujesz. Bez trudu da się cię przejrzyć i wykorzystać, bo nie potrafisz podejmować trudnych decyzji. Dobry gracz od razu zabiłby te dwie dziewczyny, żeby nie mieć bata nad głową, a dopiero potem próbował mnie dopaść. A ty? Jesteś nic niewarta.

Jak obłok się rozchodzi i znika, tak nie wraca ten, kto zstąpił do krainy umarłych.

– Zabij mnie – powiedziała. – Wiem, że chcesz to zrobić.

– Z was wszystkich ty jesteś najcenniejszym towarem – oznajmił – za ciebie zapłacą mi najwięcej. Dostarczając cię – nawet nafaszerowaną środkami odurzającymi – zarobię dziesięć razy tyle, ile dostałbym za tę lalkę, a wszystko dlatego, że w ciągu ostatnich dni narobiłaś sobie wrogów.

– Prędeż bym się zabiła.

– Tego też nie jesteś w stanie zrobić.

– Zastrzel go, Michael – odezwała się Neeva. – Błagam cię, strzelaj.

Lalkarz uderzył ją kułakiem w bok. Dziewczyna skrzywiła się z bólu.

– Jeśli się poddam, co zyskam w zamian? – spytała Munroe.

– Życie czterech osób – odparł. – Tamtych cieląt i tej tutaj. Uwolnię wszystkie.

– W takim razie zrób to – powiedziała – a zrezygnuję z walki.

– Nie! – zawołała Neeva i Lalkarz ponownie walnął ją pięścią.

– Nie jestem głupi – stwierdził. – Najpierw ty, potem dziewczyny,

– Puść te, które nie mają dla ciebie wartości.

Lalkarz rozciągnął twarz w szyderczym uśmiechu.

– A dokąd miałyby pójść? Jeśli wystawię je na ulicę, ktoś je znajdzie i zaraz będą miały na progu policję. Nie. Uwolnię je tylko tam, gdzie nie będą mogły mi zaszkodzić.

– No to utknęliśmy w martwym punkcie.

Lalkarz wywarczał polecenie. Bydlak, od którego wcześniej wziął broń, wyciągnął drugi pistolet spod pachy, ale zanim zdążył wycelować w leżącą na ziemi nastolatkę, Munroe krzyknęła:

– Nie!

Lalkarz cofnął rozkaz.

– Wybór należy do ciebie – oznajmił.

Milczała, myśląc intensywnie, szukając ucieczki z sytuacji bez wyjścia, bo nawet gdyby odebrała sobie życie, nie powstrzymałaby zła.

– Nie zamierzam długo czekać – ostrzegł Lalkarz.

Gdyby się poddała, nie mogłaby dopilnować dotrzymania warunków umowy, ale jeśli tego nie zrobiła, byłaby świadkiem natychmiastowej egzekucji.

– Dziesięć sekund i dziewczyna zginie – powiedział, tak jakby czytał jej w myślach.

Neeva ponownie krzyknęła:

– Strzelaj, Michael!

Tym razem Lalkarz uderzył ją tak mocno, że rozległ się głuchy odgłos i Munroe zobaczyła w oczach dziewczyny łzy.

Lalkarz zaczął odliczanie. Z dwóch przeskoczył od razu na siedem. Przy ośmiu Munroe zaczęła się pochylać. Neeva krzyknęła raz jeszcze. Czas zwolnił bieg, dzieląc ruch i wydarzenia na pojedyncze klatki – życie w stroboskopowych błyskach.

Mężczyzna przy metalowych drzwiach, z bronią przytkniętą do głowy nastolatki. Szarpiący ją za włosy, podrywający jej zażawioną twarz do góry, śmiejący się prosto w jej ucho. Dziewczyna na podłodze. Skulona. Bydlak obok z wycelowanym w nią pistoletem. Jego palec wskazujący na osłonie spustu, twarz odwrócona do Lalkarza, zadowolona mina i wyczekujące spojrzenie. Lalkarz przyciągający Neewę blisko siebie. Uśmiechnięty. Triumfujący. Wgniatający lufę w jej ucho. Szept ruchu w głębi sali – może tylko przeciąg, a może cień człowieka, który na pół sekundy odwrócił uwagę Munroe, podczas gdy głos Lalkarza, powolny i zniekształcony, właśnie kończył wymawiać słowo „dziewięć”.

Przyklękła na jedno kolano.

– Niece! – przeraźliwie wrzasnęła Neeva. Wspięła się na palce, tak że jej policzek znalazł się na wysokości twarzy Lalkarza. Przyciśnięta do niego, naprężyła się i obróciła. Prawą rękę podniosła do dłoni, która trzymała broń przy jej skroni, lewą sięgnęła do jego głowy. Bez paniki. Rozmyślnie... w skupieniu... z determinacją, w pełni świadoma tego, co robi. Jej spojrzenie było zimne jak stal.

Jego uśmiech zbladł.

Jej zagięty palec dotknął spustu.

Nagła eksplozja krwi i odprysków kości zakończyła życie obojga.

Neeva i Lalkarz upadli razem. Jak szmaciane lalki odbili się od biurka, zahaczyli o krzesło, a w końcu zsunęli na podłogę, dziwnie powykręceni i splątani kończynami.

Wystarczyła chwila, jedno mrugnięcie, aby zarejestrować i pojąć, co się stało. Munroe upuściła jericho, oburącz chwyciła H&K i strzeliła do mężczyzny obok drzwi – najbliższej wymiennej części maszyny Lalkarza. Szybką serią opróżniła magazynek. Kolejne trafienia szarpały bydlakiem, aż w końcu zwałił się jak kłoda na skuloną dziewczynę. Munroe odwróciła się do drugiego. Uwięziła czas w tym samym oddechu, wyodrębniając z chwili krzyki i przemoc. Gdy mężczyzna zobaczył swojego towarzysza na podłodze, podniósł głowę. Wahał się, czy ma zabić zakładniczkę – żywą tarczę – czy odpowiedzieć ogniem.

Oderwał lufę od skroni dziewczyny.

Munroe odrzuciła H&K. Zgarnęła z podłogi jericho. Wycelowała w tym samym momencie co on. Wiedział, że ona nie strzeli – przynajmniej dopóki zasłaniał się dziewczyną – a ona zdawała sobie sprawę, że jemu trudno będzie zapanować nad bronią, bo musiał się posłużyć jedną ręką i jednocześnie trzymać wrywającą się nastolatkę.

W myślach przygotowała się na uderzenia. Miała nadzieję, że dopisze jej szczęście i pociski utkną w tych partiach kurtki, które wciąż

mogły ją chronić. Szanse, że goryl trafi w miejsce, które już wcześniej zamortyzowało strzał, były niewielkie. Odetchnęła z rezygnacją i w tym samym momencie struga czerwonych kropelek trysnęła z jego głowy. Z tą śmiercią nie miała nic wspólnego.

Czas, który do tego momentu trzymała na uwięzi, rozciągając go do granic możliwości, wyrwał się na wolność, strzelił jak za mocno napięta struna i pognął naprzód. Bydlak runął na ziemię. Jego zakładniczka próbowała uciec od krwi i śmierci. Zaniosiła się krzykiem, tak jakby chciała wyskoczyć z własnej skóry i uwolnić się od zatrzymanej chwili. Jej przerażony głos połączył się w chór z wyciem dziewczyny leżącej na podłodze. Potworny wrzask był pierwszym dźwiękiem, jaki przedarł się do zmysłów Munroe.

Jak sprinter wychodzący z bloku startowego wystrzeliła i pomknęła ukosem przez labirynt stołów i przejść na drugi koniec sali, tam gdzie wcześniej dostrzegła cień ruchu.

W kącie nikogo nie było.

Powoli obróciła się wokół własnej osi. Rozglądała się, szukała. Wycie i krzyki nastolatek wypełniały całą wielką przestrzeń i odbijały się echem od murów.

Obok nogi krzesła dostrzegła jedną łuskę.

Sięgnęła po nią, czując, jak rośnie jej gniew.

Zdołał dotrzeć tu z Mediolanu. Był na miejscu. Mógł zakończyć ten koszmar, zabić sprawcę całego cierpienia, ale zamiast tego pozwolił, aby zginęła Neeva, a potem uratował życie Munroe. Pewnie myślał, że to wspaniałomyślny gest, a tymczasem odebrał jej szansę na spokój. Mógł sam zabić wuja. Przerwać horror. Miał możliwość ocalić Neewę, ale z niej nie skorzystał, i za to go nienawidziła.

Pozwoliła mu żyć, dała mu szansę, ale nie po to.

Nie po to.

Wsunęła łuskę do kieszeni na pamiątkę. Zanim jeszcze raz przemierzyła salę, zajrzała do sklepu jubilerskiego. Kobieta za gablotą nie żyła. Siedziała oparta plecami o ścianę. Zginęła od pojedynczego strzału w głowę.

Przy metalowym wejściu do lochu Munroe minęła dziewczyny. Zapłakane i oszołomione próbowały zetrzeć krew i fragmenty tkanek z rąk i twarzy, ale tylko je rozmazywały, pogarszając sytuację.

Dała im znak, żeby zeszyły za nią na dół, tam gdzie mogła je obmyć. Nie chcieli, a ona nie zamierzała ich zmuszać.

Lalkarz nie żył. Czterech jego ludzi nie żyło. Kobieta w sklepie nie żyła. Ale wkrótce mieli się zjawić pracownicy i Munroe nie mogła wykluczyć, że kolejni członkowie armii Lalkarza również są w drodze. Wolała stąd zniknąć, zanim się pojawią.

Na dole mała wyszła z celi na korytarz i patrzyła na martwego strażnika. Drgnęła, zobaczywszy, że ktoś się zbliża, więc Munroe przystanęła i wyciągnęła do niej rękę. Powoli, ostrożnie dziewczynka odwróciła się i sięgnęła do jej dłoni.

Munroe zabrała ją na górę, do gabinetu. Oczy dziecka rozbłysły na widok tyłu pięknych lalek. Michael podała jej jedną z większych i pokazała dziewczynce, gdzie ma usiąść. Mała zaczęła gładzić włosy i sukienkę zabawki niemal tak samo nabożnie jak Lalkarz, a tymczasem Munroe sprawdziła szuflady. Szukała dokumentów, dysków, czegokolwiek, co mogło dostarczyć informacji, kim był Lalkarz i w jaki sposób kierował organizacją.

Nic nie znalazła.

Nastolatki zajrzały do gabinetu i przystanęły w drzwiach.

Po chwili wahania Munroe przerwała poszukiwania, okrążyła biurko i wyciągnęła rękę do dziecka. Kiedy dziewczynka zsunęła się z krzesła i stanęła stopami na podłodze, Munroe włożyła jej rączkę w dłoń jednej ze starszych dziewcząt. Z kieszeni wyjęła pieniądze, każdej

dała mniej więcej po tysiąc euro i odprowadziła je do wyjścia. Przez moment stały nieruchomo – jak w scenie z horroru – mrużąc oczy w porannym słońcu. Musiała im wszystko wyjaśnić bez słów, na migi pokazać, co powinny zrobić.

Zaczekała, aż dojdą do połowy ulicy, a potem zamknęła drzwi, obarczona dodatkowym ciężarem. Wolałaby ich przypilnować, ale nie mogła. Same musiały dać sobie radę. Liczyła, że trafią na policjanta, znajdą kogoś, kto zrozumie ich język, wyjaśnią, co je spotkało, i w końcu przyprowadzą poszukiwaczy prawdy do tej siedziby zła. Oprócz tego – a może raczej na dodatek – planowała osobiście skontaktować się z lokalną agencją prasową albo z korespondentem Reutera i podać dość informacji, aby pchnąć we właściwą stronę kogoś, komu naprawdę zależało na dokopaniu się do sedna sprawy.

Powoli wróciła do sali. Ostrożnie podeszła do miejsca, gdzie leżała Neeva.

Stanęła nad nią.

Uklękła.

Dziewczyna miała zamknięte oczy. Na jej twarzy, nienaruszonej strzałem, malował się wyraz spokoju. Przyglądając się jej, Munroe odniosła wrażenie, że gdzieś pod tym spokojem kryje się uśmiech. Nawet martwa, nawet bez włosów, Neeva wyglądała jak lalka, w jaką miał ją zmienić ten koszmar. Słowa, które powiedziała tak niedawno, rozbrzmiewały raz po raz w myślach Munroe. W końcu przerwała tę pętlę i wypowiedziała je szeptem: „Niczego nie pragnę tak bardzo jak tego, żeby wreszcie odpłacić się komuś, kto mnie skrzywdził”.

Czując pod kolanami twardą podłogę, pochyliła się nad Neewą, aby wyplątać ją z objęć Lalkarza. Powstrzymała się dosłownie w ostatniej chwili. Zostawienie jej tutaj, w uścisku tej parodii człowieka, wydawało się pogwałceniem wszystkich świętości, ale tak musiało być. Ostrożnie pochyliła się jeszcze bardziej i przytknęła wargi do czoła Neevy.

Uczyniłem to mocą swojej ręki.

- Może w śmierci znajdziesz pokój - wyszeptała i wstała.

Odwróciła się plecami do martwych i ruszyła w stronę sklepu jubilerskiego, do wyjścia, po drodze wybierając numer Bradforda.

Rozdział 44

Dallas, Teksas

Munroe przeszła z gumowej wykładziny rękawa lotniczego na gumową wykładzinę terminalu. Nie miała bagażu, tylko torbę na ramię z kilkoma przedmiotami, które zebrała w ciągu tygodnia od śmierci Neevy.

Przyleciała do Stanów Zjednoczonych dwa dni temu, ale dopiero teraz wracała do Dallas – do miejsca, które było jej domem. Odkąd wysłała Bradfordowi wiadomość, podając numer i godzinę lotu z Denver, nie rozmawiała z nim, ale wiedziała, że go zobaczy – na pewno – po drugiej stronie obrotowych drzwi.

Po tym, jak zostawiła Neewę i powiadomiła Bradforda, że żyje i niedługo wróci, zadzwoniła do Agencji Reutera w Zagrzebiu, odczekała dwadzieścia minut i skontaktowała się z ambasadą amerykańską.

Wieści o makabrycznym wydarzeniu szybko się rozeszły. Wkrótce pierwsze zdjęcia z miejsca zbrodni trafiły na ekrany telewizorów na całym świecie. Brak szczegółowych doniesień sprawiał, że spekulacjom nie było końca, a biorąc pod uwagę drastyczność obrazów, którymi ilustrowano wiadomość o odnalezieniu Neevy, wrzawa w mediach mogła potrwać wiele tygodni.

Śmierć Lalkarza i sporej części jego sztabu, zniknięcie prawej ręki herszta i likwidacja amerykańskiej strony operacji pozwalały przypuszczać, że organizacja nieprędko się podniesie – może nawet nigdy – ale w świecie, który pompował miliardy dolarów w wojnę z narkotykami i nędzne grosze w zwalczanie niewidzialnego i bardziej opłacalnego biznesu, jakim był transport ludzkiego cargo, przy tak niewielkim ryzyku dla handlarzy i właścicieli niewolników, którzy zaspokajali chory apetyt na kobiety, lukę na rynku szybko mieli wypełnić inni. Takich ludzi nigdy nie brakowało.

Munroe pojechała pierwszym pociągiem do Lublany i tam przebrnęła przez czasochłonne procedury związane ze zgłoszeniem kradzieży paszportu i zebraniem dokumentów potrzebnych do wydania nowego – prawdziwego. Kiedy wreszcie go zdobyła, wróciła pierwszym samolotem do Stanów Zjednoczonych.

Ominęła Dallas i udała się prosto do Aspen, gdzie mieszkali Tisdale'owie. Zjawiła się u nich bez zapowiedzi. Ostrożni i nieufni, wpuścili ją do swojego domu. W elegancko urządzonej salonie, oddzielona od nich dużą, niską ławą, opisała im, co się wydarzyło po tym, jak Neeva opuściła konsulat w Nicei. Opowiedziała o siatce handlarzy ludźmi i o powodach, dla których ich córka została porwana. Wyjaśniła, dlaczego Neeva wybrała taką a nie inną ścieżkę. Jej słowa były niewielką – albo żadną – pociechą dla rodziców, którzy stracili dziecko, ale tylko to mogła im ofiarować – powiedzieć o zemście Neevy, wyjawić szczegóły, których media i świat nigdy nie miały poznać.

Tisdale'owie siedzieli razem na kanapie, wspierając się tak, jak pozwalały na to okoliczności.

Odzywała się głównie Judith, ale trudno było nazwać to rozmową. Wyrzucała z siebie słowa jak pacjent, który wyżala się terapeutce. Uzupełniła luki – szczegóły, o których Neeva nie wspomniała. Opisała horror brutalnego ataku, do którego doszło, kiedy dziewczyna miała czternaście lat, i wpływ, jaki miało to na jej życie i sposób myślenia.

Gdy Munroe dostarczyła wieści i wysłuchała łez matki, wróciła do Dallas. Zanim wyszła na halę przylotów, zobaczyła za szkłem Bradforda. Stał blisko, oparty o ścianę, z luźno skrzyżowanymi na piersi rękami. Tylko ruch jego oczu zdradzał, jak bardzo był skupiony na tym, co działo się wokół niego. Cały Bradford. Chciała jednocześnie śmiać się z radości, że znowu go widzi, i płakać, bo wiedziała, że ta radość nie potrwa długo.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył ją w drzwiach. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, ale kiedy zrobiła kilka długich kroków w jego stronę, oderwał się od ściany i wyszedł jej naprzeciw. Świat kręcił się dalej – zwyczajny terminal, ogłoszenia i sygnały obwieszczające pierwszy bagaż, wszędzie wokół ludzie – a on objął ją, położył jej głowę na swoim ramieniu i trzymał tak bardzo, bardzo długo.

W końcu spojrzała na niego i odetchnęła.

– Chodźmy już – poprosiła.

Dopiero wtedy dostrzegła znękany wyraz jego twarzy, który tak dobrze zdołał ukryć pod powitalnym uśmiechem.

– Co się stało? – spytała. – Coś z Loganem? Z Samanthą? Alexis?

Pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. To może poczekać.

– Nie sędzę. – Spojrzała na niego wyczekująco, ale on położył jej dłoń na karku i skierował w stronę wyjścia na parking.

– Proszę cię, powiedz.

– Dobrze, ale najpierw chcę cię zabrać do domu.

Dom.

Nie nalegała dłużej. Jeśli tylko na ten jeden dzień mogła zamienić lęk na spokój i tylko dziś mieć dom, była gotowa poczekać na to, co miał jej do powiedzenia. Ramię w ramię, krok w krok, ruszyli do samochodu Bradforda.

Dom znajdował się na północy, poza granicami metropolii, tam gdzie nie brakowało przestrzeni, miasteczka wyglądały jak miasteczka, a moloch aglomeracji jeszcze nie zaczął połykać mil, choć powoli podkradał się coraz bliżej. Budynek miał pięć sypialni i przypominał ranczo. Powstał niedawno pod dyktando Bradforda na siedmiohektarowej działce. Ponieważ Bradford więcej czasu spędzał poza domem niż w nim, nad wszystkim czuwali gospodyni i jej mąż. Oboje pracowali dla Bradforda od lat i mieszkali teraz w nieco mniejszym lokum dalej od drogi.

Bradford zatrzymał wóz na półkolistym podjeździe od frontu i Felecia otworzyła im drzwi. Uśmiechnęła się do Munroe, witając ją przyjaźnie. Bradford dał im chwilę na wymianę uprzejmości, a potem żartobliwie popchnął Munroe do sypialni. Gdy tylko przestąpiła próg pokoju, porwał ją na ręce, nogą zamknął drzwi i rzucił ją na łóżko.

Roześmiała się głośno, a on przez chwilę przyglądał się jej z uśmiechem.

– Co? – spytała w końcu.

– Lubię, kiedy tak się śmiejesz.

– Za dużo się martwisz – powiedziała mu.

Ukląkł na łóżku. Pochylił się nad nią.

– A ja myślę, że za mało. Nie wyobrażasz sobie, jak się za tobą stęskniłem.

W sypialni czas nie miał znaczenia, słowa mogły poczekać, lęki usunęły się w cień, a smutki, cierpienie i myśli o tym, co stracili, zbladły na te godziny, podczas których świat na zewnątrz przestał dla nich istnieć.

Stali w kuchni, oddzieleni wyspą, sącząc wino i podjadając smakołyki przygotowane przez Felecię.

– To jak, powiesz mi w końcu? – zagadnęła Munroe.

Bradford napełnił jej kieliszek. Nie potrzebował wyjaśnień. Oboje wiedzieli, co miała na myśli.

– Nie wiem, gdzie jest Kate – przyznał.

Munroe zastygła z krakersem w pół drogi do ust.

– Wypuścili ją z więzienia?

– Po wybuchu w firmie musiałem ściągnąć chłopaków do pomocy, żeby dotrzeć do Alexis... – Urwał i pozwolił jej domyślić się reszty.

Dotknęła jego policzka.

– Nie zadręczaj się tym.

– Nie podoba mi się, że tylko ona wyszła z tego zwycięsko.

Z kieliszkiem wina w jednej ręce i dłonią Bradforda w drugiej pociągnęła go z powrotem do sypialni.

– Jeszcze nie wygrała, a jeśli w ogóle wygra, będzie to pyrrusowe zwycięstwo.

Bradford przystanął. Przez jego twarz przemknął cień. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

– Nie mów tak, dobrze? – wyszeptał. – Wiem, co nas czeka, ale nie chcę tego słyszeć. Nie dzisiaj. Może jutro, ale nie dziś.

Nie chodziło mu o Kate Breeden. Oboje mieli świadomość, że Munroe jest w stanie znosić ból i straty tylko do pewnego momentu, a potem zaczyna tracić kontrolę. Dlatego musiała wyjechać, potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie, a to mogła osiągnąć, jedynie wracając do tego, kim była – samotną agentką, zamkniętą we własnym świecie i odciętą od innych.

Odstawiła kieliszek na niski stolik, objęła go za szyję i pocałowała. Naprawdę go kochała. Zawsze miała go kochać. Uśmiechnęła się, próbując oddalić od siebie smutek. W pewnym sensie była zadowolona, że nie musi się żegnać, wypowiadać na głos słów, których wołała nigdy nie mówić. Nie zamierzała się z nim rozstać na dobre, bo jeśli tu był jej dom, miała do niego zawsze wracać jak gołąb pocztowy. Bradford na pewno to wiedział, tak jak rozumiał, dlaczego Michael musi wyjechać.

Nie planowała zrobić tego już dziś ani jutro. Miała jeszcze na miejscu parę spraw do załatwienia. Zamierzała zobaczyć się z Alexis i wiedziała, że powinna przemóc się i zatelefonować do większości członków rodziny. Tak, zamierzała to zrobić, gdy będzie gotowa. Przede wszystkim jednak bardzo, ale to bardzo chciała się zobaczyć z Loganem, spojrzeć mu w oczy i błagać o wybaczenie za wszystko, co przez nią wycierpiał. I właśnie dlatego miała czas – *mieli* czas – zanim przyjdzie to, co nieuniknione.

Richardson, Teksas

Nocne powietrze było nieruchome. Chłód wydawał się bardziej przenikliwy po niedawnym deszczu. Dom znajdował się w głębi osiedla, z dala od ulicy i szumu opon sunących po mokrym asfalcie, w okolicy, gdzie od mniej więcej trzech godzin panowała niesamowita cisza.

W mrocznym zakamarku, niewidoczna w ciemnościach, Munroe czekała i czuwała. Przez wiele godzin obserwowała wracających do domów sąsiadów. Robiło się coraz później. Sądząc po zgaszonych światłach, wielu poszło już spać.

Była jak myśliwy na ambonie. Odmierzała czas, obserwując przejeżdżające samochody, otwierane okna, zaciągane zasłony, gaszone i zapalane lampy, cienie, które czasem sięgały aż na ulicę i ludzi, nieświadomych, że tak łatwo można ich podejrzeć przez szyby.

Cierpliwie czekała.

Wcześniej poprosiła Bradforda o broń, przejrzała plastikową skrzynię, którą jej podsunął, i wzięła to, co chciała. Pożyczyła również jego wóz, nie mówiąc, kiedy go odda ani dokąd jedzie.

O nic nie pytał, ale wiedział – na pewno.

Od ziemi ciągnęło chłodem i Michael zmieniła jedną niewygodną pozycję na inną. Miała pewność, że Breeden w końcu wróci do tego mieszkania – tej kryjówki, którą Munroe odkryła wiele lat temu, ale nigdy się z tym nie zdradziła – nie wiedziała tylko, kiedy się zjawi ani nawet jak często tu zagląda.

Kiedy Breeden odsiadywała wyrok, jej dom został zajęty przez bank, podobnie jak jej samochód, ale kredyt za mieszkanie był spłacany regularnie i nie odłączono wody ani elektryczności. Coś tu czekało, coś, czego Breeden potrzebowała lub na czym jej zależało. Dlatego musiała się zjawić. Może to małe mieszkanie było jedyną przystanią, jaką miała – dachem nad głową, schronieniem – tymczasowym domem, w którym mogła zebrać siły, aby rozpocząć kolejny etap swojego planu.

Nocna cisza przeciągała się w nieskończoność. Woń dymu z posmakiem palonego drewna była nieodłącznym towarzyszem kapryśnej teksańskiej pogody, która nawet wczesną wiosną potrafiła zaskoczyć mrozem. Od czasu do czasu jakieś reflektory skręcały w uliczkę, aby chwilę później zniknąć w garażu albo pod wiatą, ale w mieszkaniu nic się nie zmieniało. Mroczne i puste, czekało na właścicielkę.

Ogromnie ją kusiło, żeby wejść do środka i zacząć się w jednym z ciemnych pokoi, z dala od wilgoci, zimna i ryzyka, że ktoś ją zobaczy. Nie miała jednak pojęcia, co czeka za drzwiami ani w jaki sposób Breeden się zabezpieczyła. Coś mogło ją ostrzec, że w mieszkaniu jest intruz. Munroe wołała nie ryzykować, że ją spłoszy.

Czas płynął, opatulony wilgocią i ciszą – niebezpieczną ciszą w towarzystwie myśli, wspomnień i głosów, które prowadziły monotony dialog w jej głowie. Wciąż jeszcze nie zdołała ich uciszyć. Nie umilkły, nawet gdy zginął Lalkarz. Nie pozwalały jej wrócić do spokoju, jaki czuła, zanim zaczął się ten koszmar.

Byłaby naiwna, gdyby liczyła, że odzyska równowagę, jeśli tej nocy zakończy to, co powinno było zostać zakończone dawno temu, ale ta myśl i tak w niej zakwitła, a potem przemieniła się w inne, o wiele bardziej mroczne i naglące. One z kolei zostały wyparte przez obrazy lochów i dzieci, Logana i Neevy, Irka i Samantha, Noaha. Pamiętała, co powiedziała Neevie: „Zemstę najlepiej zostawić w sferze fantazji”.

Za wszystko zawsze trzeba zapłacić.

Kolejne światła skręciły w uliczkę. Tym razem samochód zatrzymał się na miejscu parkingowym należącym do mieszkania Breeden. Munroe spodziewała jakiejś pułapki, kogoś podstawionego, a tymczasem ujrzała wychudzoną postać, która szybkim krokiem zmierzała w jej stronę. Pomimo ciemności od razu zauważyła, że Breeden bardzo się postarzała od czasu, gdy widziały się po raz ostatni.

Znikła wytworność, szampańskie bąbelki i dziesięć kilogramów życia w luksusie. Zastąpiła je koścista surowość.

Odmierzając kolejne dawki cierpliwości i instynktu drapieżnika, Munroe zaczęła, aż Breeden ją minie, zaczęła, aż wyłowi z torebki klucze, zaczęła, aż przesunie palcem wzdłuż górnego ościeża i coś odłączy. Munroe domyślała się, że to jakiś przewód.

Wstała.

Śmierć i straty, które dotknęły ją w ostatnich tygodniach, wzywały do wyrównania porachunków.

Uradowuje się sprawiedliwy, gdy ujrzy pomstę.

W jej piersi zabrzmiał wojenny bęben.

Stopy swoje obmyje we krwi bezbożnego.

Ruszyła naprzód, czarna na tle nocy – ledwie cień w przyćmionym świetle klatki schodowej – całkowicie skupiona na sylwetce Breeden, na jej oddechu, linii kręgosłupa. Gdy znalazła się tuż obok, przytknęła lufę pistoletu do jej głowy i powiedziała:

– Witaj, Kate.

Rozdział 45

Dallas, Teksas

Pięć miesięcy później

Ćwierć mili żwirówki łączyło czarną, asfaltową drogę z domem Bradforda. Ćwierć mili od drzwi do skrzynki pocztowej. Zwykle ta odległość nie miała znaczenia. Rzadko bywał w domu i nie musiał zawracać sobie głowy pocztą – Felecia o to dbała, a pilniejsze przesyłki trafiały do biura Capstone.

Dziś jednak wracał do siebie i po drodze zjechał z asfaltowej nawierzchni na pobocze, żeby zabrać to, co czekało w skrzynce, i oszczędzić Felecii fatygi. Zgarnął wszystko razem i rzucił na fotel pasażera. Dopiero gdy zaparkował wóz w garażu za domem i sięgnął po mizerny łup ulotek i czasopism, reklam i korespondencji, jego wzrok padł na kopertę zaadresowaną charakterystycznym pismem. Z wrażenia zaparło mu dech.

Cofnął do środka nogę, którą zdążył już wysunąć z samochodu, i przyjrzał się kopercie. Zwykła, biała, zagraniczna – sądząc po kształcie i stemplu pocztowym. Na odwrocie nie było nadawcy, ale jego imię i adres zostały nakreślone dużymi literami, których widok sprawił, że jego serce zabiło żywiej i zaczęły mu się trząść ręce.

Zębami oderwał róg – tylko tyle, żeby w otwór zmieścić palec i rozedrzeć krawędź.

W środku znajdowała się pojedyncza kartka. Wycinek z zagranicznej gazety, artykuł wydrukowany alfabetem, którego nie umiał odczytać – prawdopodobnie cyrylicą, ale nie miał pojęcia, z jakiego kraju – i tak naprawdę nie dbał o to. Nie musiał znać treści, bo choć słowa nie miały dla niego znaczenia, zdjęcie, które zamieszczono obok – odpowiednio ziarniste, jak na gazetową jakość przystało – powiedziało mu wszystko.

Wielki jacht, zniszczony i spalony, unosił się w przechyle niedaleko brzegu ze śródziemnomorskim krajobrazem. Podziurawiony kadłub

ledwie utrzymywał się na powierzchni.

Bradford długo patrzył na zdjęcie, uśmiechając się coraz szerzej. Żadne słowa nie mogły opisać jego poczucia szczęścia. W końcu roześmiał się na cały głos.

Podziękowania

Ta historia nie ujrzałaby światła dziennego – a przynajmniej nie w tak wyczelowanej formie – gdyby nie pomoc osób, które mnie kochają. Dlatego moim dzieciom, które z wielką niechęcią pozwalają mi pracować, oraz moim krewnym i przyjaciołom, którzy nie mają mi za złe, gdy na całe miesiące zapadam się pod ziemię, dziękuję, że są przy mnie, kiedy się wynurzam, żeby zaczerpnąć tchu.

Wszystkim wspaniałym członkom zespołu Crown Publishers wdzięczna jestem za niestrudzone wsparcie. Stokrotne dzięki odpowiedzialnemu za redakcję Zackowi Wagmanowi, który nakłonił mnie do intensywnego myślenia, choć nie miałam na to ochoty, oraz wydawcy, Sarze Breivogel, która – jestem o tym przekonana – zna tajniki magii.

Mam również dług wdzięczności wobec osoby, która pomogła mi uniknąć błędów w chorwackim i węgierskim (mam nadzieję, że mi się udało), ale woli pozostać anonimowa.

I wreszcie kilka słów do mojej agentki, Anne Hawkins, której zawdzięczam całą moją karierę i przynajmniej połowę zachowanych zdrowych zmysłów: stałaś się moją rzeczniczką, powierniczką, terapeutką, rodziną zastępczą i cudowną przyjaciółką. Wszystkim pisarzom życzę, aby mieli takie szczęście jak ja, bo trafiłam na ciebie. Dziękuję ci.